



M I C H A E L
R O B O T H A M

RAJ NIE ISTNIEJE

„Książka, od której trudno się oderwać”

Stephen King

Michael Robotham

Raj nie istnieje

Tłumaczenie:
Katarzyna Ciężyńska

Dla Sary i Marka

PODZIĘKOWANIA

To fantastyczne uczucie, gdy ma się na koncie dwanaście powieści i znów zasiada się przed białą czystą kartką z tą samą radością i zaciekawieniem, jak wtedy, gdy zanotowałem pierwsze słowa „The Suspect” w 2002 roku. Czytelnicy często pytają, czy wśród napisanych przeze mnie książek mam jedną ulubioną, a ja zawsze odpowiadam, że gdybym wybrał jedną z nich, to tak jakbym publicznie wyjawiał, że jedno z moich dzieci jest moim faworytem (każde chwilami bywa).

Mogę zatem powiedzieć, że staram się rozwijać jako pisarz i nigdy się nie powtarzać, nie sięgać dwa razy po tę samą formę ani nie pisać dwa razy tej samej historii. Dotyczy to szczególnie „Raj nie istnieje”, powieści, która dzięki swojej strukturze, opowiedanej historii i dwóm głosom – dwóm narratorkom – jest moim jak dotychczas najambitniejszym przedsięwzięciem twórczym. Jeśli ta próba jest udana, zawdzięczam to fantastycznym redaktorom, przede wszystkim Markowi Lucasowi, Lucy Malagoni, Rebecce Saunders, Ursuli Mackenzie, Colinowi Harrisonowi i Richardowi Pine’owi.

Jestem niezmiernie wdzięczny moim wspaniałym wydawcom z Little Brown Book Group UK, Hachette Australia, a także niemieckiemu Goldmannowi i słynnemu amerykańskiemu wydawnictwu Scribners, którzy po raz pierwszy publikują moją powieść. Mam nadzieję, że to początek owocnej współpracy.

Na koniec zostawiam najważniejsze podziękowania dla moich pięknych i utalentowanych córek, Alexii, Charlotte i Belli, oraz dla

kobiety, której zawdzięczają najwięcej, ich matki, a mojej żony Vivien, tej jedynej. Ona wie, że jest moją faworytką.

Czuję się nieznośnie zraniona i upokorzona, widząc dojrzewające zboża, fontanny nieprzerwanie tryskające wodą, owcę, która wydaje na świat setki owieczek, nie wspominając już o szczennych sukach; wydaje się, jakby cały świat chciał mi pokazać swoje kruche śpiące maleństwa, podczas gdy ja zamiast warg mojego dziecka czuję tu dwa ciosy młotem.

Federico Garcia Lorca „Yerma”

CZĘŚĆ PIERWSZA

AGATHA

Nie jestem najważniejszą postacią w tej opowieści. Ten honor należy do Meg, żony Jacka, z którym tworzą parę idealnych rodziców dwójki idealnych dzieci, chłopca i dziewczynki, jasnowłosych i błękitnookich, słodszych niż miodowe ciastka. Meg znów jest w ciąży, a ja cieszę się niewysłowienie z tego powodu, ponieważ ja też oczekuję dziecka.

Opierając czoło o szybę, patrzę przez okno w lewo, potem w prawo na warzywniak, salon fryzjerski i butik z ciuchami. Meg się spóźnia. Zazwyczaj o tej porze Lucy jest już w szkole, a Lachlan w przedszkolu, zaś Meg siedzi z przyjaciółkami w kawiarni na rogu. Tworzą specjalną grupę, bo wszystkie są mamami. Spotykają się w każdy piątkowy poranek, zajmują stolik na zewnątrz, przepychają się z wózkami dziecięcymi niczym kierowcy na pokładzie dla samochodów na promie. Zamawiają jedno cappuccino z chudym mlekiem, jedno chai latte i dzbanek ziołowej herbaty...

Ulicą przejeżdża czerwony autobus i zasłania mi znajdujący się naprzeciwko park Barnes Green. Kiedy się oddala, na odległym końcu ulicy dostrzegam Meg. Ma na sobie džinsy ze stretchem i luźny sweter, w ręce niesie kolorowy rowerek na trzech kółkach. Pewnie Lachlan się uparł, że pojedzie do przedszkola na rowerku, i przez to Meg jest spóźniona. Po drodze zatrzymywał się, żeby popatrzeć na kaczki i na uczniów, którzy mieli lekcję wuefu na dworze, i na starych ludzi ćwiczących tai-chi, którzy poruszają się tak powoli, że mogliby być kukiełkami z filmu animowanego kręconego klatka po klatce.

Patrząc z tej perspektywy, nie widzę, że Meg jest w ciąży.

Dopiero kiedy się odwraca bokiem, jej brzuch przypomina wielkością piłkę do kosza, zgrabną i okrągłą, która codziennie trochę się obniża. Słyszałam, jak w zeszłym tygodniu Meg skarżyła się na spuchnięte w kostkach nogi i bolące plecy. Teraz wiem, co to znaczy. Moje dodatkowe kilogramy zamieniły wchodzenie po schodach w niezgorszą zaprawę, a mój pęcherz jest wielkości orzecha włoskiego.

Rozglądając się na boki, Meg przechodzi na drugą stronę Church Road i bezgłośnie mówi do przyjaciółek „przepraszam”, całuje się ze wszystkimi w policzki, przemawia pieszczotliwie do ich dzieci. Ludzie mówią, że niemowlęta są słodkie, i chyba się z nimi zgadzam. Widywałam w wózkach stworzenia podobne do Golluma, z wybałuszonymi oczami i dwoma sterczącymi kosmykami, a jednak zawsze znajdowałam w nich coś, co było ładne, bo były takie małe i niewinne.

Powinnam szybko uzupełniać towar na półkach w trzeciej alejce. Ta część supermarketu jest zwykle bezpiecznym miejscem do leserowania, ponieważ kierownik, pan Patel, ma jakiś problem z produktami do higieny osobistej kobiet. Za Chiny nie wypowie takich słów jak „tampony” czy „podpaski” - nazywa je „tymi rzeczami dla kobiet” - albo po prostu wskazuje palcem na pudełko, które trzeba rozpakować.

Pracuję cztery dni w tygodniu, od wczesnego ranka do trzeciej, chyba że zachoruje któraś z innych osób niebędących na pełnym etacie. Moim zadaniem jest przede wszystkim układanie produktów na półkach i przyklejanie cen. Pan Patel nie pozwala mi pracować na kasie, bo mówi, że wszystko tłukę.

Okej, raz mi się zdarzyło, i to wcale nie była moja wina.

Sądząc z nazwiska, spodziewałam się, że pan Patel okaże się Pakistańczykiem albo Hindusem, tymczasem jest bardziej walijski

niż żonkil. Z burzą rudych włosów i przyciętymi wąsami wygląda jak rudy owoc miłości Adolfa Hitlera.

Pan Patel nie darzy mnie specjalną sympatią, a odkąd mu oznajmiłam, że jestem w ciąży, ma wielką chęć się mnie pozbyć.

- Nie oczekuj żadnego urlopu macierzyńskiego, nie pracujesz na pełnym etacie.

- Wcale nie oczekuję.

- Do lekarza możesz chodzić tylko po godzinach pracy.

- Jasne.

- Jak nie będziesz mogła dźwigać pudeł, będziesz musiała odejść.

- Mogę dźwigać pudła.

Pan Patel ma żonę i czwórkę dzieci, co bynajmniej nie przekłada się na przychylność w stosunku do mojej ciąży. Nie wydaje mi się, żeby w ogóle lubił kobiety. Nie chcę powiedzieć, że jest gejem. Kiedy zaczęłam pracować w supermarkecie, nie mogłam się go pozbyć jak uciążliwej wysypki. Wciąż znajdował jakiś pretekst, by się o mnie otrzeć w magazynie, albo przyczepiał się, gdy myłam podłogę mopem.

- Ups! - mawiał, przyciskając swoją erekcję do moich pośladków. - Tylko parkuję rower.

Zbok!

Wracam do wózka z pudełkami i biorę do ręki metkownicę, pamiętając, by odpowiednio ją ustawić. W zeszłym tygodniu nakleiliśmy niewłaściwą cenę na brzoskwiniach w puszcze i pan Patel potrącił mi osiem funtów.

- Co robisz? - wyszczekuje ktoś.

I pan Patel podchodzi do mnie od tyłu.

- Układam nowe tampony - dukam.

- Gapiałś się przez okno. Twoje czoło zostawiło na szybie tłustą

plamę.

- Nie, panie Patel.

- Płacę ci za to, żebyś śniła na jawie?

- Nie, proszę pana. - Wskazuję półkę. - Wyszły nam Tampaxy Super Plus, te z aplikatorem.

Pan Patel wygląda, jakby mu się zebrało na wymioty.

- No to poszukaj w magazynie. - Wycofuje się. - W drugiej alejce coś się rozlało. Wytrzyj podłogę.

- Tak, panie Patel.

- Potem możesz iść do domu.

- Kiedy ja kończę o trzeciej.

- Devyani cię zastąpi. Ona może wchodzić na drabinę.

Ma na myśli, że ona nie jest w ciąży ani nie boi się wysokości, i że pozwoli mu „zaparkować rower”, a nie będzie kaprysiła jak jakaś feministka. Powinnam go oskarżyć o seksualne molestowanie, ale lubię tę pracę. Dzięki niej mogę być w Barnes i bliżej Meg.

W magazynie na tyłach sklepu napełniam wiadro gorącą wodą z płynem i wybieram mopa z gąbką, która jeszcze całkiem nie odkleiła się od metalu. Druga alejka znajduje się bliżej kas. Mam dobry widok na kawiarnię i stoliki na zewnątrz. Nie śpieszę się, myjąc podłogę, trzymam się z dala od pana Patela. Meg i jej przyjaciółki właśnie skończyły spotkanie. Całują się w policzki, sprawdzają telefony, przypinają dzieci do wózków z budką i wózków spacerowych. Meg mówi coś jeszcze na koniec i śmieje się, odrzucając do tyłu jasne włosy. Niemal nieświadomie odrzucam swoje włosy, ale nic z tego. To problem z lokami - odbijają się jak sprężynki i wracają na swoje miejsce.

Fryzjer Meg, Jonathan, uprzedził mnie, że na moich włosach nie sprawdzi się jej fryzura, ale nie chciałam go słuchać.

Meg stoi przed kawiarnią i pisze SMS-a. Pewnie do Jacka. Ustalają, co będzie na kolację, albo robią plany na weekend. Podobają mi się jej dzinsy dla ciężarnych z elastycznym pasem. Chciałabym takie mieć. Ciekawe, gdzie je kupić.

Chociaż widzę Meg niemal codziennie, tylko raz z nią rozmawiałam. Spytała, czy mamy jeszcze płatki bran flakes, ale akurat się sprzedały. Żałuję, że nie mogłam jej odpowiedzieć twierdząco. Żałuję, że nie mogłam pójść do magazynu za wahadłowymi plastikowymi drzwiami i wrócić z pudełkiem bran flakes tylko dla niej.

To było na początku maja. Już wtedy podejrzewałam, że Meg jest w ciąży. Dwa tygodnie później wzięła test ciążowy z alejki aptecznej i moje podejrzania się potwierdziły. Teraz obie jesteśmy w trzecim trymestrze, przed nami ostatnie sześć tygodni ciąży. Meg jest dla mnie wzorem, bo sprawia wrażenie, że małżeństwo i macierzyństwo to bułka z masłem. Poza tym jest superatrakcyjna. Założę się, że bez problemu mogłaby być modelką - nie taką bulimiczką na wybiegu, ale laską jak z trzeciej strony *The Sun*, tyle że zdrowo wyglądającą i w typie dziewczyny z sąsiedztwa, z takich, co reklamują proszek do prania czy ubezpieczenie domu i zawsze biegną przez ukwieconą łąkę albo z labradorem wzdłuż plaży.

W niczym ich nie przypominam. Nie jestem szczególnie ładna, chociaż też nie jakaś paskudna. Pewnie najwłaściwszym określeniem mojej urody byłoby słowo „bezpieczna”. Jestem tą mniej atrakcyjną przyjaciółką, której potrzebują wszystkie ładne dziewczyny. Wiadomo, że nie znajdę się w centrum uwagi i z radością przyjmę pozostawione przez nich resztki (jedzenie i chłopaków).

Jedną ze smutnych prawd na temat handlu detalicznego jest to,

że ludzie nie zauważają pracowników, którzy układają towar na półkach. Jestem jak śpiący w bramie bezdomny czy żebrak, który trzyma kartkę z prośbą o datek. Po prostu niewidoczna. Od czasu do czasu ktoś zada mi jakieś pytanie, ale nikt z tych pytających nie patrzy mi w twarz, kiedy odpowiadam. Gdyby w supermarkecie był alarm bombowy i wszyscy poza mną zostaliby ewakuowani, a policja spytałaby:

- Widzieliście jeszcze kogoś w sklepie?

Z pewnością by odpowiedzieli:

- Nie.

- A co z tą osobą, która układa towar na półkach?

- Z kim?

- Tą osobą, która zapełnia półki.

- Prawie go nie zauważyłem.

- To była kobieta.

- Naprawdę?

To ja - niewidoczna, pozbawiona jakiegokolwiek znaczenia osoba wykładająca towar na półki.

Zerkam na zewnątrz. Meg idzie w stronę supermarketu. Otwierają się automatyczne drzwi. Meg bierze plastikowy koszyk i rusza alejką numer jeden, gdzie są owoce i warzywa. Kiedy dotrze do końca, odwróci się i pójdzie w tę stronę. Śledzę jej kroki i widzę ją przez moment, gdy mija makarony i pomidory w puszkach.

Skreca w moją alejkę. Przesuwam na bok wiadro i cofam się, zastanawiając się przy tym, czy powinnam nonszalancko wesprzeć się na mopie, czy może oprzeć go na ramieniu jak strzelbę.

- Ostrożnie, podłoga jest mokra - mówię, jakbym zwracała się do dwulatka.

Mój głos ją zaskakuje. Cicho mi dziękuje, po czym mnie mija, a jej brzuch omal nie dotyka mojego brzucha.

- Kiedy ma pani termin? - pytam.

Meg zatrzymuje się i odwraca.

- Na początku grudnia. - Zauważa, że też jestem w ciąży. -
A pani?

- Tak samo.

- Jaki dzień? - pyta.

- Piąty grudnia.

- Chłopiec czy dziewczynka?

- Nie wiem. A pani?

- Chłopiec.

Meg trzyma rowerek Lachlana.

- Już ma pani dziecko - mówię.

- Dwoje - odpowiada.

- Wow!

Gapię się na nią. Mówię sobie, że powinnam się odwrócić, zerkam na moje stopy, potem na wiadro, na mleko skondensowane i krem w proszku. Powinnam coś jeszcze powiedzieć. Nie jestem w stanie myśleć.

Koszyk Meg jest ciężki.

- Cóż, powodzenia.

- Dla pani też - mówię.

Meg odchodzi, idzie do kas. Nagle myślę o wszystkich rzeczach, które mogłam jej powiedzieć. Mogłam zapytać, gdzie będzie rodziła. Jaki to ma być poród. Mogłam skomentować jej dzinsy ze stretchem. Spytać, gdzie je kupiła.

Meg stoi w kolejce do kasy i przegląda magazyny plotkarskie. Nowy *Vogue* jeszcze się nie sprzedał, ale ona wybiera *Tatlera* i *Private Eye*.

Pan Patel zaczyna skanować kupione przez nią towary: jajka, mleko, ziemniaki, majonez, rukolę i parmezan. Wiele można powiedzieć o człowieku na podstawie zawartości jego koszyka. Widać, kto jest wegetarianinem, weganinem, alkoholikiem, czekoladholikiem, osobą na diecie, chorym na celiakię, kto nie toleruje laktozy oraz kto zмага się z łupieżem, kto jest diabetykiem, kto ma niedobór witamin, zatwardzenie czy wrastające paznokcie.

Stąd tak dużo wiem o Meg. Wiem, że jest niepraktykującą wegetarianką, która znów zaczęła jeść czerwone mięso, kiedy zaszła w ciążę, najprawdopodobniej z powodu żelaza. Lubi sosy na bazie pomidorów, świeży makaron, biały ser, gorzką czekoladę i te kruche herbatniki w puszkach.

No cóż, w końcu trochę z nią porozmawiałam. Nawiązałyśmy jakąś więź. Będziemy przyjaciółkami, Meg i ja, a ja będę taka jak ona. Będę miała piękny dom i będę uszczęśliwiała mojego męża. Będziemy chodzić na jogę i wymieniać się przepisami, i spotykać się w każdy piątkowy rano na kawie z naszą grupą matek.

MEGHAN

Kolejny piątek. Odliczam je, skreślam w kalendarzu, zaznaczam na ścianie. Ta ciąża wydaje się trwać dłużej niż dwie wcześniejsze. Zupełnie jakby moje ciało buntowało się przeciw temu pomysłowi, domagało się odpowiedzi, dlaczego tego z nim nie skonsultowałam.

Wczoraj wieczorem myślałam, że mam zawał, a to była tylko zgaga. Kurczak z curry okazał się wielkim błędem. Wypiłam całą butelkę gavisconu, który smakuje jak kreda w płynie, a ja bekam po nim jak kierowca ciężarówki. To dziecko będzie podobne do Andy'ego Warhola.

Teraz chce mi się siku. Powinnam była pójść do toalety w kawiarni, ale wtedy wydawało mi się, że nie mam takiej potrzeby. Mięśnie dna mojej macicy pracują nadprogramowo, kiedy śpieszę przez park, przeklinając za każdym razem, gdy rowerek Lachlana wali mnie w goleń.

Proszę, nie chcę siusiać, powtarzam w duchu. Proszę, nie chcę siusiać.

W jednym z zakątków parku odbywa się lekcja wuefu. Gdzie indziej trenerzy personalni stoją nad swoimi klientami i każą im zrobić jeszcze jedną pompkę albo przysiad. Może kiedy to się skończy, ja też zatrudnię takiego trenera. Jack zaczął robić złośliwe żarty na temat mojego rozmiaru. Wie, że tym razem jestem grubsza, bo po urodzeniu Lachlana nie wróciłam do poprzedniej wagi.

Złości mnie, że próbuje wzbudzać we mnie poczucie winy. Ciężarne kobiety powinny jeść czekoladę, nosić wygodną piżamę i kochać się przy zgaszonym świetle. Co prawda ostatnio niewiele

tego seksu. Jack od tygodni mnie nie tknął. Wydaje mi się, że czuje dziwną awersję do sypiania z kobietą, która nosi jego dziecko, jakby we mnie widział Madonnę dziewicę, której nie wolno skalać.

- To nie dlatego, że jesteś gruba - powiedział minionej nocy.
- Nie jestem gruba, jestem w ciąży.
- Oczywiście, to właśnie miałem na myśli.

Nazwałam go dupkiem, a on nazwał mnie „Meghan”. Tak dzieje się tylko wtedy, gdy się sprzeczamy. Nie znoszę pełnej formy mojego imienia. Lubię Meg, przypomina mi słowo *nutmeg*, które w języku angielskim oznacza gałkę muszkatołową, egzotyczną przyprawę, o którą ludzie i państwa toczyli ze sobą wojny.

My z Jackiem raczej nie rozgrywamy bitew, tylko potyczki. Jesteśmy niczym dyplomaci z czasów zimnej wojny, którzy mówią sobie miłe słowa, a w tajemnicy gromadzą broń i amunicję. Ciekawe, kiedy parom kończą się tematy do rozmowy. Kiedy gaśnie namiętność? Kiedy rozmowy stają się tępe i nudne? Kiedy iPhone'y trafiają na stół w jadalni? Kiedy grupy matek przechodzą od rozmów o dzieciach do narzekania na mężów? Kiedy uczenie mężczyzny porządku staje się dowodem miłości? Kiedy przepaść między wymarzoną żoną każdej kobiety a wymarzoną żoną każdego mężczyzny osiąga taką wielkość, jak odległość od bieguna do bieguna?

No, brzmi naprawdę świetnie, podsumowuję w duchu. Powinnam to zapisać na moim blogu.

Nie, nie mogę tego zrobić. Kiedy poślubiłam Jacka, obiecałam sobie, że nie będę jedną z tych żon, które próbują zmienić męża w kogoś, kim nie jest. Zakochałam się w nim i wzięłam go z całym dobrodziejstwem inwentarza, prosto z pudełka, bez konieczności dopasowywania. Jestem zadowolona z moich wyborów i nie

zamierzam tracić czasu na kontemplowanie alternatywnego życia.

Nasze małżeństwo nie jest takie złe. To związek partnerski podobnych umysłów i bratnich dusz. Dopiero przyglądając się z bliska, można dostrzec pewne niedoskonałości, jak na delikatnym wazonie, który się stłukł i został sklejonny. Wydaje się, że nikt z zewnątrz niczego nie zauważa, ale ja dbam o ten wazon z nadzieją, że jeszcze nie przecieka, kiedy wleje się do niego wodę, i mówię sobie, że kryzysy wieku średniego są jak progi zwalniające na drodze, które każą nam zwolnić i wachać róże.

Nie planowaliśmy z Jackiem kolejnego dziecka. To nasza wpadka, wypadek, dziecko nieprzewidziane, co nie znaczy, że niechciane - w każdym razie jeśli o mnie chodzi. Wyjechaliśmy akurat na weekend, co rzadko nam się zdarza, na czterdzieste urodziny naszego przyjaciela. Moja matka zaoferowała się, że zaopiekuje się Lucy i Lachlanem. Za dużo wypiliśmy, tańczyliśmy, nieprzytomni padliśmy na łóżko. Rano się kochaliśmy, a Jack zapomniał o prezerwatywie. Zaryzykowaliśmy. Czemu nie mielibyśmy zaryzykować, kiedy weźmie się pod uwagę, ile razy ryzykowaliśmy szybki numerek i w samym środku przerywały nam słowa: „Mamusiu, pić mi się chce” albo „Mamusiu, nie mogę znaleźć króliczka”, albo „Mamusiu, posikałem się do łóżka”.

Moje poprzednie ciążę były przygotowywane niczym kampanie wojskowe, ale ta była dosłownie strzałem w ciemno.

- Jeśli to dziewczynka, powinniśmy ją nazwać Ruletka - oznajmił Jack, kiedy już otrząsnął się z szoku.

- Nie nazwiemy jej Ruletka.

- Okej.

Takie żarty pojawiały się po sprzeczkach i wzajemnym oskarżaniu się, które już ustało, choć ilekroć Jack jest zły czy zestresowany, istnieje szansa, że znów wypłynie na powierzchnię.

Jack jest dziennikarzem sportowym w jednym z kanałów telewizji kablowej, komentuje na żywo transmisje z meczy Premier League i przygotowuje podsumowania goli i oceny strzelców. W lecie zajmuje się różnymi dyscyplinami sportu, w tym Tour de France, ale nigdy nie komentuje Wimbledonu ani The Open. Jest wschodzącą gwiazdą, co dla niego oznacza ważniejsze mecze, więcej czasu antenowego i większą popularność.

Jack uwielbia być rozpoznawany. Zwykle poznają go ludzie, którym się wydaje, że już kiedyś gdzieś go spotkali.

- Czy nie jest pan przypadkiem tym kimś? - pytają, przerywając naszą rozmowę.

Rozpływają się nad Jackiem, a mnie ignorują. Patrzą na tył ich głów i mam ochotę powiedzieć:

- Cześć, nie jestem byle kim.

Ale zamiast tego uśmiecham się i pozwalam im nacieszyć się tą chwilą.

Później Jack mnie przeprosza. Bardzo mi się podoba, że jest taki ambitny i odniósł sukces, ale czasami chciałabym, żeby dla nas, swoich najbliższych, częściej był takim super-Jackiem, a nie tym zestresowanym Jackiem, który wraca do domu późno czy wychodzi wcześniej.

- Może gdybyś wróciła do pracy - rzekł wczoraj wieczorem. To kolejny drażliwy temat. Jack jest niezadowolony, że ja „nie mam pracy”. To jego słowa, nie moje.

- Kto zajmowałby się wtedy dziećmi? - spytałam.

- Inne mamy pracują zawodowo.

- Mają nianie albo opiekunki do dzieci.

- Lucy jest w szkole, a Lachlan w przedszkolu.

- Pół dnia.

- A teraz znów jesteś w ciąży.

Przerzucamy się argumentami jak granatami z przeciwległych okopów, wciąż poruszając te same kwestie.

- Prowadzę bloga - mówię.

- Co w tym dobrego?

- W zeszłym miesiącu zarobiłam na nim dwieście funtów.

- Sto sześćdziesiąt osiem - poprawił mnie. - Ja prowadzę rachunki.

- Ale zobacz, ile rzeczy dostaję za darmo. Ubrania, jedzenie dla dzieci, pieluszki. Ten nowy wózek jest z górnej półki.

- Nie potrzebowalibyśmy nowego wózka, gdybyś nie zaszła w ciążę.

Przewróciłam oczami i spróbowałam z innej strony:

- Gdybym wróciła do pracy, wydawalibyśmy całą moją pensję na opiekunkę dla dzieci, a ja w przeciwieństwie do ciebie nie odbijam karty zegarowej. Kiedy ostatnio wstawiałeś w nocy, bo dzieciom śniły się koszmary albo żeby puścić wodę?

- Masz rację - rzekł z ironią. - To dlatego, że wstaję wcześniej i wychodzę do pracy, żeby zarobić na ten piękny dom i nasze dwa samochody, i ciuchy w twojej garderobie... i wakacje, i chesne za szkołę, i karnet na siłownię...

Nie powinnam była w ogóle się odzywać.

Jack nie docenia mojego bloga Upiorne Dzieciaki, a ja mam ponad sześć tysięcy obserwatorów. W zeszłym miesiącu pewien magazyn dla rodziców napisał, że mój blog jest jednym z pięciu najlepszych prowadzonych przez mamy blogów w Wielkiej Brytanii. Powinnam była rzucić to Jackowi w twarz, ale zanim o tym pomyślałam, poszedł pod prysznic. Potem zszedł na dół w samym krótkim szlafroku, co zawsze mnie rozśmiesza. Przeprosił i zaoferował, że pomasuje mi stopy. Uniosłam brwi.

- Na czym je pomasujesz?

Usiedliśmy w kuchni napić się herbaty i zaczęliśmy rozmawiać o zatrudnieniu niani, w kółko powtarzając te same argumenty za i przeciw. W teorii ten pomysł bardzo mi się spodobał, bo miałabym więcej czasu dla siebie, więcej snu i energii na seks, ale potem zobaczyłam obraz szczupłej, atrakcyjnej i młodej Polki pochylającej się, żeby napełnić zmywarę, albo owiniętej luźno ręcznikiem po wyjściu z łazienki. Czy wpadam w paranoję? Może. Czy jestem rozsądna? Absolutnie tak.

Poznałam Jacka na olimpiadzie w Pekinie. Pracowałam w centrum medialnym, opiekowałam się akredytowanymi tam dziennikarzami. Jack pracował dla Eurosportu. Był wówczas początkującym dziennikarzem, dopiero zaczynał się orientować, co i jak, uważnie podpatrywał, na czym to polega.

W Pekinie oboje byliśmy zbyt zajęci, żeby zwrócić na siebie uwagę, ale po zakończeniu olimpiady główny prezenter wydał imprezę dla wszystkich stowarzyszonych mediów. Wiedziałam już wtedy sporo o dziennikarzach, niektórzy z nich nawet zyskali renomę i sławę, jednak w większość byli nudni, mówili wyłącznie o pracy. Jack się wyróżniał. Był zabawny, wyluzowany, seksowny. Wszystko mi się w nim podobało, także imię, jak chłopaka z sąsiedztwa. Miał też piękny uśmiech i włosy gwiazdy filmowej. Przyglądałam mu się z drugiego końca sali i popełniłam błąd, w ciągu minuty wymyślając cały scenariusz naszego związku. Zaplanowałam ślub w Londynie, miesiąc miodowy na Barbados, co najmniej czwórkę dzieci, psa, kota i duży dom w Richmond.

Impreza się zwijała. Przygotowałam jakieś inteligentne zagajenie i ruszyłam przez tłum. Zanim dotarłam do Jacka, napadła go dziennikarka ze Sky Italia. Burza włosów, ponętne ciało. Twarz obok twarzy. Krzyczała, żeby ją słyszał. Dwadzieścia

minut później odprowadzałam go wzrokiem, gdy wychodził z dziełem włoskich chirurgów plastycznych, i poczułam się oszukana. Jack był zarozumiały. Robił sobie pasemka. Wybielał zęby. Powiedziałam sobie, że nie jest w moim typie, bo nie pociągają mnie tacy wymuskani faceci.

Albo inaczej: to nie był świadomy wybór. Ładni mężczyźni zazwyczaj się za mną nie uganiają.

Minęły dwa lata, nim znów się spotkaliśmy. Międzynarodowy Komitet Olimpijski urządził przyjęcie dla delegatów, którzy przyjechali do Londynu, żeby przeprowadzić kontrolę obiektów przygotowanych na igrzyska olimpijskie 2012 roku. Zobaczyłam Jacka w hotelowym holu, jak dyskutował z jakąś kobietą. Był ożywiony i kategoryczny, a ona płakała. Później ujrzałam go samego w barze, gdzie pił darmowe drinki i porywał kanapki z tac mijających go kelnerów.

Przepchnęłam się do niego i powiedziałam:

- Cześć. - Oczywiście uśmiechnęłam się, jednocześnie zastanawiając się, czy to źle, czy dobrze, że dopadłam go w chwili zawodu miłosnego.

Rozmawialiśmy. Śmialiśmy się. Piliśmy. Bardzo się starałam, żeby za bardzo się nie starać.

- Potrzebuję świeżego powietrza - wyznał Jack, omal nie spadając z wysokiego stołka. - Masz ochotę się przejść?

- Jasne.

Miło było znaleźć się na zewnątrz i iść z Jackiem równym krokiem tak blisko siebie. Znał kawiarnię w Covent Garden, która była czynna do późna. Rozmawialiśmy długo, bardzo długo, aż nas wyprosili. Jack odprowadzał mnie do domu i nie przestaliśmy rozmawiać aż do moich frontowych drzwi.

- Umówisz się ze mną? - spytał.

- Na randkę?
- Może być randka?
- Jasne.
- Co powiesz na śniadanie?
- Jest wpół do trzeciej w nocy.
- No to brunch.
- Próbujesz się wprosić na noc?
- Nie, chcę tylko mieć pewność, że jutro cię zobaczę.
- Chciałeś powiedzieć dzisiaj.
- Tak.
- Możemy zjeść razem lunch.
- Nie wiem, czy dam radę tak długo czekać.
- Mówisz, jakbyś był w wielkiej potrzebie.
- Bo jestem.
- Czemu kłóciłeś się z tą kobietą, z którą cię widziałam?
- Zerwała ze mną.
- Czemu?
- Powiedziała, że jestem zbyt ambitny.
- A jesteś?
- Tak.
- To wszystko?
- Powiedziała też, że zabiłem jej rybę.
- Jej rybę?
- Hoduje tropikalne ryby. Miałem się nimi opiekować i przypadkiem odkręciłem podgrzewacz wody.
- Mieszkałeś z nią?
- Tak naprawdę nie mieszkaliśmy razem. Miałem u niej swoją szufladę. Tam trzymała moje jajka.
- Ona płakała.
- Jest dobrą aktorką.

- Kochałeś ją?
- Nie. Zawsze taka jesteś?
- Jaka?
- Ciekawska.
- Jestem zainteresowana.

Zaśmiał się.

Naszą pierwszą właściwą randką był lunch w Covent Garden, niedaleko miejsc, gdzie pracowaliśmy. Jack zabrał mnie do Opera Terrace. Później oglądaliśmy ulicznych artystów, grajków i żywe posągi. Jack był dobrym kompanem. Uważnym słuchaczem i ciekawym opowiadaczem, jedna zajmująca historia prowadziła do kolejnej.

Umówiliśmy się znów następnego wieczoru i razem wracaliśmy do domu taksówką. Było już po północy. Nazajutrz oboje musieliśmy iść do pracy. Jack się do mnie nie wpraszał, a jednak wzięłam go za rękę i poprowadziłam po schodach.

Zakochałam się w nim. Do szaleństwa. Beznadziejnie. Każdy powinien choć raz coś takiego przeżyć...

...nawet jeśli miłość nigdy nie powinna być beznadziejna.

Wszystko w nim uwielbiałam - jego uśmiech, urodę, pocałunki. Był jak niekończące się opakowanie czekoladowych herbatników. Wiedziałam, że zjem zbyt wiele i będę chorować, ale nie mogłam się powstrzymać.

Pół roku później byliśmy już małżeństwem. Kariera Jacka kwitła, a potem na chwilę utknęła w martwym punkcie. Teraz znów ruszyła z kopyta. Zaszłam w ciążę z Lucy i odmówiłam awansu, który oznaczał przenosiny do Nowego Jorku. Gdy dwa lata później na świat przyszedł Lachlan, porzuciłam pracę, by zostać pełnoetatową mamą. Moi rodzice pomogli nam kupić dom w Barnes. Chciałam przenieść się dalej na południe i płacić

mniejszy kredyt, ale Jackowi zależało na adresie i na stylu życia.

I tak znaleźliśmy się tutaj – idealna rodzina dwupokoleniowa – z niezaplanowanym dzieckiem w drodze, wątpliwościami i kryzysami wieku średniego, który się zaczynał. Kocham moje dzieci. Kocham mojego męża. Jednak czasami szukam w pamięci chwil, kiedy byłam naprawdę szczęśliwa.

Mężczyzna, w którym się zakochałam – ten, który stwierdził, że najpierw to on zakochał się we mnie – zmienił się. Beztrroski, wyluzowany Jack zamienił się w oschłego mężczyznę, którego emocje są tak ciasno owinięte drutem kolczastym, że nie mogę liczyć na to, że je odwinę. Nie skupiam się na jego porażkach, nie liczę jego wad. Wciąż go kocham. Naprawdę. Chciałabym tylko, żeby tak bardzo nie skupiał się na sobie, żeby nie pytał, czemu nasza rodzina nie przypomina rodzin z kanału Disneya, gdzie wszyscy są szczęśliwi, bogaci, inteligentni, a w ogrodzie na uwięzi stoją jednorożce.

AGATHA

Moja zmiana dobiega końca, przebieram się w magazynie, zwijam fartuch w kulkę i razem z plakietką z moim imieniem wciskam go za puszki z oliwą i pomidorami. Pan Patel oczekuje, że pracownicy będą zabierali stroje służbowe do domu, ale ja nie będę robiła jego prania.

Wkładam zimowy płaszcz i wychodzę tylnymi drzwiami, omijając kontenery na śmieci i sterty kartonów. Wkładam kaptur na głowę, wyobrażając sobie, że wyglądam jak Meryl Streep w „Kochanicy Francuza”. Grała tam dziewczkę porzuconą przez oficera francuskiego statku, spędzała życie, wpatrując się w morze i czekając na powrót swojego mężczyzny. Mój żeglarz do mnie wróci, a ja urodzę mu dziecko.

Na wschodnim końcu Putney Common łapię piętrowy autobus 22 i jadę Lower Richmond Road do Putney Bridge. Na początku ciąży ludzie nie byli pewni, czy mi gratulować, czy kupić kartę na siłownię, ale teraz w autobusie i zatłoczonym metrze ustępują mi miejsca. Bardzo lubię być w ciąży, czuć w sobie dziecko, jak się przeciąga, jak ziewa, jak czka i kiedy mnie kopie. Bo teraz już nigdy nie jestem sama. Mam kogoś, kto dotrzymuje mi towarzystwa i słucha moich opowieści.

Naprzeciw mnie siada jakiś biznesmen w garniturze i pod krawatem. Ma czterdzieści kilka lat i włosy w kolorze zupy grzybowej. Zauważam, że jego wzrok błądzi po moim ciążowym brzuchu. Uśmiecha się, podobam mu się. Jestem płodna. Posiadam zdolność do rozradzania się. Tak się to mówi? Dopiero co nauczyłam się tego słowa. Roz-ra-dza-nie.

Pan Biznesmen gapi się na mój przedziałek między piersiami

odsłonięty jak u gwiazdy rocka. Ciekawe, czy mogłabym go uwieść. Niektórych facetów podnieca seks z ciężarnymi. Mogłabym go zabrać do domu, związać i oznajmić:

- Ja będę cię dotykać.

Oczywiście nigdy tego nie zrobię, ale Haydena nie ma w domu już sześć miesięcy, a dziewczyna ma swoje potrzeby.

Mój żeglarz jest technikiem komunikacji w Marynarce Królewskiej, choć tak naprawdę nie wiem, co to znaczy. Ma to coś wspólnego z komputerami, inteligencją i informacjami dla starszych oficerów. Zabrzmiało bardzo poważnie, kiedy Hayden próbował mi to wytłumaczyć. W tej chwili pływa na HMS Sutherland i ściga piratów z Somalii gdzieś na Oceanie Indyjskim. To ośmiomiesięczna misja, Hayden wróci do domu dopiero na Boże Narodzenie.

Poznaliśmy się ostatniego sylwestra w klubie nocnym w Soho. Modnym i głośnym, z cholernie drogimi drinkami i światłami stroboskopowymi. Dobrze przed północą byłam gotowa wrócić do domu. Większość facetów była pijana. Gapili się na małolaty w tak kusych spódnicach, że każdy ruch groził pokazaniem krocza, a obrazu dopełniały buty na bardzo wysokich obcasach, i wszystko to zdawało się mówić: weź mnie. Szczerze współczuję dzisiejszym dziwkom. Jak dają radę się wyróżnić?

Od czasu do czasu jakiś gość zbierał się na odwagę i zapraszał dziewczynę do tańca, ona zaś odprawiała go, odrzucając włosy albo wykrzywiając wymalowane wargi. Ja zachowywałam się inaczej. Mówiłam:

- Cześć - i okazywałam zainteresowanie.

Pozwoliłam Haydenowi przyciskać się do mnie i krzyczeć mi do ucha. Całowaliśmy się, chwycił mnie za pośladek. Hayden uznał, że został wybrany.

Pewnie byłam najstarszą dziewczyną w klubie, ale o niebo łatwiejszą niż cała reszta. Co prawda mój tyłek uległ już grawitacji, ale mam ładną twarz, kiedy się porządnie pomaluję, i potrafię odpowiednimi ciuchami ukryć fałdy tłuszczu. Co bardzo ważne, mam świetne cycki, i to odkąd skończyłam jedenaście czy dwanaście lat. Wówczas po raz pierwszy zauważyłam, że ludzie gapią się na mój biust – mężczyźni, chłopcy, mężowie, nauczyciele i przyjaciele rodziny. Z początku to ignorowałam, to znaczy te moje cycki. Później usiłowałam je odchudzić, ścisnąć, ale nie dały się spłaszczyć, ugnieść ani ukryć.

Hayden należy do mężczyzn, którzy lubią cycki. Wiedziałam to od momentu, gdy tylko na mnie spojrzał (albo na nie). Faceci są tacy przewidywalni. Widziałam, jak się zastanawiał, czy są prawdziwe.

Jasne, że prawdziwe, frajerze!

Z początku mi się wydawało, że był dla mnie za młody. Wciąż miał krosty na brodzie i był trochę chuderlawy, ale miał ładne, ciemne falujące włosy. Od zawsze uważam, że szkoda takich włosów dla faceta.

Jak wielu moich chłopaków wolał, żebym była na górze, wtedy moje cycki zwisały mu na twarz, kiedy się kołysałam i jęczałam. Później poszłam umyć się do łazienki i właściwie się spodziewałam, że Hayden się ubierze i wyjdzie. Ale przykrył się kołdrą i objął mnie ramionami.

Rano wciąż tam był. Zrobiłam mu śniadanie. Potem wróciliśmy do łóżka. Zjedliśmy lunch i znów wróciliśmy do łóżka. Tak mniej więcej wyglądały kolejne dwa tygodnie. W końcu wyszliśmy z domu, a on traktował mnie jak swoją dziewczynę. Na naszej pierwszej prawdziwej randce zabrał mnie do National Maritime Museum w Greenwich. Wiadomo, marynarz, więc morskie

muzeum. Na Bankside Pier wsiedliśmy do tramwaju wodnego, po drodze Hayden pokazywał mi charakterystyczne obiekty, na przykład HMS Belfast, statek muzeum w pobliżu Tower Bridge. Hayden znał całą jego historię – statek został zniszczony przez Niemców podczas II wojny światowej, a później, po wyremontowaniu, brał udział w lądowaniu w Normandii.

W National Maritime Museum Hayden kontynuował moją edukację, opowiadał o lordzie Nelsonie i jego bitwach z Napoleonem.

Moją uwagę przyciągnął zwłaszcza jeden obraz. Nosił tytuł „Tahiti Revisited”, przedstawiał wyspę na południowym Pacyfiku ze skalistymi szczytami, bujną roślinnością, palmami i ponętymi kobietami, które kąpały się w rzece. Kiedy patrzyłam na tę scenę, czułam ciepły piasek pod stopami i zapach kwitnącego frangipani, i słoną wodę, która wysychała na mojej skórze.

- Byłeś kiedyś na Tahiti? – spytałam Haydena.
- Jeszcze nie – odparł – ale któregoś dnia pojedę.
- Weźmiesz mnie ze sobą?

Zaśmiał się i powiedział, że w tramwaju wodny wyglądałam, jakbym miała chorobę morską.

Na kolejnej randce pojechaliśmy do Imperial War Museum w południowym Londynie, gdzie dowiedziałam się, że w czasie II wojny światowej straciło życie ponad pięćdziesiąt tysięcy marynarzy. Zaniepokoiłam się ze względu na Haydena, ale mnie uspokoił, mówiąc, że ostatnim brytyjskim okrętem wojennym, który zaginął na morzu, był HMS Coventry, a działo się to podczas wojny o Falklandy, czyli przed narodzeniem Haydena.

Spędziliśmy razem trzy miesiące, zanim Hayden musiał wrócić na statek. Wiem, wydaje się, że to niedługo, ale czułam się w tym czasie jak mężatka, jakbym była częścią czegoś większego niż nas

dwoje. Wiem, że on mnie kocha. Powiedział mi to. I chociaż jest o dziewięć lat młodszy ode mnie, to jest wystarczająco dorosły, żeby się ustatkować. Dobrze nam razem. Potrafię go rozbawić, a seks jest świetny.

Hayden nie wie, że jestem w ciąży. Głupi chłopak sądzi, że zerwaliśmy przed jego wyjazdem. Przyłapał mnie, jak przeglądałam jego mejle i SMS-y i zachował się kompletnie nienormalnie, nazwał mnie wariatką i paranoiczką. Padły takie słowa, których, jestem tego pewna, oboje żałujemy. Hayden wypadł z mojego mieszkania jak burza i wrócił dopiero po północy. Był pijany. Udawałam, że śpię. Rozbierał się niezdarnie. Zdejmując dzinsy, gruchnął siedzeniem na podłogę. Czułam, że był wściekły.

Rano pozwoliłam mu spać i wyskoczyłam do sklepu kupić bekon i jajka na śniadanie. Zostawiłam mu liścik:

Kocham. Całuję.

Kiedy wróciłam, Haydena już nie było. Mój liścik leżał zgnieciony na podłodze.

Próbowałam dodzwonić się do Haydena, ale nie odbierał. Poszłam na przystanek autobusowy i na stację metra, choć wiedziałam, że go nie znajdę. Nagrałam wiadomość, powiedziałam, że mi przykro, że go przepraszam, błagałam, żeby oddzwonił, ale on nie odpowiedział na żaden z moich mejli ani SMS-ów i usunął mnie z grona swoich przyjaciół na Facebooku.

Hayden nie zdaje sobie sprawy, że próbowałam nas chronić. Znam mnóstwo kobiet, które beztrąsko kradną czyjś chłopaka albo męża. Weźmy choćby jego eks, Bronte Flynn, prawdziwego kurwiszona, znaną z tego, że pokazuje więcej niż trzeba (nie nosi bielizny pod ubraniem). Hayden wciąż śledzi ją na Facebooku i Instagramie, umieszcza komentarze pod jej zdirowatymi selfie.

To z jej powodu sprawdzałam jego telefon. Z miłości, nie z zazdrości.

Tak czy owak, teraz oczekujemy dziecka i nie chcę go o tym informować mejlem. Muszę mu to powiedzieć osobiście, lecz żeby tak się stało, Hayden musi zgodzić się ze mną porozmawiać. Personelowi Marynarki Królewskiej wolno rozmawiać przez satelitę tylko dwadzieścia minut w tygodniu, i to wyłącznie z osobami znajdującymi się na specjalnej liście. Hayden musi mnie zgłosić jako swoją dziewczynę czy partnerkę i podać mój numer.

W zeszłym tygodniu rozmawiałam z działem socjalnym Marynarki Królewskiej i oznajmiłam im, że jestem w ciąży. Jakaś miła kobieta zapisała moje dane i okazała mi wiele sympatii. Przekażą Haydenowi, żeby się ze mną skontaktował. Kapitan wyda mu takie polecenie. To dlatego każdego wieczoru siedzę w domu i czekam na telefon.

MEGHAN

Mój ojciec kończy sześćdziesiąt pięć lat i w tym miesiącu przechodzi na emeryturę po czterdziestu dwóch latach pracy w tej samej firmie finansowej. Dziś wieczór odbywa się jego przyjęcie urodzinowe, a Jack się spóźnia. Obiecał wrócić do domu o wpół do szóstej, a już minęła szósta, ale nie będę do niego dzwonić, bo oskarży mnie o nękanie.

Wreszcie Jack przyjeżdża i o wszystko obwinia korki. Sprzeczymy się w samochodzie, szeptem, ponieważ Lucy i Lachlan siedzą przypięci na swoich miejscach z tyłu, słuchając ścieżki dźwiękowej z „Krainy lodu”.

Na zmieniających się światłach Jack dodaje gazu.

- Za szybko jedziesz - rzucam ostro.

- Podobno jesteście spóźnieni.

- Więc teraz chcesz nas zabić?

- Nie bądź śmieszna.

- Powinieneś wyjść wcześniej.

- Masz rację. Powinienem przyjść do domu w południe.

Moglibyśmy sobie razem pomalować paznokcie.

- Pieprz się.

Te słowa wymykają mi się mimowolnie. Lucy natychmiast podnosi głowę, a spojrzenie Jacka mówi: „Naprawdę? Przy dzieciach?”.

- Powiedziałaś brzydkie słowo - stwierdza Lucy.

- Nie powiedziałam. Powiedziałam pieczeń. Na przyjęciu u dziadka będzie pieczeń.

Lucy marszczy twarz.

- Nie lubię pieczeni. Jest fuj! - mówi Lachlan, a tak naprawdę

krzyczy.

- Takiej jeszcze nie jadłeś.

- Fuj, fuj, pieczeń z pieprzem! - drze się Lachlan jeszcze głośniej.

- Okej, zjemy co innego - mówię.

Jedziemy dalej w milczeniu, przeciskając się w stronę Chiswick Bridge. Cicho kipiąc ze złości, myślę o wszystkich tych posiłkach, które zostały zepsute przez spóźnienie Jacka. Nienawidzę go, kiedy wyszydza i pomniejsza to, co ja robię. Do domu moich rodziców docieramy o siódmej. Dzieci biegną do środka, a my na moment zostajemy sami.

- Czasami zachowujesz się naprawdę w gówniany sposób - mówię, biorąc sałatki, a Jack sięga po przenośne łóżeczko.

Moja siostra wychodzi na zewnątrz, żeby nam pomóc. Grace jest młodszą ode mnie o sześć lat szczęśliwą singielką, choć zawsze towarzyszy jej jakiś atrakcyjny mężczyzna, człowiek sukcesu, który zdaje się wielbić ziemię, po której ona stąpa, nawet jeżeli Grace wchodzi mu na głowę.

- Jak się ma tata? - pytam.

- Bryluje. - Ściskamy się. - Rozpalił grilla. Będziemy znów jeść zwęglone kiełbaski i kebab.

Nie wyglądamy z Grace na siostry. Słyszałam, jak ludzie mówili, że ja jestem ładniejsza, za to ona ma ciekawszą osobowość, co w wieku lat czternastu uznałam za komplement, ale teraz uważam inaczej.

Jack stawia łóżeczko w jednej z wolnych sypialni, a potem dołącza do panów w ogrodzie, którzy stoją wokół grilla, gdzie każdy mężczyzna może być królem, jeśli tylko trzyma szczypce. W ciągu paru minut wlewa w siebie dwa piwa i już sięga po trzecie. Kiedy zaczęłam je liczyć?

Mama potrzebuje pomocy w kuchni. Dekorujemy sałatki i dodajemy masło do ziemniaków. Grace bawi się z Lucy i Lachlanem, zabawia ich aż do kolacji. Twierdzi, że kocha dzieci, ale podejrzewam, że wyłącznie cudze dzieci, których można się pozbyć, kiedy się zmęczą i marudzą.

Z podwórza płynie śmiech. Jack rozbawił wszystkich jedną ze swoich opowieści. Uwielbiają go. Jest duszą każdej imprezy – gwiazdą telewizyjną, która zna wszystkie plotki na temat transferów i kontraktów. Wielu mężczyzn zna się na piłce nożnej, ale wszyscy ustępują Jackowi w tym temacie, ponieważ wyobrażają sobie, że on posiada jakiś wyjątkowy wgląd czy tajemną wiedzę.

- Poszczyściło ci się – mówi moja matka.

- Słucham?

- Z Jackiem.

Uśmiecham się i kiwam głową, wciąż patrząc na ogród, gdzie z grilla skaczą płomienie.

- Nie mam pojęcia, co ja z nim pocznę – mówi matka, mając na myśli emeryturę taty.

- Ma swoje plany.

- Golf i ogród? Po miesiącu śmiertelnie się tym znudzi.

- Możecie podróżować.

- On wciąż chce wracać do miejsc, gdzie już byliśmy. To są takie jego pielgrzymki.

Przypomina mi, jak wrócili do hotelu w Grecji, gdzie spędzili miesiąc miodowy. O trzeciej nad ranem obudził ich jakiś Rosjanin, wymachujący banknotami i domagający się seksu.

- To miejsce zamieniło się w burdel.

- Brzmi jak przygoda – mówię.

- Jestem za stara na takie przygody.

Kiedy mięso jest odpowiednio przypalone, siadamy do kolacji. Lachlan i Lucy mają swój mały stolik, ale ostatecznie siadam razem z nimi, namawiając Lucy do jedzenia i powstrzymując Lachlana przed utopieniem kiełbaski w keczupie.

Są toasty i mowy. Tata się rozkleja i mówi schrypniętym ze wzruszenia głosem, jak wiele znaczy dla niego rodzina. Jack sypie dowcipami jak z rękawa, choć to nie pora ani miejsce.

O dziesiątej żegnamy się ze wszystkimi, po czym każde z nas bierze jedno z dzieci na ręce i zanoszą do samochodu. Ja prowadzę, Jack drzemie. Budzę go przed domem i tym razem wynosimy dzieci z auta i transportujemy do łóżek. Padam z nóg, a nie ma jeszcze jedenastej.

Jack ma ochotę na drinka przed snem.

- Nie wypiliśmy już dość? - pytam i natychmiast tego żałuję.

- Co powiedziałaś?

- Nic.

- Nieprawda, słyszałem.

- Wybacz, nie chciałam.

- Przeciwnie, chciałaś.

- Nie kłóćmy się. Jestem zmęczona.

- Stale jesteś zmęczona.

Zbyt zmęczona na seks - to ma na myśli.

- Cały tydzień chciałam się z tobą kochać, ale nie byłeś zainteresowany - odparowuję, choć nie taka jest prawda.

- I to ja jestem winien? - pyta Jack.

- Co to miało znaczyć?

Nie odpowiada, ale ja wiem, że teraz nie jestem dla niego atrakcyjna i że nie chciał kolejnego dziecka. Dwoje to dość - chłopiec i dziewczynka - czyli wszystko, co trzeba.

- Nie zrobiłam tego z premedytacją - mówię. - To była wpadka.

- Ale postanowiłaś je zatrzymać.
- Razem postanowiliśmy.
- Nie, ty podjęłaś decyzję.
- Naprawdę? Czy tak mówisz swoim kumplom w pubie? Jesteś takim pantoflarzem, że zmuszam cię do posiadania dzieci?

Jack zaciska palce na szklance i zamyka oczy, jakby liczył do dziesięciu. Wychodzi z drinkiem do ogrodu i zapala papierosa, którego wyjmuję z paczki leżącej na wysokiej półce obok kuchennego zegara. Wie, że nie znoszę, kiedy pali. Wie też, że nie będę się skarżyć.

Takie właśnie są nasze kłótnie. Raczej sobie dogadujemy, niż rzucamy talerzami.

Atakujemy czułe miejsca, słabości i to, czego się wstydzimy, a co odkryliśmy w sobie nawzajem przez lata małżeństwa.

Kiedyś umówiliśmy się, że nigdy nie pójdziemy spać skłóceni. Nie wiem, kiedy to się zmieniło. Powtarzam sobie, że wszystko będzie dobrze, kiedy dziecko przyjdzie na świat. Będę miała więcej energii. Wątpliwości Jacka znikną. Będziemy znów szczęśliwi.

AGATHA

Czasami mi się zdaje, jakby moja przeszłość tykała we mnie jak jakiś urojony zegar, który mi mówi, na jakie daty należy zwrócić uwagę i za jakie grzechy odpokutować. Dzisiaj jest właśnie taki dzień – 1 listopada – rocznica w pewnym sensie, i właśnie dlatego jadę na północ pod ponurym czarnym niebem autobusem National Express, który trzyma się środkowego pasa autostrady.

Przesuwając przyklejone do szyby czoło, patrzę na samochody osobowe i ciężarówki, które nas wyprzedzają, ich koła pluja wodą, a wycieraczki kołyszą się w prawo i w lewo. Deszcz wydaje się wyjątkowo na miejscu. Moje wspomnienia z dzieciństwa nie zawierają niekończącego się lata, długich zmierzchów i świerszczy w trawie. Leeds mojej wczesnej młodości było wiecznie szare, zimne i mokre od mżawki.

Mój rodzinny dom już nie istnieje, został wyburzony, by zrobić miejsce na magazyn towarów masowych. Moja matka kupiła nowy dom – z małym tarasem, niedaleko starego domu – za pieniądze, które zostawił jej mój ojczym. Zmarł na atak serca na polu golfowym, kiedy podcięta przez niego piłka wpadła do oczka wodnego.

Kto by pomyślał, że miał serce?

Matka zadzwoniła do mnie z tą informacją, pytając, czy przyjadę na pogrzeb, a ja odpowiedziałam, że wolałabym świętować to z daleka.

Nie spotkam się dzisiaj z matką. „Zimuje” w Hiszpanii, jak lubi mawiać, co znaczy, że upiecze się jak kurczak na basenie w Marbelli, popijając sangrię i traktując miejscowych z góry. Nie jest bogata, po prostu jest rasistką.

Z dworca autobusowego w Leeds ruszam do najbliższej kwaciarni i proszę, żeby florystyka zrobiła trzy małe wianki z łyśczca i czegoś zielonego. Zawija je w bibułę i wkłada do lśniącego kartonowego pudełka, które biorę pod pachę. Potem kupuję kanapkę i coś do picia, a następnie na A65, w Kirkstall na wschodnim brzegu rzeki Aire, łapię taksówkę, która podrzuca mnie niedaleko Broadlea Hill. Tam przechodzę przez przełaz i błotnistą ścieżką idę w głąb lasu.

Znam nazwy większości drzew i krzewów, a także ptaków, dzięki Nicky'emu, mojemu byłemu mężowi. Myślał, że nie słuchałam, gdy pokazywał mi różne rzeczy, a ja bardzo lubiłam słuchać tych opowieści i podziwiałam jego wiedzę.

Poznałam Nicky'ego miesiąc po moich trzydziestych urodzinach, gdy już myślałam, że czas ucieka, a ja jeszcze nie spotkałam swojego ideału mężczyzny... a nawet dalekiego od ideału. Większość moich przyjaciółek była już zameżna, zaręczona albo w stałych nieformalnych związkach. Niektóre były w drugiej albo trzeciej ciąży, bo chciały mieć dużą rodzinę albo większe zasiłki, albo w ogóle niczego nie planowały.

W Londynie pracowałam w agencji pracy tymczasowej, która szukała zastępstwa głównie dla kobiet na urlopie macierzyńskim. Miałam kawalerkę w Camden nad kebabem, gdzie można było dostać kebab i oberwać po głowie, kiedy puby zamykały swoje drzwi na noc.

Było Halloween. Bandy czarownic, goblinów i duchów pukały do moich drzwi, podstawiając pod nos worki i koszyki. Złożywszy właśnie kolejny datek brytyjskiej stomatologii, stałam w kuchni na bosaka, czując się jak pudełko z mlekiem, które zbyt długo leżało w lodówce.

Mój laptop stał otwarty na kuchennym stole. Po jego obu

stronach wznosiły się stosy zadrukowanych kartek. Przez trzy miesiące przepisywałam taśmy dla pisarza, który nazywał się Nicholas David Fyfle i był autorem biografii sławnych żołnierzy oraz historii wojennych. Przysyłał mi taśmy kurierem, a ja odsyłałam przepisany tekst. Kontaktowaliśmy się wyłącznie za pośrednictwem osobliwych uwag, które pisał na marginesach, jeśli chciał, żebym przepisała na nowo pewne fragmenty.

Zastanawiałam się, czy ze mną flirtował. Byłam ciekawa, jak wygląda. Wyobrażałam sobie cichego udęczonego artystę, tworzącego piękną prozę na jakimś poddaszu, albo nałogowego alkoholika z rozwianymi włosami, korespondenta wojennego, który żyje na krawędzi. Znałam go tylko z jego notatek i głosu na taśmie, który brzmiał łagodnie i miło, lekko jąkał się na pewnych sylabach i nerwowo się śmiał, gdy się pomylił.

Podjęłam decyzję. Zamiast wysyłać kolejny przepisany tekst, dostarczyłam go osobiście, udając się do Highgate i pukając do drzwi Nicky'ego. Wyglądał na zaskoczonego, ale chyba się ucieszył. Zaprosił mnie do środka i poczęstował herbatą. Nie był tak przystojny, jak bym chciała, ale miał dość miłą twarz i szczupłe ciało, które ginęło w za dużych ubraniach.

Gdy zapytałam go o jego książki, pokazał mi swoją bibliotekę.

- Czyta pani?

- Kiedyś, jak byłam mała, dużo czytałam - odparłam. - Teraz nie wiem, co wybrać.

- Jakie książki pani lubi?

- Takie, które mają szczęśliwe zakończenia.

- Jak wszyscy - zaśmiał się.

Zasugerowałam, że przepiszę taśmy u niego w domu, żeby zaoszczędzić na kurierach i przyspieszyć cały proces. Powiedziałam, że będę przyjeżdżać codziennie o dziewiątej rano

i pracować w jego jadalni, z przerwą na to, by zaparzyć dla nas herbatę czy zagrzać w mikrofalówce coś do jedzenia. Dopiero po kilku tygodniach flirtowania Nicky mnie pocałował. Jak mi się zdaje, był prawiczkim. Czułym i taktownym, ale nie tak zręcznym, jak oczekiwałam. Chciałam, żeby jęczał albo krzyczał, kiedy się kochaliśmy, a on zawsze milczał.

Wśród swoich przyjaciół zachowywał się jak typowy facet, pił piwo i lubił grać na wyścigach konnych, ale w moim towarzystwie był inny. Zabierał mnie na długie spacery za miasto, zwiedzaliśmy ruiny zamków i wypatrywaliśmy leśnych ptaków. Nicky oświadczył mi się podczas jednej z naszych „ekspedycji”, a ja powiedziałam „tak”.

- Kiedy poznam twoich rodziców? - spytał.

- Nie poznasz.

- Ale przyjadą na ślub, prawda?

- Nie.

- To twoi rodzice.

- Nic mnie to nie obchodzi. Będziemy mieć mnóstwo innych gości.

Po ślubie Nicky uparcie próbował mnie skłonić do pogodzenia się z rodzicami.

- Nie możesz tak po prostu przestać z nimi rozmawiać - mówił.

A ja mogłam i nie rozmawiałam z nimi. To był taki sam związek jak każdy inny. Jeśli obie strony przestają się starać, związek więdnie i umiera.

Teren lekko tu opada, idę nakrapianą kałużami drogą. Od czasu do czasu oglądam się przez ramię, ale nikogo za mną nie ma. Mój brzuch jest ukryty pod płaszczem, czuję ciężar mojego dziecka w stawach biodrowych i ucisk na pęcherz. Niezgrabnie wspinam się na wał, chwytając się młodych drzewek. Gałązki i martwe

liście pękają i kruszą się, zgniatane podszwami moich butów. Docieram do rowu i przeskakuję go z gracją fruującego hipopotama.

Słońce powoli nabiera mocy, jestem już zgrzana i spocona pod płaszczem. Idąc zygzakowatą drogą, docieram do kępy drzew obok ruin starej farmy. Słyszę wodę wpadającą do głębokiego stawu u podstawy jazu, który znajduje się jeszcze niżej.

Kłękając na wilgotnej ziemi, odsuwam chwasty i gałęzie wina, wyrywam kępki roślin i wygrzebuję grudy ziemi. Powoli odsłaniam trzy niewielkie piramidy z kamieni umieszczone w równej odległości wokół niedużej polany. Kiedy jestem usatysfakcjonowana, zdejmuję płaszcz, kładę go na ziemi niczym koc piknikowy i opieram plecy o kruszącą się ścianę domu.

Znalazłam to miejsce dużo wcześniej, nim poznałam Nicky'ego. Miałam pewnie jedenaście czy dwanaście lat, jechałam rowerem wzdłuż ścieżki holowniczej, mijając Kirkstall Abbey i rozgałęzienie w stronę Horsforth. Pamiętam, jak pedałuując w bawełnianej sukience i sandałach, machałam barkom, które pokonywały śluzę. Kiedy skręciłam, dojrzałam pozostałości komina ledwie widoczne przez drzewa. Przedzierając się przez jeżyny i wino, znalazłam zrujnowaną farmę, która wydała mi się niemal tak zaczarowana jak zamek z bajki uśpiony przed tysiącami lat.

Dużo później przywiozłam tam Nicky'ego, i on także zakochał się w tym miejscu. Powiedziałam, że powinniśmy kupić ten kawałek ziemi i odbudować dom, on mógłby tam pisać i mielibyśmy dużo dzieci. Nicky roześmiał się i odparł, że bym się tak nie śpieszyła, ale ja już próbowałam zająć w ciążę.

Seks bez zabezpieczenia był jak kupowanie zdrapki co dwadzieścia osiem dni, czyli oczekiwanie na wygraną, ale nic nie

wygrałam. Odwiedzaliśmy różnych lekarzy i kliniki płodności, i gabinety medycyny alternatywnej. Szukałam ratunku w zastrzykach hormonalnych, witaminach, narkotykach, akupunkturze, hipnoterapii, chińskich ziołach i specjalnych dietach. Oczywiście kolejnym krokiem było zapłodnienie in vitro. Próbowaliśmy cztery razy, wydając nasze oszczędności, a każda następna porażka po raz kolejny łamała nam serca. Małżeństwo pełne nadziei zamieniło się w desperację.

Nicky nie chciał więcej próbować, zrobił to tylko dla mnie. Podczas tego ostatniego rzutu kostką jeden embriion przykleił się do mojej macicy niczym mięczak do skalistego brzegu. Nicky nazwał go naszym cudownym dzieckiem. Każdego dnia się zamartwiałam, bo nie wierzyłam w cuda.

Mijały tygodnie. Potem miesiące. Przybierałam na wadze. Odważyliśmy się wybrać imiona (Chloe dla dziewczynki i Jacob dla chłopca). Miałam za sobą trzydzieści dwa tygodnie ciąży, kiedy przestałam czuć ruchy dziecka. Od razu pojechałam do szpitala. Jedna z położnych podłączyła mnie do urządzenia i nie usłyszała bicia serca dziecka. Powiedziała, że znajduje się pewnie w niedostępnym akurat miejscu, ale ja wiedziałam, że coś jest nie tak. Przyszedł lekarz. Zrobił kolejne USG i nie stwierdził ani krążenia, ani bicia serca.

Powiedział, że noszę w sobie martwe dziecko. Trupa.

Płakaliśmy z Nickym nie wiem jak długo, razem przeżywaliśmy tę tragedię. Później tego samego dnia wywołali poród. Cierpiałam z bólu, parłam, ale nie usłyszałam płaczu dziecka. Nie przeżyłam radości. Kiedy podali mi zawiniątko, spojrzałam w oczy jeszcze ciepłej dziewczynki, która nie żyła wystarczająco długo, by nabrać do płuc powietrza czy otrzymać imię.

To właśnie tutaj przywieźliśmy jej prochy. Ja i Nicky.

Pogrzebaliśmy Chloe obok zrujnowanej farmy, nad jazem, w naszym specjalnym miejscu. Obiecaliśmy sobie, że każdego roku w dzień urodzin Chloe będziemy tam przyjeżdżać - dziś właśnie wypada ten dzień - ale Nicky nigdy się na to nie zdobył. Oświadczył, że musimy żyć przyszłością. Nigdy tego nie rozumiałam. Ziemia się kręci. Czas mija. Poruszamy się naprzód, nawet gdy stoimy w miejscu.

Nasze małżeństwo nie przeżyło konsekwencji tej tragedii. W ciągu roku byliśmy w separacji. To moja wina, nie jego. Moja miłość do dziecka zawsze będzie większa niż miłość do dorosłego, ponieważ to wyjątkowa miłość, która nie jest oparta na fizycznej atrakcyjności, wspólnych doświadczeniach, intymnych rozkoszach czy wspólnie spędzonym czasie. Ona jest bezwarunkowa, niezmierna, niewzruszona.

Rozwód był prosty i bezproblemowy. Pięć lat małżeństwa zakończyło się jednym śladem pióra. Nicky wyprowadził się z Londynu. Kiedy ostatnio miałam od niego wiadomość, mieszkał z nauczycielką w Newcastle, rozwódką z dwójką nastoletnich chłopców. Gotowa rodzina, wystarczy dodać wody i zamieszać.

Wyjmuję kanapkę z wołową pieczenią i napój bezalkoholowy, jem powoli, zbierając okruszki do ręki. Rudzik skacze po wiotkich gałęziach krzewu, przysiada na szczycie kopca Chloe i obraca się na boki. Rzucam okruchy na trawę, Rudzik zeskakuje na ziemię i dziobie mój poczęstunek, od czasu do czasu przekrzywia łepkę i patrzy na mnie.

Dziś są urodziny Chloe, ale ja opłakuję wszystkie moje dzieci - te, które straciłam, i te, których nie uratowałam. Opłakuję je, ponieważ ktoś musi wziąć odpowiedzialność.

Zanim opuszczę polanę, rozpinam plecak i wyjmuję małe wieńce, starając się nie zgnieść płatków, kładę po jednym na

każdym z kopczyków, wypowiadając imiona dzieci.

- Będę miała kolejne dziecko - mówię im. - Ale to nie znaczy, że będę was mniej kochać.

MEGHAN

Malowałam pokój dla dziecka, robiąc wzór przy użyciu szablonów. Nie jestem zbyt odważna, jeśli chodzi o wystrój domu. Obwiniam o to rodziców, którzy nie wierzyli, że pozwalanie dzieciom na twórczą ekspresję ma sens. Drzewa miały być zielone, a róże czerwone.

Usiłuję też pilnować Lachlana, który już zostawił ślady rąk na drzwiach i włożył pędzel do niewłaściwej puszk. To wszystko jest świetnym materiałem do mojego bloga, myślę, myjąc ręce w umywalce w pralni.

Lachlan nie jest zachwycony, że oczekuję kolejnego dziecka. Nie chodzi nawet o rywalizację rodzeństwa czy o to, że zostanie wygryziony z pozycji najmłodszego. On chciałby mieć rówieśnika do zabawy. Alternatywnym rozwiązaniem jest tylko szczeniak.

- Mamo, czemu to dziecko nie może mieć czterech lat? Tak jak ja?

- Bo nie zmieściłoby się w moim brzuchu - tłumaczę.

- Nie możesz go skurczyć?

- Nie za bardzo.

- Ale ty możesz się zrobić większa.

- Myślę, że jestem dosyć duża.

- Tatuś mówi, że jesteś gruba.

- Tatuś żartuje. - I dodaję w duchu: Dupek!

A skoro mowa o Jacku, zadzwonił z informacją, że dziś wieczorem będzie w domu, zamiast jechać pociągiem do Manchesteru. Był chyba w dobrym humorze. Od miesiący dopracowuje pomysł na nowy program telewizyjny, w którym wielkie gwiazdy będą poruszać gorące sportowe tematy. Jack

chce być prowadzącym. Przygotował prezentację, ale czeka na właściwy moment, by iść z tym do szefów.

- Nie kładź się, zaczekaj na mnie - powiedział.

- Czemu?

- Mam wieści.

Postanowiłam przygotować smaczną kolację - stek, ziemniaki i sałatkę z endywii. Typowe francuskie jedzenie. Otworzę nawet butelkę czerwonego wina, żeby pooddychało. Odkąd zaszłam w ciążę, trochę się lenię w kuchni. Przez pierwszy trymestr nie mogłam nawet myśleć o jedzeniu.

Idę na górę i biorę prysznic. Widzę swoje odbicie w lustrze. Obracam się bokiem i przyglądam się pośladkom i piersiom, ignorując rozstępy. Pochyliłam się w stronę lustra i zauważam dziwny kręcony włos wyrastający z mojej lewej skroni. Przyglądam mu się baczniej.

O mój Boże, mam siwy włos! Biorę pęsetę i wrywam obce ciało, przypatruję mu się z bliska z nadzieją, że to może farba. Nie, jest zdecydowanie siwy. Kolejne upokorzenie. Zapisuję na blogu:

Dzisiaj znalazłam u siebie pierwszy siwy włos i trochę się przestraszyłam. Włos był pozbawiony koloru, a na końcu się kręcił. Byłam dumna, że nie mam (jeszcze) żadnych siwych włosów, a wiem, że inni wrywają je i farbują od dwudziestego pierwszego roku życia.

Cóż, niszczące skutki upływu czasu stają się widoczne. Co będzie następne? Zmarszczki? Żyłaki? Menopauza? Nie będę panikować. Mam przyjaciółki w moim wieku, które żyją w kompletnym zaprzeczeniu, odmawiają nawet myślenia o czterdziestce i mówią wszystkim: „Nie ma tu nic ciekawego do oglądania! Idźcie dalej!”.

Kiedys się z nich śmiałam, ale teraz znalazłam siwy włos na swojej głowie. Chcę to złożyć na karb stresu z powodu ciąży, ale według Google'a nie ma dowodu na związek stresu z siwieniem. Podobnie jest z traumą czy długim przebywaniem na słońcu. Dobra wiadomość jest taka, że siwy włos można wyrwać bez strachu, że na jego miejscu wyrosną trzy nowe. Zła wiadomość jest taka, że zostało mi jakieś dziesięć lat, nim siwizna stanie się moim naturalnym kolorem.

Taa. Akurat. Po moim trupie.

Po napisaniu tego postu zaczynam czytać nowe komentarze. Większość z nich jest miła i wspierająca, ale od czasu do czasu trollują mnie ludzie, którzy nie lubią „bezmyślnego paplania” albo mówią mi, żebym „przestała się mądrzyć”. Nazywano mnie tu już zdziwą, malkontentką i szmatą. Co gorsza, także złą matką, bo oddałam Lachlana do przedszkola i jestem winna „tyranizowania” kobiet, które nie mogą mieć dzieci, a także osobiście odpowiedzialna za globalne przeludnienie, ponieważ spodziewam się trzeciego dziecka.

W zeszłym tygodniu ktoś napisał:

Kocham dźwięk, jaki wydajesz, kiedy się w końcu, kurwa, zamykasz.

Ktoś inny dodał:

Twój mąż musi lubić budzić się z pchłami.

Wyrzucam obraźliwe komentarze, ale nie te negatywne, bo najwyraźniej każdy ma prawo do wyrażania swojej opinii, nawet ignorant czy ordynus.

Jack przyjeżdża do domu po dziewiątej. Ja już zasnęłam na kanapie. Pochyliła się i całuje mnie w czoło.

- Wybacz - mówię, unosząc się i całując go jak trzeba.

Pomaga mi się podnieść. Nalewam mu kieliszek wina.

- Jak ci minął dzień?

- Świetnie. Nie mogło być lepiej. - Zadowolony z siebie siedzi przy kuchennym stole.

- Mam zgadywać?

- Powiem ci przy kolacji.

Nie może się doczekać kiedy polewam sałatę dressingiem, mówi mi wszystko:

- Przedstawiłem dzisiaj mój pomysł na nowy show. Bardzo im się spodobał. Rozumiesz, Bailey, Turnbull, cała ekipa była podekscytowana. Włożą to do ramówki na wiosnę.

- Będziesz prowadzącym?

- Na pewno. W końcu to mój pomysł.

Czuję ukłucie niepokoju, ale nie chcę psuć Jackowi nastroju.

- Kiedy będziesz wiedział?

- W ciągu paru tygodni. - Pieści mój kark i ściska pośladki. Żartobliwie go odpycham i każę umyć ręce. Od wieków nie był tak radosny. Może wszystko idzie ku lepszemu. Nowa praca, więcej pieniędzy i dziecko - jest tyle sposobów na to, by iść naprzód, i tylko jeden, żeby utkwąć w miejscu.

AGATHA

W soboty Jack wstaje wcześnie i biega wzdłuż rzeki, a później zabiera dzieci do kawiarni w Barnes na specjalne mleko z pianką i czekoladą oraz muffinki. Spotyka się z innymi ojcami, którzy piją kawę, czytają gazety i gapią się na opiekunki i apetyczne mamuśki.

Kawiarnia Gail's jest najnowszym takim miejscem w Barnes. W weekendy pełno tam ojców z dziećmi i weekendowych Drogowych Wojowników w lycrze, którzy przypinają wyścigowe rowery do balustrady i tankują, żeby dojechać do domu.

Ta część Londynu jest zieloną wioską uwięzioną w zakolu rzeki między Putney a Chiswick - oazą spokoju pełną zbyt drogich domów, butików i kawiarni. Jej mieszkańcy to głównie dyrektorzy firm, maklerzy giełdowi, dyplomaci, bankierzy, aktorzy i gwiazdy sportu. Widziałam Stanleya Tucciego przechodzącego Barnes Bridge. Raz w Farmer's Market wypatrzyłam też Gary'ego Linekera. Kopał piłkę w reprezentacji Anglii, a teraz, podobnie jak Jack, pracuje jako komentator.

Czy zauważyliście kiedykolwiek, że prezenterzy telewizyjni mają duże głowy? Nie chcę powiedzieć, że są zarozumiali czy snobistyczni, choć pewnie niektórych to dotyczy. Mówię dosłownie. Widziałam Jeremy'ego Clarksona i jego głowa jest ogromniasta. Jak kiepsko nadmuchana piłka plażowa, z obfitym podbródkiem i bladą twarzą. W magazynach plotkarskich nie przeczytasz o dużych głowach, a przecież nie można sobie celowo nadmuchać głowy, jeśli chce się pracować w telewizji. Albo się ją ma, albo nie. Jack to ma. Ma dużą głowę i świetne włosy, i zęby bielsze od bieli. Broda jest może jego słabszym punktem, ale

zazwyczaj przed kamerą lekko unosi głowę.

Teraz Jack pije drugą kawę. Lubię, jak oblizuje palec wskazujący, nim odwróci stronę gazety. Dobrze radzi sobie z dziećmi. Podnosi kredki, kiedy im spadną, i zanosz rysunki do domu, żeby je pokazać mamusi.

Po raz pierwszy widziałam Meg niespełna sto metrów stąd. Była w parku z Lucy i Lachlanem, którzy puszczały bańki mydlane, a potem gonili barwne kule. Meg miała na sobie zwyczajną białą koszulę i dżinsy. Wyobraziłam sobie, że pracuje dla magazynu mody jako fotograf albo stylistka, co zresztą nie było dalekie od prawdy. Myślałam, że jej mąż jest maklerem giełdowym i mają wakacyjną willę na południu Francji, gdzie spędzają długie weekendy. Zapraszają francuskich przyjaciół, wszyscy są atrakcyjnymi ludźmi sukcesu, jedzą francuski ser i sączą francuskie wino, a Meg narzeka, że bagietki to „dzieło szatana”, ponieważ idą jej w biodra.

Uwielbiam wymyślać takie historie. Wyobrażam sobie życie różnych ludzi, nadaję im imiona, wymyślam ich pochodzenie i karierę, zaludniam ich rodziny czarnymi owcami i obdarowuję przerażającymi tajemnicami. Być może robię to dlatego, że w dzieciństwie tak dużo czytałam. Dorastałam z „Anią z Zielonego Wzgórza”, szpiegowałam z Harriet, pisałam sztuki z Jo March i eksplorowałam Narnię z Lucy, Peterem, Edmundem i Susan.

Nieważne, że w porze lunchu siedziałam sama i koledzy rzadko zapraszali mnie na imprezy. Moi fikcyjni przyjaciele byli równie prawdziwi, a kiedy przed snem zamykałam książkę, wiedziałam, że rano nadal tam będą.

Wciąż kocham książki, ale teraz szukam w internecie informacji na temat ciąży, porodu i opieki nad niemowlętami. Tak właśnie odkryłam bloga Meg, nazywa się Upiorne Dzieciaki. Meg pisze

tam o macierzyństwie i różnych zabawnych historiach z jej codziennego życia - na przykład jak Lucy napisała list do Wróżki Zębuszki, w którym zarzuciła jej, że dwa funty to „trochę za mało za przedni ząb”, i wyklócała się o więcej, albo jak Lachlan stłukł buteleczkę niebieskiego lakieru do paznokci i stworzył „smerfną scenę morderstwa”.

Meg umieszcza na blogu zdjęcia, lecz nie używa prawdziwych imion. Jacka nazywa Cezarem. Lachlan to Augustus, a Lucy to Julia (córka Cezara). Siebie nazywa oczywiście Kleopatram.

Kiedy się czyta jej bloga, widać, że była dziennikarką. Pisała dla kobiecego magazynu, niektóre z jej artykułów można wciąż znaleźć w sieci, w tym wywiad z Jude'em Lawem, którego nazwała „chodzącym seksem” i przyznała, że flirtowała z nim przy ostrygach i szampanie w hotelu Savoy.

W kawiarni po drugiej stronie ulicy Jack właśnie szykuje dzieci do wyjścia, przypina Lachlana w wózku i bierze Lucy za rękę. Kiedy przechodzą przez park, Lucy musi dotknąć pnia każdego drzewa, a liście spadają za nimi jak konfetti na ślubie.

Obserwuję ich z pewnej odległości, jak mijają staw, skręcają w lewo, potem w prawo, aż docierają do Cleveland Gardens, ładnej ulicy, wzdłuż której za porządnie przystrzyżonymi żywopłotami stoją wiktoriańskie domy.

Podczas nalotów niemiecka bomba zniszczyła trzy budynki na końcu ulicy. Zastąpiły je bloki mieszkalne, które miejscowi nazywają „wieżami rozwodników”, ponieważ wylądowało tam wielu mężów, którzy zbłądzili (od czasu do czasu trafia tam także jakaś żona). Niektórzy później wracają do domów. Inni żyją nowym życiem.

Tuż za domem Jacka i Meg są tory linii Hounslow Loop. W dni robocze jeżdżą tamtędy jakieś cztery pociągi na godzinę,

w weekendy mniej. Pociągi nie są aż tak bardzo głośne, w każdym wyrażnie cichsze od samolotów, które od świtu śmigają nad głowami, schodząc do lądowanie na Heathrow.

Przechodzę przez ulicę i przecinam Beverley Path, aż docieram do przejścia podziemnego dla pieszych. Płot z siatki jest częściowo zniszczony, łatwo go sforsować. Sprawdzam, czy droga wolna, po czym idę wzdłuż torów, potykając się o gruz. W skupieniu liczę ogrody na tyłach domów, gdy nagle wściekły owczarek niemiecki rzuca się na ogrodzenie, kiedy go mijam. Serce mi zamiera, ale dzielnie odwarkuję do psa.

Kiedy zbliżam się do właściwego domu, pełnę przez poszycie i krzewy i wspinam się na złamane drzewo. To mój ulubiony punkt obserwacyjny. Stąd mogę zajrzeć do podłużnego ogrodu, szerokiego na jakieś piętnaście metrów, widzę domek i huśtawkę dla dzieci, i szopę na tyłach domu, którą Jack zamienił w domowe biuro, z którego nigdy nie korzysta.

Słyszę chichot małych dziewczynek. Lucy zaprosiła koleżankę. Są w drewnianym domku, udają, że parzą herbatę i nalewają ją do filiżanek. Lachlan siedzi w piaskownicy i przesuwa piaskowe góry buldożerem. Drzwi balkonowe są otwarte, Meg jest w kuchni, kroi owoce na poranną przekąskę.

Opieram się o potężną gałąź i wydaję z kieszeni płaszcz puszke z wodą sodową, otwieram ją, pociągając za metalowe kółeczko, i zlizuję kroplę, która spływa po puszcze. Mam też ze sobą czekoladowy baton, ale zostawiam go na później.

Mogę tak siedzieć godzinami i przyglądać się Meg, Jackowi i dzieciom. Obserwowałam ich, jak urządzali grilla w lecie i popołudniową herbatę albo grali w różne gry w ogrodzie. Któregoś dnia widziałam Meg i Jacka leżących na kocu, Meg oparła głowę na udzie Jacka i czytała książkę. Wyglądała jak Julia

Roberts w tej scenie z „Notting Hill”, kiedy leżała z głową na udach Hugh Granta. Kocham ten film.

Co kwadrans ze stukotem przetacza się pociąg. Odwracam się i widzę oświetlone wewnątrz wagony, pasażerowie rozmawiają przez telefon, czytają gazety albo przyklejają czoło do szyby. Jeden czy dwóch spojrzęło na mnie po drodze. Nie przejmuję się, że ktoś mnie widzi. Nie wyglądam na włamywacza czy podglądacza.

Kiedy zaczyna zmierzchać, śledzę Meg, która idzie przez dom, zapalając lampy. Dzieci się kąpią, myją zęby, potem słuchają bajek na dobranoc.

Zmarznięta i głodna nie czekam, aż Jack wróci do domu, ale wyobrażam go sobie, jak wchodzi przez drzwi od frontu, zrzuca płaszcz, poluzowuje krawat i obejmuje Meg w talii. Ona go odsuwa i nalewa mu wina, słucha, jak minął dzień. Kiedy zjedzą i załadują zmywarkę, przytulą się na kanapie, a na ich twarzach będzie tańczyło światło z telewizora. Później pójdą razem na górę i będą się kochać w ogromnym łóżku.

Łatwo mi jest wyobrażać sobie takie rzeczy, ponieważ byłam w tym domu. Zanim Meg i Jack się tam wprowadzili, kiedy dom był wystawiony na sprzedaż. Polowanie na dom to jedno z moich hobby, więc umówiłam się na oglądanie tego właśnie domu. Agentka nieruchomości, farbowana blondynka w obcisłych, podkreślających figurę ciuchach, oprowadziła mnie, wskazując na ważne cechy domu. Nazwała go „pełnym charakteru” i stwierdziła, że ma niewygórowaną cenę.

Widziałam, jak ona pracuje, flirtuje z mężami i czaruje żony, ale zawsze wtedy, kiedy to drugie nie słyszy. Zachowywała się jak współkonspiratorka, przekonując jednego z małżonków, że pomoże mu namówić partnerkę czy partnera. Tego samego

próbowała ze mną, pytała mnie o męża, o to, czy się pojawi. Udawałam, że rozmawiam z nim przez telefon:

- Tak, myślę, że jest wystarczająco duży, ale martwię się o hałas, jaki robią pociągi... W lecie przy otwartych oknach będziesz je słyszał.

Idąc z pomieszczenia do pomieszczenia, sprawdziłam kuchenkę i samozamykające się szuflady, przeciągnęłam palcem po sprzęcie z nierdzewnej stali, zapalałam i wyłączałam gaz. Agentka nieruchomości zapisała moje nazwisko i dane kontaktowe, oczywiście zmyślane. Mam wiele ulubionych imion: Jessica, Sienna albo Keira.

Nie zdawałam sobie sprawy, że Meg i Jack kupili ten dom, aż do dnia, kiedy odprowadziłam Meg do samej bramy, to znaczy śledziłam ją. Dzięki temu mogę sobie ich wyobrazić w rodzinnym domu, w każdym pomieszczeniu, na przykład Lucy w pokoju na tyłach, a Lachlana w środkowym. To pokój dziecienny tuż nad schodami.

Wyszłam za późno i zrobiło się zbyt ciemno, więc kiepsko widzę drogę. Potykam się o korzenie i leżące na ziemi gałęzie, czuję, jak jeżyny czepiają się o moje ubranie i drapią odsłoniętą skórę. Tory srebrzą się w świetle z nieodległych okien, a ja idę z wahaniem po kamykach i podkładach kolejowych. Świerszcze zamilkły, za to tory zaczęły brzęczeć, czyli zbliża się pociąg. Zataczając się na bok, odwracam się i oślepia mnie jasne światło. Pociąg mija mnie z głośnym rykiem i pędem powietrza, aż ziemia drży pod nogami, a martwe liście spływają tanecznym ruchem wokół moich nóg.

Trzymam się za brzuch. Chronię moje dziecko, obiecuję mu, że zrobię wszystko, żeby było bezpieczne.

MEGHAN

Może nie nadaję się na matkę. W pierwszym trymestrze martwiłam się, że poronię, później obawiałam się porodu przed terminem, porodu z komplikacjami, zaniedbania lekarza i tysiąca innych nieszczęść. A kiedy dziecko przyjdzie na świat, będę drżała z powodu zagrożenia nagłą śmiercią łóżeczkową, grypą, infekcją, zapaleniem opon mózgowych, guzami, siniakami, wysypką i gorączką. Każde kaszlnięcie, pociągnięcie nosem czy kichnięcie postawi mnie na równe nogi. Kiedy dziecko nauczy się chodzić, biegać i wspinać, będę się zadręczać, że upadnie, połamie się, otworzy szufladę, poparzy się albo wypije płyn do prania. To się nigdy nie skończy, niezależnie od jego wieku. Bo gdy skończy osiemnaście lat, będę się przejmować pijanymi kierowcami, handlarzami narkotyków, łobuzami, bezrobociem, studenckimi długami i dziewczynami, które złamią mu serce.

Piszę o tych wątpliwościach i zagubieniu na moim blogu, a czytelnicy biorą je za żarty. Oczekują, że będę ekspertem, bo w końcu mam już doświadczenie z Lucy i Lachlanem, ale ja po prostu wciąż znajduję nowe błędy, które mogę popełnić, i nowe lęki, które nie pozwalają mi spać w nocy.

Dzisiaj miałam badanie USG. Technik posmarował mi brzuch żelem i komentował to, co widziałam na ekranie, pokazując części ciała mojego syna. Mój mały pasażer ma dwie ręce, dwie nogi i wymaganą liczbę komórek w sercu, które trzepocze jak skrzydła kolibra.

Mój lekarz mówi, że wszystko jest w porządku – moje ciśnienie, mocz, poziom żelaza i tak dalej. Przybyło mi siedemnaście kilogramów, i to też jest okej, chociaż czuję się niezgrabna

i niezdarna, bo wciąż na coś wpadam. Mój brzuch jest jak poduszka powietrzna.

Po powrocie do domu patrzę na nie do końca urządzony pokój dla dziecka. Trzeba wymierzyć i zamówić zasłonki, stare ubranka Lachlana wciąż są w pudłach na strychu. Miałam wielkie plany związane z idealnym pokojem dla małego chłopca, ale wszystko poszło nie tak. Prawdę mówiąc, wcale się tym nie przejmuję, ważne, żeby był zdrowy, szczęśliwy i dobrze mnie traktował.

Jakby czytając w moich myślach, chłopiec wybiera ten właśnie moment, żeby mocno kopnąć mnie w nerki.

- Hej! A to za co? - Znów mnie kopie. - Zrób to jeszcze raz, a nigdy nie pożyczę ci samochodu.

Czasami go sobie wyobrażam - mojego nienarodzonego syna - jako najmniejszego zabójcę świata, płodowego oprawcę, który karze mnie za to, co zrobiłam Jackowi. Każdy kopniak, szturchnięcie łokciem czy uderzenie głową jest srogą karą, a każde badanie USG przypomnieniem mojego wiecznego wstydu.

Drugi sufler mojej pamięci każdego tygodnia gra w tenisa z moim mężem. Nazywa się Simon Kidd i jest najlepszym przyjacielem Jacka.

Poznali się na Exeter University i trzymali się razem jak para złodziei. Mieszkali razem, chodzili razem na imprezy i na dziewczyny, kiedy byli napaleni, o czym stale przypominają. Lucy spytała kiedyś, co palili, a ja pogroziłam Jackowi palcem.

Zawsze uważałam ich za nieoczywistą parę przyjaciół. Simon na studiach nie przepuścił żadnemu narkotykowi ani żadnej dziewczynie, podczas gdy Jack przykładał się do nauki, był odpowiedzialny i starał się żyć zdrowo.

Choć Jack tego nie wie (i nigdy się nie dowie), miałam krótki romans z Simonem. To było lata przed poznaniem Jacka.

Pracowałam wówczas w kobiecym magazynie, a Simon próbował zdobyć pieniądze na filmowy projekt. Zaprosił mnie na lunch, licząc, że o tym napiszę, i w ciągu dwóch godzin wylądowaliśmy w łóżku. Simon współwynajmował w Brook Green dom pełen używanego sprzętu filmowego i kiepskiego gatunku pochlebców. Zerwałam z nim po czterech miesiącach, bo nie mogłam znieść prze poczonej pościeli i wędrownych naćpanych przyjaciół Simona.

Ale byłam też świadoma, że Simon działa na kobiety, widziałam, jak spijały słowa z jego ust i śmiały się, kiedy się do nich uśmiechał. Czy jest przystojny? Tak, choć nie jest typem o mrocznej surowej męskiej urodzie. Właściwie jest zbyt ładny, ma wysokie kości policzkowe i szare oczy, które przenikają człowieka do głębi. Nauczyłam się na niego patrzeć i pozostawać niewzruszoną. To trochę tak, jakby patrzeć na częściowe zaćmienie słońca – nigdy wprost na słońce, bo ryzykuje się utratę wzroku.

Nawet kiedy zerwaliśmy ze sobą, wpadałam na Simona od czasu do czasu na premierach filmowych i festiwalach filmów krótkometrażowych. Zawsze ze mną flirtował i zawsze był bardzo uważny, pytał, czy z kimś się spotykam. Później przeniósł się do Ameryki, a potem do Hongkongu i straciliśmy kontakt.

Kiedy poznałam Jacka, czasami wspominał o przyjacielu o imieniu Simon, ale nigdy nie skojarzyłam, że to ten Simon, ponieważ każdy z nich miał swój przydomek. Dopiero w wigilię naszego ślubu odkryłam prawdę. Jack umówił się, że odbierze Simona z Heathrow, a mnie na jego widok zawiódł refleks. Zaskoczona pod wpływem chwili podjęłam decyzję, że o niczym nie powiem Jackowi. Simon zachował się podobnie. Teraz to wydaje się głupie, ale wtedy wyglądało to inaczej. Następnego dnia wychodziłam za mąż, a wiedziałam, jaki zazdrosny i ambitny

bywa Jack. Nie chciałam spędzić ostatniej nocy przed ślubem wypytywana o dawnych chłopaków i o to, co z nimi robiłam.

Później, w kuchni Jacka, szepnęłam do Simona:

- Pamiętasz mnie?

- Oczywiście.

- Myślałam, że może byłeś tak...

- Najarany?

- Tak.

- Skończyłem z tym. Dziwne uczucie tak bez ustanku, po prostu cały czas być świadomym. Nudne, ale dłużej pożyję.

Ulotniła się cała neurotyczna energia Simona. Nadal był sarkastycznym snobem, za to bardziej zabawnym towarzyszem. Kobiety wciąż były dla niego łatwą zdobyczą. Większość z nich stanowiły śmiertelnie blade modelki, którym sterczały kości policzkowe, lecz nie piersi. Traktował je bardzo poważnie, dopóki nie zmienił zdania.

Po moim ślubie z Jackiem Simon był stałym gościem w naszym pierwszym domu, a potem w tym. W lecie regularnie grywają z Jackiem w tenisa albo w golfa w Roehampton Club. Jack pomógł Simonowi dostać pracę w swojej stacji, a Simon, uosabiając odpowiednie połączenie powagi i bezczelnego wdzięku, zdobył wśród widzów ogromną popularność.

Simon był drużbą Jacka, jest też ojcem chrzestnym Lucy, co ogromnie go bawi, ponieważ jest absolutnie niewierzący i mówi, że nie może się doczekać, kiedy Lucy skończy osiemnaście lat, żeby mógł ją upić albo ujarać, albo jedno i drugie. Wiem, że żartuje, chociaż nie do końca. Moja relacja z nim była w porządku aż do chwili, gdy osiem miesięcy temu to się zmieniło. Od tamtej pory nas nie odwiedza. Jack wciąż go zaprasza, a Simon się wymawia.

- Nie rozumiem, co się stało - powiedział do mnie Jack. - Pokłóciliście się?

- Nie.

- Cóż, mam wrażenie, że cię unika.

Zmieniłam temat i starałam się nie wspominać o Simonie. Prawdę mówiąc, ilekroć o nim pomyślę, mam chęć zwinąć się w kłębie i płakać. Ilekroć o nim myślę, przypominam sobie pewien wieczór w połowie marca, kiedy potwornie pokłóciliśmy się z Jackiem o pieniądze, co było tylko swoistym wyzwaniem. Zaczęło się od tego, że cofając samochód, uderzyłam w latarnię, wgniatając tył pokrywy bagażnika. To była moja wina. Powinnam była przyznać się do błędu, ale kiedy Jack oskarżył mnie o brak rozwagi, przeciwstawiłam mu się. Zaczęliśmy się kłócić. Moja matka powiedziała mi kiedyś, że w małżeństwie ktoś musi być bardziej ustępliwy, inaczej nic z tego nie wyjdzie. Nie ja, pomyślałam. Nie tym razem.

Jack był uparty tak samo jak ja, na każdy mój argument odpowiadał swoim, władał oskarżeniami niczym bagnetem. Zraniona niemal sama się prosiłam, żeby zbyt gwałtownie zareagował. Tak też zrobił. Uniósł pięść. Skuliłam się. Nie uderzył, ale dostrzegłam to w jego oczach. Jack też to wiedział. Myślę, że tamtego dnia przestraszył się samego siebie.

- Nie wiem, czemu się z tobą ożeniłem - ryknął. - Gdyby nie dzieci, już dawno bym odszedł.

W milczeniu wpakowałam Lucy i Lachlana do samochodu i podrzuciłam ich do moich rodziców. Matka chciała wiedzieć, co się stało, ale nie byłam w stanie z nią rozmawiać. Pojechałam do mieszkania Simona, z trudem widząc drogę przez łzy. Chciałam go spytać, czemu Jack był taki nieszczęśliwy. Czy coś mówił? Czy to koniec?

Byłam kłębkim nerwów. Simon nalał mi wina, a ja mówiłam. On słuchał. Wielu mężczyzn nie zdaje sobie sprawy, ile to znaczy dla kobiety, że potrafią słuchać. Nie przerywają. Nie osądzają. Pozwolił mi się wypłakać na swoim ramieniu, otarł łzy kciukiem. Szeptem zapewniał, że wszystko się ułoży.

Wypiłam za dużo, żeby jechać do domu. Simon zaproponował, że zamówi taksówkę. Wstałam i potknęłam się, on mnie złapał. Nasze wargi były blisko siebie. Pocałowaliśmy się. Przyłgnęłam do niego. Przewróciliśmy się na kanapę, całując się raz za razem, pozbywając się ubrań, zrzucając buty, odrywając guziki. Uniosłam biodra. Simon rozchylił moje kolana. Pochylił głowę i wysunął język. Krzyczałam, nie poznawałam własnego głosu. Potem wciągnęłam go w siebie, nalegając, by robił to ostro. Wiedziałam, że to nie w porządku, ale nie chciałam, żeby przestał. Pragnęłam czuć coś innego niż złość i rozczarowanie. Chciałam przeżyć dziki nieokiełznany seks i pieprzyć konsekwencje.

Później leżeliśmy na utkany przez Pasztunów dywanie Simona, łapiąc oddech. Oświetlone latarniami gałęzie rzucały cienie na żaluzje, a ja dostrzegłam świat inny niż ten, w którym byłam ledwie kilka chwil wcześniej. Pożądanie i złość minęły, pozostało potworne odrętwienie i pustka, w której wrzało. Skąd mi się to wzięło? Czy naprawdę byłam aż tak nieszczęśliwa?

Znalazłam majtki i wciągnęłam je pod spódnicę, wygładziłam bluzkę. Byłam w szoku. Co ja zrobiłam? Po prawie siedmiu latach szczęśliwego (okej, dość szczęśliwego) małżeństwa ni stąd, ni zowąd pieprzyłam się z najlepszym przyjacielem mojego męża.

O czym ja myślałam?

Najwyraźniej nie myślałam.

Nie istnieją żadne usprawiedliwienia. Jestem złym człowiekiem. Jestem głupią prostytutką, bezwstydną dziwką, która powinna

zostać poniżona przez Jeremy'ego Kyle'a albo doktora Phila. Tak, Jack uniósł rękę, ale mnie nie uderzył. Powiedział, że mnie nie kocha, ale był wściekły. Naskoczył na mnie.

Wszystkie związki przechodzą kryzysy. My też przeżyliśmy trudne chwile, ale zawsze się cofaliśmy. Zwykle wystarczył weekend z dala od domu albo wspaniała noc czy chwila intymności, by nam przypomnieć, dlaczego się w sobie zakochaliśmy.

W kolejnych dniach byłam przekonana, że ludzie widzą moją winę, zupełnie jakby była wytatuowana na moim czole albo sterczała jak niewycięta metka z nowej pary dżinsów. Jack przeprosił, że mnie przestraszył, i zgodził się na spotkanie z terapeutą małżeńskim. Podczas sesji nie był specjalnie otwarty, ale starał się, czyli robił więcej niż ja. Moja tajemnica mnie paraliżowała.

Nie chodziło tylko o zdradę. Chodziło o zawstydzające wspomnienie tego, jak dobry był tamten seks, ile w nim było napiętności, pasji, desperacji. Ilekroć powracały do mnie szczegóły tamtego spotkania, moje uda chciały się otworzyć. Musiałam je zaciskać, jeszcze bardziej się nienawidząc.

Każdy, kto twierdzi, że szczerść zawsze jest najlepsza, żyje w świecie bajek. Albo nigdy nie był żonaty czy zamężny, albo nie miał dzieci. Rodzice bez przerwy okłamują dzieci - na temat seksu, narkotyków, śmierci i setek innych rzeczy. Okłamujemy tych, których kochamy, by chronić ich uczucia. Kłamiemy, bo to właśnie jest miłość, zaś nieskrępowana szczerść jest okrucieństwem i szczytem braku umiaru.

Potem wyjechaliśmy z Jackiem na weekend i jak szaleni kochaliśmy się w hotelu. A w kwietniu i maju nie miałam okresu. Wpadłam w panikę, nie mogłam sobie przypomnieć, czy Simon

użył prezerwatywy. Zadzwoiłam do niego. W tle słyszałam śmiech i dźwięki hałaśliwego baru. Simon powiedział, że się zabezpieczył.

- Czemu pytasz? - spytał, krzycząc.
- Bez specjalnego powodu.
- Myślałem, że nie będziemy wracać do tamtej nocy.
- Nie będziemy. Nigdy.
- Zabiorę to ze sobą do grobu.
- To dobrze.

AGATHA

Mieliśmy dziś napad w supermarkecie. Jakiś roztrzęsiony wariat w bluzie z kapturem i ciemnych okularach kręcił się koło mrozonek, pomrukując pod nosem i kiwając głową. Nie wziął koszyka na zakupy i wciąż zerkał w kamerę nad alejkami.

- Czego pan szuka? - spytałam, starałam się mu pomóc.

Zignorował mnie i ruszył dalej, kierując się w stronę drzwi. Już chciałam powiedzieć o nim panu Patelowi, który siedział przy kasie, ale pomyślałam, że gość zamierza wyjść. W ostatniej chwili odwrócił się i wyjął nóż.

Pan Patel wybałuszył oczy, jakby mu gałki wyskoczyły z oczodołów na sprężynkach. A ja chyba krzyknęłam.

Facet powiedział mu:

- Opróżnij kasę albo podetnę ci gardło. - Zakręcił się na pięcie i pomachał na mnie nożem. - Na podłogę.

Wskazałam na siebie palcem, jakbym mówiła: Kto, ja? I uklęknęłam.

- Kładź się - powiedział. - Na brzuchu.

- Naprawdę?

Wtedy zauważył, że jestem w ciąży, i powiedział, że mogę zostać na czworaka.

Pan Patel usiłował otworzyć kasę. Bezskutecznie próbował wyłączyć ją z trybu sprzedaży. Szuflada nie chciała się otworzyć.

Złodziej kazał mu się pośpieszyć.

- Musisz coś kupić - powiedział mu pan Patel.

- Co?

- Nie mogę otworzyć kasy, jeśli nic nie kupisz.

Złodziej patrzył na niego z niedowierzaniem.

- Chyba nie wiesz, jak to działa.
- Racja - odparł pan Patel, gwałtownie kiwając głową.

Właśnie chciałam się cofnąć, podczołgać na koniec alejki, ale widziałam, że pan Patel spanikował. Zawołałam:

- Niech pan zeskanuje papierosy!

Pan Patel przeniósł wzrok z noża na mnie.

- Papierosy, niech pan zeskanuje paczkę papierosów - powiedziałam. - Kasa się otworzy.

To rozwiązało problem i szuflada się wysunęła. Pan Patel dał złodziejowi pieniądze.

- Gdzie jest reszta?

- To wszystko.

Nożownik wskazał na szufladę pod kasą. Tam pan Patel przechowuje dzienny zapas drobnych i banknoty większych nominałów. Tam też trzyma naładowaną broń, którą pokazuje wszystkim nowym pracownikom - zwłaszcza studentkom college'u, które pracują w weekendy i na których ma nadzieję zrobić wrażenie.

Świetny plan, pomyślałam. Doprowadzi do aresztu obywatelskiego albo zastrzeli gościa w razie konieczności. Ale pan Patel nie sięgnął po broń. Podał mężczyźnie pieniądze i rzekł:

- Mogę w czymś jeszcze pomóc?

Zabrzmiało to tak, jakby pytał: „Może dołączy pan do naszego programu lojalnościowego? A może kupi pan zdrapki?”.

Później pan Patel powiedział policji, że chciał mnie chronić, co było bzdurą, bo to ja uratowałam mu tyłek. Oboje musieliśmy złożyć zeznanie i oglądać policyjne zdjęcia w komputerze, ale ja nie mam pamięci do twarzy. Nóż wskazałabym na każdym okazaniu.

Policja chciała, żeby ze względu na ciężę zbadał mnie lekarz,

więc zapewniłam ich, że czuję się dobrze i chcę tylko iść do domu. Dali mi voucher na taksówkę i powiedzieli, że powinnam wziąć sobie dzień wolnego, co nie spodobało się panu Patelowi.

Taksówka podwozi mnie pod dom, omijam reklamy i ulotki i ramieniem otwieram duże frontowe drzwi. Teraz już czuję zmęczenie. Adrenalina wyparowała, schody wydają się bardziej strome niż dotąd.

Moje mieszkanie znajduje się na pierwszym piętrze. Pani Brindle, moja gospodyni, mieszka na dole z dwoma synami, Garym i Dave'em. Obaj są po czterdziestce i nie śpieszą się z wyprowadzką z rodzinnego domu. Gary, starszy z braci, jest na rencie, zaś Dave jeździ taksówką. Podejrzewam, że pani Brindle bierze ode mnie tak niewiele za wynajem, gdyż liczy, że być może zdejmę jej jeden kłopot z głowy.

Drzwi za moimi plecami otwierają się.

- Cześć, księżniczko.

- Odejdź, Dave.

- Pomóc ci?

- Nie.

Dave staje u stóp schodów, żeby zajrzeć mi pod spódnicę. Przesuwam się bliżej ściany.

- Nie bądź taka - mówi. - Masz świetne nogi, Agatho. O której się otwierają?

- Spadaj.

Dalej wchodzę po schodach, a on krzyczy:

- Tylko pamiętaj, mam gumkę, na której jest twoje imię.

- Co? Chyba Durex Extra Mały.

- A to dobre! - rzuca ze śmiechem. - Będę delikatny.

Opadam na kanapę, zzuwam buty i masuję stopy obolałe po całym dniu stania. Guziki bluzki są tak naciągnięte na brzuchu, że

mogłyby wystrzelić jak z procy i wybić komuś oko. Rozpinam bluzkę i patrzę na otaczający mnie bałagan. Żałuję, że nie posprzątałam poprzedniego dnia. W zlewie zalegają stosy brudnych naczyń, stół jest zasłany ulotkami i katalogami z ubrankami dla dzieci.

W dalszej części przedpokoju jest łazienka z wanną i sypialnia, co jest bardzo miłe, bo mogę ją zaciemnić i spać do południa, kiedy nie muszę iść do pracy. Podwójne łóżko to rozklekotany grat z lakierowanym zagłówkiem i miękkim, miejscami zapadającym się materacem. Wieczorem lubię zgasić światło i słuchać pociągów wjeżdżających na Putney Bridge.

Moja najlepsza przyjaciółka Jules mieszka piętro wyżej z mężem Kevinem i małym synkiem Leo, czteroletnim słodziakiem. Czasami opiekuję się Leo, kiedy Jules wyskakuje do sklepu czy do pralni albo do fryzjera.

Jules znów jest w ciąży. Przez ostatnie miesiące prawie się nie rozstajemy, razem chodzimy na zakupy i na manikiur, raczymy się czekoladowo-mlecznymi koktajlami, które są najlepszym lekarstwem, jakie kiedykolwiek wynaleziono na poranne nudności.

Kiedy już łapię oddech, wyciągam spod wycieraczki trzy koperty: rachunek za gaz, rachunek za telefon i list od matki. Rozpoznaję jej charakter pisma i hiszpański znaczek.

Czego ona chce? Powinnam wyrzucić list. Coś każe mi jednak otworzyć kopertę i rozłożyć perfumowaną kartkę papieru.

Droga Agatho,

proszę, nie bądź na mnie zła, że znów do Ciebie piszę. Nie jestem nawet pewna, czy mam dobry adres. Próbowałam do Ciebie dzwonić, ale pewnie zmieniłaś numer.

Tęsknię za Tobą. Jestem okrutnie samotna, a prócz Ciebie nie

mam już żadnej rodziny. Wiem, że wiele się między nami wydarzyło, ale mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Marbella jest słoneczna, ale nie tak ciepła jak w zeszłym roku. Wynajmuję to samo mieszkanie, tuż obok państwa Hopgoodów (wspominałam o nich w poprzednich listach). On trochę przynudza, za to Maggy jest miła. Gramy razem w bingo i pijemy koktajle w klubie jachtowym.

Powinnaś mnie tu odwiedzić. Mogłabym Ci wysłać pieniądze na podróż. Spędziłybyśmy razem Boże Narodzenie. W klubie jachtowym robią świetną imprezę - z pieczonym indykiem i darmową butelką wina na każdym stoliku.

Napisz do mnie, proszę.

Całuję Cię,

Mama

Drę list na małe kawałki i wrzucam do kuchennego kosza, który już jest pełen śmieci wysypujących się na podłogę. Moja matka nie wie, że jestem w ciąży. Tylko by wszystko zepsuła.

Ktoś puka do drzwi.

- Odpieprz się, Dave! - krzyczę.

- To ja! - odpowiada Jules.

Cholera!

- Okej, daj mi chwilę.

Zapinam bluzkę i przeglądam się w lustrze, potem otwieram drzwi.

- Co tak długo? - pyta Jules. Mija mnie, kiwając się jak kaczka, i ze stęknieniem pada na kanapę. - Kazałaś mi czekać całą wieczność.

Pół Niemka, pół Szkotka z burzą kręconych włosów i nogami jak pnie, Jules jest atrakcyjną kobietą, której zazdrozczę ładnej cery i sarnich oczu. Duża, zanim jeszcze zaszła w ciążę, kocha obnosić

się ze swoim rozmiarem, ponieważ Kevinowi taka właśnie się podoba. On nie jest „dokarmiaczem” ani „miłośnikiem tłuszczu”, ale zdecydowanie woli pulchne.

Opowiadam jej o złodzieju w sklepie, a ona chłonie każde moje słowo i chce wiedzieć, czy się bałam.

- To pewnie był narkoman uzależniony od mety - mówi. - Oni są naprawdę przerażający. Zjadają ludzkie twarze.

- Poważnie?

Kiwa głową.

- Po metamfetaminie robią się dziury w mózgu i zęby wypadają.

- Ten złodziej miał wszystkie zęby.

- Na razie.

Nagle przypomina sobie, czemu zeszła na dół.

- Hej, masz ochotę pójść ze mną na akupunkturę? Mam ofertę na dwa zabiegi za jedną cenę.

- Nikt nie będzie wkławał igieł w moje dziecko - odpowiadam.

- Nie wkłuwają igieł w dziecko. - Macha ulotką. - Tu piszą, że akupunktura pomaga ciężarnym pozbyć się nudności, zatrzymania płynów, zmęczenia, skurczy i zgagi.

- Mimo wszystko.

- A co z woskiem na bikini?

- Teraz nie będę się tym przejmować.

- Szczęściara. - Pociąga nosem. - Ja mam tam pełny trójkąt jak z lat siedemdziesiątych. Kevin potrzebuje maczety, żeby znaleźć moją grootę.

- Jesteś obrzydliwa.

- Przynajmniej się bzykam - mówi Jules. - A skoro o tym mowa... Twój marynarz się odezwał?

- Nie sprawdzałam.

Mój laptop leży schowany pod gazetami. Otwieram go i czekam

na bezprzewodowe połączenie z siecią. Mam w skrzynce dwa mejle. Jeden to spam. Drugi jest od Haydena. Serce bije mi mocniej.

- Zadzwoń do mnie dziś wieczorem - szepczę, mrugając w szoku.

- Coś jeszcze pisze? - pyta podekscytowana Jules.

- To wszystko.

MEGHAN

Dziś po południu do Lucy przychodzi koleżanka. Nazywa się Madeleine i jest zrzędliwą małą damulką, która ignoruje moją tacę z owocami i prosi o ciastka czekoladowe i chipsy.

Mówię jej, że w naszym domu nie ma takich rzeczy, a Madeleine patrzy na mnie, jakbym była jakimś paskudztwem na jej bucie. Teraz bawią się na dworze. Mam wrażenie, że Lachlan się przeziębził, więc kąpię go, daję paracetamol i pozwalam oglądać Disney Channel.

Zerkam na zegar. Po Madeleine ktoś przyjdzie o szóstej. Chciałabym to przyspieszyć, żeby wszyscy jak najprędzej znaleźli się w łóżkach, oczywiście łącznie ze mną. Tak bardzo chcę jak najszybciej wsunąć się pod kołdrę i zasnąć. Jacka nie ma dziś wieczorem w domu. Cały tydzień był w kiepskim humorze. Mogłabym powiedzieć, że to „powrót do normalności”, ale sama już nie wiem, co to jest normalność. Nie, to nieprawda. Uwielbiam, kiedy Jack żartobliwie się ze mną drażni, flirtuje i dotyka mnie przypadkowo, ociera się o moje pośladki albo chwyta w talii, albo skrada mi szybkiego całusa, kiedy mijamy się na schodach.

Lachlan śmieje się z czegoś. Siadam obok niego na kanapie i otaczam go ramieniem, wciągam zapach małego i czystego tuż po kąpieli chłopca.

- Czy tatuś wróci do domu?
- Dzisiaj nie.
- A gdzie jest?
- Pracuje.
- Będzie w telewizji?

- Uhm.

Później gotuję Lachlanowi jajko na kolację i po bokach kieliszka z jajkiem stawiam grzanki wartowników. Lachlan jest głodnym dzieckiem w każdym znaczeniu tego słowa - bardzo chce urosnąć. Jest też niszczycielem gier, zbieraczem zabawek i chciałby ściągnąć na siebie całą uwagę. Lucy wydaje się tolerancyjna, ale ostatnio na rękach Lachlana zauważyłam zadrapania i ślady szczypania. Tydzień temu zniknął jego ulubiony samochód, na co zareagował wielkim oburzeniem, a Lucy przyglądała się z kąta, zaprzeczając, by miała z tym cokolwiek wspólnego. Kilka dni później znalazłam samochód pod jej łóżkiem.

Lucy i Madeleine jedzą makaron z serem. Lucy go uwielbia, ale dzisiaj się krzywi i kręci nosem, naśladując Madeleine. Czemu dzieci dobierają sobie najbardziej nieodpowiednich przyjaciół? Chyba napiszę o tym dziś wieczorem, oczywiście zmieniając imiona. Mój blog jest jak wygłodniała bestia, którą trzeba karmić coraz większymi porcjami jedzenia.

Na uniwersytecie marzyłam, że zostanę poważną dziennikarką, kolejną Marie Colvin czy Kate Adie, i będę pisała relacje z zagruzowanych ulic Bagdadu albo przeludnionych obozów uchodźców w Afryce Północnej. Nie wiem, kiedy moje ambicje umarły. Choć z drugiej strony trudno się temu dziwić. Zawsze byłam osobą, która i owszem, spełniała oczekiwania, ale ich nie przekraczała.

Kiedy zaczęłam pisać bloga, chciałam, żeby był zabawny, z jajem, może nawet kontrowersyjny. Myślałam, że mając doświadczenie w marketingu i public relations, będę w stanie wpływać na opinie i stworzyć markę, ale w rzeczywistości spędzam czas na pisaniu dziwacznych opowieści o mojej niedoskonałej rodzinie i ach-jakże-szczęśliwym małżeństwie.

Czytałam niedawno, że przeciętna mama blogerka ma trzydzieści siedem lat, dwoje dzieci, lewicujące przekonania, jest społecznie świadoma i kupuje produkty ekologiczne. To właśnie ja! Jestem banałem. Mój blog podsumowuje moje życie - bezpieczne, niekontrowersyjne i płytkie.

Sprzątam kuchnię i łazienkę, potem szykuję sobie kolację, czyli resztki z kolacji dzieci. Jack dzwoni do mnie z Old Trafford, gdzie Manchester United gra z Tottenham.

- To jeden z meczy tej rundy - mówi podekscytowany. - Myślę, że nowy program jest zaklepany.

- Nie mów tak, żeby nie zapeszyć.

Śmieje się i prosi o przysługę. Zostawił wizytówkę w innej marynarce. Czy mogę ją dla niego znaleźć?

Idę z telefonem na górę i szukam w jego garderobie. Jack wydaje na ciuchy więcej pieniędzy niż ja. Ma trzy garnitury od Paula Smitha i dwa tuziny koszul. Przeszukując kieszenie, natykam się na złożoną kartkę papieru. Jest na niej odręcznie napisany numer komórki, a obok odcisk pomalowanych warg. Żadnego imienia.

Dalej przeszukuję kieszenie, aż znajduję wizytówkę.

- Czy o to ci chodziło? - pytam, gdy już przeczytałam Jackowi numer.

- Dzięki, kotku.

- Znalazłam też inny numer. Na świstku papieru... ten z odcisniętymi wargami. Bez imienia.

- Ach, to - mówi Jack bez chwili wahania. - Jakaś kobieta wsunęła mi do kieszeni w pubie. Chyba myślała, że jestem sławnym piłkarzem.

- I zachowałeś jej numer?

- Niby po co? Po prostu zapomniałem o tej kartce, dlatego

została w kieszeni. Jesteś zazdrosna?

- Nie.

- A powinnaś - zaczyna się ze mną droczyć. - Miała najwyżej dwadzieścia pięć lat.

- Ty stary lubieżniku.

- Chciała pracować w telewizji.

- Wszystkie tego chcą.

Jack śmieje się i zanim się wyłączy, przesyła mi całusy i uściski. Patrzę na świstek papieru, zgniatam go i wrzucam do kosza.

Nie mam nic przeciw temu, że Jack czasami traktuje mnie jak swoją dziewczynę, bo to bywa podniecające. Mieliśmy zwyczaj umawiać się na wieczorne randki, udając kogoś innego. On bywał pilotem, a ja pogodynką, spotykaliśmy się w barze, gdzie jedno z nas przejmowało inicjatywę i podrywało to drugie. Któregoś razu udawałam zwariowaną fankę.

- O Mój Boże, Jack Shaughnessy, to pan, prawda?

- No tak - odparł.

- Występuje pan w telewizji. Kocham pański głos. Niech pan powie coś seksownego.

- Na przykład?

- Wystarczy. Jezu, od razu się rozplątuję. Jack Shaughnessy, a niech mnie! Co pan tu robi?

Gawędziliśmy tak ze dwadzieścia minut i wyszliśmy razem. Podręcznikowy podryw. Personel baru był pod wrażeniem.

Kiedyś uwielbiałam nasze wieczorne randki, a także to, że Jack pisywał mi cudne liściki i zostawiał je w różnych miejscach, na przykład w kuchence mikrofalowej, w kieszeni płaszcza albo wsadzał je do moich kaloszy:

Najdroższa żono, Twoje cycki są najlepsze.

Albo pisał:

Ten kupon jest na ekstrawyjatkowy masaż stóp.

Tak, miał ukryty motyw, ale nie musiał się tak starać.

Takie wspomnienia budzą we mnie wdzięczność, a także złość.

Jak mogłam wątpić w Jacka! To ja zламаłam naszą przysięgę.

AGATHA

Satelitarny obraz jest niewyraźny, chwilami znika, za to głos dochodzi wyraźnie. Hayden jest ubrany w niebieski kombinezon, siedzi w małym pokoju z mapami i wykresami na ścianie. Czy to broda? Fuj!

- Widzisz mnie? - pytam z nadzieją, że skomentuje moją nową sukienkę albo wysiłek, jaki włożyłam w makijaż.

- Taa - odpowiada, nawet nie patrząc na ekran. - O co chodzi z tą twoją ciążą?

- Czy to nie wspaniałe?

- Jak to się stało?

- Naprawdę nie wiesz, głuptasie?

- To znaczy kiedy się dowiedziałas?

- Okres mi się spóźnił, ale mam tak często. Potem jednak nasikałam na test. Chcesz go zobaczyć? Zachowałam go. - Macham testem przed ekranem. - Różowy kolor oznacza, że jestem w ciąży.

- W którym miesiącu?

- Mam termin na początku grudnia.

- To moje?

- Co?

- Dziecko... czy jest moje?

- Oczywiście, że twoje. Kocham cię.

- Od siedmiu miesięcy jestem na morzu.

- A ja jestem w ósmym miesiącu ciąży. To się stało wtedy, kiedy byłeś tu, w Londynie, i bzykaliśmy się jak króliki.

- Mówiłaś, że bierzesz pigułkę.

- A ja cię pytałam, czy używasz gumki, bo spóźniłam się parę

dni z pigułką. Powiedziałaś, że nie lubisz gumek.

- Czemu mi wcześniej nie powiedziałaś?

- Próbowałam, ale nie odpowiadałaś na moje wiadomości. Wysyłałam ci mejle i listy, pisałam do ciebie na Facebooku. Nie odpowiadałaś.

- Nie wspominałaś o dziecku.

- Nie chciałam tego robić w ten sposób. To sprawa osobista. Mam zdjęcie USG. Chcesz zobaczyć?

Hayden bierze głęboki oddech i wzdycha, gapi się na sufit, jakby czekał na znak z niebios albo liczył na niebiańską interwencję.

- Czego ode mnie oczekujesz? - pyta.

- Nie tego, że się ze mną ożenisz, ani nic tak głupiego.

- To po co mi to wszystko mówisz?

- Myślałam, że wolałbyś wiedzieć. Jeśli nie chcesz mieć ze mną do czynienia, zaakceptuję to, ale dziecko jest tak samo twoje jak moje.

Hayden patrzy na ekran i kręci głową.

- Nie chcę dziecka.

- Cóż, trochę na to za późno. - Wstaję, odwracam się bokiem do ekranu i przesuwam dłońmi po brzuchu. - To jest prawdziwe.

On znów odwraca wzrok.

- Wiem, myślisz, że tak nagle z tym wyskakuję - mówię - ale próbowałam ci to powiedzieć. Pisałam prawie codziennie, ale byłeś na mnie zły i chciałeś, żebyśmy zrobili sobie przerwę.

- To nie była przerwa. Zerwaliśmy ze sobą.

- Popełniłam głupstwo, przeglądając twoje mejle, ale czy naprawdę nie widzisz, że kiedy to robiłam, już musiałam być w ciąży? Moje hormony szalały.

- I to jest twoja wymówka.

- To prawda.

Hayden odsuwa się od ekranu.

- Chryste! Nie chcę mieć z tym nic do czynienia!

- Możemy porozmawiać, jak wrócisz do domu.

- Nie! Trzymaj się ode mnie z daleka.

- A co z dzieckiem?

- Jak je chcesz, to sobie urodź.

- Proszę, Hayden, nie bądź taki okrutny.

- Ja się na to nie pisałem. Powinnaś się była go pozbyć.

- Co?

- Zrobić aborcję.

- Nie!

- Nie kontaktuj się ze mną więcej. Zrozumiałaś?

Ekran gaśnie. Stukam w klawisze, ale obraz Haydena nie wraca.

Nie chcę płakać, mówię sobie, że Hayden może jeszcze zmienić zdanie. Teraz myśli, że jestem jedną z tych dziewczyn, które kręcą się wokół koszarów marynarki z nadzieją, że złapią faceta w mundurze. Myli się. Ja go kocham. I zamierzam mu pokazać, jaką będę wspaniałą matką. Nie minie wiele czasu, kiedy Hayden przede mną przyklęknie i będzie błagał, żebym za niego wyszła, a za trzydzieści lat będziemy się z tego śmiać i rozmawiać o naszych wnukach.

Puka Jules. Pewnie czekała pod drzwiami, chce wiedzieć, co powiedział Hayden. Wpuszczam ją. Patrzy na mnie z nadzieją, gotowa do współczucia.

- I co? Jak poszło? Cieszył się?

- Był w siódmym niebie.

- Mówiłam ci, że tak będzie. - Śmieje się, tańczy wokół pokoju, trzęsąc swoimi krągłościami.

- Prosił, żebym za niego wyszła - mówię.
- Nie, no co ty!
- Noo.
- Czemu nie odpowiadał na twoje wiadomości?
- Powiedział, że bał się, że się we mnie zakochał.
- Jakie słodkie. Co mu odpowiedziałaś?
- Powiedziałam, że muszę to przemyśleć.
- Głupia krowa! Czemu nie powiedziałaś „tak”?
- Kazał mi czekać. Teraz ja każę mu czekać.

Jules chce znać wszystkie szczegóły - co powiedział Hayden, co ja powiedziałam. Wymyślam całą rozmowę, a ona nie kwestionuje żadnego z moich słów.

- Gdzie jest teraz Hayden?
- Płyną do Kapsztadu.
- Może kupi ci pierścionek zaręczynowy w Afryce Południowej.

Mają tam najlepsze brylanty.

- Nie chcę pierścionka z brylantem.
- Ależ chcesz. Wszystkie dziewczyny kochają brylanty. Wróci do domu na poród?

- Nie.
- Powinien z tobą być.
- Nic nie szkodzi. Urodzę w Leeds.
- Przecież nie znosisz matki.
- Miałyśmy lepsze i gorsze chwile. - Wzruszam ramionami. -

Potrzebuję kogoś, kto ze mną będzie podczas porodu, a ona tego chce.

- Szkoda, że nie mogę z tobą być - mówi Jules. - Ale mam jeden mały problem. - Wskazuje na swój brzuch.

Ściskam ją.

- Zawsze mogę sobie pożyczyć Kevina.

- Jest bezużyteczny, wierz mi. Kiedy pojedziesz na północ?
- Bliżej terminu.

Jules wie wszystko o mojej rodzinie. Nie zna całej historii, ale dość, żeby rozumieć moją miłość-nienawiść do matki. Mówi, że powinnam wyciągnąć do niej rękę i pogodzić się z nią, ale moim zdaniem niektóre mosty trzeba spalić i szkoda tylko, że nie ma na nich w tym momencie pewnych ludzi.

MEGHAN

W domu panuje cisza. Dzieci śpią. Od godziny prasuję przed telewizorem, uskładałam już niezły stos pościeli i powiesiłam na kłamce kolekcję słodko pachnących koszul. Lubię ten rygor i dyscyplinę związane z prasowaniem, czuję, że dzięki temu trzymam chaos na dystans choćby w jakimś drobnym domowym zakresie.

Od czasu do czasu zerkam na schody i nasłuchuję płaczu albo wezwania. Lucy śpi przy zapalonej lampce. Nie ma koszmarów ani nie boi się ciemności, ale lubi wiedzieć, gdzie jest, kiedy budzi się w nocy.

Jacka wciąż nie ma. Zazwyczaj dzwoni, gdy ma się spóźnić. Nie odebrał, kiedy dzwoniłam do niego na komórkę, a w jego biurze powiedzieli mi, że wyszedł parę godzin temu. Nowy program nie daje mu spokoju. Mają już tytuł: „Celne słowa! Celny strzał!”. Ale on wciąż nie wie, kto będzie gospodarzem. Prowadzone są przesłuchania innych prezenterów, i to nie byle kogo, na przykład Simona Kidda, mężczyzny, z którym spałam i którego rozpaczliwie próbuję zapomnieć. Jack i Simon zawsze ze sobą rywalizowali, ale to nie ma znaczenia, kiedy są na korcie tenisowym czy polu golfowym, czy grają w Trivial Pursuit. Tym razem sprawa jest naprawdę poważna. Jeśli Simon dostanie tę pracę, to nie wiem, jak zareaguje Jack.

Raz jeszcze dzwonię na jego komórkę, ale od razu przełącza mnie na pocztę głosową. Zostawiam kolejną wiadomość:

Jack, to ja. Gdzie jesteś? Martwię się. Zadzwoń, proszę.

Jestem już w łóżku, kiedy Jack wreszcie wraca do domu. Słyszę, jak kładzie na stoliku kluczyki od samochodu i zrzuca buty.

Otwiera lodówkę, wyjmując piwo. Jakaś część mnie chce zgasić światło i udawać, że śpię.

Zamiast tego schodzę na dół. Jack jest w ogrodzie, siedzi na huśtawce Lucy z butelką piwa. Siadam obok, odpycham się stopami w kapciach.

- Jechałeś samochodem?

- Nie. - Poluzowałem krawat i do połowy rozpiąłem koszulę. - Nie dostałem tej roboty.

- Dali ją Simonowi?

- Nie.

- Komu?

- Becky Kellermann. Pracuje w jednym z kanałów lifestyle'owych.

- Ona ma w ogóle pojęcie o sporcie?

- Dobrze wygląda w kamerze.

- To takie niesprawiedliwe.

Jack marszczy czoło.

- Ten cały program to mój cholerny pomysł. Ja to wszystko wymyśliłem, całą ideę i tytuł. Wymyśliłem nawet hasło promocyjne: „Prosto z ust”.

- Przynajmniej nie Simon - stwierdzam.

- Czemu tak mówisz?

- Wiem, jak ze sobą rywalizujecie.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Nieważne. Zapomnij, że to mówiłam.

Siedzimy przez chwilę w ciemności. Chcę go zapytać, o czym myśli, ale boję się tego, co mógłby odpowiedzieć. Był taki czas, kiedy dużo rozmawialiśmy, dzieliliśmy się myślami. Teraz Jack więcej mówi bez słów.

- Przykro mi, że nie mogę ci pomóc. - Wyciągam rękę i ujmuję

jego dłoń. – Wiem, że to żadne pocieszenie, ale uważam, że jesteś świetny, a oni są szaleni, skoro nie zatrudnili cię jako prowadzącego.

Jack odwraca moją dłoń i całuje ją.

– Martwisz się czasem o różne rzeczy?

– Na przykład?

– O pieniądze?

– Nie jesteśmy biedni.

– Będziemy potrzebowali większego samochodu i kolejnej sypialni.

– Ten dom jest dość duży.

– A jeśli trójka dzieci to za dużo? Jeśli już nie znajdziemy dla siebie czasu?

To pytanie mnie zaskakuje, nagle czuję, jakby język napęczniał mi w ustach.

– Nie chcę cię stracić – szepcze Jack. – Nigdy.

– Więc nigdzie się nie wybieraj – odpowiadam cicho z nadzieją, że zabrzmiało to przekonująco.

Jack rzuca mi pełne wyrzutów spojrzenie.

– Zazdrozczę ci.

– Czego?

– Potrafisz znaleźć jakiś pozytyw w każdej sytuacji. Nie wpadasz w depresję. Nie masz wątpliwości.

– Każdy ma wątpliwości.

– I posiadasz ten niezwykły rodzaj uczciwości. Niczego nie ukrywasz. Wszystkim pokazujesz się taka, jaka jesteś, a oni cię za to kochają.

Mój głos się łamie, kiedy zmieniam temat:

– Jesteś głodny?

Jack kręci głową.

Wstaję i mocniej otulam się szlafrokiem.

- Idę do łóżka. Ty też?

- Jeszcze nie.

- Nie siedź długo.

Wsuwając się pod kołdrę, zamykam oczy, ale nie mogę zasnąć. Leżę i próbuję zrozumieć przygnębienie Jacka. Wiem, że szaleje na punkcie Lucy i Lachlana, i wciąż uważam, że szaleje też na moim punkcie, ale każde z nas inaczej podchodzi do życia. Jack oczekuje problemów, martwi się na zapas, szykuje się na najgorsze i przygotowuje środki, żeby sobie z tym poradzić. Ja rozwiązuję problemy, kiedy się pojawiają, raczej się przystosowuję, niż walę głową o ścianę.

Jeśli Jack w ten sposób reaguje na utratę zawodowej szansy, jak zareagowałby, gdyby się dowiedział, że spałam z Simonem? Nigdy nie może się tego dowiedzieć.

Nigdy.

AGATHA

Rodzice Haydena mieszkają w Colindale, w północnym Londynie, w jednym z tych powojennych domów z pokrytą drobnymi kamyczkami fasadą i małym ogródkiem od frontu. Jedno piętro, okno wykuszowe, porządne grządki kwiatowe. Róże kwitną późno.

Państwo Cole'owie się mnie spodziewają. Zapowiedziałam się telefonicznie, a pan Cole zaoferował się, że odbierze mnie ze stacji, ale powiedziałam, że chętnie się przespaceruję. Mam na sobie jedną z moich najładniejszych sukienek, w kształcie litery A, z działu z ubraniami dla przyszłych mam, z krótkimi kimonowymi rękawami i okrągłym wycięciem pod szyją. Jest trochę zbyt krótka i falbaniasta na spotkanie z teściami, ale chcę, żeby mnie zobaczyli jako swoją przyszłą synową, a nie kogoś, kto przymierza się do tego, by zostać amiszem.

Znajduję ich dom. Dzwonię do drzwi, które natychmiast się otwierają. Pani Cole wita mnie promiennym uśmiechem. Wygląda jak oszczędna gospodyni domowa z trudnych lat pięćdziesiątych, która szyje, piecze i organizuje na swojej ulicy imprezę z okazji królewskich urodzin. Mąż stoi za nią w holu, jego łysina lśni pod miniaturowym żyrandolem. Trochę mnie to martwi, bo nie wyobrażałam sobie Haydena z łysiną.

Pan Cole pracuje na poczcie. Ma dziwnie brzmiący tytuł, ale myślę, że sortuje paczki albo stempluje listy. Mama Haydena jest nauczycielką w szkole dla głuchych i zna język migowy. To dlatego, że młodszy brat Haydena jest głuchy. Być może jest też niemową, choć wydaje mi się, że ludzie już nie posługują się tym określeniem. Starsza siostra Haydena wyszła za mąż i mieszka

w Norfolku. Nie pamiętam, czy ma dzieci.

Po przywitaniu prowadzą mnie do pokoju, który nazywają salonem, gdzie przysiadam na skraju sofy ze skromnie złączonymi kolanami. Wszystko tam wydaje się do siebie pasować, ten sam kwiatowy wzór jest na zasłonach, poduszkach i koszu na papier. Podają kawę i ciasto. Umieram z głodu, ale jestem na diecie.

- Na pewno nie zje pani ciasta? - pyta pani Cole.

- Nie, dziękuję.

Oboje zauważają, że jestem w ciąży, ale ja o tym nie napomykam, zamiast tego rozmawiamy o pogodzie, podróży pociągiem i jak bardzo lubimy ciasto cytrynowe.

- Nie wiem, czy Hayden wspominał państwu o mnie - mówię, kiedy rozmowa zaczyna się urywać.

- Bardzo niewiele - odpowiada pani Cole, zerkając na męża.

- Cóż, Hayden i ja poznaliśmy się w styczniu, kiedy on był na łodzi. Pewnie zastanawialiście się państwo, czemu nie wracał na noc do domu. Nocował u mnie.

Oni nadal siedzą na skraju foteli, nie reagują.

Co mam zrobić, narysować im wykres? - myślę trochę już zdesperowana.

Z kieszeni płaszcza wyjmuję chusteczkę i wydmuchuję nos.

- To dla mnie bardzo trudne - mówię. - Nie zawracałabym państwu głowy, ale Hayden nie zostawił mi wyboru. Nie odpowiada na moje mejle. Rozmawiałam z nim przed tygodniem i on... on... nie znajduję słów.

Pani Cole kładzie dłoń na moim kolanie.

- To dziecko Haydena?

Kiwam głową i szlocham jeszcze głośniej.

Zapada cisza. Pan Cole wygląda, jakby wolał mieć badanie prostaty, niż siedzieć w tym salonie i rozmawiać ze mną. Płaczę

teraz cichutko. Przepraszam i rozmazuję tusz na policzkach.

Pani Cole siada obok mnie na kanapie i otacza mnie ramieniem.

- Co powiedział Hayden?

- Powiedział, że nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Ani z dzieckiem. Że powinnam była zrobić skrobankę, ale teraz jest na to za późno, a poza tym to jest niezgodne z moją religią. Nie mam nikogo innego, do kogo mogłabym się zwrócić. Moja mama nie żyje.

- Nie żyje?

- Dla mnie tak - poprawiam się. - Dla mnie nie żyje. Prawie ze sobą nie rozmawiamy.

- Biedactwo - mówi pani Cole. - Przynieś więcej chusteczek, Geraldzie.

Gerald podskakuje i robi kółko, nim ruszy do kuchni. Kiedy przynosi mi chusteczki, wydmuchuję znów nos i wycieram oczy. Pani Cole zadaje mi oczywiste pytania, to znaczy kiedy mam termin i czy byłam u lekarza. Pokazuję jej zdjęcia USG.

- Och, spójrz, Geraldzie. Wszystko widać. Paluszki u rąk i nóżek.

- Jest zdrowy - mówię.

- To chłopiec?

- Tak.

Po dwudziestu minutach rozmawiamy jak matka i synowa o szpitalach, o porannych nudnościach i środkach przeciwbólowych podczas porodu. Pani Cole przynosi album z rodzinnymi zdjęciami i pokazuje mi zdjęcia Haydena z dzieciństwa.

- Był z niego klocek. Ponad cztery kilo - mówi. - Musieli mi założyć szwy. - Gdy się wzdrygam, klepie mnie po kolanie i dodaje: - Nie martw się. Jesteś zbudowana do rodzenia dzieci. Ja

byłam chudziutka, prawda, Geraldzie?

Pan Cole nie odpowiada.

Pani Cole pyta, gdzie mieszkam i jak sobie radzę. Mówię jej o Jules i cudownej grupie matek, które spotykają się w każdy piątek rano na kawie naprzeciw Barnes Green. Potem oglądam fotografie Haydena jako kilkulatka, chłopca, który zaczyna szkołę, i wreszcie pryszczatego nastolatka. Zostaję oprowadzona po jego sypialni i dowiaduję się, jak zdobył wszystkie swoje sportowe trofea.

Zapada zmierzch. Pani Cole nalega, żebym została na kolację, sadza mnie u szczytu stołu. Najwyraźniej pierwszy wnuk jest dla nich ważny. Siostra Haydena nie została błogosławiona, mówi pani Cole, i nakłada mi dodatkowe porcje na talerz.

Ich głuchy syn Regan przez całe popołudnie chował się w swojej sypialni, a podczas kolacji gapi się na mnie i na migi zadaje pytania matce, która też odpowiada mu na migi. Odnoszę wrażenie, że rozmawiają o mnie, co jest denerwujące. Słyszałam, że ludzie, którzy tracą jeden zmysł, na przykład wzrok czy słuch, czasami ponad miarę rozwijają inne zdolności. A jeśli Regan potrafi czytać w moich myślach?

Kiedy talerze są już puste i sprzątnięte, wracamy do salonu. Pan Cole zapala gazowy kominek i siada obok mnie na sofie. Myślę, że poczuł do mnie sympatię, a może to wpływ trzeciej sherry, którą sobie nalał, kiedy pani Cole nie patrzyła.

- Gdzie zamierzasz urodzić? - pyta.

- W Leeds, gdzie mieszka moja matka.

- Mówiłaś, że dla ciebie nie żyje.

- Tak, ale chcę się z nią pogodzić. Dzisiejszy przyjazd do was to dla mnie wielki krok, i byliście państwo tacy mili. Teraz wiem, że mogę się z mamą pogodzić.

- Więc pojedziesz na północ?

- Uhm. Miałam nadzieję, że Hayden ze mną będzie... -
Zawieszam głos.

Pan Cole klepie mnie po kolanie i mówi:

- Słusznie zrobiłaś, że do nas przyjechałaś. Nie martw się naszym Haydenem. Już ja dopilnuję, żeby zrobił, co trzeba.

Ocieram kolejną łzę. Tak łatwo mi przychodzą.

- Nie chcę, żeby myślał, że po to urodzę dziecko, by go do czegoś zmusić. Żeby ze mną został czy mnie pokochał. Przecież ja go nie proszę, żeby się ze mną ożenił. - Biorę pana Cole'a za rękę i kładę ją na swoim brzuchu. - Czuje pan?

Niepewnie kiwa głową.

- Dużo się rusza?

- Cały czas.

Pani Cole dołącza do nas ze świeżą herbatą i ciastem cytrynowym.

- Hayden musi jeszcze dorosnąć - mówi, odkrawając mi kawałek ciasta. - Ale to dobry chłopiec. Jestem pewna, że kiedy z nim spokojnie porozmawiam, będzie o wiele bardziej otwarty i pomocny. A do tego czasu czy czegoś potrzebujesz, Agatho? -
Gdy z wahaniem kręcę głową, dopytuje: - Jesteś pewna?

- Cóż, trochę chorowałam i opuściłam wiele zmian w pracy. Niedługo muszę zapłacić za wynajem mieszkania i...

- Ile płacisz?

- Naprawdę państwo nie muszą...

- Ile?

- Parę setek.

- Czy to wystarczy?

- Gdybym miała pięćset, mogłabym zapłacić wszystkie rachunki, prąd i gaz.

- Na pewno tyle znajdziemy - mówi pan Cole. - I nie przejmuj się naszym Haydenem. Już my go ustawimy.

Tego samego wieczoru dzwoni do mnie Hayden. Spodziewam się, że będzie na mnie zły, bo nie uprzedzając go, pojechałam do jego rodziców, ale jest słodki jak nie on. Udaję trochę urażoną i nie przyjmuję przeprosin. Obraz satelitarny jest wyraźniejszy niż poprzednim razem. Hayden powtarza, że jest mu przykro i że nie chciał mnie skrzywdzić. Powoli łagodzę ton, ale zadaję sobie pytanie, czy on nie robi tego pod przymusem.

- Wiem, że wciąż przyzwyczajasz się do tej myśli - mówię. - Będziesz świetnym tatą.

Hayden mruży oczy.

- Posłuchaj, Agatho...

- Mów do mnie Aggy.

- Okej, Aggy. - Kołysze się naprzód. - Przyjmuję, że prawdopodobnie jestem ojcem...

- Jesteś.

- I szanuję twoją decyzję, żeby urodzić dziecko.

- Dziękuję.

- Ale nie zamierzam się z tobą żenić.

- Nie prosiłam, żebyś się ze mną ożenił. O nic cię nie prosiłam.

- Wiem, wiem. Rozmawiałem z rodzicami. Uświadomili mi, że powiedziałem nie to, co trzeba. To znaczy byłem w szoku, gdy usłyszałem o dziecku.

- Nie musisz mi mówić - odpowiadam, chichocząc nerwowo.

- Miałem czas, żeby pomyśleć i podjąć jakieś decyzje.

- Z radością będę sama wychowywać dziecko, jeśli tak zdecydowałeś, ale jeśli chcesz brać udział w jego wychowaniu, masz do tego prawo. Bo jakie to byłoby okropne, gdybyś chciał mieć dziecko, a ja bym przed tobą ukryła, że zostaniesz ojcem? -

Hayden kiwa głową z powagą, a gdy cisza się przeciąga, zmieniam temat: - Twoi rodzice są mili.

- Nie mają żadnych wnucząt.

- Z przyjemnością pozwolę im, żeby mi pomogli. Nie chodzi o pieniądze. Ale kiedy dziecko się urodzi, będę miała problem z płaceniem za mieszkanie. Poza tym są inne wydatki...

- Ile potrzebujesz?

- Jeśli to zgłoszę gdzie trzeba, każą ci płacić alimenty.

- Ile?

- Sto funtów tygodniowo.

Hayden zaciska powieki.

- Dobrze. Kiedy masz termin?

- Na początku grudnia, ale może być szybciej.

- Nie wrócę do domu do Bożego Narodzenia.

- W porządku. Moja matka będzie ze mną przy porodzie. -

Pokazuję mu zdjęcie USG. - Widzisz?

Hayden zbliża się do ekranu.

- Tu jest główka, a tu małe rączki i nóżki. Jest cały skulony.

- To chłopiec?

- Uhm. Hej! Chcesz mnie zobaczyć? - Wstaję i odwracam się bokiem do kamery, unoszę suknię i głaszczę brzuch. - Duży balon, co? Powinieneś zobaczyć moje cycki. Jak gwiazda rocka.

- Szkoda, że mnie tam nie ma, pobawiłbym się nimi - mówi Hayden.

- Bezczelny draniu - mówię, siadając. Przesuwam ręce wyżej, na piersi. - Są całkiem duże.

- Zawsze były całkiem duże.

- Chcesz je zobaczyć?

Ogląda się przez ramię.

- Ktoś może przypadkiem spojrzeć.

- Tylko zerknij.

Opuszczam górę sukni i przesuwam miseczki stanika. Hayden wybałusza oczy.

- Sutki mam bardzo wrażliwe. Czuję, jak materiał się o nie ociera. Strasznie jestem przez to napalona.

- Lepiej je zakryj - mówi schrypniętym głosem.

Odsuwam się z krzesłem od ekranu i podciągam wyżej spódnicę, rozsuwam i zsuwam nogi. Hayden wygląda, jakby chciał przeczołgać się przez ekran.

- Nie mam na sobie majtek.

Hayden wstrzymuje oddech. Głośno stęka. Biedny chłopiec. Od siedmiu miesięcy na morzu. Poprawia coś na kolanach.

- Dotykasz się? - pytam, uśmiechając się do niego. - Szkoda, że mnie tam nie ma. Zrobiłabym to za ciebie. Jestem taka samotna. Gdybym tam była, przesunęłabym palcami po twoich udach, do góry, coraz bliżej. O tak, chciałbyś tego?

Hayden chrapliwie oddycha.

- Powiedz to.

- Tak.

- Co tak?

- Chciałbym tego.

Wsuwam rękę pod suknię.

- Och, szkoda, że cię tu nie ma. Pozwoliłabym, żebyś mnie pieprzył i zrobił mi drugie dziecko. - Rozsuwam szerzej uda. - Czuję cię. Czuję cię w sobie. Taki duży. Taki twardy... o tak, tak, jeszcze twardszy... Chcę, żebyś mnie dotykał. Proszę, Hayden, proszę. Wypełnij mnie. Pieprz mnie... tak... tak... Mocniej.

Słyszę jęk i głos mężczyzny, który po trochu umiera.

Oczy Haydena są szkliste, powieki ma ciężkie. Z przerażeniem patrzy w dół.

- Porozmawiajmy znów niedługo, kochanie - mówię.
On nie odpowiada.

MEGHAN

Przeoglądam na strychu stare dziecięce ubranka, żałując przy tym, że nie oznakowałam pudeł, tylko wrzucałam do nich wszystko jak leci.

Powinnam wystawić część tych rzeczy na eBayu. Mam pełną kolekcję DVD „Seksu w wielkim mieście” i „Prezydenckiego pokera”. Mogą być coś warte. Czy ludzie kupują jeszcze DVD? A co z butami narciarskimi z second-handu?

Słyszę dzwonek. Czemu ludzie zawsze dzwonią do drzwi, kiedy jestem na górze? Manewrując między okruchami masy plastycznej play-doh i porzuconymi klockami lego na schodach, docieram do drzwi frontowych. Lepiej, żeby to nie był domokrążca.

Otwieram zasuwkę. Zza ogromnego bukietu róż, które po drodze straciły płatki, uśmiecha się do mnie Simon Kidd.

- Cześć, Meg.

Nie odpowiadam, ale serce mi wali jak bęben.

- Kupiłem to dla ciebie - mówi niewyraźnie.

- Jesteś pijany?

- Jadłem długi lunch.

- Jacka nie ma w domu.

- Wiem. Musimy pogadać.

- Nie! Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

- Chodzi o dziecko.

Serce mi zamiera. Próbuję zamknąć drzwi, ale on robi krok naprzód i opiera o nie rękę.

- Dzwoniłaś do mnie i pytałaś, czy tamtej nocy używaliśmy gumki.

- To nieważne.

- Gumka pękła.

- Co?

- Pękła. Nie powiedziałem ci, bo... Nie myślałem, że to... -
Patrzy mi w oczy, jakby miał nadzieję, że dokończę zdanie.

Jestem zszokowana, ale mu tego nie pokażę.

- Masz rację, to bez znaczenia. Odejdź, proszę.

- Myślałem o tobie.

- Co?

- O tamtej nocy.

- Chryste, Simon! To był tylko seks. Przygoda na jedną noc.
Nawet nie to. Raczej błąd. Żenujący błąd.

Simon robi nieszczęśliwą minę.

- Dla mnie to było coś więcej.

- Co masz na myśli?

Simon spuszcza wzrok, patrzy na kwiaty, szepcze:

- A jeśli dziecko jest moje?

- Nie jest.

- Nie wiesz, czy jest Jacka.

- Wiem.

- Gdybyś wiedziała, nie pytałabyś mnie, czy używaliśmy gumki.

- To dziecko Jacka, okej? Nie chcę więcej o tym mówić.

Umówiliśmy się.

- Muszę wiedzieć, czy jest moje.

- Co?

- Muszę to wiedzieć. - Simon patrzy na mnie jak zagubiony
szczeniak.

Z mojego gardła dobywa się dziwny bulgot jak nie z tego
świata.

- Czemu chciałbyś ryzykować moje małżeństwo, swoją przyjaźń

z Jackiem?

- Chcę... Pragnę cię... - Urywa gwałtownie. - Chcę być ojcem.

- Świetnie. Poproś Ginę o rękę. Przerznij ją. Mnie w to nie mieszaj.

- Nie rozumiesz.

Podnoszę głos.

- Nie! To ty nie rozumiesz! To mój dom! Moja rodzina. Noszę dziecko Jacka. Nie masz prawa tu przychodzić i zadawać mi tych wszystkich pytań.

Teraz już płaczę, to łzy złości i irytacji. Pragnę uderzyć Simona, zrobić mu krzywdę. Ale najbardziej chcę, żeby sobie poszedł. Simon cofa się, a ja zatrzaskuję drzwi, obracam klucz w zamku i opieram się o ciężkie drewno. Osuwam się na podłogę, siadam na wycieraczce, moje ramiona drżą. Jestem przerażona tym, co zrobiłam. W mojej rodzinie nie ma pozamałżeńskich wyskoków. Nie pozwalamy sobie na przygody ani szalone romanse. Oparta o zimne drzwi, ze zgiętymi w kolanach nogami, gapię się na błyszczącą drewnianą podłogę.

A jeśli Jack się dowie? A jeśli to dziecko Simona?

Byłam głupia, ale nie zasługuję na ten kłopot. Jestem dobrą żoną. Kocham Jacka. Za jeden głupi błąd nie powinna mnie spotkać kara.

AGATHA

Już prawie tydzień nie widziałam Meg. Nie pojawiła się na spotkaniu grupy matek dziś rano i nie przyszła do supermarketu. Jej ostatni wpis na blogu pochodzi sprzed dziesięciu dni, nie polubiła ani nie potwierdziła odbioru żadnego z komentarzy.

Dziś po południu chciałam na nią zaczekać przed przedszkolem Lachlana, ale pan Patel mnie zatrzymał, bo mieliśmy dostawę. Musiałam spisać wszystkie pudła, bo on jest przekonany, że dostawcy nas oszukują.

W końcu pozwala mi wyjść. Odpinam plakietkę z moim imieniem, zdejmuję fartuch i rzucając je w to samo miejsce co zwykle, potem śpieszę przez Barnes Green, mijam staw i kościół, skręcam w lewo i w prawo, aż docieram na Cleveland Gardens.

Samochód Meg stoi przed domem. Zasłony w oknach od frontu są odsunięte, ale nikogo nie widzę w środku. Kieruję się na Beverley Path, a stamtąd aż do przejścia podziemnego, potem przechodzę przez ogrodzenie i idę wzdłuż torów. Kiedy znajduję się na wysokości właściwego domu, przedzieram się przez krzewy i wspinam się na moje ulubione zwalone drzewo. Przed drewnianym domkiem leżą zabawki, ale drzwi balkonowe są zamknięte i nikogo nie widać na dole.

Rozważam, czy nie zadzwonić na telefon stacjonarny. Tylko co bym powiedziała? Nie mogłabym tak po prostu się rozłączyć, gdyby odebrała Meg. Ale przynajmniej wiedziałabym, że tam jest. Wyjmuję komórkę i szukam numeru. Mój kciuk zawisa nad zielonym przyciskiem. Zerkam znów na dom i zauważam cień przemykający za zasłoną na piętrze. Czekam, obserwuję z nadzieją, że się pojawi.

A oto i ona! Ogarnia mnie ulga. Jest zdrowa. Jest w ciąży. Doskonale. Jest w kuchni, otwiera lodówkę, wyjmując z niej różne rzeczy. Uspokajam się i opieram o pień drzewa. Znowu jestem szczęśliwa, znowu mogę normalnie oddychać i marzyć.

Moją największą słabością czy wadą jest nieposkromione zainteresowanie ludźmi. Wynajduję sobie kogoś i przywiązuję się do niego, bo rozpaczliwie potrzebuję przyjaciela. Dlatego jestem taka ostrożna z Meg. Obserwuję ją z daleka, za bardzo się nie zbliżam. Znam jej rozkład dnia, znajomych, zwyczaje i rytm jej życia. Wiem, gdzie kupuje artykuły spożywcze. Znam jej ulubione kawiarnie, lekarza rodzinnego, fryzjera, młodszą siostrę i wiem, gdzie mieszkają jej rodzice – znam wszystkie koneksje, połączenia i skrzyżowania, geografię i topografię jej życia.

Myślę, że sprawdziłabym się jako szpieg, ponieważ jestem cudownie nijaka, potrafię się przystosować jak woda, mogę wyparować albo zniknąć w szczelinie, stać się tak gładka i nieruchoma, że otoczenie się we mnie odbija. Nauczyłam się tego w dzieciństwie, kiedy rzadko mnie zauważano, a jeszcze rzadziej słuchano. Mówię ludziom, że dorastałam w rodzinie zastępczej, choć to nie do końca prawda. Jeśli chodzi o moją przeszłość, CZASAMI ludzie poznają CZĘŚĆ prawdy.

Mój rodzony ojciec zniknął w dniu moich narodzin. Podrzucił moją matkę do szpitala, wrócił do domu, spakował swoje rzeczy i wyczyścił jej rachunek bankowy. Kto twierdzi, że rycerskość to przeszłość?

Do czwartego roku życia mieszkałam tylko z matką, która w tamtym czasie zaczęła studiować Biblię i została świadkiem Jehowy. Ja też musiałam nim zostać. Koniec z wakacjami, koniec z urodzinami, Bożym Narodzeniem i Wielkanocą. Za bardzo się tym nie przejęłam. Nie liczyło się, jaką religię później porzucę, ale

matka zaangażowała się w to bez reszty, ponieważ dzięki temu stała się częścią jakiejś społeczności.

Chodziłyśmy na cotygodniowe msze w Sali Królestwa, które nazywano zebraniem, i śpiewałyśmy pieśni głoszące chwałę Jehowy. Ja uczęszczałam na zajęcia z Pisma Świętego, gdzie uczono mnie „Prawdy” i tego, że reszta społeczeństwa jest moralnie zepsuta i pod wpływem szatana.

W ciągu roku moja matka wyszła za mąż za jednego ze starszych zboru. Została młodą żoną, oznaką statusu męża, która płynnie przez życie w chustce od Hermesa, bezbłędna i urocza, wciąż wspinając się wyżej po szczeblach drabiny społecznej. Nie wątpię, że kochała mojego ojczyma, który zajmował się zeznaniami podatkowymi w małym biurze nad sklepem meblowym w Leeds. Rozbudzała w nim ambicje, nalegała i zachęcała go, nawiązywała kontakty, aż jego firma się rozrosła i przenieśliśmy się do większego domu.

Elijah urodził się, kiedy miałam sześć lat. Kochałam go, a on kochał mnie. Byłam dla niego jak druga matka, woziałam w wózku i karmiłam łyżeczką, kiedy siedział na wysokim krzeselku. Później go stroiłam i „braliśmy ślub” pod wierzbą w ogrodzie na tyłach domu.

W wieku trzech lat Elijah zachorował i dwa miesiące spędził w szpitalu. Matka i ojczym na zmianę sypiali przy jego łóżku i prawie się nie widywali, mijali się. Elijah wyzdrowiał. Życie płynęło naprzód. Ale moi rodzice baczniej obserwowali syna, na dziesiątki różnych sposobów okazując ciągły niepokój.

Tymczasem ja dorastałam. Elijah też rósł. Był niczym mój cień, nie opuszczał mnie na krok, zadawał mi niekończące się pytania, na które nie umiałam odpowiedzieć:

- A gdyby wieloryby umiały chodzić?

- Czy w niebie są dinozaury?
- Gdzie idzie światło, jak je gasisz?

Zwykle coś wymyślałam, a jego mała twarzyczka promieniała z radości, kiedy nauczył się czegoś nowego, nawet kompletnej bzdury. Od czasu do czasu budził we mnie złość i na niego krzyczałam. Wtedy Elijah opuszczał kąciki warg, a jego oczy były mokre od łez. Nienawidziłam się za to.

Kiedy skończył pięć lat, poszedł do szkoły. Codziennie musiałam go odprowadzać, trzymając za rękę na skrzyżowaniach. Podskakiwał w swoich nowych bucikach, chciał biec naprzód. Moje przyjaciółki mówiły, że jest słodki. Ja uważałam, że jest żenujący.

Pewnego dnia, gdy dzieci miały przynieść do szkoły coś, co zrobiły własnymi rękami, Elijah niósł zamek, który zrobił z pudełek po butach i rolek po papierze toaletowym. Potrzebował obu rąk, żeby go nieść, i ledwie widział coś ponad szczytem wieżyczek.

- Pośpiesz się. Pośpiesz się - mówił podniecony, żeby jak najszybciej dotrzeć do szkoły.

Czekał na każdym skrzyżowaniu, wiedział, że powinnam trzymać go za rękę. Kiedy już weszliśmy na jezdnię, pobiegł przed siebie, a wieżyczki kołysały się nad jego głową. Nikt dokładnie nie widział tego, co nastąpiło potem. Usłyszałam przeszywający pisk opon na asfalcie i odwróciłam głowę w momencie, gdy Elijah odbił się o maskę samochodu. Obrócił się w powietrzu i przez moment wydawało mi się, że patrzy prosto na mnie. Zamek z kartonu rozpadł się na przedniej szybie. Elijah wylądował na jezdni, jego głowa dziwnie odskoczyła. Leżał na plecach z jedną nogą skreconą pod sobą pod nienormalnym kątem. Widziałam kość wystającą przez dziurę w spodniach.

Ludzie wybiegli z pobliskich budynków i samochodów, jakby wessani na środek jezdni przez odwrotność siły wybuchu. Ułożyłam głowę Elijaha na zgiętej w łokciu ręce. Leżał, patrząc na mnie, z obsypanymi piegami nosem i policzkami i zimną mgłą przesłaniającą oczy.

- Co się stało z jego butem? - spytałam kogoś. - Nie może zgubić butów. Są całkiem nowe. Mama będzie zła.

Kierująca tamtym samochodem pani McNeil miała córkę w mojej klasie. Dowiedzieliśmy się później, że akurat były jej urodziny. Uderzyła Elijaha, jadąc blisko sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, przekraczając dozwoloną prędkość w pobliżu szkoły o ponad dwadzieścia kilometrów na godzinę, ale nigdy nie została oskarżona.

Przyjechali ratownicy medyczni, lecz nie zabrali Elijaha, tylko ogrodzili jego ciało i zasłonili. Na parę godzin zostawili Elijaha na ulicy, robili zdjęcia i rozmawiali ze świadkami. Ludzie mnie zapewniali, że to nie była moja wina, że Elijah nagle wybiegł na jezdnię.

Przyjechali moi rodzice. Ojczym zdjął okulary, ukrył twarz w dłoniach i płakał. Matka pytała:

- Gdzie byłaś, Aggy? Czemu nie trzymałaś go za rękę?

- Niósł zamek - odpowiedziałam, choć to mnie nie usprawiedliwiało.

Później ilekroć terapeuta pytał mnie, czego najbardziej oczekuję od naszych sesji, mówiłam mu:

- Że będę normalna.

- Dlaczego sądzisz, że nie jesteś normalna?

- Zabiłam brata.

- To był wypadek.

- Powinnam trzymać go za rękę.

Od dnia, kiedy zginął Elijah, stało się dla mnie jasne, że Bóg albo los dokonał złego wyboru. Jeśli moi rodzice mieli stracić dziecko, czemu nie padło na mnie? Może to brzmi melodramatycznie albo tak, jakbym czuła do siebie nienawiść, ale prawda rani boleśniej niż kłamstwa. Śmierć Elijah'a skradła mojej rodzinie cały tlen i choćbym nie wiem jak się starała, moi rodzice już nie byli w stanie swobodnie oddychać. Mogłam najlepiej zdawać egzaminy, pomagać starszym paniom przejść przez ulicę, ratować koty z drzew i leczyć raka, ale nic z tego już nie miało znaczenia. Żywy czy martwy, mój przyrodni brat nie był zdolny do żadnego zła, podczas gdy ja nie byłam zdolna do najmniejszego dobra.

Rozumiałam, że ojczym kochał mnie mniej niż Elijah'a, jednak nie rozumiałam mojej matki. Czemu opłakiwała Elijah'a, a mnie ignorowała? Miałam chęć na nią krzyczeć. Chciałam gryźć, drapać i szczypać, żeby okazała mi jakieś uczucie czy choćby mnie zauważyła, dała znać, że ja też się liczę.

Chociaż jeszcze nie zdawałam sobie z tego sprawy, Jehowa odtrącił mnie dużo wcześniej niż ja jego.

MEGHAN

Budzę się gwałtownie, serce mi wali, panika zatyka gardło jak wata. Śnił mi się mój nienarodzony jeszcze synek, który wyglądał jak kopia Simona, miał szare oczy, wystające kości policzkowe i ciemne włosy z przedziałkiem po lewej stronie. Miał na sobie pogniecioną lnianą marynarkę i męskie półbuty szkoty (w dziecięcym rozmiarze), a brodę porastał modnie przystrzyżony zarost.

Co to za żona, która idzie do łóżka z najlepszym przyjacielem męża? Nie jestem szesnastoletnią fanką na rockowym koncercie, która rzuca się na perkusistę, bo wokalista jest już zajęty. Nie jestem wygłodniałą seksu gospodynią domową, która flirtuje z domokrążcami i otwiera drzwi naga pod podomką. Zresztą nawet nie mam podomki.

Jack obraca się na łóżku i kładzie rękę na mojej klatce piersiowej. Chwyta prawą pierś. Moje serce zwalnia. Oddycham. Zamykam oczy. Odpływam. Jego ręka przesuwa się niżej, po wzniesieniu mojego brzucha w dół między uda. Przytula się do mnie. Czuję jego erekcję. Czyli jest już lepiej.

Unoszę biodra, a on ściąga mi majtki. Jego bokserki wylatują w powietrze.

- Co robi tatuś? - pyta Lucy, która staje w drzwiach z jedną ręką na klamce, w drugiej trzyma króliczka.

- Nic - odpowiada Jack, przykrywając się.

- Wracaj do łóżka - mówię jej.

- Nie jestem śpiąca.

- Zejdź na dół i pooglądaj kreskówki.

- Lachlan nasikał do łóżka.

- Skąd wiesz?

- Śmierdzi. - Marszczy nos i czeka, aż coś zrobię.

Pociągam w dół nocną koszulę i spuszczam nogi z łóżka. Jack stęka. Pochyłam się, całuję go w policzek i szepczę:

- Zaczekaj.

- Nie mogę - mówi. - O siódmej po mnie przyjeżdżają.

- Kiedy wrócisz?

- Późno.

Gdy wracam do sypialni, Jack jest już ogolony i po prysznicu. Odpowiada na mejle w telefonie. Przyjeżdża samochód, Jack całuje dzieci. Ja też dostaję całusa, ale żadnych słów wsparcia czy sekretne uścisku. Zazdroszczę mu, że wychodzi do pracy i rozmawia z dorosłymi o sprawach dorosłych. Okej, nie uważam sportu za temat dla dorosłych, ale bije na łopatki dyskusje na temat napadów złości, przepisów dla małych dzieci i problemów z zębami prowadzone w grupie matek, które subtelnie nawzajem się licytują, skarżąc się na przedwcześnie dojrzałe dzieci, zbyt inteligentne dla własnego dobra, przez co rozumieją, że są inteligentniejsze od pozostałych dzieci.

Żadne z moich dzieci nie jest przyszłym Einsteinem. Lachlan kiedyś wepchnął sobie rodzynka do dziurki w nosie i spędziliśmy cztery godziny na oddziale ratunkowym, zaś Lucy połknęła funta, co oznaczało sprawdzanie jej stolca przez tydzień, by się upewnić, że moneta opuściła układ pokarmowy.

Dziś rano są wyjątkowo kłótniwi. Nie podobają im się przygotowane przeze mnie ubrania, zmieniają zamówienie na śniadanie. Negocjacje zostają podjęte, a sprzeczki zduszone w zarodku. Lachlan chce włożyć kalosze, a Lucy upiera się, że ma krzywo upięte galaktyczne koczki i wygląda, jakby była koślawa. Mam za złe Jackowi, że pokazał jej „Gwiezdne wojny”.

Ponieważ późno wyszłam z domu, śpieszę przez trawnik, ciągnąc za sobą dzieci, które marudzą i kłócą się. Kiedy zbliżam się do stawu, zauważam, że ktoś stoi między drzewami. Mam wrażenie, że znam tę kobietę, ale nie wiem skąd.

Całuję Lucy przy szkolnej bramie i podrzucam Lachlana do przedszkola. Ale syn chwytą się mojej nogi i błaga, żebym nie odchodziła. Jedna z pracownic przedszkola odwraca jego uwagę na dość długo, bym mogła się wymknąć.

Kiedy składam wózek, dostrzegam dwie matki, które coś szepczą i zerkają na mnie z ukosa. Odwracają spojrzenie z poczuciem winy.

- Czy coś się stało? - pytam.

- Nie, nic - mówi jedna z nich, ściągając wargi. Słyszę, jak śmieją się, kiedy odchodzę. Chcę wiedzieć, co mówią, ale to nie jest warte wysiłku. Mam całe pięć godzin na gotowanie, sprzątanie, zakupy, pranie i prasowanie, zanim będę miała trochę czasu dla siebie.

Najpierw jednak idę na umówioną wizytę do położnika, pana Phillipsa, który ma gabinet na parterze dużego wiktoriańskiego domu w pobliżu rzeki. Lekarz rodzinny dał mi do niego skierowanie z powodu komplikacji przy porodzie Lucy i Lachlana. Nic poważnego. Ich głowy były za duże. Moja miednica za mała. Ktoś musiał ustąpić.

Na ścianach poczekalni pana Phillipsa wiszą listy polecające, kartki od zadowolonych pacjentów, podziękowania za „cenny dar”, jakby osobiście organizował zapłodnienie, ciążę i poród. Doktor to mężczyzna w średnim wieku, w okularach o grubych, mocno powiększających szklach i z lekką wadą zgryzu, polegającą na wysunięciu górnego łuku zębowego, przez co jego wargi są najciekawszym elementem twarzy. Zastanawiam się, czy jest

żonaty. Jeśli tak, co jego żona myśli o jego pracy – oglądaniu intymnych narządów innych kobiet? Wyobrażam sobie, że wraca do domu i nie ma już ochoty patrzeć na kolejną waginę. Tak mnie to bawi, że zaczynam chichotać i nie mogę przestać, gdy doktor Phillips dotyka mojej macicy.

- Już mu się robi ciemniaczko – mówi. – Czyli już niedługo.

- Dzięki Bogu – mówię.

Pan Phillips idzie do biurka i notuje swoje obserwacje na komputerze. Obciążam sukienkę i siadam naprzeciw niego.

- Musimy omówić poród – mówi, splatając palce na swoim małym brzuchu. – Wiem, że ma pani nadzieję na kolejny naturalny poród, ale popękała pani podczas dwóch poprzednich.

- Może tym razem nie popękam.

- To bardzo mało prawdopodobne, a kolejne zszywanie będzie trudniejsze. Moim zdaniem powinna pani rozważyć cesarskie cięcie.

Walczę z tą myślą – nie z powodu politycznej poprawności czy myśli, że inne matki mogą mnie ocenić jako „zbyt ważną, żeby przeć”. Już dwa razy rodziłam w tradycyjny sposób, co bolało jak diabli, ale dało mi niesamowitą satysfakcję.

- Jak długo musiałabym zostać w szpitalu? – pytam.

- Bez komplikacji trzy do czterech dni.

- I pan to rekomenduje?

- Absolutnie. – Pan Phillips otwiera kalendarz na ekranie. – Możemy przyjąć panią do szpitala rano w czwartek siódmego grudnia i od razu operować.

Chcę zaproponować, ale wiem, że on ma rację.

- Proszę porozmawiać z mężem. Jeśli będzie problem z terminem, proszę do mnie zadzwonić. W innym wypadku do zobaczenia siódmego grudnia.

AGATHA

Kiedy miałam trzynaście lat, zostałam ochrzczona jako świadek Jehowy. To oznaczało, że będę mogła chodzić od drzwi do drzwi i pomagać innym odkupić swoje grzechy i żyć w pokoju na ziemi. Podczas miesięcy poprzedzających chrzest uczęszczałam na lekcje Biblii. Mój nauczyciel, pan Bowler, był starszym zboru, miał twarz okrągłą jak księżyc w pełni i był ostrzyżony pod garnek, co bardzo pasowało do jego nazwiska. Dużo mówił o Królestwie Bożym i Armagedonie, a ja myślałam, że to jeden z apostołów, ponieważ w Piśmie Świętym wciąż powtarza się: „nadchodzi Armagedon”.

Pan Bowler miał cztery córki i był właścicielem sklepu z odzieżą w Leeds. Najmłodsza córka, Bernie, była klasę wyżej ode mnie, ale trudno nas nazwać przyjaciółkami.

Po chrzcie nadal dwa razy w tygodniu chodziłam do Sali Królestwa, gdzie pan Bowler pomagał mi w matematyce i przedmiotach ścisłych. Czytał też moje wypracowania i pomagał pisać eseje.

Pewnego dnia spytał mnie, czy poszłabym z nim od drzwi do drzwi, roznosząc kościelny magazyn *Strażnica*. Chciałam być możliwie najlepszym świadkiem Jehowy, więc szliśmy razem ulicami i przystawaliśmy na schodach, mówiąc ludziom, że mogą żyć w wiecznym raju, jeśli obudzą się i dostrzegą prawdę. Większość z nich reagowała rozdrażnieniem, ale nikt nie mówił nic obraźliwego, ponieważ byłam jeszcze bardzo młoda.

W końcu zapadł zmierzch i zaczęło padać. Musieliśmy biec. Śmiałam się. Pan Bowler kupił rybę z frytkami. Zjedliśmy ją w piwnicy Sali Królestwa, zlizując z palców sól i ocet.

Zadrżałam.

- Zmarzłaś - powiedział. - Powinnaś zdjąć mokre ubrania.

Próbował rozpiąć mi bluzkę. Kazałam mu przestać. Łaskotał mnie, przyciskał się do mnie, pocałował w usta. Powiedział, że mnie kocha, a ja na to, że też go Kocham. To była prawda, kochałam go. Nikt nigdy nie był dla mnie taki miły jak on. Chciałam, żeby był moim ojcem, ale on już miał córki.

Pamiętam pachnącą stęchlizną sofę i szorstki materiał tapicerki, która drapała moją skórę. Pan Bowler podciągnął mi sukienkę do szczytu ud, szarpał majtki. Odepchnęłam jego rękę.

Wtedy powiedział, że kiedy dwoje ludzi się kocha, to nie tylko się całują, ale rozbierają się, dotykają. Znów mnie pocałował. Jego gruby obśliniony język był obrzydliwy, smakował dorszem i octem.

Wiedziałam, czego chciał. Słyszałam, jak dziewczynki rozmawiały. Wziął moją rękę i poruszał nią w górę i w dół. Sapał. Zatrząsał się. Wytarłam rękę w jego chusteczkę.

- To będzie nasza tajemnica - powiedział.

Nikt inny by tego nie zrozumiał.

Tylko dlaczego to zawsze musi być tajemnica?

Następnym razem, kiedy chodziliśmy od drzwi do drzwi, dał mi bransoletkę z wygrawerowanymi słowami: „Nie ma lekarstwa”.

- Na co? - spytałam.

- Na miłość - odparł.

Później wróciliśmy do piwnicy Sali Królestwa, a kiedy usiedliśmy na sofie, pan Bowler wepchnął mi do ust gruby obśliniony język i wcisnął kolano między uda. Całowanie mi się nie podobało. Nie podobało mi się, że pan Bowler był taki ciężki, nie podobały mi się ból i wstyd, więc schowałam się w sobie i ukryłam się w cieniu.

- Otwórz oczy, księżniczko - rzekł. - Chcę, żebyś na mnie patrzyła.

Proszę, nie rób tego, błagałam bezgłośnie.

- Czy to nie jest przyjemne?

Nie, sprawiasz mi ból.

- Teraz jesteś prawdziwą kobietą.

Czy nie może znów być tak jak wcześniej?

Zwymiotowałam rybę z frytkami. Pan Bowler odskoczył, jakby się poparzył, przeklinając, że poplamiłam mu ubranie. Zaciągnął mnie do małej ascetycznej łazienki i kazał mi się rozebrać. Stałam naga na lodowatej podłodze i widziałam na udach jego nasienie i swoją krew. Płakałam. Powiedział, że mu przykro. Było mi go żal.

W kolejnych tygodniach i miesiącach pukaliśmy do wielu kolejnych drzwi, ale nie uratowaliśmy ani jednej zbłąkanej duszy. Później uprawialiśmy seks w piwnicy, a pan Bowler powiedział, że kiedy skończę siedemnaście lat, uciekniemy razem i zamieszkamy w domu nad morzem. Pokazywał mi zdjęcia ładnych domów porośniętych wisterią albo bluszczem. Ale do tego czasu musieliśmy utrzymywać naszą miłość w sekrecie, ponieważ on był żonaty.

Tamtego lata pan Bowler zabrał rodzinę na wakacje do Kornwalii. Myślałam, że poczuję ulgę, a tymczasem za nim tęskniłam i nie mogłam się doczekać jego powrotu. Przywiózł mi kolejny prezent - muszlę ślimaka, która liczyła sobie miliony lat - i powiedział, że nasza miłość przetrwa równie długo. Wiedziałam, że to nieprawda.

Z biegiem czasu coraz bardziej zamykałam się w sobie.

- Gdzie się podział ten śliczny uśmiech? - pytał, a ja próbowałam się uśmiechnąć. - Lubisz to, prawda? - mówił,

dyszając mi w twarz. – Powiedz, że to lubisz.

Pewnego dnia spytał, czy jego najmłodsza córka Bernie ma chłopaka albo czy jacyś chłopcy się nią interesują. Nie miałam pojęcia. Denerwował się na myśl, że jakiś „nieczysty nastolatek ją obłapuje”, i poprosił, żebym ją obserwowała i zdawała mu relacje. Widziałam jego hipokryzję. Uważał, że seks ze mną jest w porządku, ale jego córka musiała pozostać czysta. Obserwowałam Bernie na boisku, jak rozmawiała i śmiała się z przyjaciółmi. Była ładna i popularna, i cieszyła się życiem. Wiedziałam, że już nigdy nie będę taka jak ona, nigdy nie będę niewinna ani szczęśliwa.

Pan Bowler uprawiał ze mną seks jeszcze przez rok. Nigdy nie używał prezerwatywy, bo za każdym razem wycofywał się w ostatniej sekundzie. Kiedy skończył, zapinał pas i kazał mi iść się umyć, zanim pójdę do domu.

Któregoś wieczoru, kiedy się we mnie spuścił, poczułam, że mój umysł oddziela się od mojego ciała i ulatuje, z góry patrzy na pokój. Widziałam białe pośladki pana Bowlera i sztruksowe spodnie wokół jego kostek, i kamizelkę, którą żona wydziergała mu na drutach. Otworzyłam usta, żeby krzyknąć, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Zamiast tego poczułam, jak jakieś stworzenie ześlizguje się po moim kręgosłupie i pełźnie między moimi organami, a w końcu owija się wokół mojego serca, żeby nie pękło.

Wróciłam do przytomności, czując, że pan Bowler uderzył mnie w policzek, i słysząc, jak wołał mnie po imieniu. Nie chciałam się budzić.

– Chyba zemdlałaś – powiedział, zapinając rozporek. – Wydawałaś dziwne dźwięki, jakbyś do kogoś mówiła, ale to nie był twój głos. Mam nadzieję, że w domu nie mówisz przez sen.

Pan Bowler nie pomagał mi już w lekcjach ani nie prosił, żebym z nim chodziła od drzwi do drzwi. Mijały tygodnie, a on znajdował we mnie coraz więcej rzeczy zasługujących na jego krytykę. Moją skórę. Moją wagę. Mój zapach. Już mnie nie całował ani nie mówił, że mnie kocha.

Tamto stworzenie spało i budziło się, i ślizgało się we mnie, doradzało mi szeptem, bazgrało na stronach mojego dziennika, śmiejąc się z moich kiepskich prób wyrażenia uczuć:

Nikogo nie obchodzi, co myślisz.

Pana Bowlera obchodzi.

On cię nie kocha. Uważa, że zrobiłaś się gruba.

Nieprawda.

To dlatego szczypie wałeczki nad twoimi biodrami. Uważa, że są wstrętne.

On mnie kocha.

On cię już nie całuje. Nie kupuje ci prezentów. Nie zabiera od drzwi do drzwi.

Skończyłam piętnaście lat, ale nie świętowałam urodzin. Moja matka spytała, kiedy miałam ostatnią miesiączkę. Zaniemówiła, kiedy lekarz potwierdził, że jestem w ciąży. Ojczym domagał się, żebym wyjawiała nazwisko ojca dziecka, ale odmówiłam. Owinął moje włosy wokół pięści i uniósł mnie w powietrze.

Pamiętam wyraz ich twarzy. Szok. Niedowierzenie. Wysłali mnie do mojego pokoju, gdzie siedziałam na łóżku i słuchałam ich kłótni. Matka chciała dzwonić na policję, ale ojciec powiedział, że starsi zboru będą wiedzieli, co zrobić. Zdrapywałam paznokciami namalowaną według szablonu Małą Syrenkę na zagłówek mojego łóżka, aż zaczęła odpadać płatami. Pomysł, że noszę w sobie dziecko, wydawał mi się idiotyczny. Wciąż miałam domek dla lalek i pudło z różnymi kostiumami do przebieranek.

Następnego dnia ktoś zadzwonił do rodziców, a ja usłyszałam, jak ojczym pytał:

- Czy to przesłuchanie komisji sądowej?

Jednak nie słyszałam odpowiedzi.

Zabrali mnie do Sali Królestwa, gdzie przesłuchiwało mnie trzech starszych zboru, których znałam od dziecka. Brat Wendell miał firmę zajmującą się czyszczeniem dywanów, brat Watson instalował żaluzje, zaś brat Brookfield pracował jako ogrodnik w urzędzie miejskim.

Zadawali mi pytania. Kiedy uprawiałam seks? Gdzie? Jak często? Czy pan Bowler jest obrzezany? (Nie wiedziałam, co to znaczy).

- Jak szeroko miałaś rozsunięte nogi? - spytał brat Brookfield o twarzy jak pomidor.

- Słucham?

- Pokaż nam, jak szeroko rozsunałaś nogi.

Siedziałam na twardym drewnianym krześle w sukience do kolan. Starsi siedzieli wzdłuż długiego stołu. Rozsunęłam kolana. Wszyscy pochylili się naprzód.

- Musiała leżeć - rzekł brat Wendell. - Jak mogła zostać zgwałcona w takiej pozycji?

- Czemu nie powiedziałaś rodzicom? - spytał brat Watson.

- Pan Bowler mówił, że mnie kocha.

Brat Wendell prychnął.

- Więc uprawiałaś z nim seks dobrowolnie?

- Nie. Tak. Nie podobało mi się. Nie seks.

- Mówiałaś o tym komuś? - spytał brat Watson.

- Nie.

- Czy ktoś was widział w takich chwilach?

- Zachowywaliśmy to w tajemnicy. Pan Bowler powiedział, że

jak skończę siedemnaście lat, uciekniemy razem i zamieszkamy w domu nad morzem. Pokazywał mi zdjęcia.

Wyglądali, jakby mieli się zaśmiać.

- Kiedy to się stało po raz pierwszy? - spytał brat Brookfield.

- Nie pamiętam dokładnej daty.

- Byłaś wtedy dziewicą?

- Tak.

- Na pewno pamiętasz datę - rzekł brat Wendell. - Tydzień... chociaż miesiąc.

Zastanowiłam się głęboko, w końcu zaczęłam zgadywać i wyszeptać:

- Koło Wielkanocy.

- Mówisz tak, jakbyś nie była tego pewna.

- Myślę, że to było mniej więcej wtedy.

Starsi zostawili mnie samą. Chciałam iść do łazienki, ale bałam się prosić o pozwolenie. Zamiast tego skrzyżowałam nogi, mocno je zaciskając. Po krótkim czasie z innego pokoju usłyszałam krzyki pana Bowlera, który oskarżał mnie o kłamstwo. Trochę popuściłam.

Kiedy wrócili starsi zboru, byli z nimi moi rodzice. Pan Bowler wszedł innymi drzwiami. Nim je zamknął, zobaczyłam, że stała za nim jego córka Bernie, która trzymała za rękę swoją matkę.

Komisja sądowa zajęła miejsca przy długim stole. Ojczym usiadł obok mnie, ale matka, która wyglądała na oszołomioną, stała w głównych drzwiach.

Jako pierwszy głos zabrał brat Wendell:

- Przeciwno bratu Bowlerowi, starszemu członkowi naszego zboru, padło bardzo poważne oskarżenie. Siostra Agatha jest w ciąży i twierdzi, że brat Bowler więcej niż raz cudzołożył z nią i kazał jej uprawiać inne czynności seksualne. Brat Bowler

wszystkiemu zaprzecza i oskarża siostrę Agathę o oszczerstwo i zniesławienie. Prosił o pozwolenie zadania pytań swojej oskarżycielce.

Myślałam, że zwymiotuję.

Pan Bowler przeszedł przez salę i stanął dokładnie na wprost mnie. Miał na sobie znajome sztruksowe spodnie i kamizelkę. Uśmiechając się uprzejmie, przywitał się ze mną, powiedział mi, że przykro mu widzieć mnie w takiej sytuacji.

- Masz chłopaka?

- Nie.

- Więc nie uprawiałaś seksu z chłopakiem spoza zboru ze swojej szkoły?

- Nie.

- Kłamiesz, siostro.

- Nie.

- Sześć tygodni temu przyszłaś do mnie i wszystko mi wyznałaś. Powiedziałem ci, że *Strażnica* zabrania takich czynów. Dałem ci radę. Ostrzegłem cię, żebyś trzymała się z dala od tego chłopca, ale mnie nie posłuchałaś.

- Nie! - Spojrzałam na moją matkę. - To nieprawda.

- Moja córka Bernie to potwierdziła - rzekł pan Bowler. - Przyznałaś się jej do tego.

Kręciłam głową, usiłując zebrać myśli. Czemu Bernie miałyby mówić, że mam chłopaka?

- Wiesz, co to jest kłamstwo, Agatho? - spytał pan Bowler.

- Tak.

- Powiedziałaś swoim rodzicom, że chodziłaś ze mną od drzwi do drzwi. Czy to było kłamstwo?

- Tak.

- Więc kłamiesz wtedy, kiedy ci wygodnie?

- Nie. Tak. Nie wiem.

- Powiedziałaś komisji sądowej, że po raz pierwszy uprawiałem z tobą seks koło Wielkanocy dwa lata temu. Mam przy sobie swój kalendarz, z którego wynika, że przez tydzień w okolicy Wielkanocy byłem na targach.

Otworzyłam i zamknęłam usta.

- Nie pamiętałam daty.

- Więc w tej kwestii też kłamałaś?

- Nie, mówię tylko, że nie byłam pewna.

- Więc kiedy nie jesteś czegoś pewna, kłamiesz.

- Nie.

- Okłamałaś komisję czy mnie okłamujesz?

- Dość! - rozległ się kobiecy głos z tyłu sali. Moja matka maszerowała głównym przejściem, ściskając torebkę. Zwykle tak potulna i uważająca, wlepiła wzrok w starszych i oświadczyła: - Agatha odpowiedziała na wasze pytania. Podejmijcie decyzję, żebym mogła ją zabrać do domu.

Nikt z nią nie dyskutował, nawet pan Bowler.

Komisja oddaliła się, żeby ustalić werdykt. Poszłam do łazienki i wypłukałam majtki, a potem suszyłam je pod suszarką do rąk.

Minęła godzina. Komisja wróciła. Kazano mi stać, ale bałam się, że nogi odmówią mi posłuszeństwa. Matka i ojczym pozostali na swoich miejscach.

Brat Wendell miał ze sobą Biblię. Nie patrzył na mnie.

- Pismo mówi: „Przeciwko kapłanowi nie przyjmuj skargi, chyba za dwiema albo trzema świadkami”^[1]. W rozstrzyganej tu sprawie siostra Agatha jest jedynym świadkiem przeciwko bratu Bowlerowi. To nie znaczy, że ona kłamie ani że brat Bowler kłamie, ale według *Strażnicy* dwóch świadków albo dwa zeznania są niezbędne, by udowodnić zarzuty podobnej natury. A skoro

w tym wypadku nie jest to spełnione, komisja nie podejmie żadnych dalszych działań i pozostawia sprawę w rękach Jehowy.

Pan Bowler wstał i oznajmił, że jest usatysfakcjonowany.

- Jestem szanowanym starszym zboru w naszej wspólnotie, a siostra Agatha wyrządziła mi wielką krzywdę. Fałszywie mnie oskarżyła, bez ślubu współżycząc seksualnie z chłopcem, który nie należy do naszego Kościoła. Ponadto nie okazuje skruchy. Domagam się przeprosin i proszę, żeby siostra Agatha została wykluczona ze zgromadzenia.

Na te słowa moja matka głośno wciągnęła powietrze i zeszywniała. Wiedziałam, co to oznacza. Widziałam innych świadków Jehowy, którzy zostali wykluczeni za o wiele mniejsze przewinienia niż składanie fałszywych zeznań.

- Przeprosisz brata Bowlera? - spytał brat Wendell.

Potrząsnęłam głową.

- Wyrazisz skruchę?

Matka ścisnęła mnie za rękę.

- Zrób o co proszą, Agatho. Powiedz mu, że ci przykro.

- Nie kłamałam.

- Nieważne.

- Pójdę na policję.

- Wtedy zostaniesz potępiona przez Boga! - huknął brat Wendell. - Na zawsze trafisz w ręce szatana.

Ojczym położył mi ręce na ramionach. Czułam jego palce wbijające się w moje ciało po obu stronach obojczyka.

- Powiedz temu człowiekowi, że ci przykro, Agatho.

Ból promieniał wzdłuż całej ręki, aż poczułam mrowienie w palcach.

- Nie.

Członkowie komisji wymienili spojrzenia i pokiwali głowami.

Przesłuchanie dobiegło końca. Tydzień później otrzymałam list z moim imieniem, datą urodzenia i numerem w kongregacji. Nie wymieniał dokładnie popełnionego przeze mnie przestępstwa, ale jego znaczenie było jasne. Zostałam wykluczona z Kościoła. Nie mogłam więcej uczestniczyć w studiowaniu Biblii i grupowej modlitwie, nie wolno mi było kontaktować się wedle własnej woli z innymi członkami zboru. Jako niepełnoletnia miałam prawo nadal mieszkać pod jednym dachem z rodzicami, których obowiązkiem było zaspokajać moje potrzeby fizyczne, ale nic więcej. Matka nie mogła mnie pocieszyć, gdybym płakała, ani udzielić rady czy zaoferować emocjonalnego wsparcia.

Ojczym powiedział do mnie:

- Kocham cię, Agatho, i będę na ciebie czekał w dniu, kiedy wrócisz. Powitam cię z otwartymi ramionami i powiem tak samo, jak powiedział ojciec do syna marnotrawnego: Moja córka była martwa, a teraz wróciła do życia. Była zgubiona, a teraz się odnalazła. Ale do tej chwili będziesz sama, ponieważ sama odwróciłaś się od Boga.

MEGHAN

Jack wziął sobie wolny dzień, bo zdaje mu się, że się rozchorował. Mówi, że to „grypa”, ale ja nazywam to przeziębieniem, dopóki nie będę miała dowodów. Cały ranek krążę w tę i z powrotem po schodach.

- Megs! - ryczy Jack z łóżka.
- O co chodzi?
- Wybacz, że ci przeszkadzam.
- Nie przeszkadzasz.
- Mogę dostać filiżankę herbaty?
- Wstawię wodę.

Idę z powrotem tą samą drogą, robię mu herbatę i dodaję kilka herbatników, przewidując kolejną prośbę.

- Co robisz? - pyta, kiedy zanoszę to na górę.
- Odkurzam.
- Widziałaś może gazetę?
- Nie dostarczyli.
- Nie mogłabyś kupić mi gazety? Proszę.
- Jasne.
- I jakieś tabletki na gardło, cytrynowe z dodatkiem przeciw kaszlowi, tylko nie wiśniowe, bo smakują jak lekarstwo.
- Bo to jest lekarstwo.
- Wiesz, o czym mówię. I czy mógłbym dostać na lunch jakąś zupę?
- Jaką na przykład?
- Z zielonego groszku i szynki... z grzankami.

Kto był wczoraj twoim niewolnikiem? - przemknęło mi przez głowę.

Wiatr kąsa arktycznym zimnem, szarpie poły płaszcza, podrywa z ziemi liście, które fruną nad trawnikiem w Barnes Green. Odbieram Lachlana z przedszkola, bo we wtorki spędza tam tylko pół dnia. Biegnie przede mną, rękawiczki zwisają z rękawów kurtki, podeszwy sportowych butów świecą przy każdym kroku.

Drzwi supermarketu otwierają się, a Lachlan zatrzymuje się zaraz przy wejściu, żeby obejrzeć książki do kolorowania. Idę do działu aptecznego i przeglądam środki na kaszel i pastylki do ssania. Na końcu alejki pojawia się pracownica sklepu w brązowym fartuchu. Rozmawiałam z nią przed paru tygodniami. Jest w ciąży. Patrzę na plaketkę z jej imieniem.

- Orientuje się pani w środkach przeciwkaszlowych?

Agatha zerka na mnie nerwowo i odwraca wzrok.

- To dla pani?

- Nie, dla męża.

- Ma gorączkę?

- Szczerze mówiąc, nie sędzę, żeby było tak źle.

Agatha przesuwając produkty, zagląda na tył półki.

- On chce coś o smaku cytrynowym - mówię. - Kiedy ma pani termin? Wspominała mi pani, ale zapomniałam.

- Na początku grudnia.

- Obie urodzimy Strzelców. Powinnyśmy się martwić?

- Niewiele wiem na temat Strzelców - odpowiada Agatha.

- Mają silną wolę, są bardzo seksowni, krzepcy i zdrowi.

Według mojego męża.

- Niech zgadnę. Jest Strzelcem?

- Zgadza się.

Obie się śmiejemy. Agatha ma ładny uśmiech.

- Czym się zajmuje pani mąż? - pyta.

- Jest dziennikarzem telewizyjnym.

- Znam go?

- Tylko jeżeli interesuje się pani sportem. Pracuje dla jednego z kanałów satelitarnych.

Przerywa nam kierownik supermarketu.

- Wszystko w porządku? - pyta, dwoma palcami zaczesując do dołu wąsy.

- Jak najbardziej - mówię.

- Mogę w czymś pani pomóc?

- Nie, dziękuję, już otrzymałam pomoc.

Waha się, patrzy na mnie, a ja nie spuszczam wzroku. Wreszcie przenosi spojrzenie i odchodzi.

- To pani szef? - pytam.

- Uhm. Czubek. - Agatha zakrywa usta. - Przepraszam, nie powinnam tego mówić.

- Każda kobieta miała kiedyś takiego szefa - stwierdzam, szukając u niej obrączki na palcu.

Zauważa mój wzrok i chowa rękę.

- Jestem zaręczona.

- Nie chciałam być wścibska.

- Wiem. Mój narzeczony służy w Marynarce Królewskiej. Teraz jest na misji na Oceanie Indyjskim, ale jak zacumują w Kapsztadzie, kupi mi pierścionek. To najlepsze miejsce do kupowania diamentów.

- Wróci do domu na poród?

- Tylko jeśli dostanie przepustkę, inaczej nie.

Oglądam się za siebie, szukam wzrokiem Lachlana. Już nie przegląda książek do kolorowania. Może czyta komiksy obok kasy. Przepraszam i idę go szukać, wołam go po imieniu. Znów wołam, tym razem głośniej, ale nie słyszę żadnej odpowiedzi.

- Nie chowaj się przede mną, Lachlan. To nie jest zabawne.

Poruszam się coraz szybciej, teraz już biegnę alejką, wołam go, czuję ucisk w żołądku.

Agatha pomaga mi szukać synka, przeszukujemy cały sklep, komunikując się na migi. Lachlana tu nie ma. Pędzę z powrotem do drzwi i pytam ludzi, czy nie widzieli małego chłopca. Kierownik prosi, żebym się uspokoiła, bo denerwuję klientów. Dziewczyna przy kasie patrzy na mnie przerażona.

- Widziała pani, jak wychodził?

Kręci głową.

- O mój Boże. Lachlan! Lachlan!

Staję na chodniku i patrzę w jedną, potem w drugą stronę, później w kierunku parku. Cała drzę. W głowie mi się kręci. Mija mnie jakiś mężczyzna.

- Widział pan małego chłopca? Mniej więcej tego wzrostu, jasne włosy, ubrany w niebieską parkę. Jego buty mają odblaski.

Mężczyzna kręci głową. Bezwiednie chwytam go za rękę i mocno ściskam. Wyrывa się i w pośpiechu się oddala.

Po drugiej stronie ulicy zatrzymuje się autobus. Otwierają się drzwi. A jeśli Lachlan wsiada do autobusu? Uwielbia autobusy. Krzyczę do kierowcy, wymachując rękami, przebiegam przez jezdnię, nie rozglądając się. Jakiś samochód ostro hamuje, kierowca naciska klakson. Kierowca autobusu otwiera okno.

- Czy mój mały synek nie wsiadł do autobusu?

Mężczyzna kręci głową.

- Jest pan pewien? Może pan sprawdzić?

Kierowca idzie przez autobus, zagląda pod siedzenia. Ja tymczasem wypatruję Lachlana w parku, walcząc z paniką. Widzę dwie osoby z psami. Jakaś skonana matka siedzi na kocu obok wózka. Stary mężczyzna szura nogami po ścieżce. Te bardziej wyrafinowane części mojego mózgu przestają działać. Biegnę,

wykrzykując imię Lachlana, w głębi duszy przekonana, że ktoś go porwał. Mój piękny synek zniknął. Lachlan Shaughnessy. Lat cztery. Z niesforną burzą włosów, równymi białymi zębami i skupionym spojrzeniem, kiedy gra w jakieś gry albo udaje, że jest rycerzem, żołnierzem czy kowbojem.

Zerkam ponad trawnikiem w stronę stawu. A jeśli Lachlan poszedł popatrzeć na kaczki? Mógł wpaść do wody. Znów ruszam przed siebie, wołam go przerażona, że zobaczę jego drobne ciało unoszące się na powierzchni wody twarzą w dół.

Pokonując kopce nawianych przez wiatr szeleszczących wyschniętych liści, docieram na brzeg. Kaczki podrywają się do lotu, uderzają skrzydłami w powietrzu. Lachlana tu nie ma. Bura woda marszczy się na wietrze. Lachlan mógł wrócić do przedszkola albo próbuje samodzielnie dotrzeć do domu. W sklepie prosił o czekoladę, a ja kazałam mu poczekać. Może poszedł do kawiarni popatrzeć na ciastka na wystawie. Zawracam biegiem, ale w kawiarni też go nie ma. Czy mógł pójść do szkoły Lucy? Wciąż powtarza, że chce już iść do szkoły, a nie czekać jeszcze przez cały rok. Znów puszczam się pędem, przyglądam się każdemu mijanemu samochodowi osobowemu, ciężarówce i furgonetce, walczę z rosnącą paniką. Do głowy wpadają mi różne imiona... zaginionych dzieci... zamordowanych dzieci. Co ja powiem Jackowi? Jak wytłumaczę to Lucy? Widzę jak przez mgłę, łzy zalewają mi oczy. Nie mogę go znaleźć. Muszę go znaleźć.

Nagle słyszę, że ktoś woła mnie po nazwisku.

- Pani Shaughnessy!

Dwa razy obracam się w koło, zanim dostrzegam Agatę. Trzyma za rękę Lachlana. Biegnę do nich, biorę synka na ręce, ściskam go tak mocno, aż się skarży.

- To boli, mamusiu.

Mam wrażenie, jakby ktoś otworzył we mnie jakiś wentyl. Czuję się jak balon, z którego spuszczone powietrze. Niewysłowiona ulga.

- Był w magazynie - wyjaśnia Agatha. - Nie wiem, jak się tam dostał.

- Bardzo pani dziękuję. - Ją też mam ochotę uściskać.

Lachlan wywija się z moich objęć.

- Czemu płaczesz, mamusiu?

- Nigdy tak nie uciekaj - mówię mu.

- Ja nie uciekłem. Drzwi się zamknęły.

- Jakie drzwi?

- Musiały się za nim zatrzasnąć, jak tam wszedł - tłumaczy Agatha.

- Cóż, w ogóle nie powinieneś się oddalać - mówię do Lachlana.

- Przestraszyłam się. Myślałam, że cię zgubiłam.

- Nie zgubiłem się, jestem tu.

Zostawiłam w sklepie torbę na zakupy. Lachlan bierze mnie i Agathę za ręce, huśta się między nami. Teraz, gdy lęk minął, czuję się wyczerpana, gotowa skulić się i zasnąć.

Agatha pomaga mi spakować zakupy, rozmawiamy chwilę o ciąży i odpowiedzialności związanej z wychowaniem dzieci. Na pierwszy rzut oka dawałam jej mniej lat, ale teraz widzę, że pewnie jesteśmy rówieśniczkami. Ona jest trochę okrąglejsza - chyba nosi rozmiar 42, a ja 40. Ma szaroniebieskie oczy i nerwowy uśmiech. Podoba mi się jej osobliwy północny akcent i to, że nie zadziera nosa jak niektóre kobiety w okolicy, które nieraz tworzą koteryjne układy i trzymają się na dystans. Agatha potrafi z siebie żartować. Śmieje się. Dobrze się czuję w jej towarzystwie.

Powinnam zaprosić Agathę do mojej grupy matek. Byłaby tam

jak powiew świeżego powietrza. Niemal w tej samej sekundzie myślę o tym, jak bardzo snobistyczne są moje koleżanki. Większość z nich uczyła się w prywatnych szkołach i na uniwersytetach, mówią identycznym językiem, są pewne siebie, atrakcyjne i odnajdują się na każdym garden party i podczas każdego weekendu w wiejskim domu. Czy Agatha też to potrafi? Jak bym ją przedstawiła?

- Powinniśmy któregoś dnia umówić się na kawę - sugeruję szczerze.

- Naprawdę?

- Proszę mi podać swój numer. - Wyjmuję telefon. - A tak w ogóle, jestem Meghan. Proszę mi mówić Meg.

- A ja jestem Agatha.

- Wiem. - Wskazuję jej plakietkę. - Rozmawialiśmy parę tygodni temu, ostrzegała mnie pani, że podłoga jest śliska.

Wygląda na zdziwioną.

- Pamięta pani?

- Oczywiście, czemu miałabym nie pamiętać?

- Nieważne.

AGATHA

- Zwykle to położna oprowadza - mówi pielęgniarka z oddziału położniczego ubrana w ciemnoniebieskie spodnie i granatową bluzkę z białą lamówką przy kołnierzyku. Ma niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu i wygląda na Włoszkę, gęste brwi niemal łączą się nad jej nosem. - Kiedy ma pani termin?

- Na początku grudnia - odpowiadam.

- Zostawiła to pani na ostatnią chwilę.

- Mam inne możliwości - mówię, wycierając dłonie w brzuch. - Moja siostra rodziła w domu i przysięga, że to najlepsze.

- To może być bardzo pozytywne doświadczenie, jeżeli kobieta jest zdrowa i nie ma komplikacji - mówi, idąc przede mną korytarzem w praktycznych butach na gumowej podeszwie. - To pani pierwsze?

- Tak.

Zapisuję sobie w pamięci zwykłą czarną gumkę, którą związała włosy, i mały zegarek przypięty do kieszeni na piersi. Tani długopis zatknęła za prawe ucho.

- Jeśli nie znajdziemy dla pani miejsca, mogę polecić jakieś miejskie i kliniczne szpitale. Będzie pani korzystać z prywatnej opieki?

- Prawdopodobnie.

- Kto jest pani położnikiem?

- Doktor Phillips.

Zatrzymuje się w drzwiach i patrzy przez małe okienko.

- Niestety nie mogę pokazać pani wszystkich sal porodowych. Niektóre są zajęte. Może je pani obejrzeć na naszej stronie.

Korytarze są białe, czyste i jasne. Poza tym widzę kolory

pastelowe, które działają kojąco. Mijamy kobietę w kapciach i szpitalnej koszuli podtrzymywaną przez męża.

- W Churchill przyjmujemy pięć tysięcy porodów rocznie. Mamy ustalone godziny wizyt dla przyjaciół i rodziny, ale partnerzy mogą przychodzić i wychodzić, kiedy chcą - informuje pielęgniarka, która pokazuje mi pokój z basenem do rodzenia. A po chwili dodaje: - To jest oddział poporodowy. Mamy ograniczoną liczbę prywatnych pokoi, więc kto pierwszy, ten lepszy.

Wycieczka kończy się w recepcji, gdzie dostaję formularz skierowania.

- Pani lekarz też może wypisać skierowanie - mówi pielęgniarka. - Tyko proszę z tym długo nie zwlekać.

Dziękuję jej i siadam w poczekalni, przeglądam formularz i patrzę na paradujące przede mną oczekujące na poród matki i zdenerwowanych ojców, którzy wychodzą z wind. Inni znów wracają już do domów. Niosą dzieci w samochodowych fotelikach albo nosidełkach, matki trzymają bukiety kwiatów i pluszowe zabawki.

Kiedy jestem gotowa do wyjścia, idę zgodnie ze strzałkami na ścianach, zapisując sobie w pamięci układ korytarzy i klatek schodowych. Ludzie kiwają głowami i uśmiechają się do mnie, ponieważ kobiety w ciąży są słodkie i promienne, i kołyszają się jak pingwiny. To musi budzić sympatię.

Po powrocie do domu znajduję pod drzwiami karteczkę:

Przyjdź na górę!

Pukam do drzwi Jules, a ona otwiera je z rozmachem. Widzę stojącą za nią matkę Haydena w tweedowym kostiumie. Uśmiecha się, jakby rozbiła kumulację w totka.

- Mam nadzieję, że się nie gniewasz - mówi, ściskając mnie.

Pachnie tak samo jak jej dom: płynem do płukania tkanin i ciastem cytrynowym. Nie powinnam tak sztywnieć w jej ramionach.

- Skąd pani wiedziała, gdzie mieszkam? - pytam nerwowo.
- Hayden mi powiedział. Rozmawiałaś z nim?
- Ostatnio w sobotę.
- Ma dla ciebie ważne wieści.

Uwalnia mnie z uścisku. Jules musi już wiedzieć, o co chodzi, bo uśmiecha się do mnie jak nadworny błazen. Przenoszę wzrok z Jules na matkę Haydena, zastanawiając się, czy powinnam zgadywać.

- Hayden przyjedzie do domu na poród - oznajmia pani Cole. Patrzę na nią z otwartymi ustami.

- Rozmawiał z biurem łączności z rodzinami i wyjaśnił im sytuację. Dowództwo zwykle nie pozwala przerywać służby, ale dali mu pozwolenie. Czyż to nie cudowne?

Nogi się pode mną uginają. Jules bierze mnie za rękę i każe usiąść.

- Och, kochanie, tak mi przykro - mówi pani Cole. - To szok. Powinnam była przewidzieć.

- Kiedy? - pytam.
- Słucham?
- Kiedy przyjedzie do domu?

- Za dwa tygodnie od dzisiaj będą w Kapsztadzie. Tam wsiądzie do samolotu i przyleci na Heathrow. Powinien być w domu w samą porę.

W żołądku mi się przewraca, czuję w ustach smak wymiocin, przetykam siłą woli. Jules proponuje filiżankę herbaty i idzie nastawić czajnik. Jej synek Leo ogląda telewizję bez głosu, od czasu do czasu zerka na nas, jakbyśmy najechały jego terytorium.

- Hayden jest w siódmym niebie - mówi pani Cole, taka pełna uśmiechów i gestów. - Wiem, potrzebował czasu, żeby do tego dojrzeć, ale wreszcie w pełni się zaangażował. Chce z tobą być, jeśli się zgadzasz.

Czuję się jak Alicja w Krainie Czarów, która wpada do nory królika, i staram się uniknąć wpadnięcia do podobnego świata.

- To niemożliwe - oznajmiam.

Pani Cole urywa w środku zdania, Jules odwraca się od dzbanka na herbatę. Czekają na moje wyjaśnienie.

- To znaczy... on wykonuje ważne zadanie... ściga piratów. A jeśli piraci napadną inny statek? Widziałam taki film, wie pani, ten z Tomem Hanksem, gdzie kapitan został wzięty jako zakładnik.

Pani Cole śmieje się.

- Dadzą radę zatrzymać piratów bez Haydena. - Wskazuje swoją torbę z zakupami. - Przyniosłam ci parę rzeczy. Później je obejrzymy.

Nie chcę, żeby było później.

- Mam nadzieję, że nie masz mi za złe tej wizyty. Nie wiedziałam, że Hayden ci się oświadczył.

- Kto pani tak powiedział?

- Twoja przyjaciółka Jules. Jest taka kochana. To miło, że macie siebie nawzajem.

- Nawzajem?

- Obie jesteście w ciąży.

Kiwam głową, wciąż usiłując pogodzić się z wieściami od pani Cole.

Jules niesie tacę do pokoju i podaje mi kubek z herbatą.

- Dwie łyżeczki cukru.

Popijam herbatę i biorę głęboki oddech. Muszę z tym skończyć.

Nie chcę, żeby Hayden przyjechał do domu na mój poród.

- Jest pani pewna, że to w porządku? Nie chcę narażać Marynarki Królewskiej na żadne kłopoty.

- To żaden kłopot.

- Będzie ze mną moja matka.

- Rozumiem - mówi pan Cole. - Ale teraz masz dwoje partnerów do rodzenia. Nie spodziewam się, żeby Hayden do czegoś się przydał, ale nigdy nie widziałam, żeby był czymś tak podekscytowany.

Ona nic nie rozumie. Nie mogę jej tego wyjaśnić. Chcę zostać żoną Haydena i chcę, żeby się mną opiekował. Za miesiąc od dzisiaj może wpłynąć do Portsmouth niczym waleczny wiking, który wraca do domu po złupieniu licznych miast, ale nie teraz, jeszcze nie.

- Wszystko w porządku, Aggy? - pyta Jules. - Strasznie zbladłaś.

- To szok - mówi pani Cole. - Powinnaś się położyć.

Pani Cole schodzi ze mną do mojego mieszkania i czeka, aż otworzę drzwi. Przepraszam ją za nieludzki bałagan.

- Nonsens. Byłaś sama.

Każe mi usiąść i położyć nogi do góry, po czym zaczyna sprzątać. Ładuje i rozładowuje zmywarke. Wyciera blaty. Opróżnia kosze na śmieci. Wyrzuca przeterminowane jedzenie. Pyta, czy mam wiadro i mopa.

- Proszę nie myć podłogi.

- Tylko kuchnię.

Obserwuję ją z kanapy.

- Powinnaś jeść więcej świeżych owoców i warzyw - mówi, komentując zawartość mojej lodówki. - Dobrze gotujesz?

- Nie za bardzo.

- Pokażę ci, jak przygotować niektóre ulubione dania Haydena.
- Świetnie.

Pani Cole z kolei atakuje łazienkę i woła stamtąd, zadając następne pytania. Pyta o moją rodzinę - skąd pochodzę i gdzie chodziłam do szkoły. Próbuję sobie przypomnieć, co jej mówiłam ostatnim razem.

- Czy twoja matka cieszy się, że zostanie babcią?
- Nie za bardzo.
- Czemu?
- Chyba określenie babcia jej się nie podoba.
- No cóż, zwykle to postarza kobietę.

Pani Cole nie pokazuje mi, co przyniosła, dopóki nie skończy sprzątać. Potem ściąga gumowe rękawiczki, odsuwa włosy z oczu, siada na kanapie i zaczyna otwierać torby. W pierwszej są koszula nocna i szlafrok.

- Będziesz miała co na siebie włożyć w szpitalu - mówi.

Kolejna torba zawiera kocyk dla dziecka, rozpinane sweterki, skarpetki i robione na drutach czapeczki.

- Nie byłam pewna, czy wybierzesz dla chłopca niebieski, więc zdecydowałam się na neutralne kolory. Chłopcy są kochani. Dziewczynki też, ale zawsze milej na początku mieć chłopca.

Pani Cole mówi jakieś życzliwe słowa na temat mojego mieszkania i pyta, gdzie będzie spało dziecko.

- Myślałam, że kupię kosz, taki do noszenia dziecka.
- Dobry pomysł - stwierdza. - Mogę cię zabrać na zakupy. A co z wózkiem?
- Pożyczę wózek.
- Mogę ci kupić nowy.
- To nie w porządku, żeby pani płaciła.
- Ależ przeciwnie. Chcemy pomóc.

Poczuła się jak u siebie, mówi dalej o porodzie i żeby się nie martwiła o pieniądze. Chciałabym, żeby już sobie poszła. Muszę pomyśleć o Haydenie i coś zaplanować. Do jego przyjazdu zostało czternaście dni. Będzie chciał mnie widzieć. Będzie chciał dowodu, że jest ojcem.

Czasami najlepiej nie wiedzieć, jak się robi dzieci.

MEGHAN

Grace chce mi urządzić baby shower, a ja uważam, że przy trzecim dziecku jest to w złym guście. Siedzimy w kuchni i patrzymy, jak Lachlan próbuje puszcząć w ogrodzie domowej roboty latawiec. Zrobił go z pudełka po pizzy, latawiec ma mniejszą szansę wznieść się w powietrze niż stojący na naszym trawniku flaming.

- Nie bądź taka - mówi Grace. - Każde dziecko zasługuje na to, żeby świętować jego narodziny.

- A jeśli nie jestem w nastroju?

- W takim razie jesteś zrzędą.

Przez krótką chwilę, być może licząc na jej współczucie, zastanawiam się, czy nie powiedzieć jej o Simonie, ale natychmiast odsuwam ten pomysł.

- Żadnych prezentów - zastrzegam.

- A co z ubrankami dla dziecka?

- Mam na strychu całe pudła ubranek.

- Używanych! - ripostuje Grace. - Proszę, nie każ mu nosić używanych ubranek. Mnie się tak przytrafiło. Musiałam nosić twoje stare ciuchy. Używane szkolne mundurki, używane tenisówki, kurtki narciarskie... Nawet rakiety tenisowe miałam po tobie. Pamiętam takie Boże Narodzenie - miałam wtedy dziewięć lat - kiedy rodzice kupili mi nową parę butów. To były moje pierwsze NOWE buty!

Mam ochotę się zaśmiać i zaserwować jakiś dowcip na temat problemów pierwszego świata, ale widzę, że ona mówi poważnie. Grace nigdy nie lubiła być drugim dzieckiem. Jej zdaniem fakt, że się jest młodszym, nie przynosi żadnych korzyści. Może ma rację.

Wszyscy celebrowali pierwsze dziecko. Kiedy Lucy się urodziła, były kartki, kwiaty i zabawki od przyjaciół, rodziny i kolegów. Lachlan nie dostał nawet połowy tego co ona. A kiedy oglądam nasze zdjęcia, jest dużo więcej zdjęć Lucy niż Lachlana.

- Miałaś mamę i tatę tylko dla siebie - zauważa Grace. - Kiedy się urodziłam, poświęcali mi połowę tego czasu.

- Ty miałaś trzy osoby, które cię kochały. Miałaś też mnie.

- Nie byłaś dla mnie miła. Pamiętasz, jak zepchnęłaś mnie z pudła w ogrodzie i złamałam sobie rękę?

- O mój Boże, to się zdarzyło tylko raz.

- Kochająca siostra.

- Podpisałam ci się na gipsie.

- Wielkie rzeczy!

Grace wie, że z niej żartuję.

- Jeśli tak się upierasz przy baby shower, zrób sobie dziecko - mówię.

- Jeszcze mąż by się przydał.

- A co z Darcym? - To jej ostatni mężczyzna.

- Jest na wylocie.

- Dopiero co przedstawiłaś go rodzinie.

- Cóż, wygląda na to, że to mój problem. Kiedy rodzina akceptuje faceta, ja się go pozbywam.

- Darcy jest kochany.

- Za bardzo przypomina tatę.

- Czy to coś złego?

- Tak! - Grace robi minę. - Cały ten pomysł z małżeństwem i dziećmi mnie przeraża. A jeśli to, że zostanę matką, wcale nie sprawi, że dorosnę? Jeśli to będzie tylko tania podróbka rodzicielstwa?

- To nie jest tanie.

- Też prawda.

AGATHA

Moje wspomnienia są bezlitosne, jeśli chodzi o szczegóły mojego życia. Nie mogę zmienić ani usunąć tego, co mi się nie podoba, ani na nowo napisać zakończeń. Widzę moje dzieci – te, które straciłam lub oddałam – i wyobrażam sobie inne życie i lepsze czasy, ale nie mogę zmienić tego, co się stało.

Teraz mam nowy problem. Hayden wróci do domu za dwa tygodnie. Istota owinęła się wokół moich płuc, ściska je tak, że nie mogę oddychać. Prowokuje mnie czasami szeptem, czasem krzykiem. Zatykam uszy, każę jej odejść.

Głupia! Głupia!

To nie moja wina.

Nigdy nie będziesz matką.

Będę.

Wstaję z łóżka, szurając nogami, idę do szafy i wkładam te same ubrania co wczoraj. Pierwszy blask świtu rozjaśnia niebo na wschodzie, odsłaniając deszczowy dzień po mokrej nocy. Dzisiaj nie pracuję. Normalnie zostałabym w łóżku, ale istota nie pozwoli mi odpocząć.

Włączam telewizor, oglądam wiadomości, po których na ekranie zjawia się żwawa radosna pogodynka. Płacą jej za to, żeby znalazła tęczę w tak ponury ranek jak ten. O dziewiątej ktoś puka do drzwi.

- Kto tam?- pytam.

- To ja - mówi Jules.

Jest ubrana do wyjścia, trzyma za rękę Leo.

- Płakałaś? - pyta.

- Nie.

- Masz czerwone oczy.
- To pewnie alergia na pyłki.
- O tej porze roku?

Popycha Leo do środka. Malec ma na sobie szerokie džinsy i bluzę z napisem „Thomas the Tank Engine”.

- Mówiłaś, że się nim zaopiekujesz dzisiaj rano - mówi Jules. - Mam wizytę u lekarza. Zapomniałaś?

- Nie, w porządku, idź.

Leo chowa się pod jej brzuchem, czepia się nóg. Jules podaje mi torbę z książkami do kolorowania, kredkami i DVD.

- Chodź, chłopaczku - mówię. - Pooglądamy sobie kreskówki.

Jules szybko się wymyka, zanim Leo się zaniepokoi. Siedzimy na sofie i oglądamy telewizję, aż Leo ma tego dosyć.

- Może mi coś narysujesz. - Sięgam po kredki i papier.

Dwadzieścia minut później Leo biega po mieszkaniu z kartonowym pudełkiem na głowie, udając astronautę. Wpada na ścianę. Płacze. Dostaje całusy.

- Mogłabym cię zjeść - mówię.

Patrzy na mnie przestraszony.

- Nie możesz mnie zjeść.

- Czemu?

- Bo jestem chłopcem.

- Ale chłopcy są smacznici. - Gonię go po sypialni i łapię na łóżku, wyciskam całusy na jego miękkim białym brzuchu.

Później daję mu herbatnika, a on przytula się do mnie na kanapie.

- Chcesz trochę mleka?

Kiwa głową.

Wstaję, a Leo pokazuje na tył mojej džinsowej spódnicy.

- Posikałaś się.

Oglądam się przez ramię i widzę na spódnicy plamę krwi. Na kanapie jest mniejsza plama. Coś małego i kruchego we mnie pęka – jakbym przebiegła przez pojedyncze pasmo pajęczyny. Całe moje ciało się kurczy. Patrzę na krew. Nogi się pode mną trzęsą.

Potykaçąc się, idę do łazienki, zdejmuję spódnicę i majtki. Stoję przy umywalce i nacieram zabrudzony materiał mydłem, trę go rękami, namydlam i spłukuję. Woda robi się różowa. Ręce mnie bolą.

Tracę dziecko!

Nigdy nie byłaś w ciąży.

Zamknij się! Zamknij się!

Mówiłam ci przecież.

Płaczę i ciągnę się za włosy, ból sprawia mi przyjemność. Uskarżam się na niesprawiedliwość, nienawidzę siebie, chcę zrobić sobie krzywdę. Wsadzić w siebie pięść i powstrzymać ten wypływ krwi. Siadam na brzegu wanny, czkam i szlocham, pozwalam mojej zaplamionej spódnicy opaść na podłogę, na moje stopy w skarpetkach.

Słyszając skrzypienie, podnoszę wzrok. Leo patrzy na mnie przez wąską szparę w drzwiach. Szybko chwytam ręcznik i staram się zakryć, ale on już wepchnął się do środka.

- Co to? - pyta, pokazując mój brzuch.

- To stąd wychodzą dzieci.

- Moja mamusia nie ma takiego.

- Jej dzidzius wyjdzie inną drogą.

Zerkam w lustro i widzę smutnego półnagięgo klauna z idiotycznie wyglądającym silikonowym brzuchem zawiązanym na plecach. Jaki ze mnie nędznik. Jaka żalosna, godna pożałowania namiastka człowieka. Jestem kiepskim żartem.

Jestem echem. Jestem porażką.

Istota ma rację. Jaki jest sens istnienia bezpłodnej kobiety?

Leo wyciąga rączkę i dotyka protezy.

- Masz tam dzidziusia?

- Zgadza się.

- Jak się tam dostał?

- Bóg go tam włożył.

Leo marszczy czoło.

- Co się stało? - pytam.

- Do brzucha mamusi tatuś włożył dzidziusia - mówi Leo. - Czy tatuś włożył też dzidziusia do twojego brzucha?

Kręcę głową, ocierając oczy.

- Wracaj do telewizora.

- Pić mi się chce.

- Zaraz przyjdę.

Kiedy Leo wychodzi, myję uda i wyjmuję z szafki tampon. Przebieram się w czyste ubranie, poruszam się powoli jak ofiara wypadku, która sprawdza, czy ma siniaki lub złamane kości.

Przygotowuję Leo mleko i siadam obok niego na kanapie. On kładzie rękę na moim brzuchu, wciąż zaciekawiony.

Ten chłopiec wie.

On nie zrobił nic złego.

Powie komuś.

Nikt mu nie uwierzy.

Głupia dziewczyna.

Jules wraca do domu w południe, potrząsa parasolką.

- Ale paskudnie - mówi, ściskając Leo.

- Wszystko w porządku u doktora?

- Tak. - Zwraca się do Leo: - Co się mówi?

Chłopiec patrzy na mnie zawstydzony.

- Dziękuję, że się mną opiekowałaś, ciociu Agatho.

- Nie ma sprawy, w każdej chwili - odpowiadam.

Słyszę ich, jak wchodzą po schodach, otwierają drzwi, Leo biegnie przez pokój. Jules idzie do łazienki, spuszcza wodę w toalecie. Pojemnik napełnia się wodą. Woda szumi i bulgocze w rurach w ścianie. Zazdroszczę Jules. Ona czuje, jak dziecko w niej rośnie, słucha bicia jego serca. Ogląda zdjęcia USG.

Nie jestem z natury impulsywna ani porywcza, nie jestem też potworem, ale bywają noce, kiedy leżę, nie mogę zmrużyć oka i patrzę na sufit, zastanawiając się, jak otruć moją najlepszą przyjaciółkę i wyciągnąć dziecko z jej brzucha.

Nie zrobiłabym tego. Nie mogłabym tego zrobić. Ale chcę to zrobić.

Czuję się klaustrofobicznie. Nie mogę oddychać. Wkładam płaszcz, schodzę na dół, zarzucam kaptur, bo na dworze mży. Czuję skurcze macicy. Serce mnie boli. Moje ciało ze mnie kpi. Istota rechocze.

Mówiłam ci. Mówiłam ci. Mówiłam ci przecież.

Śpiewam pod nosem, zagłuszając jej głos, i idę przed siebie, mijam sklepy na King's Road i Sloan Square, kieruję się na północ w stronę Kensington i Marble Arch. Londyn emanuje złowieszczą powagą, przez którą każdy krok wydaje się trudniejszy, jakbym wspinała się na szubienicę.

Na skrzyżowaniu dostrzegam przedszkolaki w identycznych płaszczach przeciwdeszczowych. Stoją parami, trzymają się za ręce i czekają, aż zmieni się światło. Na początku i na końcu tej grupy stoją ich opiekunowie. Myślę o Elijahu, moim młodszym bracie. Mojej pierwszej stracie.

W Sali Królestwa nauczyłam się, że zazdrość jest jednym z siedmiu śmiertelnych grzechów, a ja codziennie grzeszę

zazdrością. Zazdroszczę urodziwym, bogatym, szczęśliwym, tym, którzy odnieśli sukces, i tym, którzy są ustosunkowani, oraz małżeństwom. Ale najbardziej zazdroszczę młodym matkom. Wchodzę za nimi do sklepów. Obserwuję je w parkach. Z tęsknotą zaglądam do ich wózków.

Mój biologiczny zegar zepsuł się i nie da się go naprawić. W ciągu minionych czterech lat odprawiło mnie dwanaście klinik płodności. Oświadczyli, że mój czas minął. Pewien specjalista z Hammersmith Hospital powiedział, żebym nie porzucała nadziei. Chciałam go spoliczkować i krzyknąć:

- Nadziei? Nadzieja mnie nie zapłodni. Nadzieja szepcze: Spróbuj jeszcze raz, a potem przychodzi rozczarowanie. Nadzieja jest dobra na śniadanie, ale zła na kolację, jak mawiała moja babka.

Ale tylko chciałam to wykrzyknąć. Milczałam.

Psychoterapeuta stwierdził, że moje pragnienie posiadania dziecka jest pewnego rodzaju metaforą innego braku w moim życiu.

- Co ma pan na myśli? - spytałam.

- Narodziny są metaforyczne. Jest coś, co chce się urodzić, a co tak naprawdę nie jest dzieckiem.

- Nie jest dzieckiem?

- Tak.

Co za bzdura, pomyślałam. Dziecko nie jest żadną metaforą. Dziecko jest powodem, dla którego urodziłam się kobietą. W jakim innym celu dostałam macicę i krwawię co miesiąc? Czemu czuję w sobie taką pustkę? Czemu oplakuję dzieci, które straciłam, i to jedno, które oddałam?

Ludzie, którzy posiadają dzieci, wydają się postrzegać bezpłodność jako coś, co już nie istnieje, jak ospa czy dzuma.

Myślą, to należy już do przeszłości dzięki zapłodnieniu in vitro i surogatkom, i że każdy, kto zadowala się bezdzietnością, ma słabą wolę i jest bezwstydnym i niegodziwym. Mylą się. Nauka nie oferuje siatki asekuracyjnej. Tylko jeden na cztery przypadki leczenia niepłodności kończy się porodem żywego dziecka, a kiedy kobieta kończy trzydzieści pięć lat, szanse są jeszcze mniejsze. Zamieszczałam ogłoszenia o dawcach jajeczek, rozważałam adopcję i zrezygnowałam z surogatki z zagranicy, ponieważ nie stać mnie było na opłaty dla pośredników, prawników, surogatek.

Staram się unikać baby shower, urodzinowych przyjęć dzieci, placów zabaw i szkolnych bram. Nie chodzi o to, że na widok niemowląt i dzieci czuję się nieszczęśliwa. Uwielbiam na nie patrzeć. Zasmuca mnie słuchanie siedzących wokół matek, które wymieniają się opowieściami, narzekają na bezsenne noce albo problemy z ząbkowaniem, wydatki, zarazki i napady złości. Jak one śmiały narzekać? Są błogosławione. Wybrane. Mają szczęście.

Moje pragnienie posiadania dziecka jest jak brakujący element, którego niczym nie da się zastąpić. To boli, to uczucie pustki, to puste łono. Ta dziura wielkości dziecka. Czuję ją, kiedy zerkam na jakieś dziecko albo czytam jakiś magazyn, albo oglądam telewizję. Chcę mieć szczęśliwe małżeństwo, dom i psa, ale jestem gotowa z tego zrezygnować za szansę posiadania dziecka, trzymania go na rękach, kochania, opiekowania się nim, wychowywania, należenia do niego.

Jest środek popołudnia, a już z wolna zmierzcha. Sama nie wiem, kiedy dotarłam do rzeki niedaleko Westminsteru, nie pamiętam, jakimi ulicami tu szłam, na jakich rogach skręcałam. Big Ben wybija godzinę. Siedząc na pomalowanej drewnianej ławce z podstawą z kutego żelaza, czuję wilgoć. Wciąż mży.

Dzwoni dzwon kościelny. Mija mnie autobus. Młot pneumatyczny wibruje. Mewy krążą nad moją głową. Londyn nie ma czasu na ciszę. Nie zastanawia się nad swoją przeszłością.

Powoli mija mnie barka, płynie pod prąd. Jakiś uczeń zatrzymuje się i pyta, czy mam zapalniczkę. Trzyma w ustach mokrego papierosa. On odchodzi, ja wstaję. Zdrętwiała z zimna idę naprzód i zerkam na rzekę, spienioną i wzburzoną wokół pylonów. Świat jest niezmierny, a ja jestem niegodną zapamiętania drobiną, którą łatwo zgubić i zapomnieć.

Istota rozwija się we mnie.

Możesz skoczyć.

Pewnie by mi się nie udało.

Możesz wśliznąć się pod powierzchnię wody i zniknąć.

Proteza utrzymałaby mnie na powierzchni jak koło ratunkowe. Kołysałabym się, aż ktoś by mnie wyciągnął.

Możesz ją zdjąć.

Mam mętlik w głowie. Opieram ręce na kamieniu i pochylam się, a potem znów odchylam, staję na palcach. Patrzę na wirującą wodę, ciekawa, jak bardzo jest zimna. W tym momencie obok mnie labrador staje na tylnych łapach i opiera się o mur przednimi łapami, żeby też spojrzeć na wodę. Macha ogonem i trzęsie się z radości, odwraca się do mnie podekscytowany, jakby mnie pytał, na co patrzę.

- Cześć - mówię. - Skąd się tu wzięłaś?

- Przepraszam - mówi ktoś. To starszy mężczyzna, trzyma smycz i sapie. - Uciekła mi. Zejdź, Betty, zostaw tę miłą panią w spokoju.

Betty liże moją rękę.

- Ona nie ugryzie - zapewnia mężczyzna. - Wszystko w porządku?

Nie odpowiadam mu.

- Jest pani czymś zmartwiona. Mogę w czymś pomóc?

- Nie, proszę, niech pan już idzie.

Mężczyzna przypina smycz do obroży Betty i odwraca się, ale nie odchodzi daleko. Widzę, że rozmawia przez telefon, popatrując na mnie. W tym czasie na murku siada mewa. Brzydka i gruba, z oczami jak paciorki, błonami pławnymi między pazurami i zakrzywionym dziobem.

Patrzę na złowieszczo wyglądającego ptaka, świadoma, że starszy mężczyzna i jego pies wciąż mnie obserwują. Podjeżdża do nich radiowóz. Wysiada z niego policjant, wkłada czapkę i zbliża się do mnie.

- Dobry wieczór - mówi, zwracając się do mnie radośnie.

Prawie spodziewam się, że doda: „Piękny dzień dzisiaj mamy”.

- Ten ptak jest zły - mówię, wskazując na mewę.

- Słucham?

- Patrzy na mnie.

Zdezorientowany policjant spogląda na ptaka.

Betty szczeka.

- To ja zadzwoniłem - mówi starszy mężczyzna. - Martwiłem się o panią.

Policjant podchodzi bliżej, kładzie na moich dłoniach ręce w rękawiczkach.

- Jak się pani nazywa?

- Agatha.

- Zimno pani, Agatho?

- Tak.

- Może kupimy pani herbatę?

- Nie trzeba. Muszę wracać do domu.

- Gdzie jest ten dom?

Wskazuję wzdłuż rzeki na zachód.

- Płakała pani?

- To deszcz.

- Kiedy pani urodzi dzidziusia? - pyta policjant.

- Za dwa tygodnie.

Policjant kiwa głową. Jest młodszy, niż sądziłam w pierwszej chwili. Na jego palcu lśni srebrna obrączka.

- Co pani tutaj robi? - pyta.

- Wyszłam na spacer.

- Pada.

- Lubię deszcz.

Pewnie wyglądam koszmarnie. Pewnie gadam jak wariatka.

- Ma pani jakiś dokument tożsamości?

- Zostawiłam portfel w samochodzie.

- Gdzie jest ten samochód?

- Za rogiem.

- Okej, chodźmy do pani samochodu.

Luki w mojej historii są oczywiste już w chwili, gdy ją wymyślałam.

- Przepraszam, pomyliłam się. Nie mam samochodu. Przyszłam piechotą. - Rozglądam się dokoła. - Muszę iść. Powinnam już być w domu.

- Może pani pozwoli, że panią podwiozę - mówi policjant, otrzepując krople deszczu ze swojej kurtki.

- Nie!

Policjant czeka, aż powiem coś więcej, ale przecież nie mogę mu wyjaśnić, dlaczego czuję się dziś tak nieszczęśliwa. Odwracając się do mnie plecami, rozmawia przez radio. Słyszę słowa „wzburzona” i „lekarz”.

Coraz bardziej zaniepokojona patrzę w jedną i w drugą stronę,

lecz nie mam dokąd uciec. Jestem tak potwornie pożałowania godnym słabeuszem, tak łatwo mnie wytrącić z równowagi, tak szybko wpadam w przerażenie i panikę.

Jesteś teraz w kłopotcie.

- Zamknij się!

Policjant się odwraca.

- Mówiła pani coś?

- Nie.

- Chyba powinna pani ze mną pojechać.

- Dokąd?

- Do szpitala.

- Nie jestem chora.

- Chcę, żeby lekarz sprawdził, czy z dzieckiem wszystko w porządku. - Prowadzi mnie do radiowozu i dodaje: - Proszę uważać na głowę.

Ostatnio siedziałam w radiowozie, kiedy zginął Elijah. Matka siedziała obok mnie, czekałyśmy, aż koroner zakończy oględziny ciała.

- Posterunkowy Hobson - przedstawia się policjant, zerkając na mnie w lusterku. Pyta mnie o pełne imię i nazwisko. Wymyślam coś na poczekaniu:

- Agatha Baker.

Rzeczywiście brzmi jak wymyślone. Powinnam bardziej się postarać.

- Gdzie dokładnie pani mieszka, Agatho? - pyta.

- W Leeds - mówię, i jest to kolejne kłamstwo. - Przyjechałam z wizytą do siostry.

- Gdzie mieszka siostra?

- W Richmond.

- Co pani robiła nad rzeką?

- Nic.
- Coś panią zdenerwowało?
- Nie, wszystko w porządku.

Radiowóz zajeżdża na miejsce dla karetek przed Chelsea and Westminster Hospital. Oddział ratunkowy znajduje się na parterze. Poczekalnia jest świeżo odnowiona, z lśniącymi drewnianymi ławkami i jasnozielonymi akcentami. Miejsca siedzące zajmują poszkodowani, którzy są w stanie chodzić, osoby z połamanymi kończynami, poparzone, zabandażowane.

- Teraz są tu bardzo zajęci - mówię. - Mogę przyjść później.
- Teraz tu przyjechaliśmy - mówi posterunkowy Hobson, popychając mnie do rejestracji.

Wypełniam formularz, wpisując fałszywe nazwisko i adres. Pielęgniarka zajmująca się segregacją chorych świeci mi w oczy kieszonkową latarką.

- Który tydzień?
- Trzydziesty ósmy.
- Jak się nazywa pani lekarz?
- Doktor Higgins... mieszka w Leeds.
- Ma pani mocno opuszczony brzuch. - Pielęgniarka chce dotknąć mojego brzucha, ale się cofam. Marszczy czoło i każe mi wejść za zasłonkę i włożyć koszulę. Niedługo ma przyjść lekarz.

Posterunkowy Hobson wygląda na uspokojonego.

- Czy jest ktoś, do kogo mogę zadzwonić, na przykład pani mąż?
- Mąż jest na morzu. Służy w Marynarce Królewskiej.
- A pani siostra?
- Teraz jest w pracy. Sama do niej zadzwonię. Nie musi pan zostawać.

Znikam za zasłonką. Są tam nosze na kółkach i półki pełne jednorazowych rękawiczek, wacików antyseptycznych i bandaży.

Nie mogę tam zostać. Nie mogę dopuścić do tego, żeby mnie badali.

Zanim zdołam się ruszyć, pojawia się lekarz. Wygląda na młodego, zmęczonego i bystrego.

- Nie rozebrała się pani - stwierdza.

- Przepraszam, źle zrozumiałam.

Wkłada rękawiczki chirurgiczne i zerka na swoje notatki.

- Agatha?

Kiwam głową.

- Wie pani, jakiej płci jest dziecko?

- Chłopiec.

- Kiedy ostatnio czuła pani ruchy?

- Właśnie teraz. Jest zdrow jak ryba.

- Jakies krwawienia czy plamienia?

Wzdrygam się.

- Nie.

- Skurcze?

- Raczej kłucie.

Sztuka skutecznego kłamstwa polega na tym, by nie dodawać zbędnych szczegółów. Nie rozwijać, nie koloryzować.

- Będzie mnie pan badał?

- Sprawdzę pozycję dziecka. Potem podłączę panią do monitora i posłuchamy jego serca.

- To konieczne?

- Zdecydowanie.

- Muszę iść do toalety.

Lekarz wzdycha zniecierpliwiony.

- Na końcu korytarza. Trzecie drzwi na lewo.

- Zaraz wracam.

Biorę płaszcz, wymijam lekarza i ruszam korytarzem. Docieram

do damskiej toalety, wchodzę do kabiny i próbuję wyrównać oddech. Nie mogę tam wrócić. Nie mogę pozwolić, by lekarz mnie dotykał i oglądał się nago.

Uchylając drzwi, wyglądam i lustruję pełen ludzi korytarz. Odwracam się plecami do oddziału ratunkowego i ruszam przed siebie, celowo mijając pielęgniarki i lekarzy w białych fartuchach, którzy wydają się mnie nie dostrzegać. Korytarz się rozgałęzia, skręcam w prawo, następnie w lewo. Mijam sprzątaczkę i pacjentkę wiezioną na wózku przez dwóch sanitariuszy. Dotarwszy do ściany, odwracam się.

- Zabłądziła pani? - pyta pielęgniarka.

Omam nie podskakuję przestraszona.

- Szukam oddziału położniczego.

- To nie to piętro.

- Oczywiście. Mam beznadziejną orientację.

Pielęgniarka odprowadza mnie do wind. Naciskam przycisk i czekam, zerkając przez ramię. Upewniam się, czy sobie poszła. Drzwi się otwierają.

- Wsiada pani? - pyta kobieta w średnim wieku.

- Nie, przepraszam.

Drzwi się zamykają, a ja się zmywam, idę, kierując się strzałkami, do głównego wyjścia. Kiedy przemierzam hol, czekam, aż ktoś za mną wrzaśnie: „Stój!”.

Istota we mnie zwija się, podoba jej się to.

Biegnij!

Nic złego nie zrobiłam.

Udajesz, że jesteś w ciąży.

To nie jest przestępstwo.

Przeprowadzą śledztwo. Dowiedzą się o pozostałych.

Kiedy zbliżam się do głównego wejścia, zauważam potężnego

ochroniarza w szarym uniformie. Przyciska do warg walkie-talkie. Trzymam głowę wysoko, unikam jego wzroku. Automatyczne drzwi otwierają się. Idę Fulham Road, trzęsąc się z szoku, mokra od potu i przemoczonych deszczem ubrań.

Istota wciąż mówi.

Będą cię szukać.

Podalam im fałszywe nazwisko i adres.

I tak cię znajdą.

Nie istnieje żaden doktor Higgins z Leeds. I nie mam siostry w Richmond.

A co z kamerami przemysłowymi?

Nadjeżdża autobus. Zatrzymuję go i wsiadam, opadam na siedzenie, osuwam się poniżej okna. Na moment się unoszę i zauważam radiowóz wciąż zaparkowany przed szpitalem.

Głupia! Głupia! Głupia!

MEGHAN

Simon przysłał mi kolejny bukiet kwiatów, tym razem tulipany, wraz z bilecikami z przeprosinami za swoje zachowanie.

Proszę, wybacz mi, Meg. Jesteś ostatnią osobą na świecie, którą chciałbym skrzywdzić. Mam nadzieję, że pomyślisz o tym, co ci powiedziałem. Kocham Cię, Meg, i kocham Jacka, ale niektóre rzeczy są ważniejsze niż przyjaźń.

Mówię Jackowi, że kwiaty są od firmy PR, która chce, żebym na swoim blogu zrecenzowała produkty dla dzieci ich klienta. Powinnam je była wyrzucić, ponieważ wciąż mi przypominają o Simonie i o tym, co mi powiedział. Mam podły nastrój i kłócę się z Jackiem, jestem niesprawiedliwa, ponieważ nie zrobił nic złego. Narzekam, że pokój dla dziecka nie jest jeszcze gotowy.

- Obiecałeś mi pomóc.
- Byłem zajęty.
- Mówiłeś to w zeszłym tygodniu.
- Byłem wtedy zajęty.
- Dobrze, więc czy mam wepchnąć dziecko z powrotem do brzucha? Powiedzieć mu, żeby zaczekało, aż będziesz mniej zajęty?

- Zajmę się tym w weekend.
- W ten weekend nie będzie cię w domu.
- W niedzielę.

Czemu on jest taki opanowany? Mam ochotę krzyknąć: „Nie słuchaj moich bzdur. Broń się”.

W końcu wygłaszam jakiś komentarz na temat Simona, kończąc:

- On przynajmniej ma kręgosłup.

- Co to ma znaczyć? - pyta Jack.
- Nic. Nie chcę rozmawiać o Simonie.
- Co on takiego zrobił? Byliście przyjaciółmi.
- Czuję się przy nim niekomfortowo.
- Jak?
- Zapomnij o tym.
- Dotykał cię?
- Nie. - Czuję, że ciało mnie zdradza, czerwienię się od stóp po czubek głowy. - Chodzi o to, jak na mnie patrzy.
- Jak na ciebie patrzy?
- Cofam te słowa. Nie powinnam była nic mówić.
- Nie możesz tego cofnąć. Simon jest ojcem chrzestnym Lucy. Jest moim najstarszym przyjacielem.

Milknę, co w końcu złości Jacka, który wychodzi do ogrodu, zrywa liście z krzewu i wyrzuca je w powietrze, jakby chciał, żeby to były kamienie.

Czuję się winna, bo to ja zasłużyłam na karę. Powinni mnie zakuć w dyby albo ukamienować jak biblijną nierządnicę.

Kiedy Jack wychodzi do pracy, użalam się nad sobą, słuchając wywiadu w Woman's Hour. Matka, której maleńka córeczka zniknęła przed pięciu laty, opowiada, co się wydarzyło, a jej głos jest tępy i zdarty z rozpacz:

- Zajrzałam do Emily, zanim się położyłam, spała w swoim łóżeczku. Jeremy wrócił późno do domu i też do niej zajrzał. Cały czas tam leżała. To była gorąca sierpniowa noc. Zostawiliśmy okna otwarte, żeby w domu nie było tak duszno. Kiedy się obudziłam, dochodziła szósta. Pomyślałam, że Emily wreszcie przespała całą noc. Poszłam do niej, ale łóżeczko było puste.

Cichy szloch, a po chwili:

- Nigdy nie straciliśmy nadziei, że odnajdziemy ją żywą, ale

musimy stawić czoło rzeczywistości. Wiemy, że z każdym mijającym rokiem nasze szanse maleją. Mimo to znów proszę o informacje. Apeluję, żeby ktoś przyszedł nam z pomocą. Z waszą pomocą możemy zakończyć torturę naszej niepewności.

Lachlan wchodzi do kuchni.

- Czemu płaczesz, mamusiu?

- Nie płaczę.

- Z oczu ci cieknie.

Dotykam mokrych policzków.

- Czy płaczesz przez tego dzidziusia? - pyta.

- Nie.

Tulę go, chowam twarz w zagłębieniu jego szyi. On też mnie przytula tak mocno, jak potrafi.

- Ostrożnie, bo dzidziusia zabolli - mówię.

- On mnie czuje?

- I słyszy. Chciałbyś mu coś powiedzieć?

Lachlan ściąga brwi w skupieniu, przyciska policzek do mojego nabrzmiałego brzucha i mówi:

- Nie rób tak, żeby mamusia przez ciebie płakała.

AGATHA

Nie noszę w sobie dziecka. Noszę ideę dziecka. Pielęgnuję marzenie. Można ukraść na przykład pomysły, chwile, pocałunki czy serce, żeby wymienić tylko kilka. Ja zamierzam ukraść dziecko. Zamierzam zabrać to, co mi się należy, bo inni mają więcej niż dość. Zamierzam żyć takim życiem, jakie było mi przeznaczone - z mężem i dzieckiem.

Nie pamiętam dokładnego momentu, kiedy podjęłam decyzję, że będę udawać, że jestem w ciąży. Pomysł zakiełkował w ciemności i powoli rósł w stronę światła. Czytałam w jakimś magazynie artykuł o surogatkach. Jedna z kobiet nosiła protezę ciążowego brzucha z nadzieją, że będzie „dzielić to doświadczenie” z biologiczną matką, czyli surogatką. Nie po raz pierwszy wsadziłam sobie poduszkę pod bluzkę od pizamy i stanęłam przed lustrem, obracałam się na boki, głaskałam brzuch, wyobrażałam sobie siebie w ciąży.

Bardzo mi się to podobało, dlatego powtarzałam scenki wciąż od nowa, za każdym razem wzbogacając tę fantazję nowymi szczegółami. W sieci odkryłam stronę zatytułowaną „Moja udawana ciąża”, gdzie sprzedawano trzy rozmiary protezy ciążowego brzucha na trzy kolejne trymestry. Zrobione z „wysokiej jakości medycznego silikonu” brzuchy miały wyglądać jak prawdziwe i takie też być w dotyku. Czytałam świadectwa par, które korzystały z owych protez, ponieważ adoptowały dzieci, a chciały, żeby ludzie wierzyli, że to ich własne potomstwo.

Moje zamówienie nadeszło po tygodniu. Zaczęłam nosić protezę po mieszkaniu, nigdy na zewnątrz. Kupiłam ubrania dla ciężarnych i przebierałam się, karmiłam swoją fantazję coraz

większą liczbą prawdziwych detali, oglądałam meble do pokoju dziecięcego i katalogi z rzeczami dla dzieci. Z początku chciałam tylko poczuć się jak kobieta w ciąży i wyobrazić sobie, że dziecko we mnie rośnie. Później chciałam, żeby ludzie postrzegali mnie inaczej. Chciałam być błogosławiona. Wyjątkowa. Hołubiona.

Kiedy poznałam Haydena, ukryłam protezę i miałam nadzieję, że on się we mnie zakocha. Był miły i troskliwy, i na tyle przystojny, żebym nie oglądała się za innymi. Wyobrażałam sobie, że będę jego żoną i urodzę mu dziecko.

Jules zaszła w ciążę, a ja z nią świętowałam, choć moje serce płakało. Zazdrościłam jej spuchniętych kostek i wystającego brzucha, i jej radości. Hayden wrócił na statek. Na dnie szafy znalazłam sztuczne brzuchy i włożyłam największy rozmiar. Czy wtedy się zdecydowałam? Być może. Nie wszystkie pomysły pojawiają się od razu w pełni skonkretyzowane, nie wszystkie rodzą się pod wpływem pojedynczego bodźca. Często w ogóle nie ma takiej chwili, kiedy w głowie zapala się jakieś światło czy uderza piorun.

Nie jest trudno udawać ciążę. Pomogło mi to, że Jules mieszka tak blisko. Najpierw do sucha wytarłam miskę klozetową i zablokowałam WC, żeby woda nie spływała. Potem zaprosiłam na dół Jules i nalewałam jej herbatę za herbatą, aż musiała skorzystać z mojej łazienki.

- Masz zepsute WC - powiedziała. - Nie można spuścić wody.
- Czasami zawodzi.
- Chcesz, żeby Kevin na to spojrział?
- Nie, pani Brindle powinna zawołać hydraulika.

Po wyjściu Jules zanurzyłam słoik w misce klozetowej - wiem, to trochę paskudne - ale nie było innego wyjścia. Następnego dnia wybrałam się do lekarza rodzinnego, daleko od miejsca

mojego zamieszkania, i siedziałam w poczekalni wśród kaszlących dzieci i rozpadających się starych ludzi, powtarzając sobie w myślach, co mam powiedzieć.

Doktor Bailey wprowadził mnie do gabinetu, który pachniał nasączonymi alkoholem wacikami i płynem do mycia rąk. Miał rzedniejące włosy i krzaczaste brwi, przez co jego czoło wydawało się ogromne. Zastanawiałam się, czy jego mózg rozwinął się wystarczająco pokaźnie, żeby wypełnić tę przestrzeń, czy tłucze się tam jak orzech włoski w rondlu.

- Więc to pani pierwsza wizyta - powiedział, patrząc na notatki.

- Jak mam wymawiać pani nazwisko?

- Fyfle.

- Co mogę dla pani zrobić, panno Fyfle?

- Chyba jestem w ciąży.

- Ile się pani spóźnia?

- Miesiąc.

- Robiła pani test?

- Nie wiedziałam, czy są dokładne.

- Bardzo. - Odsunął się z krzesłem od biurka, podjeżdżając do małej szafki z szufladami, wyjął z niej zapakowaną strzykawkę. - Mogę zrobić badanie krwi.

- Nie, tylko nie igła - powiedziałam, zakrywając ręce. - Od dziecka mdleję na widok igieł.

Lekarz sięgnął do innej szuflady i podał mi mały pojemnik.

- Damska toaleta jest w końcu korytarza. Proszę to napełnić, a ja zrobię pani test.

W kabinie toalety otworzyłam torebkę i wyjęłam butelkę zawierającą próbkę moczu Jules. Przełałam ją do pojemniczka, umyłam ręce i wróciłam do gabinetu doktora Bailey.

- Cóż, zdecydowanie jest pani w ciąży - stwierdził, pokazując mi

test. - Inaczej nie widzielibyśmy tej różowej linii.

- Jest pan pewny?

- Te testy nigdy się nie mylą.

Podpisał mi zaświadczenie potwierdzające, że jestem w ciąży, i kazał mi się zgłosić do lekarza rodzinnego, który skieruje mnie na badanie USG i poda termin porodu. Zabrałam zaświadczenie do domu i umieściłam na lodówce. Później pokazałam je dziewczynom w supermarkecie, które były podekscytowane, może nawet trochę zazdrosne, co doskonale rozumiem.

Od tamtej pory bardzo się pilnuję. Żadnego alkoholu ani miękkich serów, unikam sushi i majonezu, porzuciłam skoki na bungee i skoki ze spadochronem. Jeśli ktoś w pobliżu zapala papierosa, mierzę go wzrokiem i trzymam się za nabrzmiąły brzuch.

W pierwszym trymestrze uskarżałam się na poranne nudności, aż wydawało mi się, że naprawdę zaczęłam na nie cierpieć. Wymykałam się do toalety dla personelu i wymiotowałam do miski klozetowej. Abigail trzymała z tyłu moje włosy, podawała wodę i upominała, żebym piła powoli.

Pan Patel burczał, że unikam dźwigania i znikam w toalecie, ilekroć mam wykonać cięższą pracę. Próbowалам mu powiedzieć o zwiększonym napływie krwi w okolicy miednicy i nacisku na pęcherz, co sprawia, że chce się sikać, ale zatykał uszy i uciekał.

Kiedy po raz pierwszy wyszłam z domu z protezą brzucha - tą w najmniejszym rozmiarze - czułam się niepewnie, ale po jakimś czasie stała się częścią mnie. Noszę dopasowane ubrania i dumnie wyginam plecy, idąc ulicą, żeby świat wiedział, że jestem ciężarna.

W dwudziestym tygodniu ściągnęłam zdjęcia USG z internetu i przerobiłam je, wpisując swoje nazwisko oraz numer

ubezpieczenia, żeby wyglądały na autentyczne. Pokazywałam je wszystkim w pracy i umieszczałam na lodówce obok ulubionej fotografii Haydena. Byłam wówczas tak pewna siebie, że nosiłam mój brzuch z letnimi sukienkami i jedwabnymi bluzkami. Mijały dni i tygodnie, a ja zatraciłam się w swoim marzeniu. Czułam, jak dziecko we mnie rośnie. Kopało, czkało i obracało się, kiedy głaskałam brzuch i do niego mówiłam.

Teraz noszę największą protezę - wersję dla trzeciego trymestru - i uwielbiam te spojrzenia, jakie rzucają mi przypadkowi przechodnie, którzy uśmiechają się do mnie, jakbym była ich ulubioną siostrzenicą albo synową.

Przez miesiące mówiłam sobie, że w każdej chwili mogę to przerwać. Mogłam „poronić” albo wyprowadzić się z Londynu, zacząć życie od nowa gdzieś indziej. Ale jakaś mała irracjonalna część mnie miała nadzieję, że uda mi się ciągnąć to oszustwo w nieskończoność. Niemożliwe, wiem. Bije we mnie zegar - klepsydra z przesypującym się piaskiem. Do terminu porodu zostały mi niespełna dwa tygodnie. Kiedy przyjdzie ten czas, będę musiała moje dziecko... stracić... albo jakieś... znaleźć.

MEGHAN

Jestem na zajęciach jogi dla ciężarnych w studio obok stacji Barnes Bridge. Znam większość tych kobiet, chociaż każdego tygodnia parę z nich odchodzi, kiedy przychodzi termin porodu. Instruktorka też jest w ciąży, ma na sobie tak przezroczyisty i ciasny trykot, że widzę sterczący pępek. Na jej topie bez rękawów widnieje nadruk - rysunek wykrzywionej ciężarnej kobiety i napis: „Słowo, którego szukasz, to promienna”.

Energicznie łapiąc oddech, każe nam robić:

- Wdeeech, wyyydech, wdeeech, wyyydech. Poszukaj swojego oddechu, bądź bardziej świadoma swojego oddechu. Wdeeech, wyyydech. Niech mój głos będzie przewodnikiem...

Patrzę obok niej na moje odbicie w lustrze. Jedyne czas, kiedy widzę swoje palce u stóp, to zajęcia z jogi.

- Teraz połóż jedną rękę na swoim cennym dziecku, a drugą rękę na sercu. Nabierz powietrza w płuca i delikatnie przyciągnij do siebie dziecko, jakbyś je przytulała.

Lubię te zajęcia. Rozciąganie i medytacje, bez tego bełkotu rodem z New Age o szukaniu własnego ja, emocjonalnej równowadze czy poddaniu się wyższemu bytowi. Stwierdziłam, że sztuczka polega na tym, żeby DODAĆ naukę i ODJAĆ duchowość.

- Wdeeech, wyyydech. Jeszcze dwa oddechy... właśnie tak... a teraz wracamy do środka i stajemy na czworakach na prenatalne powitanie słońca.

Na czworakach czuję się jak krowa, i to bardziej niż kiedykolwiek. Patrzę dalej, za mój brzuch, i zauważam Agathę z tyłu sali. Macham do niej krótko. Ona uśmiecha się nerwowo.

- Jedna ręka do nogi, druga za siebie. Wdeeech i wyyydech.

Wykonujcie ruchy z oddechem. Wasze ciało układa dziecko do snu, jest jego pięknym domem.

Przewracam oczami, a Agatha mnie naśladuje.

Po zakończeniu zajęć rozglądam się za nią. Agatha szcztokuje włosy i związuje je w koński ogon.

- Nie widziałam cię tu wcześniej - mówię.

- Próbowałam się chować z tyłu - odpowiada.

Mamy na sobie legginsy i sportowe topy tej samej marki.

- Mogłybyśmy być bliźniaczkami - stwierdzam.

- Tyle że ja ćwiczę jak hipopotam.

Jest zabawna.

- Masz ochotę na kawę? - pytam.

- Ja...

- Jasne. Ja stawiam. Tyle przynajmniej mogę zrobić w podziękowaniu, że znalazłaś Lachlana.

- On nie zaginął - mówi Agatha. - Był bezpieczny...

W magazynie.

- Wiem, ale wciąż nie rozumiem, jak drzwi się za nim zamknęły.

- Chodźmy do Gail's - zmienia temat. - Chyba że wolisz inne miejsce. - Patrzy na mnie z nadzieją.

- Nie, bardzo lubię Gail's.

Bierzemy torby i wychodzimy przez drzwi wahadłowe. Na ścieżce stoją grupki kobiet, gawędzą, podzwaniają kluczykami, które trzymają w dłoniach z wymanikiurowanymi paznokciami. Z drugiej strony ulicy płynie zapach rzeki o niskim poziomie wody, łodzie o grubym dnie tkwią w błocie pozostawione same sobie, jak pijane kołyszą się na boki. Skręciwszy w Barnes High Street, mijamy rzędy specjalistycznych sklepów, butików i agencji nieruchomości. Macha do mnie rzeźnik, jakaś matka uśmiecha się i kiwa głową.

- Pewnie znasz tu wszystkich - mówi Agatha.

- Tu jest jak na wsi - odpowiadam. - Ale przez to mamy mało prywatności.

Decydujemy się usiąść w środku, bo na dworze wieje zimny wiatr. Rozmowa automatycznie schodzi na dzieci. O czym innym miałybyśmy mówić, skoro obie niedługo rodzimy? Cięża. Zajęcia dla ciężarnych. Położnicy. Środki przeciwbólowe.

- Jestem umówiona na cesarkę - mówię. - Inaczej znów popękam.

- Popękasz?

- Tam w dole. - Pokazuję. - Lucy i Lachlan mieli duże głowy, a ja mam małą miednicę. - Gdy Agatha krzywi się, zapewniam: - Na pewno nic ci nie będzie. To zdumiewające, jak bardzo my, kobiety, potrafimy się rozciągnąć.

- Czy to boli?

- Chryste, tak. Ale potem o tym zapominasz. Dlatego robimy to po raz drugi i kolejny.

- Więc znasz dokładną datę?

- Siódmy grudnia.

- Długo zostaniesz w szpitalu?

- Cztery do pięciu dni. - Nalewam sobie miętową herbatę. - A ty gdzie rodzisz? Zaczekaj, już mi mówiłaś. W Leeds.

- Moja mama tam mieszka. Będzie przy mnie.

- Więc nie ma szans, żeby twój narzeczony wrócił do domu?

- No cóż... - Agatha kręci głową. - Postaram się, żeby zrobili dużo zdjęć.

- Ale to nie to samo, prawda? - mówię. - Kiedy rodziła się Lucy, Jack powiedział, że będzie trzymać mnie za rękę, bo nie chciał widzieć, „jak to się dzieje”, ale kiedy parłam i dziecko zaczęło wychodzić, i to dosłownie, to przeniósł się tam i zdawał mi

dokładną relację. Powiedział, że to było jak seria rzutów karnych na Mistrzostwach Świata.

Agatha się śmieje. Ma ładną twarz i nieśmiały uśmiech, jakby była skrępowana albo bała się, że zrobi coś nie tak. Pyta mnie, jak poznałam Jacka i jak długo jesteśmy małżeństwem. Jak na wszystkich innych, sprawia na niej wrażenie, że Jack pracuje w telewizji.

- To nie jest takie atrakcyjne, jak ci się zdaje - mówię. - Większość weekendów spędza poza domem, nie było go podczas naszych dwóch ostatnich rocznic ślubu, bo odbywały się kwalifikacje do Mistrzostw Europy. Moje urodziny wypadają podczas Tour de France, więc też go nie ma.

- Na jak długo wyjeżdża?

- Podczas wyścigu na trzy tygodnie. Każdego wieczoru dzwoni do mnie podchmielony z jakiegoś francuskiego baru czy bistro.

- Mężczyźni są bezmyślni - mówi Agatha. Jej sweter jest cały w okruszkach. - Obawiasz się czasem, kiedy nie ma go w domu? Tyle tam pokus.

- Kiedyś tak - przyznaję. - Ale on jest idealnym materiałem na męża.

Brzmi to dosyć pewnie, choć od czasu do czasu wyobrażam sobie Jacka, który imprezuje z kuso ubranymi modelkami w szortach z lycry i sponsorskich T-shirtach, tych, które stoją na podium ze zwycięzcami. Nie mówię tego Agacie, nigdy też nie wspomniałam o tym Jackowi. Wiem, że on mnie kocha.

- Jack cieszy się z dziecka? - pyta Agatha.

- Trochę mu to zajęło.

- Czemu?

- Bo to wpadka. Nie planowaliśmy kolejnego dziecka.

- Naprawdę?

Agatha wydaje się zaskoczona. Zamawiamy jeszcze coś do picia i dalej rozmawiamy.

- A ty? - pytam. - Gdzie chodziłaś do szkoły?

- W Leeds, no, głównie tam. A tak naprawdę to wszędzie. Kiedy miałam piętnaście lat, uciekłam z domu.

- Czemu?

- Nie dogadywałam się z ojczymem.

- Wróciłaś potem do domu?

- Byłam w rodzinie zastępczej.

- Ale twoja matka...

- Teraz jesteśmy przyjaciółkami.

- A po szkole?

- Poszłam do college'u dla sekretarek - mówi Agatha takim tonem, jakby to było nic niewarte. - Ale zaliczyłam też kurs dla makijażystek. Pracowałam głównie przy ślubach i imprezach.

- Malowałaś kogoś sławnego?

- Boże, nie! Nigdy nie spotkałam nikogo sławnego, nie tak jak ty.

- Czemu sądzisz, że znam sławnych ludzi?

Agatha otwiera usta, ale milczy. Zapada krępująca cisza.

- Jack pracuje w telewizji... więc tak tylko pomyślałam - mówi cicho.

Śmieję się, mając nadzieję, że to ją uspokoi.

- Kiedyś pracowałam w jednym z kobiecych pism. Robiłam wywiad z Jude'em Lawem.

- Jaki on jest? - pyta Agatha.

- Bardzo przystojny i bardzo bezczelny.

- Flirtował z tobą?

- Tak mi się zdaje.

- Podobałaś mu się?

- Teraz by nawet na mnie drugi raz nie spojrział.

AGATHA

Zastanawiam się, jak Meg potrafi się tak przeistoczyć z uczesanej w koński ogon i ubranej w lycrę miłośniczki fitnessu w wyrafinowaną nowoczesną żonę i matkę. Czuję się obok niej niezgrabna i bez gustu jak dwóch aktorów w jednym kostiumie konia. Meg zamówiła miętową herbatę i owocową sałatkę. To zdrowy wybór. Ja wybrałam cappuccino i czekoladową eklerkę, której okruchy zapaskudziły mi cały sweter z tak szorstkiej wełny, że nie mogę ich strzepnąć.

- Miło widzieć, jak ktoś je z takim apetytem - mówi Meg, bynajmniej ze mnie nie żartując.

- Jestem straszną ciemięgą.

- Ja też.

- Nie, ty nie.

- Zdziwiłabyś się, ile jedzenia dla dzieci mam we włosach.

- Tak, ale to nie twoja wina.

Kawiarnię mijają trzy nastoletnie uczennice z wargami pomalowanymi błyszczkiem i oczami podkreślonymi eyelinerem. Podciągnęły w górę spódnice, by pokazać nogi.

- Miałam kiedyś takie ciało - mówi Meg ze smutkiem.

- Szczęściara.

- Moim zdaniem ciąża ci służy - mówi.

- To dlatego, że przywykłam do mojego ciała - odpowiadam. - Ale w tej chwili czuję się zdecydowanie antyseksowna i antypożądana.

- Chyba nie ma takiego słowa jak antypożądana.

- Wiesz, o czym mówię.

Meg zasypuje mnie pytaniami, a ja miotam się między prawdą

a kłamstwem, rzadko odpowiadam wprost. Kłamstwo przychodzi mi bardzo naturalnie, podczas gdy prawda jest krępująca i niewygodna jak źle dopasowane buty. Nie zamierzałam manipulować ani oszukiwać, kłamstwa, które mówię innym, są niczym w porównaniu z tymi, które mówię sobie.

Meg opowiada, jak dorastała w Fulham i chodziła do prywatnej szkoły dla dziewcząt w Hammersmith.

- Masz rodzeństwo? - pytam.
- Siostrę, ma na imię Grace. A ty?
- Miałam przyrodniego brata, ale zmarł, kiedy miał pięć lat.
- Co się stało?
- Zginął w wypadku samochodowym.
- To okropne. Ile lat wtedy miałaś?
- Jedenaście.

Meg opowiada o Grace, przedstawia ją jako buntowniczkę. Oczekuje, że odkryję przed nią podobne osobiste historie z mojego dzieciństwa. Czemu zwyczajna rozmowa w nieunikniony sposób prowadzi do dzieciństwa? Wiem, że przyjaciółki dzielą się wspomnieniami, ale czemu miałabym odkrywać szczegóły dotyczące rodzeństwa, kar, zwierząt domowych, wakacji, szaleństw, złamanych kości i złamanych serc albo tego, kto ma najbardziej zwariowaną matkę?

- A ty, Agatho? - pyta Meg. - Co robisz w wolnym czasie?

Śmieję się nerwowo.

- Moje życie to nudy.

- Ludzie, którzy tak mówią, mają zawsze najciekawsze rzeczy do opowiedzenia.

- Ale nie ja.

Znów próbuję uciec od tematu. Meg to zauważa. Nie chcę, żeby myślała, że jestem skryta.

- Byłam kiedyś zamężna - mówię i zaczynam opowiadać jej o Nickym. - Trwało to pięć lat, ale nie wyszło.

- Pozostaliście przyjaciółmi?

- Przysyła mi co roku kartkę na Boże Narodzenie.

- Nie mieliście dzieci?

Do moich oczu napływają łzy, widzę kawiarnię jak przez mgłę. Pochyliam głowę, nie jestem w stanie wydobyć z siebie głosu.

- Zdenerwowałam cię - mówi Meg. - Przepraszam.

- Nie, to moja wina - odpowiadam. - Myślałam, że po tak długim czasie... - Urywam na moment. - Straciliśmy dziecko... to była dziewczynka, w piątym miesiącu poroniłam.

- To straszne.

- Nie powinnam już tak reagować, a jednak.

- Nie próbowaliście po raz kolejny? - pyta Meg.

Natychmiast słyszę ostrzegawczy dzwonek. Wyjawiłam zbyt wiele. Podzieliłam się prawdą, to wszystko mi utrudni.

Meg zdaje się wyczuwać mój niepokój.

- Cóż, to już przeszłość. Teraz masz narzeczonego i dziecko w drodze. - Uśmiecha się. - Ustaliliście już datę ślubu?

- Jeszcze nie. Może przyszłego lata.

- Świetnie.

- Myślimy o podróży poślubnej na Tahiti - dodaję, licząc, że zrobię na niej wrażenie.

- Podobno południowy Pacyfik jest piękny.

- Wynajmiemy bungalow na plaży i będziemy żyć jak tubylcy.

- Jakie to romantyczne - mówi Meg. - Szczęściara z ciebie. - Jej twarz nagle się rozjaśnia, jakby wpadła na świetny pomysł. - Co teraz robisz?

- Co?

- W tej chwili?

- Nic.

- Chodźmy do mnie. Mam mnóstwo pudeł z dziecięcymi ubrankami, o wiele więcej, niż potrzebuję. Muszę je przejrzeć. Cieszyłabym się, gdybyś coś sobie z tego wzięła.

- Nie potrzebuję ubranek.

- To przynajmniej je obejrzyj. Niektóre są nowiusieńkie. Dostaję darmowe egzemplarze dzięki mojemu blogowi.

- Jakiemu blogowi?

- Prowadzę bloga dla mam o ciąży i o wychowaniu dzieci. Chodźmy. Przygotuję lunch. Pomożesz mi zdecydować, które ubranka zostawić.

Niebo pociemniało, wiatr się wzmaga, szarpie płóciennymi markizami i tłucze szybami w oknach. Na chodnik spadają duże krople deszczu.

- Nie mam parasolki - mówi Meg.

- Ja też.

- Będziemy musiały pobiec.

Śmieję się.

- Mówisz poważnie? W naszym stanie nie powinniśmy biegać.

- No to podrepczemy kaczym chodem.

Meg biegnie przede mną, trzyma nad głową torbę z rzeczami na jogę, bo pada coraz mocniej, dosłownie ściana deszczu. Klienci sklepów kryją się w drzwiach i otwierają parasole.

Śmiejąc się i rozpryskując wodę w kałużach, Meg woła:

- Już niedaleko!

Boję się, że gdybym biegła za szybko, mój brzuch by się zsunął albo elastyczne mocowanie na plecach by się rozciągnęło.

Kiedy docieramy do domu, Meg otwiera frontowe drzwi i zrzuca buty. Wyjmuje dwa duże ręczniki z bielizniarki. Chichocząc jak małolaty, wycieramy włosy. Meg wygląda jak Andie MacDowell

w „Czterech weselach i pogrzebie”. Ja wyglądam jak Janet Leigh w „Psychozie”, zanim nóż zaczyna drzeć prysznicową zasłonę.

Ściągam przemoczony sweter i zauważam, że top z długim rękawem przykleja się do mnie jak druga skóra, podkreślając zarys protezy brzucha. Wstrzymuję oddech. Zakrywam się ręcznikiem.

- Mogłabyś mi pożyczyć coś suchego do przebrania?

- No jasne. Chodź na górę.

Puszczam Meg pierwszą. Nie chcę, żeby oglądała mnie od tyłu.

Znam plan domu. Główna sypialnia jest na pierwszym piętrze z widokiem na Cleveland Gardens. Meg otwiera garderobę i wyjmuje legginsy i swetry. Bez chwili wahania zdejmuje top. We wpadającym przez okno świetle widzę kontur jej dużego brzucha. Rozpina sportowy biustonosz i odwraca się do mnie. Zauważam *linea nigra*, lekkie przebarwienie skóry biegnące od miejsca powyżej pępka do kości łonowej. Jej sutki są tego samego koloru.

- Przebierz się, zanim umrzesz z zimna - mówi.

- Mogę skorzystać z łazienki?

Wskazuje łazienkę. Zabieram suche ubrania i zamykam za sobą drzwi.

Meg woła:

- Przepraszam, Agatho, powinnam była spytać. Na jodze zawsze przebieram się przy innych kobietach.

- W porządku - odpowiadam.

- Wypadło to tak, jakbym chciała ci się pokazać - mówi. - Tylko niby po co?

- Ja się zawsze chowam! - wołam przez zamknięte drzwi. Zdejmuję mokre ubrania, staram się nie patrzeć w lustro. Ubieram się szybko, upewniam się, że proteza dobrze się trzyma. Zajmuje mi to zbyt dużo czasu.

- Wszystko w porządku? - pyta Meg.

- Tak.

- Potrzebujesz suszarki? - woła.

- Nie, dziękuję.

- No to idę na strych po ubranka. Spotkamy się na dole.

Kiedy Meg się oddała, otwieram szafkę w łazience i oglądam jej tonik i kremy na noc, zapisuję sobie w pamięci marki. Meg i Jack używają elektrycznych szczoteczek do zębów. Przechodzę do sypialni, otwieram szuflady, przeglądam bieliznę Meg. W głębi szuflady z majtkami odkrywam mały różowy wibrator w aksamitnym woreczku. Śliczny, seksowny. Nowoczesny.

Wychodzę stamtąd i idąc holem, docieram do pokoju dzieciennego, który pachnie świeżą farbą. Podziwiam meble i szablony, siadam w bujanym fotelu i kołyszę się, wyobrażając sobie, że karmię moje dziecko.

Meg woła mnie z dołu. Podgrzewa quiche w piekarniku, zrobiła też sałatkę. Po jedzeniu przez dwie godziny przeglądamy i sortujemy ubranka z pudeł, zastanawiamy się, co do czego pasuje, i zestawiamy gotowe komplety. Meg mówi o przyjaźni i wyborze dobrego przedszkola i szkoły podstawowej.

- Czy Lucy lubi St Osmund's? - pytam.

- Skąd wiesz, że tam chodzi?

- Widziałam jej szkolny mundurek.

- Widziałaś Lucy. - Meg marszczy czoło.

- Pracuję w supermarkecie, zapomniałaś? Widziałam cię tam z Lucy i Lachlanem. Oczywiście wtedy nie znałam ich imion, ale jeśli się nie mylę, Lachlan ma kolorową hulajnogę, a Lucy lubi się czesać w baranie uszy.

- Chce być księżniczką Leią.

- Kim?

- Nie oglądałaś „Gwiezdných wojen”?

- Dawno temu.

Meg patrzy na swoją komórkę,

- A skoro mowa o tych małych diabełkach, muszę ich odebrać.

Deszcz ustał. Moje ubrania wyschły w suszarce. Ubranka niemowlęce leżą porządnie złożone w papierowych torbach. Meg odprowadza mnie do drzwi.

- Kiedy jedziesz na północ?

- W przyszłym tygodniu.

- Zobaczymy się jeszcze?

- Nie wiem.

- Masz mój numer, a to mój adres mejlowy. - Zapisuje go na skrawku papieru.

Ściskamy się. Nasze brzuchy się zderzają.

- Powodzenia, na wypadek gdybyśmy się nie zobaczyły - mówi Meg.

- Tobie też.

- Przyślij mi zdjęcia.

- Okej.

Stoi w drzwiach i macha do mnie na pożegnanie. Idę przed siebie ulicą, nie oglądając się, chociaż mam na to ochotę. Wiedziałam, że się zaprzyjaźnimy. Wciąż wyobrażałam nas sobie razem, jak gramy w tenisa, urządzamy pikniki i rozważamy, do której szkoły posłać dzieci.

Muszę jednak zachować ostrożność, ponieważ nic nie jest pewne, zapięte na ostatni guzik ani zamknięte. Nic się nie zakończy, dopóki gruba pani nie będzie miała dziecka.

MEGHAN

- Mam nową koleżankę - mówię.

Jack siedzi na łóżku i sznukuje buty do tenisa. Zarezerwowali z Simonem kort w Roehampton Club.

- Chodzi ze mną na jogę.

- Więc też jest w ciąży.

- Oczywiście.

- Jesteś zaklinaczką mamusiek - komentuje ze śmiechem. - Przyciągasz je tym swoim blogiem.

- To nie są przyjaciółki, to są obserwatorki.

- Chciałaś powiedzieć apostołki.

Jack nie ma pojęcia o mediach społecznościowych i różnicy między przyjaciółmi, obserwatorami, lajkami i subskrybentami. Ścisną w dłoni raketę i ćwiczy forhend.

- Więc kim ona jest?

- Pracuje w supermarkecie. - Gdy patrzy na mnie zdziwiony, pytam: - Co w tym złego?

- Twoje koleżanki zwykle nie pracują w supermarketach.

- Agatha twardo stąpa po ziemi i potrafi mnie rozbawić. Stanowi miłą odmianę. Pomyślałam, że mogłabym ją przedstawić mojej grupie matek.

- Sabatowi czarownic?

- Bardzo zabawne. To jej pierwsze dziecko, a narzeczony przebywa gdzieś na morzu.

- Jest rybakiem?

- Służy w Marynarce Królewskiej.

- A, marynarz.

- Czemu tak to powiedziałaś?

- Wiesz, co mówią o marynarzach?

- Co?

- Był sobie pewien marynarz, który pół roku spędził na morzu. Kiedy w końcu dopłynął do portu, poszedł do burdelu, położył na stole dwieście funtów i powiedział: „Dajcie mi najbrzydszą kobietę i kanapkę z grillowanym serem”. Właścicielka burdelu na to: „Sir, za takie pieniądze może pan mieć naszą najładniejszą dziewczynę i obiad z trzech dań”. Marynarz kończy tę wymianę opinii w taki oto sposób: „Pani posłucha, moja damo, ja nie jestem napalony, ja tęsknię za domem”.

Jack parska śmiechem, w przeciwieństwie do mnie.

- To obrzydliwe - mówię.

- Takie są najlepsze. - Całuje mnie w usta. - Myślałem, żeby zaprosić Simona na obiad. Gina wyjechała, sam się o siebie troszczy.

Czuję, jak coś się we mnie porusza, jakby dreszcze, które mną wstrząsnęły, uruchomiły alarm brzęczący mi w uszach.

- Sam się wprosił? - Ledwie słyszę swój głos zagłuszany wewnętrznym hałasem.

- Nie, ale zawsze o ciebie pyta.

- O mnie?

- O twoją ciążę. Może znów chce zostać ojcem chrzestnym? To dopuszczalne?

Nie odpowiadam. Jack jest już prawie przy drzwiach frontowych.

- Mamy tylko jakieś resztki. Powinieneś zjeść w klubie - mówię.

- Nonsens. Simon chce cię zobaczyć. Zamówimy coś na wynos. Cokolwiek zaszło między wami, musicie to jakoś załatwić.

Milczę. Drzwi się zamykają, a moje serce bije jak rozerwana opona. Mówiłam Simonowi, że nie jest tu mile widziany, więc

dlaczego to robi? Otwieram lodówkę i widzę pół butelki białego wina. Zastanawiam się, czy nie nalać sobie kieliszka, i to dużego. Chcę się upić. Chcę wyjść z domu. Przede wszystkim nie chcę się spotkać z Simonem.

Przez kolejne dwie godziny jestem jak podminowana. Warczę na Lachlana za to, że rozlał mleko, doprowadzam Lucy do łez, rozczesując jej włosy. To nie fair wobec nich. To nie fair wobec mnie.

Słyszę, jak Jack i Simon podjeżdżają pod dom. Kiedy są razem, rozmawiają głośniejszym niż zwykle, jak ludzie, którzy krzyczą do telefonów komórkowych. Nie są pijani, ale każdy z nich niesie otwarte piwo i sześciopak.

Nie patrzę na Simona. Kiedy próbuje mnie uściskać, odwracam twarz i odchylam się.

- O co chodzi? - pyta. - Wziąłem prysznic.

- Kolacja będzie niedługo - zmieniam temat.

Jack zaczyna opowiadać o grze, o swoim wielkim *comebacku*, od pięciu przegranych setów do zwycięstwa w decydującym secie. Zerkam na Simona i zdaję sobie sprawę, że pozwolił Jackowi wygrać. Inni by tego nie poznali, ale ja znam go zbyt dobrze.

Dzięki temu Jack jest w dobrym nastroju, bo nie tak często wygrywa.

- Odkąd ożeniłem się i utyłem - mówi, poklepując się po brzuchu.

Ta uwaga jest przeznaczona dla mnie, bo Jack waży tyle samo co w czasach, gdy go poznałam.

Simon kończy piwo, a Jack podaje mu kolejne. Siedzą na wysokich stołkach przy kuchennym blacie i patrzą, jak szykuje sałatkę i nakrywam do stołu.

- Świetnie wyglądasz - mówi Simon.

- Promienieję - odpowiadam, nie kryjąc sarkazmu.
- Kiedy masz termin?
- Siódmego grudnia - mówi Jack.

Może wpadam w paranoję, ale czuję, że Simon liczy w myśli, próbuje ustalić datę poczęcia.

Jack nadal peroruje:

- Simon niejedną raz mi mówił, że chce zostać ojcem. Poradziłem mu, żeby zrobił Ginie dziecko, ale może woli najpierw się z nią ożenić.

Nie komentuję. Obaj wyczuwają napięcie, tylko Jack nie rozumie jego powodu.

- Więc kiedy zdecydowaliście, że chcecie mieć trójkę? - pyta Simon, kierując te słowa do mnie.

- Właściwie tego nie planowaliśmy - mówi Jack.

- Czyli nie uważaliście?

- Pamiętasz czterdzieste urodziny Hestona?

- W Hampshire.

- Zabawiliśmy się rano i zagraliśmy w rosyjską ruletkę.

Znów widzę, że Simon w myśli prowadzi obliczenia. Cisza się przeciąga.

- A jak tam dzieciaki? - pyta Simon. - Myślałem, że je zobaczę.

- Lachlan jest już w łóżku, Lucy ogląda telewizję w naszym pokoju. - Dotykam ramienia Jacka. - Chce ci powiedzieć dobranoc.

- Zaraz tam pójde.

Jack przełyka resztę piwa, wsuwa język do butelki, jakby szukał ostatniej kropli.

Gdy zostaję sam na sam z Simonem, zaczynam wycierać czyste blaty. Simon paznokciem kciuka odrywa naklejkę ze swojej butelki.

- Nie możesz mnie tak dalej odtrącać, Meg. Jestem najlepszym kumplem Jacka, jestem twoim przyjacielem.

- Czemu to robisz?

- Graliśmy w tenisa. Wypiję kilka piw. Zawsze byłem mile widziany w tym domu. Jesteście dla mnie jak druga rodzina.

- Nie jesteście. - Gdy Simon wstaje i rusza w moją stronę, cofam się, by dzielił nas aneks kuchenny, i dodaję: - Czemu wypytujesz o mój termin?

- Bo ludzie tak robią, prawda? Zadają sobie różne pytania. Wyobraź sobie, że zaczynam trzymać się z daleka, a wtedy Jack będzie chciał wiedzieć dlaczego. Co miałbym mu powiedzieć?

- Nic.

- Karzesz mnie za swój błąd.

- To był nasz błąd.

- Jasne, bo zdradziłem Ginę, ale my nie jesteśmy małżeństwem. Więc jeśli zaczniemy szukać winnych, myślę, że wiem, kto jest bardziej winny.

Oczywiście ma rację, co jeszcze bardziej mnie rozwściecza, ale nakazuję sobie milczenie.

- Więc przez wzgląd na ciebie i na Jacka sugeruję, żebyś się uspokoiła i zaczęła miło mnie traktować. - Zbieram puste butelki, a Simon przysuwa się bliżej i mówi jeszcze: - Powinnaś dbać o zdrowie i o dziecko.

- Co cię to obchodzi?

Uśmiecha się.

- Znasz odpowiedź.

- Dziecko nie jest twoje.

- Udowodnij to.

AGATHA

Matka napisała kolejny list. Widnieje na nim plama z czerwonego wina w miejscu, gdzie postawiła kieliszek.

Droga Agatho,

myślałaś o przyjeździe do Hiszpanii na Boże Narodzenie? Mogłybyśmy wynająć samochód i pojechać wzdłuż wybrzeża, przedstawiłabym Cię wszystkim moim nowym znajomym. Nie są tacy starzy jak ja, a Hiszpanie są bardzo przystojni. W klubie jachtowym jest ratownik, który tak by Ci się spodobał, że topiłabyś się po to tylko, żeby cię uratował.

Jeśli nie chcesz mnie widzieć, zrozumiem. Zawsze w życiu polegałam na obcych, więc teraz, kiedy mój czas ucieka, też nie będzie inaczej.

Moja matka uwielbia grać kartą śmierci, choć jest zdrowa jak ryba. Nie pozwolę, żeby wzbudziła we mnie poczucie winy, nie zmusi mnie tym sposobem do posłuszeństwa. Po śmierci mojego ojczyma próbowała na nowo nawiązać ze mną „kontakt”. Właśnie tego słowa wtedy użyła, a zabrzmiało ono tak, jakby jedna z nas przypadkiem wykopała ze ściany wtyczkę.

Czytam dalej:

Zapomniałam Ci wcześniej powiedzieć, że niedawno zmarł pan Bowler. Wiem, że były między Wami nieporozumienia, ale mam nadzieję, że jesteś w stanie mu wybaczyć. Modlę się, żebyś i mnie wybaczyła.

Do listu dołączyła wyrwany wycinek z *Yorkshire Evening Post*:

Bowler Charles Steward

Odszedł w pokoju 18 października w Hospicjum Świętej Anny w wieku 68 lat. Pan Bowler z radością wypełniał swoją służbę

jako świadek Jehowy wraz z żoną Elizabeth i dziećmi Helen, Nancy, Margaret i Bernice.

Znajdował wielką radość w wychwalaniu Jehowy, naszego Stwórcy, głosząc Dobrą Nowinę nowo ustanowionego Królestwa Bożego tym, „którym jest przeznaczone życie wieczne” (Dzieje Apostolskie 13:48, Mateusz 24:14) i nauczając o wszystkich cudownych dziełach Boga.

Ceremonia pogrzebowa zostanie odprawiona w poniedziałek 23 października o godz. 11.40 w Sali Królestwa Świadków Jehowy, 103 Silvermere Road, Leeds.

Elizabeth prosi wszystkich gości, żeby ubrali się na jasno. Zamiast kwiatów prosi o datki na Hospicjum Świętej Anny.

Wyobrażam sobie ten pogrzeb. Trumna zostaje złożona do ziemi, a żona i dzieci, ubrani na jasno, oplakują życie, które przyniosło mi tyle bólu. Widzę starszych zboru ustawionych w kolejce, by wychwalać brata Bowlera, mówić o jego dobroci i pobożności.

Trzęsącymi się rękami otwieram laptop i szukam więcej dowodów jego śmierci, chcę mieć pewność. Znajduję stronę Bernie na Facebooku i przypominam sobie, że zeznawała przeciw mnie podczas przesłuchania przed komisją sądową. Zamieściła zdjęcie ojca, nazywając go „opoką i opiekunem”. Dziesiątki przyjaciół załączyło komentarze, przesyłając jej kondolencje. Mam ochotę dodać swój komentarz, nazwać Bowlera popieprzonym zboczeńcem, ale za bardzo się boję.

Można by sądzić, że po ponad dwudziestu latach uwolnię się od pana Bowlera, wciąż jednak zdarza mi się budzić w nocy i czuć zapach ryby z frytkami, słyszeć głos, który każe mi otworzyć oczy. Nie otwieram ich. Nie chcę widzieć jego twarzy.

Nigdy nie potrafiłam wytłumaczyć terapeutom ani

pracownikom socjalnym, dlaczego moim zdaniem społeczeństwo niewłaściwie używa słów takich jak „groza” czy „potwór”. Dla mnie groza to coś, co mnie zaraża jak choroba, a mojego „potwora” przywołuje sam zapach octu na frytkach.

Nie chcę być ofiarą, właśnie dlatego bagatelizuję to, co się stało. Mówię sobie, że spałam ze swoim gwałcicielem tylko parę razy i że pan Bowler naprawdę mnie kochał, ale robię to wbrew mojej pamięci, odsuwam toksyczne detale, próbuję sama siebie przekonać, że to nie było takie straszne albo że to, co się wydarzyło, nie zostawiło we mnie żadnego śladu, podczas gdy w rzeczywistości mnie zatrulo.

Miałam piętnaście lat i byłam w ciąży, a mój Kościół i moja rodzina wyparli się mnie. Kiedy tamtego wieczoru jechaliśmy do domu z Sali Królestwa, matka cicho płakała, a ojczym tak mocno ścisnął kierownicę, aż knykcie mu pobielwały. Później, leżąc w łóżku, słyszałam, jak się kłócili, a ta istota we mnie szeptała:

Mówiłam ci, żebyś nic nie mówiła. Mówiłam ci, żebyś nie mówiła.

Nazajutrz rano niespodzianie wzeszło słońce. Nie wierzyłam, że po minionym dniu nastąpi kolejny. Ojczym powiedział, że nie pójdę do szkoły, i zawiózł mnie do dużego wiktoriańskiego domu na cichej ulicy na obrzeżach Newcastle. Patrzyłam na okna wykuszowe i poczerniałe od sadzy ściany, zastanawiając się, czy to sierociniec, czy dom dziecka.

- Co to za miejsce?
- Klinika - odparł.
- Nie jestem chora.

Po drugiej stronie ulicy stała grupka protestujących z plakatami i banerami. Na jednym plakacie przeczytałam:

Człowiek od poczęcia jest człowiekiem!

Śpiewali hymn „Amazing Grace”.

- Chcę zatrzymać dziecko - oznajmiłam.

Ojczym odezwał się łagodnie, trzymając mnie za rękę:

- Może gdybyś była starsza.

- Mam prawie szesnaście lat.

- Masz ledwie piętnaście. Dzięki temu skończysz szkołę, pójdiesz do college'u i znajdziesz pracę. A pewnego dnia wyjdiesz za mąż i założysz rodzinę.

- Nie okłamałam starszych zboru.

- Wiem.

- Pan Bowler jest ojcem.

- Pozwalamy, żeby Jehowa o nas decydował.

Zanim znaleźliśmy się w recepcji, minęliśmy dwoje specjalnie zabezpieczonych drzwi. Ręce tak mi się trzęsły, że ojczym musiał wypełnić papiery. Przyszła po mnie pielęgniarka, uśmiechnięta kobieta o tak czarnej skórze, że niemal świeciła fioletowo we fluorescencyjnym świetle. Splecione włosy zdobiły jaskrawe koraliki, które stuknęły, kiedy się poruszała.

- Muszę porozmawiać z Agathą sam na sam - rzekła do mojego ojczyma.

Próbował oponować, ale kazała mu zamilknąć i usiąść. Chyba nigdy nie słyszałam, żeby jakaś kobieta tak się do niego zwracała.

- Pamiętaj, co zdecydowaliśmy - powiedział, kiedy pielęgniarka poprowadziła mnie dalej.

Zabrała mnie do gabinetu z niskim łóżkiem, biurkiem i aparatem USG. Zastanawiałam się, czy właśnie tam do tego dojdzie, do przerwania ciąży. Jehowa nie akceptuje aborcji. Pan Bowler nauczył mnie tego podczas naszych lekcji Pisma Świętego w Sali Królestwa, co mogłoby wydawać się ironiczne, gdybym nie była tak przerażona.

- Witaj, Agatho, na imię mi Janice - powiedziała pielęgniarka. -
Czemu tu przyjechałaś?

- Jestem w ciąży.

- Rozumiem. A dlaczego tu przyjechałaś?

- Jestem za młoda, żeby mieć dziecko.

- Ile masz lat, Agatho?

- Piętnaście.

- Jak dawno uprawiasz seks?

- Od trzynastego roku życia.

- Zostałaś zgwałcona?

- Nie, to znaczy to nie był gwałt. Po prostu zrobiliśmy to, wie pani, oboje zdecydowaliśmy.

Zerknęłam nerwowo na drzwi.

- Ten mężczyzna w poczekalni to twój ojciec?

- Ojczym.

- To on jest ojcem dziecka?

- Nie.

Janice kazała mi położyć się na łóżku.

- Zrobię ci badanie USG, żeby potwierdzić ciążę i zobaczyć, jak bardzo jest zaawansowana. Potem pobiorę ci krew do badania i spytam o dotychczasowe choroby.

Podciągnęła mi bluzkę i posmarowała brzuch żelem.

- Przepraszam, to zimne.

- Nie szkodzi.

- Chciałabyś zobaczyć płód?

- Nie... - Urwałam gwałtownie, po czym dodałam: - Dziękuję, że pani zapytała.

- Wygląda na dwunasty tydzień. Zgadza się?

Kiwnęłam głową.

Wytarła mi brzuch papierowym ręcznikiem i kazała zapiąć

bluzkę.

- Mówiłaś ojcu dziecka?

- Tak.

- Ile ma lat?

- Nie wiem.

- Jest w twoim wieku?

Pokręciłam głową.

- Jest dużo od ciebie starszy?

Nie odpowiedziałam.

- Rozważałaś zgłoszenie tego na policję?

- Nie mogę tego zrobić.

- Dlaczego?

Znów nie odpowiedziałam.

Janice nie złościła się na mnie ani nie zawstydziła. Dała mi kartonik soku jabłkowego ze słomką i wzięła mnie za rękę, mówiła łagodnym głosem. Omal jej nie opowiedziałam o panu Bowlerze. Omal nie poprosiłam: „Pomóż mi”.

- Agatho, muszę być pewna, że nikt nie wywiera na ciebie nacisku, nie nalega na podjęcie takiej decyzji. To ważne, żebyś była do tego przekonana. Jesteś tu bezpieczna. Nikt cię nie skrzywdzi. Czy sama zdecydowałaś się tu przyjechać?

- Moi rodzice tego chcieli.

- A czego ty chcesz?

- Nie wiem.

- Agatho, istnieją pewne zasady związane z przerywaniem ciąży. Dopóki nie usłyszę od ciebie właściwych powodów, dla których chcesz to zrobić, nie dojdzie to tego.

- Jakich powodów?

- Nie mogę tego za ciebie powiedzieć.

- Nie wiem, co zrobić.

- Zastanawiałaś się nad oddaniem dziecka do adopcji?
- Czy to możliwe?
- Tak. Radzę ci jeszcze raz porozmawiać z rodzicami. Mogą być rozczarowani, ale jestem przekonana, że cię kochają i będą cię wspierać niezależnie od tego, jaką decyzję podejmiesz.

Szliśmy z ojczymem w milczeniu do samochodu. Otworzył drzwi i przytrzymał je dla mnie. Kiedy go mijałam, uderzył mnie w twarz. Moje oczy wypełniły się łzami. Znów podniósł rękę, ale więcej mnie nie tknął.

W ciąży przytyłam ponad dwadzieścia kilo i od tamtej pory nie włożyłam bikini. W szkole siedziałam sama jak trędowata, która może innych zarazić chorobą. Nieważne, że wiele dziewczyn uprawiało seks - TO JA spodziewałam się dziecka.

Pewnego razu podczas lunchu, kiedy pojawiłam się w stołówce, zobaczyłam, że wszystkie dziewczyny podwinęły bluzy, stały w kolejce na ugiętych nogach z wypchniętymi do przodu brzuchami i kaczym chodem przesuwają się naprzód po tace. Chłopcy zaśmiewali się i błaznowali, podobało im się to przedstawienie. Z opuszczoną głową zjadłam lunch, zdeterminowana, żeby się nie rozplakać. Później szłam do domu przez tumany śniegu, aż zatęskniłam za Elijahem, który uwielbiał śnieg. Pomyślałam, że ma szczęście, że już nie żyje, bo nie musi doświadczać tego okrucieństwa.

Przestałam chodzić do szkoły i przez ostatnie dwa miesiące ciąży siedziałam w domu, oglądałam telewizję i objadałam się, czekając na narodziny mojego dziecka. Nie chodziłam na spotkania w Sali Królestwa i nie rozmawiałam z ojczymem. Matka zachowywała się, jakby wszystko było normalnie, ignorowała moją ciążę i traktowała mnie jak dziecko.

Wody odeszły mi w środku nocy, rodzice zawieźli mnie do

szpitala położniczego. Przez dwanaście godzin dziwnie zmienionym głosem krzyczałam, jęczałam i stękałam, kiedy moje dziecko starało się ze mnie wyjść, a moje ciało usiłowało je zatrzymać.

Dziewczynka urodziła się 24 marca o 14.24, ważyła dwa kilogramy pięćdziesiąt dwa deko. Położna położyła mi ją na brzuchu i przecięła pępowinę. Maleństwo z pomarszczoną upapraną twarzą i cienkimi rzadkimi włoskami. Oczy miała zamknięte w skupieniu, jakby w myśli wypowiadała jakieś życzenie.

Studiowałam bardzo dokładnie każdą jej zmarszczkę, krągłość, zagłębienie i barwę. Klatkę piersiową, która się unosiła i opadała. Zaciskające się palce. Miękką skórę. Jej zapach, dotyk, ciepło, piękno. Zapisałam to sobie w mózgu, tworząc matrycę, która do dziś jest równie żywa.

Rodzice adopcyjni już czekali na zewnątrz. Widziałam ich tylko raz przez kilka minut. Byli skrępowani i zdenerwowani, ale wydawali się dość mili. Pracownica socjalna podeszła do mojego łóżka.

- Przyszłam po nią - oznajmiła, nie patrząc mi w oczy.

Przez całą ciążę próbowałam nie wyobrazić sobie tej chwili, siłą woli wyrzucałam ją z myśli, mówiłam sobie, że postępuję słusznie. Teraz wszystko się zmieniło. Stworzyłam maleńką, kruchą, idealną ludzką istotę - kogoś, kto należał do mnie, był z mojej krwi i mojego ciała, kto będzie mnie kochał i kogo ja będę kochała.

- Nie oddam jej - szepnęłam.

Moja matka powiedziała:

- Nie możesz tego zrobić, Agatho.

- Dlaczego? Jest moja.

- Podpisałaś dokumenty.

- Podrę je.

Pracownica socjalna wyciągnęła ręce po moje dziecko. Przytuliłam je mocniej.

- Zmieniłam zdanie. Nie zabieraj jej. Ona jest moja!

- Nie chcę używać siły - powiedziała pracownica socjalna, chwytając mnie za nadgarstki. Kopnęłam ją. Przekleła.

Przytrzymali mnie dwaj szpitalni sanitariusze, rozprostowali mi palce, przycisnęli moje ręce do łóżka, zabrali mi dziecko. Matka mnie przytuliła. Odepchnęłam ją. Płakałam. Błagałam.

- Proszę, proszę, oddajcie mi ją! - krzyczałam, kiedy pracownica socjalna wyniosła dziecko z pokoju.

Krzyczałam tak głośno, żeby obudzić śpiących, żeby powietrze zadrżało, a ptaki uleciały z drzew. Krzyczałam, żeby ktoś - ktokolwiek - mi pomógł, lecz nikt się nie pojawił, nikt mnie nie słuchał. W moje ramię wbiła się igła. Zaczęłam gdzieś odpływać.

Nigdy nie wybaczę matce tego, co zrobiła. Pan Bowler skradł mi dzieciństwo. Moja matka i ojczym okradli mnie z przyszłości. Dwa tygodnie później uciekłam z domu. Sprowadzili mnie z powrotem. Znow uciekłam. Potem przebywałam w różnych rodzinach zastępczych.

Kiedy skończyłam osiemnaście lat, zwróciłam się do agencji adopcyjnej z pytaniem o moją córkę. Wtedy odkryłam najgorszy akt zdrady mojej matki. Oszukała mnie, podsuwając do podpisania dokument, który zabraniał mi szukania kontaktu z dzieckiem w przyszłości. Jednym mażnięciem pióra, moim dziecięcym charakterem pisma, skazałam się na wieczne pytania:

Czy postąpiłam słusznie?

Czy moja córka jest szczęśliwa?

Czy w ogóle o mnie myśli?

Każda matka, która oddaje swoje dziecko, mierzy się z tymi pytaniami, ale moje odbijają się najgłośniejszym echem, ponieważ nie mam innych dzieci, które złagodziłyby mój ból. Moja córka ma teraz dwadzieścia trzy lata. Być może studiuje na uniwersytecie. Być może mieszka parę ulic dalej. Może spaceruje King's Road w Chelsea, kołyszając biodrami i wymachując torebką, może przegląda się w każdym oknie wystawowym.

Nie mam prawa jej szukać, ale teraz, kiedy skończyła osiemnaście lat, to ona może mnie szukać. W tym cała moja nadzieja, to moje marzenie, modlę się o to do Boga, który odwrócił się do mnie plecami. Mam nadzieję, że pewnego dnia otworzę drzwi i ujrzę ją za progiem. Powiem córce, że jej nie porzuciłam, że ją kochałam i myślałam o niej przez całe dwadzieścia trzy lata. Moja córka... moje pierwsze dziecko... jedyne, które przeżyło...

MEGHAN

Simon przysłał mi tuzin SMS-ów, wszystkie tej samej treści. Chce się ze mną spotkać. Wyłączyłam komórkę i postanowiłam go ignorować. Zarazem próbuję poprawić sobie humor terapią wyprzedazową.

U Johna Lewisa na drugim piętrze jest dział z ubrankami dziecięcymi i wyposażeniem pokoju dla dziecka, a także dział dla kobiet w ciąży i serwis prezentowy. Moja „doradczyni moda” o imieniu Caitlin jest irytująco zwawa i autorytatywna, z pewnością nigdy nie pozwoliłaby dziecku buszować w spiżarni bez surowego nadzoru. Za to ja jej pozwalam, żeby zaprezentowała mi ubrania i kosmetyki do domowego spa. Mój wzrok przyciąga pewna suknia. Czarna i elegancka, w mojej garderobie brak czegoś choćby w połowie tak pięknego.

- Niestety, nie mamy tego wzoru w pani rozmiarze - oznajmia Caitlin.

Nie podoba mi się jej ton. Nie podoba mi się jej talia osy, płaski brzuch i wysokie kości policzkowe. Biorę czarną sukienkę i ruszam do przebieralni, gdzie rozbieram się do stanika i ciężowych majtasów. Rozpinam suwak czarnej sukni, wkładam ją przez głowę. Warstwy jedwabiu zaczynają spływać z moich ramion, a potem nagle się zatrzymują. Ciągnę, szarpie, kręcę się, powoli naciągam suknię na piersi i wystający brzuch.

Przeglądam się w lustrze. Widok jest przerażający! Elegancka suknia wydyma się na moim brzuchu jak balowa suknia empirowa. Gdybym jeszcze włożyła na głowę czepek, mogłabym się zgłosić na przesłuchania do „Dumy i uprzedzenia - lata żałoby”.

Chwytam brzeg sukni i unoszę ją jak najwyżej, zapominając rozpiąć. W połowie drogi moje ręce zostają unieruchomione. Utkwiłam w pułapce sukni. Nie mogę wyciągnąć rąk, nie mogę zdjąć sukni przez głowę.

Zerkam na siebie przez otwór dekoltu w kształcie serca i widzę dziwaczne, bezkształtne czarno-białe stworzenie, którego brzuch sterczy nad babcinymi majtasami. Nie wyglądam na kobietę w ciąży. Wyglądam, jakbym zżarła wszystkie ciasta świata.

- Wszystko w porządku? - pyta Caitlin zza drzwi.
- Mam drobny problem z sukienką.
- Zawołam menedżerkę.
- Nie, nie trzeba.

Ciągnę za sukienkę, dyszę i sapię. Pojawia się menedżerka i odzywa się przez drzwi:

- Jaki ma pani problem?
- Żaden.

Paskudnie przeklinam. Skrzypi zamek. Drzwi się otwierają. Nie mogę opuścić rąk, żeby się zasłonić.

Menedżerka, Caitlin i trzy klientki są świadkami mojego wyprzedazowego horroru, widzą moje fioletowe żyły, rozstępy i cellulit.

- Utknęła pani - mówi Caitlin, stwierdzając fakt. - Mówiłam, że to nie pani rozmiar.

Suka!

- Pasowała idealnie. Zapomniałam ją rozpiąć i tyle.

Menedżerka i Caitlin muszą zdjąć ze mnie suknię, przez co omal nie tracę ucha.

- Chce pani przymierzyć coś innego? - pyta menedżerka.
- Nie, dziękuję. Ta jest dobra.

Ubieram się, policzki mnie palą, naelektryzowane włosy fruują

wokół głowy. Płacę za sukienkę i wychodzę z Johna Lewisa, wyobrażając sobie personel, który ryczy ze śmiechu. Nigdy tam nie wrócę. Winię za to Simona. Gdybym się tak nie denerwowała, nie zmierzyłabym tej sukni.

Po powrocie do domu odkrywam kolejne wiadomości na sekretarce. A gdyby to Jack pierwszy je odsłuchał? Muszę to powstrzymać. Telefon znów dzwoni. Nie rozpoznaję numeru.

- Jeżeli się wyłączysz, przyjdę do ciebie - mówi Simon.

Mój palec zatrzymuje się nad przyciskiem „rozłącz”.

- Zostaw mnie w spokoju, proszę.

- Musimy to załatwić.

- Nie! Przestać pisać do mnie SMS-y. Przestań dzwonić. Nie chcę cię więcej widzieć.

- Nie masz wyboru.

- Zadzwoń na policję.

- Świetnie, zadzwoń.

Zabiłabym aroganckiego dupka, ale jestem bezradna. Nie mogę zaangażować w to policji ani starać się o sądowy zakaz zbliżania się bez wiedzy Jacka. Simon wie, że zrobię wszystko, żeby chronić moje małżeństwo i rodzinę.

- Nie chcę nikogo skrzywdzić - mówi cicho. - Spotkaj się ze mną. Pozwól mi wytłumaczyć.

Kiedy poziom wody w Tamizie jest wysoki, w Kew woda w niektórych miejscach przelewa się na brzeg, płynąc stróżką wzdłuż ścieżki, tworząc jeziora i błotne kałuże. Czekałam na ławce, patrząc na wiosłarską ósemkę. Zmarszczki na wodzie układają się niczym pióra strzały.

- Przepraszam za spóźnienie - mówi Simon.

- Oboje jesteśmy przed czasem - odpowiadam, wstając. Nie uśmiecham się przyjaźnie. Wręcz przeciwnie, nie kryję złości.

Przyjechał prosto z biura, ma na sobie pognieciony garnitur i poluzowany krawat. Obraz wystudiowanej nonszalancji. Okulary przesunął na czubek głowy. Nachyla się, jakby się spodziewał, że mnie obejmie, ale ja się cofam.

- O co chodzi, Simon? Muszę wracać do domu.

Ruszamy ścieżką pod drzewami, gdzie ostatnie liście uparcie tkwią na gałęziach.

Simon odchrząkuje.

- Kiedy dziecko się urodzi, chcę zrobić test na ojcostwo.

To ja głośno wciągam powietrze, ale wydaje się, że ten dźwięk płynie zza moich pleców.

- Co?!

- Słyszałaś.

Przystaję i przechodzę na bok ścieżki. Mija nas jakiś biegacz, kiwając głową w pozdrowieniu. Wbijam paznokcie w zaciśnięte pięści.

- Musisz z tym skończyć. Jack jest twoim najlepszym przyjacielem. I moim mężem. To, co się między nami wydarzyło, było złe. Przyznaliśmy to oboje. Obiecaliśmy sobie nigdy więcej do tego nie wracać.

- To było wcześniej.

- Wcześniej?

- Chcę być ojcem.

- To dziecko już ma ojca.

- Nie rozumiesz.

- Więc mi to wyjaśnij.

Simon bierze głęboki oddech, jakby jego opowieść była niczym balon, który trzeba nadmuchać.

- Nie mam ojca, tylko jakieś niewyraźne wspomnienia ojca. To on jest tym mężczyzną na zdjęciu, który stoi obok volkswagena na

podjeździe naszego domu. To on walił do drzwi i błagał moją matkę, żeby go wpuściła. Coraz głośniejszy, coraz bardziej zły. Matka i ja kuliliśmy się w ciemności. Matka groziła, że zadzwoni na policję.

Przerywa na moment, ale ja wiem, że nie czeka na mój komentarz. Zresztą niby jaki miałby być? Po chwili Simon mówi dalej:

- Kilka lat później mój brat zobaczył mężczyznę, który stał naprzeciw naszej szkoły. Szedł za bratem do domu, cały czas po drugiej stronie ulicy. Matka zadzwoniła na policję, ale kiedy przyjechali, ten mężczyzna zniknął. - Ciężko potarł twarz dłońmi. - Przez lata mówiłem sobie, że brak ojca mi nie przeszkadza. Mnóstwo dzieciaków pochodzi z rozbitych domów. Niektórzy mają się lepiej, jeśli ojcowie pozostają gdzieś w pobliżu. Kiedy skończyłem czternaście lat, zacząłem zadawać pytania, ale matka nie odpowiadała. Zacząłem grzebać w jej rzeczach i znalazłem fotografię przedstawiającą mężczyznę stojącego obok volkswagena. Spytałem ją, czy to on, a ona wyrwała mi zdjęcie i oskarżyła o kradzież. Nigdy więcej nie widziałem tego zdjęcia.

Nie wiem, czemu Simon mi to mówi. Chcę, żeby przeszedł do rzeczy, bo stopy mnie bolą i chce mi się siku.

- Rok po skończeniu szkoły odwiedziłem w Szkocji moją babkę, której umysł zaczynał już szwankować. Powiedziała mi, że ojciec był mistrzem planów szybkiego wzbogacenia się, które nigdy nie wypalały. Prowadziły tylko do bankructwa i pukających do drzwi komorników. Słuchając tego, przypomniałem sobie matkę we łzach, kiedy z naszego domu wynosili meble i ładowali je na ciężarówkę. - Wzdryga się na tamte wspomnienia. - Kiedy skończyłem studia, wciąż mieszkalem z matką. Kiedyś pękła rura i zalało piwnicę, gdzie trzymała stare listy i widokówki. Woda

większość z nich zniszczyła. Zacząłem opróżniać piwnicę. W jednym z pudeł natknąłem się na dziesiątki nieotwartych listów. Były zaadresowane do mojego brata i do mnie. Były tam życzenia urodzinowe i bożonarodzeniowe sięgające wstecz do czasów naszego dzieciństwa... wszystkie od naszego ojca. Nie porzucił nas. Próbował być w kontakcie.

- Gdyby naprawdę chciał...

- Proszę, pozwól mi skończyć - mówi Simon, krzywiąc się i przepraszając za swój ton. - Zacząłem szukać ojca. Próbowałem normalnych kanałów, czyli sprawdzałem książki telefoniczne i listy uprawnionych do głosowania. Zatrudniłem prywatnego detektywa. Zajęło mi to pół roku i zabrało większość moich oszczędności. Dostałem mejla z dwoma załącznikami: świadectwem zgonu i wynikami badania koronera. Ojciec zmarł w Maroku na skutek przedawkowania narkotyków. Miał czterdzieści siedem lat.

Simon patrzy na mnie, ból wyrył się na jego czole. Zaczynam mu współczuć.

- Wiem, co myślisz - mówi. - Gość był nieudacznikiem i lepiej, że go z nami nie było. Ale ja całe życie opląkuję jego brak. Pewnie wydaje ci się dziwne, że tęsknię za kimś, kogo prawie nie znam. Zawsze zastanawiałem się, czy to jego nieobecność jest powodem moich problemów z kobietami. Czy dlatego nie jestem zdolny do stałego związku? Zastanawiam się też, czy łatwiej jest tym dzieciom, które zdążyły swojego ojca dobrze poznać i pokochać, a potem go straciły. Mogą oplakiwać jego brak albo próbować wypełnić przestrzeń, którą po sobie pozostawił. Ja nie mam takiej przestrzeni, a wciąż czuję pustkę. Może to rozstanie było dla mnie gorsze niż dla niego. Czy za mną tęsknił? Czy się o mnie martwił? Czy dlatego szukał pocieszenia w narkotykach?

- Wyciągasz pochopne wnioski - mówię.

- Może. - Wzrusza ramionami. - Ale nie chcę być taki jak on, Megs. Nie chcę niczego w życiu stracić, a jedną z przeznaczonych mi życiowych ról jest rola ojcem.

Mówi to ostatnie zdanie błagalnym tonem. Walczę z chęcią przekłucia balonu jego megalomanii. Widziałam Simona wciągającego więcej koki niż Charlie Sheen i zmieniającego kobiety częściej niż modne designerskie krawaty. Mimo wszystko trzymam język za zębami i zachowuję spokój.

- Tu jest pewna różnica, Simonie - mówię łagodnie. - Ty dorastałeś bez ojca. Moje dzieci mają ojca.

- Ale czy Jack jest prawdziwym ojcem?

- Jest jedynym ojcem.

- Chcę być obecny w życiu mojego syna.

- To nie jest twój syn. Nie ma z tobą nic wspólnego.

- Mam prawo wiedzieć, czy jest mój.

- Nie masz żadnych praw.

- Rozmawiałem z prawnikiem. Twierdzi, że mogę dochodzić swoich praw w sądzie. Powiedział, że sędzia może nakazać wykonanie testu na ojcostwo.

Wznoszę oczy do nieba.

- Chryste, Simon, masz pojęcie... To by zniszczyło moją rodzinę.

Simon milknie. Wciąga powietrze, potem szepcze:

- Zrozum, proszę, nie chcę cię denerwować, ale ja to przemyślałem. Myślałem o tobie...

- Co to ma znaczyć?

Twarz Simona wydaje się zmieniać kształt w plamach światła, które pada przez liście.

- Myślisz czasem o naszych wspólnych chwilach? Wiesz, zanim poznałaś Jacka?

- Nie.

Widzę po nim, że ta odpowiedź go zabolą.

- Byłem zrozpaczony, kiedy mnie zostawiłaś.

- Przez większość czasu byłeś naćpany.

- Kochałem cię.

- Bzdury.

- Powiedziałem ci to.

- Każdej dziewczynie mówiłeś, że ją kochasz, to był element twojej gry wstępnej.

- Mylisz się. - Dotyka mojego ramienia, żebym się do niego odwróciła. - Powiedziałem te słowa dwóm kobietom w moim życiu. Jedną z nich była moja matka. Drugą ty.

Przyglądam się badawczo jego twarzy, szukając jakiegoś znaku, że kłamie.

- Chcesz powiedzieć...

- Tak.

- Że nadal...

- Kocham cię.

Wydaje się, że wstrzymuje oddech, czeka na moją odpowiedź. Milczę, ale Simon wypełnia ciszę. Daje mi lekcję historii, przypomina naszą pierwszą randkę i nasz pierwszy weekendowy wyjazd, i naszą wycieczkę do Paryża na Wielkanoc. Wszystko pamięta, nawet to, w co byłam ubrana, kiedy pierwszy raz mnie zobaczył.

- Próbowałem cię zapomnieć. Pojechałem do Ameryki, a potem do Hongkongu. Umawiałem się z innymi kobietami z nadzieją, że jedna z nich pozwoli mi o tobie zapomnieć. Nie mogę ci nawet powiedzieć, jak się czułem, kiedy wróciłem do Londynu na ślub Jacka i okazało się, że on żeni się właśnie z tobą. Cieszyłem się przez wzgląd na niego, jakoś z tym żyłem. Udawałem, że to bez

znaczenia. Mówiłem sobie, że kogoś spotkam, zakocham się i zapomnę o tobie. - Waha się. - Tamtego wieczoru, kiedy pokłóciłaś się z Jackiem i przyjechałaś do mnie... Nienawidzę się za to, co teraz powiem, ale jakaś drobna część mnie liczyła, że... Chciałem ci powiedzieć, jak się czułem. Wiem, że źle postąpiliśmy, ale dłużej nie mogę zaprzeczać własnym uczuciom. A jeśli tamta noc doprowadziła do tego... - Wskazuje na mój ciężowy brzuch. - Jeśli nosisz nasze dziecko, chcę mieć swój udział w jego życiu. Kocham cię, Megs. Zawsze cię kochałem i zawsze będę cię kochał.

Obejmuje mnie, ale nie daję się złamać. Moje ciało sztywnieje jak manekin, odpycham Simona. Moje myśli pędzą jak szalone. Wszystkie te lata... kolacje... grille... tenis i golf... Boże Narodzenia i chrzciny. Czy dawałam Simonowi fałszywą nadzieję? Czy jestem tak złym człowiekiem?

- Muszę iść - mruczę pod nosem, rozglądając się. Nagle czuję się zagubiona. Jak mogłam tego nie dostrzec? Znam Simona od lat. Wiem, że jest skłonny do uzalania się nad sobą i składania pustych obietnic, ale nie do miłości. Czy oczekuje, że dokonam wyboru między nim a Jackiem?

- Wybacz, Megs - podejmuje Simon. - Chciałbym to zrobić, nikogo nie raniąc, ale nie mogę żyć z myślą, że dziecko przyjdzie na świat, nie znając prawdziwego ojca.

- Takie rzeczy dzieją się cały czas.

- To źle.

- Chodzi ci o mnie czy o dziecko?

- O was oboje.

Jego gładka odpowiedź coś we mnie wyzwala. Obracam się i mocno uderzam go w twarz. Ręka mnie boli. Nigdy nikogo nie uderzyłam.

- Naprawdę jesteś egoistycznym kutasem!
- Kocham cię.
- Nie! Nie waż się tak mówić. Gdybyś mnie kochał, nigdy byś mi tego nie mówił. Gdybyś mnie kochał, odesłałbyś mnie tamtej nocy, zamiast mnie upić.

Simon zaczyna protestować, ale przerywam mu.

- Jeśli będziesz to drążył - mówię podniesionym tonem - jeśli będziesz się upierał przy teście na ojcostwo, zrobię wszystko, żebyś nigdy nie zobaczył tego dziecka. Nigdy nie trzymał go w ramionach. Nigdy więcej nie wejdiesz do naszego domu. Dla mnie będziesz martwy.

AGATHA

To mój ostatni dzień w supermarkecie. Poprosiłam pana Patela, żeby napisał mi referencje, a on na to, że nie zna mnie dość dobrze.

Co za dupek!

W związku z tym nie czuję się ani trochę winna, kradnąc snickersa i puszkę coca-coli, kiedy wymykam się na przerwę. Dołącza do mnie Abigail, zapala papierosa i macha ręką, żeby dym nie leciał w moją stronę. Przycupnęliśmy na niskim murku za pojemnikami na śmieci pod porośniętym bluszczem treliazem.

- Nie zostanę tu długo - mówi Abigail. - Staram się o pracę w nowym sklepie Apple na Regent Street. Dają darmowe T-shirty.

- A jakieś zniżki?

- Taa. Potrzebuję nowego iPhone'a. - Pokazuje mi pęknięty ekran.

Lubię Abigail, bo jest bezpardonowo głośna i o wiele odważniejsza ode mnie. Kiedyś przejechała Europę autostopem i spędziła miesiąc w Turcji, podróżując samotnie. Poza tym jeździ na motocyklach i nie interesuje się zamążpójściem, może dlatego, że jej chłopak ma żonę i dwoje dzieci.

Pan Patel gwizdże, stając w tylnych drzwiach. Skończyło się nasze piętnaście minut. Chce, żebym wymyła mopem podłogę w dziale owocowo-warzywnym, gdzie zawsze jest najbrudniej. Napełniam wiadro gorącą wodą i wyjeżdżam z nim z magazynu.

- Przepraszam - mówi jakiś mężczyzna.

Przesuwam się na bok i też mruczę pod nosem przeprosiny, że niby tarasuję przejście. Dopiero kiedy mnie mijają, zdaję sobie sprawę, że to Jack. Szuka czegoś na półkach w dziale aptecznym.

Nie wziął koszyka ani wózka. Wpadł tylko na chwilę, pewnie o czymś zapomniał. Bierze z półki prezerwatywy i czyta informację na opakowaniu, próbuje zdecydować, którą markę albo jaki rozmiar kupić. Podjąwszy decyzję, idzie do kasy. Abigail z tym swoim uśmiechem wbija zakup na kasę fiskalną.

Coś w tej scenie mnie niepokoi. Czemu Jack kupuje prezerwatywy? Odstawiam mopa i idę do okna wystawowego od frontu. Przed sklepem stoi czarne bmw kabriolet z kobietą za kierownicą. Poznaje ją, to agentka nieruchomości, która pokazywała mi dom w Cleveland Gardens, który później kupili Meg i Jack. Patrzę, jak Jack wsiada na miejsce pasażera.

- Coś nie tak? - pyta Abigail.

- Nie, nie.

- Znasz go?

- Nie.

Wracam do mycia podłogi, ze złością chlapię wodą. To jasne, Jack zdradza Meg. Sypia z tą wypacykowaną, sztywną od botoksu dziewczką na szpilkach. Jak ona śmie rozbijać moją idealną rodzinę? A jeśli Jack zostawi Meg? A jeśli ona go wyrzuci?

O trzeciej biorę mój ostatni pasek i żegnam się z Abigail i innymi dziewczynami. Ubrana w zimowy płaszcz idę boczną uliczką prowadzącą do Barnes. Zatrzymuję się przed witryną agencji nieruchomości, patrzę na lśniące fotografie mieszkań i domów na sprzedaż. Pod zdjęciami każdej nieruchomości widnieje podobizna agenta i jego dane kontaktowe. Rhea Bowden, tak się nazywa. Pamiętam, jak się do mnie przymilała, kiedy oglądałam dom, i pytała, czy mój mąż zechce go obejrzeć oddzielnie.

W pubie jest automat telefoniczny. Wybieram numer agencji nieruchomości. Odbiera recepcjonistka, młoda i afektowana.

- Czy mogę rozmawiać z Rheą Bowden? - pytam.
 - Dziś po południu nie ma jej w biurze. Czy mogę przekazać wiadomość?
 - Dzwonię z Homebase. Jeden z naszych kierowców ma dostarczyć kafelki do łazienki, ale nie może znaleźć domu pani Bowden. Pewnie mamy zły adres.
 - Kafelki do łazienki?
 - Dzwoniłam na jej komórkę, ale nie odpowiada. Kafelkarz pewnie już czeka na tę dostawę.
- Słyszę stukanie na klawiaturze.
- Milgarth Avenue trzydzieści cztery, Barnes.
 - Ulica się zgadza, ale mamy zły numer - mówię. - Dziękuję za pomoc.

Dom znajduje się niespełna osiemset metrów dalej. Po drodze zatrzymuję się w sklepie Barnes Fish Shop i kupuję kilo gotowanych krewetek. Sprzedawca robi sobie żarciki na temat zalet ryb dla ciężarnych. Chwilę z nim gadam, potem idę dalej.

Rhea Bowden mieszka w niskim wolno stojącym domu przy ulicy, gdzie jest dużo drzew i kontenery budowlanców. W takich miejscach można zobaczyć dwa rodzaje samochodów - drogie marki jak mercedes, bmw czy audi, i szpanerskie auta w rodzaju mini cooperów, aston martinów czy oryginalnych garbusów. Samochód Jacka parkuje po drugiej stronie ulicy za kabrioletem bmw.

Wślizguję się przez główną bramę i idę wąską ścieżką, mijając rdzewiejący rower przypięty łańcuchem do słupka. Kucam pod oknami, żeby nie rzucać cienia na zasłony.

Z tyłu domu słyszę muzykę i głosy. Staję na kwiatowej grządce, unoszę się na palce i zaglądam przez okno. Widzę róg łóżka i rzucone na podłogę spodnie... but... koszulę... bluzkę.

Uczepiona parapetu podciągam się do góry i wyciągam szyję. Tym razem dostrzegam Rheę Bowden w czarnej bieliźnie. Siedzi okrakiem na Jacku, opierając dłonie na jego klatce piersiowej, i gwałtownie porusza biodrami. Jej brzuch podryguje. Jack wyciąga ręce i masuje jej piersi pod krótką koszulką. Ona świntuszy i miele biodrami, jęczy jak gwiazda porno.

Jakaś część mnie jest tym spektaklem zniesmaczona, lecz inna chce nadal patrzeć. Zastanawiam się, czy im nie przerwać. Mogłabym zadzwonić do drzwi Rhei albo uruchomić alarm w jej samochodzie. Nie, to zbyt dziecinne.

Wracam tą samą ścieżką, podchodzę do samochodu Jacka, wydaję z torebki notes i wyrywam kartkę. Wyobrażam sobie, że Jack po seksie wypala papierosa, a Rhea myje się w bidecie. Należy do tych, którzy mają bidet, bo dzięki temu czuje się bardziej europejska i wyrafinowana.

Drogi Jacku,

wiem, że masz romans. Wiem gdzie, kiedy i z kim się spotykasz. Mam Twoje zdjęcia z Rheą Bowden. Wiem też, że Twoja żona jest w ciąży. Zakończ ten romans albo powiem Meg. Nie zasługujesz na nią, dupku!

Twój

Przyjaciel

Składam kartkę na pół i wciskam pod wycieraczkę samochodu Jacka.

Rozglądam się, podchodzę z kolei do bmw Rhei i kucam obok opony od strony chodnika. Odpakowuję krewetki i zaczynam je wciskać do kołpaków, przesuując się od jednego koła do drugiego, następnie upycham krewetki do otworów odpowietrzających i kratownicy. Część główek się odłamuje, ale daję sobie z nimi radę.

Krewetki zgniją dopiero za parę dni. Z początku Rhea będzie się zastanawiała, skąd pochodzi ten smród i obwini sąsiadów, ale powoli dojdzie do tego, co się stało, bo smród będzie jej towarzyszył dosłownie wszędzie.

Zadowolona ze swojego dzieła myję ręce pod ulicznym kranem. Mam nadzieję, że dałam Jackowi odpowiednią lekcję. Jeśli nie, kolejny list wyślę mu na adres domowy. Chcę, żeby pozostał mężem Meg, był wierny i wychowywał Lucy i Lachlana. Być może nie jestem wzorem moralności, lecz nie dopuszczę do rozpadu tego małżeństwa. Już niedługo będą się nawzajem bardzo potrzebowali.

MEGHAN

Co ja mam począć z Simonem? Przez jego żądania i prośby czuję się jak w pułapce, uwięziona między moją niewiernością a jego niefortunnymi i fałszywymi deklaracjami miłości. Po prostu znalazłam się między młotem a kowadłem. Wspomnienia naszej wspólnej nocy, których nie mogę się pozbyć, budzą we mnie wstyd i emocje oscylujące między morderczą furią a całkowitą kapitulacją.

A gdybym przyznała się Jackowi i błagała o wybaczenie?

Powiedziałabym:

- To był tylko seks. To nic nie znaczyło.

Co za żaloszny banał. „Tylko seks” mówi każdy niewierny małżonek, jakby postawienie słowa „tylko” przed słowem „seks” minimalizowało zdradę.

Czy powiem też Jackowi, że Simon mnie kocha i że kiedyś byłam z nim związana? Tylko pogorszyłabym sytuację, ponieważ do tej pory to ukrywałam. Powinnam była od razu powiedzieć o tym Jackowi, ale to był wieczór przed naszym ślubem.

To wina Simona. Twierdzi, że mnie kocha, a moim zdaniem nie jest zdolny kochać nikogo prócz siebie. Jest oportunistą, a także, jeśli można tak to nazwać, życiowym dyletantem. Widać to po dziewczynach, które wybiera. Wszystkie są tępe, a w każdym razie zdecydowanie nie dorównują mu intelektem. Tyle że sprawność intelektualna to jedno, a ten na pozór czarujący i troskliwy człowiek jest tak naprawdę bardzo powierzchowny, brak mu emocjonalnej głębi. Nie ma pojęcia, jak utrzymać rodzinę czy związek. Jedynym powodem, dla którego chce mieć dziecko, jest to, że dzięki temu stanie się bardziej interesujący.

Grace proponuje mi dziewczynski wypad, ponieważ nie zgodziłam się na baby shower. Zarezerwowała nam zabiegi w salonie spa obok Sloane Square i upiera się, że będzie prowadzić.

- Mam nadzieję, że mają tam wannę dla wielorybów - mówię, ale ona ma w nosie moje obawy, twierdząc, że uzalanie się nad sobą dowodzi, iż potrzebuję rozpieszczenia.

Spa jest dyskretnie ukryte za ciężkimi drewnianymi drzwiami. Wnętrze, udekorowane w klimacie Azji Południowej z rzeźbami z drewna tekowego, marmurową podłogą i zapachem drzewa sandałowego, przypomina idylliczną oazę w Malezji. Grace nie pozwala mi spojrzeć na cennik.

- Zaprosiłam cię - mówi, sącząc pierwszy kieliszek szampana. - Za trzy godziny poczujemy się jak nowe.

Nie myli się. Wkrótce jestem okładana pięściami, nacierana, głaskana, rozciągana i perfumowana, aż zasypiam i ślinię się na moim ręczniku. Dwóch masażystów współzawodniczy, by dobrać się do Grace, która tak właśnie działa na mężczyzn i chłopców, homo i hetero.

Dorastając, bardzo się różniłyśmy. Grace była nieustępliwą buntowniczką, ja, zawsze cicha i grzeczna, chciałam wszystkich zadowolić. Za każdym razem, kiedy z racji wieku poszerzano moją wolność, zabierano ją Grace.

- Daj tej dziewczynie ogarek, a weźmie świeczkę - mawiał mój ojciec.

Studiowałam anglistykę w Edynburgu. Dlatego tam, bo wybrałam uniwersytet znajdujący się możliwie najdalej od domu. Zdawałam wszystkie egzaminy, ukończyłam studia z najlepszą notą, cały ten czas obserwując, jak Grace w wieku lat szesnastu sprytnie wpraszała się do nocnych klubów, upijała się, paliła jak

komin, nosiła minispódniczki i na dwa lata uciekła na kontynent, udając hipiskę. W końcu wróciła do domu i poszła na uniwersytet. Jakoś zaliczała egzaminy. Podejrzewam, że sypiała z niektórymi wykładowcami, ale to tylko wyraz mojej zazdrości.

Przez większość czasu uważałam, że nic nas nie łączy, jednak teraz jesteśmy ze sobą bliżej. Dobrze się czuję w jej towarzystwie. Grace nigdy nie próbuje na siłę zrobić na mnie wrażenia ani mnie rozśmieszyć.

- Co powiesz na lunch? - mówi, kiedy opuszczamy spa.

- Pod warunkiem, że pozwolisz mi zapłacić.

Jej samochód stoi zaparkowany w bocznej ulicy. Idziemy ramie przy ramieniu, wciąż odrobinę senne po zabiegach.

- Cały ranek milczałaś. Wszystko w porządku? - pyta Grace. - Chodzi o Jacka?

- Nie.

- O dzieci?

- Są świetne. - Biorę głęboki oddech. Mój głos drży. - Wpadłam w tarapaty.

- Trochę za późno na żal.

Śmieje się, patrząc na mój balon, ale jej śmiech cichnie, kiedy do niej nie dołączam.

- Nie mogę nikomu powiedzieć - niemal szepczę. - Nawet tobie.

- Mnie możesz. Wszystko sobie mówimy.

- Ale nie to.

Moje oczy napełniają się łzami. Wycieram je ze złością.

Po drugiej stronie ulicy zauważam ciężarówkę firmy od przeprowadzek z otwartymi tylnymi drzwiami. Dwaj mężczyźni wynoszą z domu sofę i wciągają ją na rampę. Wyobrażam sobie, że to mój dom i że Jack się ze mną rozwodzi.

- Daj spokój, Meg, nie płacz. Nie może być tak źle.

- Wszystko spieprzyłam. Zrobiłam coś strasznie głupiego. - Mój głos drży. - Tylko raz. Byłam pijana. I wściekła. - Urywam. Wzdycham. Biorę się w garść.

Grace marszczy czoło.

- O czym ty mówisz?

- Przespałam się z Simonem.

Grace, poza dziwnym błyskiem w oku, nie reaguje. Milczy, nie może mówić.

- Pokłóciliśmy się z Jackiem. Mówił straszne rzeczy, zranił mnie... powiedział... powiedział, że chce się rozwieść. Pojechałam do Simona. Chciałam wiedzieć, czy Jack mu coś mówił. Czy wciąż mnie kocha. Simon nalał mi drinka, rozmawialiśmy. Rozpłakałam się. On mnie objął. To było naprawdę głupie.

- Miałaś romans! - Grace wreszcie powróciła zdolność mówienia.

- To było tylko raz.

- Ty? Panna Świętoszka?

- Proszę, przestań.

- Wiem, takie rzeczy się zdarzają, ale nie tobie.

- Wiem, wiem.

- Romansowałaś z nim, zanim poznałaś Jacka?

- Tak.

Grace wciąga powietrze przez zęby z charakterystycznym świstem. Docieramy do jej samochodu. Otwiera drzwi i wsiadamy w milczeniu, patrzymy przez przednią szybę.

Przygryzam dolną wargę.

- Powiedz coś - proszę cichym głosem.

- Jestem w szoku.

- To wszystko?

- Czuję się odrobinę zrehabilitowana.

- Nie rozumiem.

- Zawsze byłaś chodzącą doskonałością, ulubioną córką faworytką. Nie robiłaś nic złego.

- Nie byłam żadną faworytką. W porównaniu do ciebie byłam po prostu rozsądna.

- Do tej pory.

Czemu się o to kłócimy?

Grace trzyma dłonie na kierownicy. Zastanawiam się, ile szampana wypila. W jej głosie słyszę zdenerwowanie.

- Zapomnij o tym, siostrzo.

- Co?

- Czujesz się winna. Daj spokój. Zapomnij.

- To nie wszystko. Jest jeszcze coś. Simon myśli, że to jego dziecko.

Tym razem Grace otwiera i zamyka usta, nie wydając żadnego dźwięku. Znów próbuje i tym razem jej się udaje:

- A jest?

- Nie. Zdecydowanie nie. - Stanowczo kręcę głową, usiłując wyglądać na pewną siebie.

- Więc czemu on myśli, że jest?

- Wbił sobie do głowy taką głupotę... że... bo widzisz... Spytałam go, czy używał prezerwatywy, więc pomyślał...

- Więc to może być dziecko Simona?

- Powiedział, że używał prezerwatywy.

- Ty nie pamiętasz?

Gdy kręcę głową, Grace wybucha śmiechem, na co reaguję ze złością:

- To nie jest zabawne.

- To nerwowy śmiech, okej? Ale po co w ogóle się tym przejmować? Jeśli oboje będziecie milczeć, nikt się nie dowie.

- Simon chce wiedzieć. Domaga się testu na ojcostwo, gdy już dziecko się urodzi.

- Powiedz, że się nie zgadzasz.

- Powiedziałam.

Grace w końcu w pełni się zaangażowała i w pełni uświadomiła sobie mój problem. Jest zła, to dobrze. Ma pierwszorzędny umysł i trzeciorzędne morale, czyli dokładnie to, czego teraz potrzebuję, jeśli mam powstrzymać Simona.

- Pogadam z nim - mówi Grace.

- To nic nie da.

- Potrafię być bardzo przekonująca.

- Nie chcesz chyba...?

- Co?

- Nic.

Mruży oczy i ściąga brwi, tworząc dwie zmarszczki, które przecinają jej czoło.

- Nie, Meg, nie prześpię się z nim. Wiem, co sobie myślisz, ale to nie jest moja odpowiedź na wszystko.

- Wybacz.

- Musimy coś na niego mieć.

- Na przykład?

- Jakieś brudy.

- To się nie uda.

- O ile wiem, kiedyś ćpał, i to sporo, prawda?

- Jak wiele osób.

- Handlował narkotykami?

- Tak... trochę.

- Mogłybyśmy zaszantażować szantażystę i w ten sposób zmusić go do milczenia. Jestem pewna, że jego szefowi nie byliby zachwyceni, gdyby się dowiedzieli, że zatrudnili byłego handlarza

narkotyków.

Grace się rozkręca, za bardzo się tym ekscytuje.

- Nie. Nie będziemy go szantażować - oponuję stanowczo. - Nie chcę, żeby ktokolwiek został skrzywdzony.

- Hej, to jest wojna, starsza siostró. Musimy walczyć tą samą bronią, a w tym przypadku to obrzucanie się błotem. - Ściska moją dłoń. - Jeśli to nie zadziała, może będziesz musiała powiedzieć Jackowi.

- Wiem.

- Co on zrobi?

- Chciałabym wiedzieć.

AGATHA

Wczoraj Jules pojechała do szpitala i nad ranem urodziła. Wiem to od Kevina, który przyjechał rano do domu, żeby wziąć prysznic i się przebrać.

- Dziewczynka - rzucił bez tchu, kiedy spotkałam go na schodach.

- Jak się czuje Jules?

- Doskonale. Żadnych problemów. Według położnej podręcznikowo. Po południu będą w domu.

- Tak szybko?

- Jules nie chce zostać w szpitalu. Jadę odebrać Leo od teściowej, żeby mógł przywitać siostrzyczkę.

- Gdybyś czegoś potrzebował - mówię, ale Kevin już zbiega ze schodów. Wyobrażam sobie Haydena, który zostając ojcem, zachowuje się podobnie. Zacznie skakać po mieszkaniu jak młody seter. Oczywiście z początku będzie trochę bezradny, ale nauczę go trzymać dziecko i zmieniać pieluchę, a on szybko to pojmie.

Później tego popołudnia słyszę, jak Jules przyjeżdża do domu. Kevin niesie dziecko w samochodowym foteliku, a Jules walczy z torbą podręczną i dwoma bukietami kwiatów. Jeden jest ode mnie.

- Mam siostrę - chwali się Leo, mijając mnie na schodach.

Biorę kwiaty od Jules i ściskam ją, po czym idę za nią na górę do jej mieszkania, gdzie robię herbatę, nalewam wodę do wazonów i układam bukiety na stole.

Kevin chce wyjść z kumplami i uczcić narodziny dziecka piwem i cygarami.

- Taka tradycja - mówi. - Ale jeśli chcesz, żebym został...

- Nie, idź - zgadza się Jules. - Pozdrów ode mnie chłopaków.
I nie upij się.

- No co ty. - Zagląda do kołyski. - Mała dziewczynka.

- Wybraliście już imię? - pytam.

- Myśleliśmy o Violet - wyjawia Jules.

- Ładne.

Kevin bierze kurtkę i całuje żonę w czoło, nazywając ją dzielną mądrą dziewczyną. Słyszę, jak biegnie po schodach, po dwa stopnie naraz, i susami pokonuje podest.

- Więc jak to naprawdę było? - pytam. - Chcę znać wszystkie przerażające szczegóły.

Jules uśmiecha się zmęczona.

- Łatwiej niż poprzednim razem.

- Świetnie.

- Dasz sobie radę.

Słucham, jak Jules opisuje swój poród. Ma zdjęcia w komórce. Niektóre z nich pokazują Violet parę minut po narodzinach, mytą i ważoną przez położną.

- Kevin naprawdę się spisał. Będziesz zadowolona z obecności Haydena - mówi Jules coraz bardziej niewyraźnie.

Leo przychodzi zajrzeć do łóżeczka. Patrzy na mnie.

- Kiedy wyjdzie twoje dziecko?

- Niedługo.

- Jeszcze ci leci krew?

- Nie. - Śmieję się nerwowo i mierzwię jego włosy.

- Co masz na myśli, kochanie? - pyta Jules, patrząc na Leo.

- Nic - odpowiadam za niego z walącym sercem. - Wylałam coś na spódnice. Leo myślał, że to krew.

Leo chce coś jeszcze powiedzieć. Przerywam mu i mówię, że mamusia musi odpocząć.

- Zajmę się Leo. Zdrzemnij się.

- Jesteś pewna?

- Absolutnie.

Pakuje Jules do łóżka, a ona niemal natychmiast zasypia. Leo idzie do pokoju oglądać telewizję. Siadam obok niego i każę mu na siebie spojrzeć.

- Nie krwawiłam.

- Ale ja widziałem.

- Wylałam coś.

Kiwa głową, zainteresowany telewizją.

- Posłuchaj mnie - mówię, ściskając jego ramię. - Nie powinieneś kłamać.

Leo próbuje się odsunąć.

On wie. On wie.

Ty tylko dziecko.

A jeśli komuś powie?

Nikt mu nie uwierzy.

Głupia! Głupia!

Zostawiam Leo, wracam do sypialni, cicho otwieram drzwi i upewniam się, że Jules śpi. Idę na palcach, z szuflady jej komody wydaję nocną koszulę, po czym podchodzę do malowanego łóżeczka i delikatnie biorę Violet na ręce. Wynoszę ją z sypialni, ukrywając przez wzrokiem Leo, który odwraca się, by spojrzeć na mnie z wyrzutem. Potem wraca do oglądania telewizji.

Wślizguję się do sypialni Leo, kładę Violet na podłodze między dwoma poduszkami i szybko poprawiam łóżko, zakrywam narzutę z wizerunkiem SpongeBoba i wydaję gładkie poszewki z bieliźniarki. Zabieram z kuchni dwa bukiety kwiatów i ustawiam je po dwóch stronach łóżka. Poza łóżkiem jedynym meblem jest tam komoda z przekrzywionym fazowanym lustrem. Przy pomocy

książek i pluszowych zabawek opieram mój telefon obok lustra i włączam kamerę, poprawiam kąt ustawienia, żeby łóżko znalazło się na środku obrazka. Nad łóżkiem wiszą rysunki Leo. Ściągam je delikatnie, żeby nie podrzeć rogów.

Zadowolona z mojego dzieła, rozbieram się, zdejmuję protezę brzucha i wkładam przez głowę nocną koszulę Jules. Zwilżam włosy wodą z butelki Leo, przyklejam kosmyki do czoła i spryskuję twarz wodą. Później biorę na ręce Violet, wciąż owiniętą w wełniany szydełkowy kocyk. Siadam na łóżku, w ten sposób trzymając dziewczynkę, by tylko część jej twarzy była widoczna. Pachnie tak pięknie czystością i nowością.

Korzystając z timera, robię zdjęcia, i za każdym razem sprawdzam rezultat. Usatysfakcjonowana rozpinam stanik, przyciskam Violet do piersi i uśmiecham się ze zmęczeniem do kamery. Tym razem nagrywam wideo.

- Witajcie, to jest Rory. Bardzo bym chciała pokazać wam jego buzię, ale za bardzo zgłodniał, jak widzicie. Jestem wyczerpana, ale bardzo szczęśliwa.

Violet się budzi. Sapie, pociąga nosem, otwiera buzię, szuka mojego sutka. Kładę ją i zatrzymuję nagranie, po czym szybko przywracam pokój do poprzedniego stanu. Violet już całkiem się przebudziła i płacze coraz głośniej. Ściągam nocną koszulę i zaczynam zakładać protezę brzucha. W głównej sypialni słyszę jakiś hałas. Jules się obudziła.

- Gdzie Violet? - pyta z paniką.

- Jest ze mną - odpowiadam, zmagając się z ubraniem. Jules jest już w holu... w drzwiach.

Brak mi tchu.

- Co robisz? - pyta Jules.

- Violet była niespokojna. Nie chciałam, żeby cię obudziła.

- Długo spałam?
- Niedługo. Wydaje mi się, że ona jest głodna.

Jules podnosi Violet z łóżka i wskazuje na moją bluzkę.

- Źle zapięłaś guziki.
- Och, ale jestem nieprzytomna... Niedługo głowę zapomnę.
- Dobrze się czujesz?
- Tak.

Odprawiam Jules do sypialni i poprawiam jej poduszki. Kiedy zaczyna karmić, przyklejam rysunki Leo z powrotem na ścianę, ale niedokładnie pamiętam, w jakiej kolejności wisiały. Mam nadzieję, że Jules też nie pamięta.

Odnoszę kwiaty do kuchni i dostrzegam książeczkę zdrowia dziecka. Zapisuje się tam dane każdego nowo narodzonego dziecka, podając wagę, długość, obwód głowy, a także nazwisko położnej i lekarza rodzinnego. Będę potrzebowała takiej książeczki.

Zaczynam fotografować stronę po stronie. Pojawia się Jules.

- Co robisz?
- Nic. To znaczy tylko patrzę. Jak się ma Violet?
- Pełna jak balon.
- Napijesz się herbaty?
- Nie.
- To może zjesz grzanekę?
- Dwie.

Wyjmuję chleb z zamrażarki i wkładam do tosterka.

- Nie zrobiłam zdjęcia Violet - mówię. - Mogę mieć jedno z twoich?
- Jasne.

Jules podaje mi swój telefon. Przeglądam zdjęcia i znajduję to, które chciałabym mieć. Jest na nim położna, która waży Violet.

Przesyłam je do mojego telefonu, który ćwierka w mojej kieszeni.

- Mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić? - pytam. - Może przygotować kolację dla Leo?

- Nie, jesteś kochana. Dam sobie radę.

- Cóż, to idę na dół powiedzieć Haydenowi. Ma do mnie zadzwonić dzisiaj wieczorem.

- Gdzie teraz jest?

- Osiem dni za Kapsztadem. Będzie w domu za tydzień od środy.

- Powiedz mu, żeby się pośpieszył. Na pewno nie chce tego stracić.

MEGHAN

Dzwoniłam dzisiaj do starej przyjaciółki, która pracuje w firmie prawniczej w City. W tym roku Jocelyn została tam partnerem. Nie jestem pewna, co to dokładnie znaczy, ale z tego powodu urządziła imprezę w Savoy Grill, więc domyśliłam się, że to oznacza dużo więcej pieniędzy.

Jocelyn oddzwania do mnie.

- Wybacz, Meg, właśnie wyszłam z sądu - usiłuje przekrzyczeć uliczny hałas. - Urodziłaś już?

- Jeszcze nie.

- Chcę zobaczyć zdjęcia.

- Na pewno.

Gdy gwizdże na taksówkę, odsuwam telefon od ucha.

Jocelyn i ja chodziłyśmy razem do szkoły. Byłyśmy nierozłączne od dziesiątego roku życia, robiąc wszystko to, co zwykle robią dziewczynki. Najpierw grałyśmy w klasy, potem skakałyśmy na skakance, jeszcze później rozmazywałyśmy czarny tusz i prześladowałyśmy członków grupy Oasis. Później jej hobby stała się bulimia, a ja dostałam bzika na punkcie poradników. Obie jakoś wyszłyśmy na ludzi.

Jocelyn znajduje taksówkę i trochę ciszy.

- O co chodzi w twoim tajemniczym SMS-ie?

- Potrzebuję rady prawnika.

- Masz kłopoty?

- Nie, dzwonię w imieniu przyjaciółki.

- Uhm. - Jocelyn ostrożnie dobiera słowa. - Ponieważ jeśli chodzi o ciebie, Meg, powinnam cię uprzedzić, żebyś przede mną do niczego się nie przyznawała, bo nie mogę kłamać w sądzie.

Jednocześnie moim obowiązkiem jest zatrzymanie w tajemnicy tego wszystkiego, co mi powiesz.

- O mój Boże, nikogo nie zabiłam! - Jocelyn śmieje się, a ja zdaję sobie sprawę, że żartuje. - Chodzi o hipotetyczną sytuację - dodaję.

- Hipotetyczną?

- Tak. - To był zły pomysł. Powinam się wyłączyć. - Czy sąd może nakazać kobiecie wykonanie testu na ojcostwo jej nowo narodzonemu dziecku?

- Zależy od okoliczności - mówi Jocelyn.

- A jeśli ona jest szczęśliwą mężatką?

- Czy to jej mąż domaga się testu?

- Nie.

- A kto?

- Trzecia strona.

- Ktoś, kto myśli, że może być ojcem?

- Tak.

- Kurwa, Meg, coś ty zrobiła?

- Nic. Nie chodzi o mnie.

Czemu ja tego nie przerywam?

Jocelyn zaczyna głośno myśleć.

- Zajmuję się prawem handlowym, więc nie jestem ekspertem w tej dziedzinie. W większości spraw o ojcostwo chodzi o ustalenie finansowej albo moralnej odpowiedzialności. Matka chce pieniędzy albo ojciec chce prawa do odwiedzin. Jeśli oboje, mąż i żona, twierdzą, że są rodzicami dziecka, wątpię, by sąd zlecił test.

- A jeśli mąż nie wie, że istnieje znak zapytania co do ojcostwa?

- Trzeba mu to powiedzieć.

- Nawet jeśli to zagraża małżeństwu?

- Żona naraża na szwank małżeństwo, gdy bzyka się z kimś innym.

- A jeśli ona wie, że mąż jest ojcem dziecka?

- Więc twierdzisz, że ta trzecia strona stawia kompletnie nieuzasadnione zarzuty?

- Tak.

- Nie było żadnego romansu?

Waham się.

- Nie.

- To czemu on to robi? Co nim kieruje?

- Nie wiem. Może uraza, zazdrość, okrucieństwo.

- Jesteś szantażowana?

- Nie chodzi o mnie.

- Racja, jasne. Cóż, moja rada dla twojej przyjaciółki jest taka, żeby wyznała wszystko mężowi.

- Nie ma innego sposobu? Sądowych zakazów zbliżania się czy korespondencji?

- Raczej nie. - Słyszę oddech Jocelyn, potem pyta: - Wszystko u ciebie w porządku, Megs?

- Tak, zapomnij o tej rozmowie.

Rozłączam się, nabieram głęboko powietrza i przygryzam dolną wargę, żeby nie krzyczeć. Jestem w pułapce. Mój błąd we mnie rośnie, tyka jak bomba zegarowa, która wybuchnie, jeżeli nie powstrzymam Simona.

Na domiar złego Jack jest dla mnie taki miły. W piątek kupił mi kwiaty - kalie, moje ulubione - i cały weekend spędził w domu.

W poniedziałek rano napisałam na blogu:

Refleksje

Niedziela minęła jak zwykle. Nie chcę powiedzieć, że była nudna, raczej normalna. Obudziły mnie głosy dwójki dzieci, które

rozmawiały i śmiały się, jedno weszło do łóżka drugiego i razem czytały książkę. Przez prawie godzinę radośnie się bawiły, pozwalając mi drzemać obok Cezara.

Niedziela rano oznacza BBC Radio 2, kawę z praski francuskiej, jajka na bekonie i gazety, oczywiście. Potem była lekcje pływania - którą wolę nazywać lekcją „kontrolowanego nie-tonięcia” - później lunch w pubie, a następnie spacer nad rzeką, kąpiel, przytulanki i DVD (znów „Kraina lodu”!).

W niedzielę na kolację jest curry i dom wciąż śmierdzi kurczakiem w sosie migdałowym, niezależnie od tego, ile okien otworzę. Cezar wypił pół butelki wina. Ja zasnęłam przy filmie kostiumowym BBC. O północy prasowałam szkolne ubranka, bo zapomniałam zrobić to wcześniej.

To była zwyczajna niedziela, może poza tym, że Cezar więcej niż raz powiedział, że mnie kocha. Bardziej nieufna żona mogłaby zacząć coś podejrzewać, ale ja taka nie jestem.

Mężczyźni są tacy zabawni, kiedy chodzi o rozumienie kobiet. Cezarowi się zdaje, że mój wymarzony scenariusz na romans to pięciogwiazdkowy hotel, masaż, szampan, wykwinтна kolacja, fantastyczny seks i sen po godzinie wypełnionej jego zapewnieniami, jaka jestem cudowna. Prawdę mówiąc, wystarczy mi taka niedziela jak wczoraj - dłuższy sen rano, ciepłe śniadanie, zabawa z dziećmi, niezdamny seks i mnóstwo niewymuszonych przytulank i komplementów.

Życie nie bywa dużo lepsze.

AGATHA

Na stacji Euston idę przepaścistą dworcową halą i czekam w kolejce, żeby kupić bilet do Leeds. Mam na sobie moją najlepszą ciężową suknię, czarne buty na średnim obcasie i skórzaną torebkę na ramieniu. Celowo się myślę, więc muszą wydrukować mi nowy bilet. Chcę zwrócić na siebie uwagę. Chcę, żeby ludzie mnie zapamiętali.

Mój pociąg przyjeżdża punktualnie. Ciągnę walizkę peronem, potem proszę bagażowego, żeby pomógł mi wnieść ją po schodkach i umieścić na półce. Zajmuję swoje miejsce. Obok mnie siedzi jakiś biznesmen i pisze coś na laptopie. Przepraszam, że zajmuję tyle miejsca, niczym król używając liczby mnogiej, i wskazuję na mój brzuch.

- Kiedy ma pani termin?
- Lada dzień, dlatego jadę do domu.
- Do domu?
- Do Leeds. - Zauważam jego obrączkę. - Ma pan dzieci?
- Dwie dziewczynki, sześć i cztery lata.
- Jest pan szczęśliwym człowiekiem.
- Tak, jestem.

Mężczyzna szuka wzrokiem mojej obrączki. Nie widząc jej, nie zadaje pytań. Kiedy przychodzi konduktor sprawdzić bilety, bardzo długo szukam, denerwuję się i przepraszam.

- Proszę się nie śpieszyć - odpowiada. - Mogę później tu wrócić.

Szukam w torebce i w kieszeniach płaszcza, wreszcie, kiedy znajduję bilet, wzdycham z ulgą.

Biznesmen się uspokaja. Konduktor nie ma mi za złe. Obaj

zapiszą mnie w pamięci.

Pociąg turkocze, jadąc przez Midlands na północ Anglii, przez zaorane pola i pastwiska upstrzone balami siana przykrytymi plastikową folią. Paciorki deszczu ze śniegiem płyną ukosem przez zamglone szyby. W brzuchu mi burczy. Powinnam na stacji Euston kupić coś do jedzenia.

Przyjechawszy do Leeds, ciągnę walizkę na postój i podaję taksówkarzowi adres w Holbeck. Wiezie mnie New Station Street, Wellington i Whitehall Road, okrążając magazyny i tereny należące do kolei, które w mroku wyglądają na opuszczone.

Taksówka wyrzuca mnie naprzeciw Ingram Road Primary School, gdzie wewnątrz jasno palą się światła. Okna są świątecznie udekorowane, za oknem widzę pochylone główki na przygarbionych plecach. Kiedy dzwoni dzwonek, dzieci wybiegają z klasy, wypełniają korytarze śmiechem i głośnymi pożegnaniami.

Dorastałam pięć ulic stąd. Od siódmego do dwunastego roku życia codzienne chodziłam do szkoły, omijałam szczeliny i grałam w klasy na ścieżce. Skrzyżowanie, gdzie zginął Elijah, jest parę ulic dalej, ale wybieram inną trasę, nie chcę przypominać sobie wypadku.

Przyśpieszam kroku, rozpryskując kałuże, i ciągnę za sobą walizkę. W Colenso Grove wszystkie szeregowce z czerwonej cegły wyglądają identycznie, mają takie same anteny satelitarne przytwierdzone do muru. Frontowe drzwi pomalowano na różne kolory - niebieski, czerwony, żółty albo zielony - co może być świadectwem twórczej ekspresji mieszkańców albo podmiejskiej anarchii.

Kiedy docieram do domu matki, wydaję zapasowy klucz spod luźnej cegły z boku schodków. Otwieram i wchodzę do środka. Otwieram okna i zdejmuję pokrowce z mebli. Łóżka są bez

pościeli, szafy pękają od ciuchów matki. Nigdy nie mieszkałam w tym domu, tylko raz ją tu odwiedziłam, ale wydaje się, że matka zajmuje wszystkie pokoje. Na półce nad kominkiem ani na ścianach nie ma moich zdjęć z dzieciństwa, niczego, co świadczyłoby o tym, że byłam dla niej ważna.

Patrzę na zegarek. Firma kurierska zapowiedziała się na czwartą, a już minęła czwartą. Przebieram się w roboczy strój i zaczynam sprzątać dom, odkurzam, poleruję, myję podłogi.

Ciężarówka przyjeżdża tuż po piątej, kiedy zimowe niebo ciemnieje. To ostatnia dostawa brodatego kuriera. Wnosi do domu duże pudło z basenem do porodu, pompką do pompowania, węzłem ogrodowym, łącznikami, pompą zanurzalną i termometrem.

Czy ja będę rodzić, czy rozczłonkować ciało?

Basen do porodu jest wypożyczony, bo nie widziałam sensu w wyrzucaniu pieniędzy na nowy. Zastanawiam się, ile dzieci się w nim urodziło i jak później go dezynfekują.

Kurier wraca do ciężarówki, a po chwili wnosi do domu superchłonne podkłady na łóżko, podpaski, balsam do warg, olejek lawendowy, flanelową piżamę i liściastą herbatę o smaku malinowym.

- Pomóc pani ustawić basen? - pyta.

- Nie, nie trzeba. - Gdy rozgląda się, szukając jakiegoś śladu mojego męża, wyjaśniam: - Moja matka niedługo przyjdzie. Jest w pracy.

Kurier salutuje i biegnie do ciężarówki. Przeglądam papiery, które przyszły razem z dostawą. Jest tam certyfikat, który musi zostać podpisany przez dyplomowaną położną albo lekarza rodzinnego z miejscem na nazwisko pacjentki i szczegóły porodu.

To jedna z luk w moim planie. Mogę sfalszować podpis i numer

zarejestrowanej położonej, ale nie znajdą go w żadnych rejestrach ani nie potwierdzą w rozmowie telefonicznej. Każdego dnia w Wielkiej Brytanii rodzi się dwa tysiące dzieci, czyli jedno dziecko co czterdzieści sekund. Wyskakują na świat, łapią oddech, wrzeszczą. Na pewno od czasu do czasu jakieś dokumenty giną albo zawieruszają się. Rodzice zapominają, gdzie je schowali. Dzieci umierają. Ich narodziny nie zostają odnotowane. Moje dziecko zostanie przeoczone. Pomoże mi w tym czas.

W ogrodzie na tyłach domu rozpalam w piecu do palenia śmieci, nakładam stopniowo coraz większe kawałki drewna, aż gorąco każe mi wrócić do domu. Palę moją protezę brzucha, patrzę, jak silikon wrze i topi się, wysyłając w niebo chmury czarnego dymu, przez który noc wydaje się jeszcze ciemniejsza.

Przygotowanie to klucz do dobrego planowania. Dokładnie studiowałam moje opcje, aż uzyskałam pewność, że poza nieprzewidzianymi ewentualnościami albo tymi nie do przewidzenia, wszystko zabezpieczyłam. Może mi się nie uda, ale ograniczę ryzyko. Cokolwiek się wydarzy, nie chcę zranić Meg, lecz rezerwuję sobie prawo do wykorzystania wszelkich środków...

Idę do sypialni matki i otwieram moją walizkę. W środku mam kilka męskich kombinezonów, robocze buty i czapkę bejsbolówkę, a także kilka peruk. Kupiłam to wszystko w ciągu ostatnich paru miesięcy na eBayu i w sklepie z odzieżą roboczą, a teraz pakuję do kraciastego wózka na zakupy.

Sprawdziwszy wszystko dwa razy, przeglądam plan, ucząc się go na pamięć. W końcu wchodzę pod prysznic, zmywam z siebie sadzę, pot i niepokój, a potem owinięta w koc wyciągam się na gołym materacu i czekam, aż sen skradnie moje myśli.

MEGHAN

Skądś znam tę kobietę, która stoi na progu mojego domu, ale dopiero po chwili ją rozpoznaję. To agentka nieruchomości, która sprzedała nam dom. Widywałam ją później w Barnes, kiedy jechała kabrioletem bmw w dużych przeciwsłonecznych okularach i jedwabnej apaszce.

Podaje mi wizytówkę i pokazuje wyćwiczony uśmiech, same zęby, bez dziąseł. Zwraca się do mnie po nazwisku. Płynie od niej zapach perfum – woń przejrzałych moreli i limonek.

Patrzę na wizytówkę. Rhea Bowden.

- Przepraszam, że przeszkadzam – mówi. - Byłam akurat w okolicy i pomyślałam, że wpadnę.

Włosy ma upięte w kosztowny, niezaprzeczalnie seksowny sposób. Kojarzy mi się z kobietą, która była królową piękności, tyle że przed dziesięciu laty. Czy jestem okrutna? Zapewne.

- Chciałam się upewnić, czy jesteście państwo w pełni zadowoleni z domu.

- Czy to jakaś dodatkowa usługa?

Znów się uśmiecha.

- Zgadza się. Zazwyczaj kontaktuję się z klientami w rocznicę dnia, kiedy się wprowadzili. To pomaga utrzymać kanały otwarte.

- Kanały?

- Dla biznesu to ma sens. Ceny nieruchomości rosną. Zapewne nie rozważacie państwo sprzedaży, ale gdybyście chcieli znać cenę, mogę wycenić nieruchomość.

- Nie planujemy sprzedaży.

- To dobrze. Więc jesteście państwo zadowoleni?

- Tak.

- Jak się ma Jack? To znaczy pani mąż? Próbowałam do niego wcześniej dzwonić, żeby uprzedzić o swojej wizycie.

- Jest w pracy.

- On też jest zadowolony z domu?

- Oboje jesteśmy zadowoleni.

- Doskonale. - Waha się i zagląda do holu, jakby chciała wejść do środka. - Cóż, jeśli kiedykolwiek pomyślicie państwo o sprzedaży, mam nadzieję, że rozważycie moją pomoc.

- Okej.

- W takim razie w porządku. Bardzo dobrze.

Patrzę, jak agentka spacerowym krokiem idzie ścieżką, po czym zmaga się z oporną zasuwką w bramie. Przeklinając, spogląda na swoje paznokcie i ssie palec. Ciekawa jestem, o co jej chodziło. Może o nic, a jednak Rhea Bowden należy do kobiet, które budzą do życia mój instynkt obronny. W tej samej chwili odsuwam od siebie ten pomysł, bo nie mam prawa podejrzewać Jacka, a już zwłaszcza po tym, co zrobiłam.

Zgniatam wizytówkę, wyrzucam ją do śmieci i wracam do pakowania walizki do szpitala. Już trzy razy się do tego zabierałam, bo wciąż zmieniam zdanie.

AGATHA

Budzę się wstrząsana dreszczami w kokonie pojedynczego koca. Centralne ogrzewanie nie działa, widzę chmurkę mojego oddechu. Szybko ubieram się na cebulkę i schodzę na dół do kuchni. Wyciągam ręce nad dziobkiem czajnika z gotującą się wodą.

W szafkach nie znajduję nic do jedzenia, więc zaparzam czarną herbatę z dodatkową porcją cukru i obejmuję kubek rękami, żeby je ogrzać. Teraz, kiedy już nie noszę protezy brzucha, czuję się lżejsza, a z drugiej strony tęsknię za poczuciem bezpieczeństwa, jakie sztucznemu brzuchowi zawdzięczałam. Czułam się więcej warta... jakby moje życie miało jakiś sens.

Wychodząc z domu, wkładam kaptur i kieruję się na najbliższy przystanek autobusowy. Czekają tam już dwie starsze kobiety z pomarszczonymi twarzami, skarżąc się na zimno. Na rondzie ruch zawsze dostaje zadyszki, jakby kierowcom brakowało pewności. Po drugiej stronie widzę małego chłopca, który trzyma za rękę matkę, i czuję ukłucie bólu.

Wsiadam do autobusu numer 49 jadącego w stronę Bramley. Wsiadam przy Kirkstall Bridge Inn, przechodzę przez rzekę Aire i tory kolejowe. Czteryście metrów dalej schodzę schodami na ścieżkę holowniczą wzdłuż kanału Leeds-Liverpool i jego odnogi do Bradford.

Istota już całkiem się przebudziła, cicho nuci, wyczuwa, dokąd idę, mówi mi, gdzie zejść ze ścieżki i kiedy pozostać w ukryciu. Docierając do śluzy, przechodzę na przeciwległą stronę kanału i idę przez pola z jasnozieloną trawą. Mijam mężczyznę, który rzuca patyk dwóm psom. Większy pies zawsze wygrywa ten

wyścig, ale mniejszy niespecjalnie się tym przejmuje. Farmer na czerwonym traktorze ciągnie pług, który rzeźbi w ziemi równe rzędy.

Kiedy docieram do drugiej śluzy, jestem już w głębi lasu pachnącego wilgocią i sekretami przeszłości. Wino niemal całkowicie zarosło zrujnowaną farmę, poza ceglanym kominem, który pociemniał od mchu i porostów. Jestem już blisko.

Trafiam na polanę. Na dywanie uschłych liści widać nieduże kamienne piramidy. Wyschnięte wianki kruszą się. Powinnam była przynieść świeże kwiaty. Rozpinam płaszcz i kucam po kolei obok każdego kopczyka, kładę dłonie na kamieniach, daję znać wszystkim dzieciom, że o nich nie zapomniałam. Chloe, Lizzie i Emily.

Wszystkie tak samo oplakuję, to martwe i to nienarodzone, i to, które oddałam. Lizzie była moim drugim dzieckiem. Miałam osiemnaście lat, gdy ją zabrałam sprzed punktu przyjmowania zakładów kolektury w Bradford. Jej ojciec wszedł do środka tylko na parę minut, żeby postawić na konia biegnącego w Doncaster. Koń nazywał się Baby Lizzie, więc ojciec uznał, że to dobry znak i postawił na niego dziesięć funtów. Znam te szczegóły z wiadomości, które oglądałam następnego dnia, gdzie ostro go potępiano.

- Kto zostawia dziecko przed punktem przyjmowania zakładów?
- pytał dziennikarz. - Tylko taki człowiek, który zostawiłby pięciolatka samego w domu lub zamkniętego w nagrzanym samochodzie, albo który wyrzuca całą pensję na automaty do gry lub pozwala dziecku leżeć z brudną pieluchą, a sam pali kraki albo się szprycuje.

Zdaniem *Daily Mail* tacy ludzie nie zasługują na to, żeby być rodzicami.

Lizzie była drobna, maleńka, miała ledwie kilka tygodni i cienie pod oczami, jakby była wcześniakiem czy urodziła się niedorobiona, jak mawiała moja matka. Miała małą pomarszczoną twarzyczkę, czerwonawą skórę oraz chude rączki i nóżki, jak szympansiatko.

Kochałam Lizzie, ale mieszanki dla niemowląt jej nie służyły. Nie ssała dość mocno. Kiedy zrobiłam w smoczkach większe otwory, przełykała za dużo naraz i krztusiła się, a jedzenie cofało się do gardła. Przynajmniej była cicha. Nie słyszałam ciszej płaczącego dziecka.

Pozwalałam jej spać w moim łóżku. Leżałam z policzkiem przy małej główce, czując miękkie ciemiączko w miejscu, gdzie formowała się jej czaszka. Trzeciej nocy, kiedy się obudziłam, Lizzie była rozpalona gorączką. Chłodziłam ją mokrym ręcznikiem, podałam paracetamol i modliłam się do Marii, matki Jezusa, prosząc ją o radę.

W końcu gorączka spadła. Zasnęłam wykończona.

Kiedy się znów obudziłam, przez okno wpadało słońce, malując wzory na dywanie. Czułam obok siebie Lizzie. Była blada. Spokojna. Zimna. Płakałam i kołysałam ją w ramionach, mówiłam jej, że mi przykro. To była moja wina.

Włożyłam Lizzie do torby z supermarketu z grubego płótna i wsiadłam do autobusu jadącego z Bradford do Leeds. Gołymi rękami wykopałam grób, bo zapomniałam zabrać ze sobą narzędzi. Pozbierałam kamienie i usypałam mały kopiec. Dotykam go teraz, zasłuchana w ciszę tego świętego miejsca, gdzie szumi woda i rośnie trawa, pory roku mijają, a moje dzieci śpią.

- Niedługo pojawi się nowe dziecko - szepczę. - Tym razem bardziej się postaram.

MEGHAN

Dostaję do skrzynki nowego mejla. W temacie napisane jest:

Mój synek

Do mejla załączone są dwa zdjęcia i plik multimedialny. Jedno zdjęcie pokazuje Agathę siedzącą na łóżku z dzieckiem w ramionach, umęczoną, ale szczęśliwą. Na drugim położna myje i waży noworodka, który ma jeszcze prawie zamknięte oczy.

Klikam na plik i na ekranie pojawia się Agatha. Siedzi na łóżku wyprostowana, karmi dziecko piersią.

- Witajcie, to jest Rory. Bardzo bym chciała pokazać wam jego buzię, ale za bardzo zgłodniał, jak widzicie. Jestem wyczerpana, ale bardzo szczęśliwa.

Piszę w odpowiedzi:

Moje gratulacje. Jest piękny. Chcę znać wszystkie szczegóły. Jak poszedł poród? Czy Hayden zdążył przyjechać na czas? Zadzwoń do mnie, jak będziesz mogła.

AGATHA

Zastanawiam się, czy od razu nie zadzwonić do Meg, ale jest zbyt głośno i trudno usłyszeć cokolwiek poza biegunkowym bulgotem ekspresu do kawy. Wszystkie stoliki w kawiarni są zajęte przez studentów, którzy pochylają się nad laptopami albo kciukami wystukują SMS-y. Wybrałam to miejsce z powodu darmowego Wi-Fi i anonimowości, którą mi gwarantuje.

Jak dotąd wysłałam mejle i zdjęcia do dawnych koleżanek ze szkoły i dawnych znajomych, niektórych z nich od lat nie widziałam. Przekazuję im moje wspaniałe wieści. Tym, którzy mieszkają w Londynie, piszę, że urodziłam na północy. Tym, którzy mieszkają na północy, piszę, że urodziłam w Londynie. Niewiele z nich zna się nawzajem czy obraca w tych samych kręgach, dlatego moje oszustwo raczej nie wyjdzie na jaw. Jedynym wyjątkiem jest Jules, która mogłaby rozpoznać zdjęcie Violet z położną.

W mojej skrzynce pojawiają się liczne odpowiedzi. Gratulacje. Komplementy. Jest mejl od Abigail z supermarketu i od Claire, mojej dawnej szefowej z agencji pracy tymczasowej. Zastanawiam się, czy wysłać wiadomość do Nicky'ego, ale z pewnością bardzo by się zdziwił, że po tylu niepowodzeniach udało mi się zajść w ciążę.

Wychodzę z kawiarni i idę przez Albion Street Mall. Skręcam w lewo w Headrow i idę dalej, aż docieram do Leeds Central Library, potężnego starego budynku z kamienia z Yorkshire, z łukowymi oknami i marmurowym holem. Po wejściu do środka sprawdzam wiadomości w komórce. Na ostatnie czterdzieści osiem godzin wyciszyłam telefon, nie chciałam, by cokolwiek mi

przeszkadzało. Patrzą na nieodebrane połączenia. Wczoraj rano Hayden przyleciał do Londynu. Wyobrażam sobie, jak żwawo maszerował halą lotniska z workiem marynarskim na ramieniu. Na pewno wyszli po niego rodzice. Uparł się, żeby jechać prosto do mojego mieszkania, a potem dzwonił do drzwi mocno zaniepokojony, gdzie się podziałam.

Odsłuchuję jego wiadomości:

- Gdzie jesteś? Jestem u ciebie, ale nikt nie otwiera. Twoja przyjaciółka z góry mówi, że pojechałaś do Leeds. Mogę złapać pociąg. Zadzwoń do mnie.

W drugiej wiadomości wychwytyuję złość:

- Nic ci nie jest? Martwimy się o ciebie. Mama i tata obdzwanniają szpitale w Leeds, ale powiedziałem im, że masz rodzić w domu. Proszę, oddzwoń, jak tylko odsłuchasz tę wiadomość.

Kolejna jest bardziej zdesperowana:

- Nie wiem, co robić, Aggy. Mama wychodzi z siebie i chce dzwonić na policję. Jeśli się nie odezwiesz, złapię pociąg do Leeds, żeby być na miejscu.

Miło jest słyszeć jego głos, nawet zdenerwowany i pełen niepokoju. Wiedziałam, że dziecko wszystko zmieni. Teraz Hayden jest we mnie zakochany. Wybacz mi tę sytuację, bo chce być ojcem.

Zanim znów wyłączę telefon, wysyłam mu SMS-a, w którym napisałam, że nie muszą dzwonić na policję ani się o mnie martwić:

Już urodziłam. Chłopiec ma na imię Rory. Niedługo wracam do domu. Wszystko Ci wyjaśnię, jak się zobaczymy. Teraz muszę odpoczywać. Proszę, pozwól mi spać.

W środku dnia wsiadam do autobusu National Express z Leeds

na Victoria Station w Londynie, płacę za bilet gotówką i uśmiecham się do kamery nad głową kierowcy.

Nie jestem już w ciąży, ciągnę kraciasty wózek na zakupy i niosę składane nosidełko dla dziecka z rzeźbioną plastikową rączką. Przykrywam nosidełko kocykiem i kładę je na siedzeniu obok, od czasu do czasu unoszę kocyk i szepczę uspokajająco.

- Chłopiec czy dziewczynka? - pyta siedząca naprzeciw mnie kobieta.

- Chłopiec.

- Mogę zerknąć?

- Teraz śpi.

- Obiecuję, że go nie obudzę.

- Wolałabym nie - mówię.

Kobieta marszczy brwi i wzrusza ramionami.

Na Victoria Station łapię pociąg District Line do Acton Town i melduję się w tanim hotelu z mrugającym neonem „Wolne pokoje”. Recepcjonistka strzepuje z kolan popiół z papierosa i staje na palcach, żeby spojrzeć ponad zniszczonym drewnianym blatem.

- Tam ktoś jest? - pyta, wskazując na zakryte nosidełko.

- Tak. - Uśmiecham się. - Czy płacę dodatkowo?

- Nie, jeśli nie potrzebuje pani drugiego łóżka.

- Nie potrzebuję.

Recepcjonistka prosi o moje prawo jazdy. Wyjaśniam, że nie mam go przy sobie.

- A paszport?

- Nie mam.

- Muszę mieć jakiś dowód tożsamości.

- Zapłacę gotówką.

Waha się i zerka znów na nosidełko.

- Ukrywa się pani przed kimś?
- Przed moim chłopakiem.
- Bije panią?
- Zbyt często.

Mój pokój znajduje się na pierwszym piętrze. W korytarzu mijam zabawki i rowerki dla dzieci, a także tabliczkę z napisem: „Gotowanie wzbronione”. Mimo to czuję zapachy kardamonu, cynamonu, papryki i czosnku.

Po otwarciu drzwi sprawdzam okna i schody przeciwpożarowe. Na kartce widnieje informacja, że recepcja jest nieczynna od siódmej wieczorem do szóstej rano. Goście mogą otwierać drzwi wejściowe kluczem do pokoju. To znaczy, że mogę wchodzić i wychodzić, kiedy chcę, nie zwracając niczyjej uwagi.

Już dwa dni jestem poza Londynem, co pozwala mi zyskać alibi i wymyślić połowę historii. Hayden i moje przyjaciółki myślą, że urodziłam dziecko. Widzieli zdjęcia i film. Dawniej, kiedy uprowadzałam dziecko, to była spontaniczna decyzja podjęta pod wpływem chwili, i stąd moje porażki. Tym razem udawałam ciążę i poród. Nie mogę pokazać się w domu bez dziecka. Albo odniosę sukces, albo umrę ze wstydu.

O siódmej opuszczam hostel głównym wyjściem i ruszam w stronę Gunnersbury Park, na North Circular łapię taksówkę. Kierowca wyrzuca mnie przy Promenade w Chiswick, na północ od Tamizy. Wdychając lodowate powietrze, przechodzę Barnes Bridge ścieżką dla pieszych. W dole półksiężyc połyskuje na wodzie. Dotarłszy do Cleveland Gardens, trzymam się drugiej strony ulicy, aż dostrzegam samochód Meg zaparkowany przed domem.

Nie zatrzymuję się tam. Wybieram znajomą ścieżkę i kieruję się w stronę torów kolejowych, przechodzę przez przewrócone

ogrodzenie i maszeruję żwawo po tłuczonym granicie i kwarcu, nasłuchując pociągów. Na tyłach domu Meg i Jacka znajduję znajomą małą polanę i powalone drzewo. Wspinam się na nie, odsuwam gałęzie i patrzę.

Poza światłem nad kuchenką i drugim na górze w sypialni Lucy, w domu panuje ciemność. W mojej piersi rodzi się strach. A jeśli Meg pojechała do szpitala rodzić? A jeśli już urodziła? Za zasłoną porusza się jakiś cień. Ktoś kładzie się do łóżka Lucy, czyta jej na dobranoc albo przynosi szklanek wody. To może być Meg albo Jack.

Wdrapuję się na ceglany mur i przerzucam nogi na drugą stronę. Zeskakuję do ogrodu i natychmiast przykucam, by nie rzucać cienia. Patrzę w stronę kuchni, widzę stojący na kuchence garnek, w którym coś się gotuje. W zlewie stoją naczynia. Na lodówce widnieją ślady palców.

Pełznąć jak krab, trzymam się ogrodzenia, aż docieram do narożnika domu, gdzie opieram się plecami o ścianę. Szczeka pies, kolejny mu odpowiada. Jestem na widoku, mieszkańcy sąsiedniego domu mogą mnie zobaczyć. Obiecałam sobie, że nie będę tak ryzykować. Że będę działać zgodnie z planem, a improwizację zostawię na wypadek, gdyby coś poszło nie tak.

Widzę teraz pusty pokój dzienny. Na stoliku do kawy mruga uśpiony laptop. Należy do Meg. Czy wzięłaby go ze sobą do szpitala?

Za plecami słyszę głosy płynące z sąsiedniego domu. Ktoś zapala światło, mój cień pada na ścianę. Kulę się i przesuwam w stronę muru, trafiając na coś ciężkiego, co kołysze się w zwolnionym tempie. Wyciągam rękę i próbuję to chwycić. Nie trafiam. Poidło dla ptaków uderza w kamienne obramowanie grządki, eksplodując z głośnym trzaskiem, który odbija się echem

niczym strzał.

Drzwi się uchylają, sąsiedzi wychodzą do ogrodu sprawdzić, co się dzieje.

- To mógł być detonator - mówi mężczyzna. - Pewnie robią coś na torach.

- O tej porze? - odpowiada kobieta.

Skulona przy murze, przyciskam plecy do wilgotnych cegieł, ukrywając się w cieniu. Otwiera się okno i pojawia się w nim głowa Meg.

- Co to było, Bryan? - woła.

- Nie mam pojęcia - odpowiada Bryan.

Meg wychyla się bardziej, patrzy prosto na mnie.

- Już widzę. Poidełko dla ptaków spadło.

Bryan zagląda przez dzielący ogrody mur. Jego palce dotykają moich włosów.

- To musiał być kot... i to duży. Pomóc ci to sprzątnąć? - Przerzuca nogę przez ogrodzenie.

Kulę się. Jego buty omal nie uderzają mnie w głowę.

- Jack jutro się tym zajmie - mówi Meg.

- To żaden problem.

- Naprawdę, Bryan, nie kłopotcz się. Dziękuję.

Bryan zatrzymuje się na moment. Nogawki spodni zwisają z obu stron mojej głowy. Obcas jednego z butów dotyka mojego ucha.

Bryan przenosi ciężar ciała. Przerzuca znów nogi. Przeskakuje do swojego ogrodu.

- Kiedy jedziesz do szpitala? - pyta kobieta.

- Jutro rano - odpowiada Meg.

- Powodzenia.

Wchodzą do domu, Meg zamyka okno i zaciąga zasłony. Mam wrażenie, że moje serce się zatrzymało. Zaczyna znów bić, kiedy

łapię haust powietrza i wymiotuję na sucho, przeklinając własną głupotę.

Wyrównuję oddech, wycofuję się przez ogród i przeciskam przez małe drzwi drewnianego domku dla dzieci, gdzie siadam na małym stołku z kolanami pod brodą. Wyjmuję komórkę i wybieram numer Meg, która pojawia się w kuchni i szuka telefonu. W końcu odbiera.

- Słucham?

- Jesteś zdyszana.

- Agatha?

- Tak.

- Byłam na górze, kładłam dzieci spać.

- Mam nadzieję, że nie biegłaś.

- Wszystko ze mną okej. Gdzie jesteś? Czemu mówisz szeptem?

- Dziecko śpi.

Widzę Meg przez drzwi balkonowe. Opiera się o ławkę przy wyspie, wygina plecy, czuje ciężar swojego brzucha.

- Moje gratulacje - mówi.

- Dziękuję.

- Jak się ma maleństwo?

- Jest śliczny.

- Ma apetyt?

- Uhm.

Meg odwraca się do mnie tyłem, stawia czajnik na gazie i otwiera nowe pudełko z herbatą. Chce znać wszystkie szczegóły. Opowiadam jej, jak odeszły mi wody i jak urodziłam, przypominając sobie, co mówiła Jules o swoich doświadczeniach z porodu Violet.

- Bardzo mi się podoba imię Rory - mówi Meg. - Czy Hayden zdążył przyjechać?

- Nie, przyleciał na Heathrow dziś rano.
- Jaka szkoda. Przyjeżdża do Leeds?
- Nie. Mama nie ma tu dla niego miejsca, a ja za dzień, dwa wracam do Londynu.

Z dziobka czajnika wydobywa się para. Meg nalewa wrzątek do kubka, wrzuca torebkę herbaty i dolewa mleko. Podchodzi z kubkiem do drzwi balkonowych i patrzy na ogród. Przez ułamek sekundy wydaje mi się, że mnie widzi, ale ona patrzy na swoje odbicie w szybie.

- Pokonałaś mnie o dwa dni. Jadę do szpitala jutro rano.
- Denerwujesz się? - pytam.
- Trochę.

Za ogrodem z hałasem przejeżdża pociąg. Zakrywam słuchawkę, ale jest za późno.

- Jesteś gdzieś blisko torów kolejowych? - pyta Meg.
- Tak.
- Brzmi, jakbyś była tuż pod moim domem.
- Nie, jestem w Leeds. - Widzę, że Meg ziewa, i dodaję: - Wyglądasz na zmęczoną.
- Szpiegujesz mnie? - rzuca ze śmiechem.
- Chciałam powiedzieć, że słyszę zmęczenie w twoim głosie.
- Padam z nóg.
- Połóż się i odpocznij. Powodzenia jutro.

MEGHAN

Do mojego synka.

Nie śpię od wpół do piątej rano. Nie urodzisz się jeszcze przez kilka godzin, ale pomyślałam, że napiszę do Ciebie list i powiem Ci, co Cię czeka.

Przez ostatnie czterdzieści tygodni nieustannie się o Ciebie martwiłam, chociaż z badania USG wynika, że jesteś silny i zdrowy. Wiele się wydarzyło w tym czasie, mieliśmy swoje wzloty i upadki, ale chcę, żebyś wiedział, że dołączysz do wspaniałej rodziny.

Twój ojciec jest mężczyzną, którego kocham, podziwiam, uwielbiam i potrzebuję. Jest moją opoką, Twoją też będzie. Masz cudowną siostrę, która pewnego dnia uratuje świat, i brata, który nie znosi patrzeć na ból i cierpienie. Masz tylko jednych dziadków, ale są bardzo żwawi i będą Cię kochać bardziej, niż wyda Ci się to możliwe. Do tego wszystkiego masz jeszcze świetną ciocię Grace, która będzie próbowała sprowadzić Cię na manowce, ale nie ma w tym nic złego, bo życie powinno być przygodą.

Teraz powinnam Ci powiedzieć coś o sobie - kobiecie, która nosi Cię już dziewięć miesięcy. Po pierwsze, nie jestem uzdolniona plastycznie, więc jeśli chciałeś mieć mamę, która potrafi dekorować ciastka, szyć kostiumy na Halloween czy kroić kanapki w różnych nieoczywistych kształtach, to nie masz szczęścia.

Nie umiem śpiewać ani tańczyć i jestem kiepska w sporcie. Mam problem z koordynacją wzrokowo-ruchową. To domena Twojego taty. Nie jestem też zbyt wyluzowana. Jestem raczej

przeciwieństwem osoby wyluzowanej. Nauczyłam się grać na oboju i byłam bramkarką w drużynie lacrosse.

Wiem, że wiele mam spisuje listę rzeczy, których pragną dla swoich dzieci czy też swoich związanych z nimi nadziei, ale akurat ja nie jestem miłośniczką takich list. Jak już niedługo odkryjesz, polegam głównie na domysłach, ale na szczęście moje przypuszczenia są zwykle trafne.

Składam Ci za to następujące obietnice:

Powiem Ci rzeczy, których nie chciałabym powiedzieć. Podniosę głos, kiedy nie powinnam, i powiem „nie”, kiedy powinnam powiedzieć „tak”, ale przysięgam, że gdy popełnię błąd, przeproszę Cię.

Obiecuję, że będę przy Tobie, kiedy będziesz mnie potrzebował, i czasami gdy nie będziesz mnie potrzebował, ale na tym polega moja rola. Co ważniejsze, obiecuję, że będę Cię kochała bezwarunkowo i zawsze, nawet jeśli zagłosujesz na Torysów albo będziesz kibicował Manchester United, albo zapomnisz do mnie zadzwonić z życzeniami na urodziny.

Uważaj na siebie, mój synku. Do zobaczenia wkrótce, okej?

Kocham Cię,

Mama.

PS. Jeśli przesuniesz się odrobinę i przestaniesz mnie kopać w nerki, kupię Ci szczeniaka.

O szóstej rano stoję pod prysznicem i po raz ostatni myję mój ciężowy brzuch. Lucy, wciąż w piżamie, siedzi na łóżku, kiedy się ubieram, zadaje mi pytania o dziecko i czy to będzie bolało.

O siódmej przyjeżdżają moi rodzice. Jack i ja żegnamy się z nimi i dziećmi, jest mnóstwo całusów i uścisków, kolejne całusy i jeszcze więcej uścisków, aż przypominam wszystkim, że jadę rodić, a nie emigruję do Australii.

Jack wiezie mnie do szpitala. Myślę o różnych sprawach, dochodząc do wniosku, że powinnam zrobić listę.

Dwoje dzieci? – Odhaczone.

Dom? – Odhaczony.

Jedzenie? – Odhaczone.

– Powinniśmy wprowadzić poprawki do naszych testamentów – mówię ni stąd, ni zowąd, bo nagle sobie o tym przypominam.

– Masz chorobliwą wyobraźnię – odpowiada Jack.

– Jeżeli coś się stanie...

– Nie martw się. Ożenię się powtórnie.

– Nie to miałam na myśli.

Jack śmieje się do mnie.

Nie potrafię opisać, co czuję. Coś jakby fałszywy spokój. W szpitalu wypełniam rozmaite formularze i przebieram się w chirurgiczne pończochy i koszulę z rozporkiem na plecach – to bez wątpienia najmniej twarzowy strój, jaki kiedykolwiek zaprojektowano.

Kiedy wiozą mnie korytarzem, Jack trzyma mnie za rękę. Włożył niebieski fartuch i maskę chirurgiczną, a także bawełniany czepek. Widzę tylko jego oczy.

– Będziemy mieli kolejne dziecko – mówi, ściskając mi palce.

– Uhm.

Pan Phillips idzie na przedzie, radośnie pogwizdując. Jest rannym ptaszkiem, co w sumie jest lepszym rozwiązaniem, niż gdyby trafił mi się marudny z niewyspania czy uzależniony od kofeiny położnik.

Sala jest jasno oświetlona i biała, wypełniona różnorakim sprzętem. Na białej tablicy suchościeralnej widnieją nazwiska wszystkich członków zespołu operacyjnego. Anestezjolog pyta, czy chciałabym, żeby włączył jakąś muzykę. Jack sugeruje „Hokey

Cokey” i zaczyna śpiewać:

Włóż tutaj prawą rękę,

A teraz ją wyciągnij,

Włóż tutaj prawą rękę

I dobrze tym potrząśnij.

- On żartuje - mówię.

Anestezjolog śmieje się z ociąganiem i zaczyna podawać mi leki.

- Nie musisz zostawać - mówię do Jacka.

- Nigdzie się nie wybieram.

- Nie znosisz widoku krwi.

- Widziałem narodziny wszystkich moich dzieci, więc tego też nie stracę.

AGATHA

W ciemnej peruce i z pofarbowanymi brwiami, ubrana w bezkształtny płaszcz, idę przez szpitalny hol, ciągnąc za sobą kraciasty wózek na zakupy. Przedemną liczną rodziną z wypełnionymi helem balonami i kwiatami czeka na windę. Drzwi windy się otwierają. Wślizguję się do środka. Różowy balon odbija się od mojej twarzy. Informuję wszystkich: „To dziewczynka”.

Oddział położniczy mieści się na czwartym piętrze. Wybieram piąte. Administracja. Rodzina wysiada, a ja jadę dalej sama, świadoma, że większość personelu administracji skończyła już na dzisiaj pracę.

Drzwi otwierają się, wysiadam, nie szukam wzrokiem kamer. Nad moją głową mrugają lampy zapalane przez czujnik ruchu. W pustym pokoju dzwoni telefon. Skręcam w lewo i znajduję damską toaletę. Z kieszeni wózka wydaję żółtą tabliczkę „Nieczynne” i ustawiam ją na pokrytej wykładziną podłodze.

Sprawdzam, czy wszystkie kabiny są puste, a potem zamykam drzwi i zaczynam się przebierać. Pielęgniarki na oddziale położniczym noszą ciemnoniebieskie spodnie i granatowe bluzki z białą lamówką przy rękawach i kołnierzyku. Moje spodnie są celowo za długie, żeby ukryć parocentymetrowe platformy, dzięki którym będę wyglądać na wyższą i szczuplejszą. Pochyliam się do lustra, unoszę górną powiekę i wkładam szkła kontaktowe, które zmieniają kolor moich oczu z niebieskich na brązowe.

Następnie poprawiam perukę, pozwalając długiej grzywce opaść na prawe oko, łamiąc symetrię twarzy. Utrudni to identyfikację specjalnej aplikacji komputerowej rozpoznającej twarz.

Otwieram małą kosmetyczkę i czarnym eyelinerem pogrubiam

brwi, kredką do warg wysmuklam wargi, po czym dorysowuję pieprzyk nisko na lewym policzku. W końcu wkładam ciemne okulary w grubych oprawkach, w których muszę lekko mrużyć oczy. Wyprostowuję się i przeglądam w lustrze, zdumiona, jak bardzo się zmieniłam. Dawna Agatha zniknęła.

Istota nie jest pod wrażeniem.

To się nie uda.

Uda się.

Powinnaś była ukraść dowód tożsamości.

Niby jak?

Mogłaś iść za jakąś pielęgniarką do domu i ukraść jej torebkę.

Nie jestem złodziejem kieszonkowym.

To się nie uda.

Uda się.

Przednia kieszeń wózka mieści nóż z piętnastocentymetrowym ostrzem w skórzanej pochwie. Zastanawiałam się, czy go ze sobą zabrać, ale bardzo się boję, co mogłoby się stać, gdybym nie miała wyjścia. Mocuję nóż do nogi na wysokości kostki. Obciążam mankiety spodni i upewniam się, że go nie widać.

Jestem gotowa. Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby się przygotować, a teraz potrzebuję trochę szczęścia. Fortuna sprzyja odważnym, jak mówią. A co ze zdesperowanymi?

Wychodzę z damskiej toalety i idę korytarzem w stronę klatki schodowej, a moje kroki odbijają się echem od betonowych stopni. Wychodzę na korytarz naprzeciw oddziału położniczego i zerkam na zegarek. Wizyty są od szóstej do ósmej. Ludzie zaczynają wychodzić, stają w kolejce do wind, dzięki czemu łatwiej przemykam niezauważona.

Od oddziału położniczego dzieli mnie szklana ściana. Drzwi otwiera od wewnątrz siedząca przy biurku pielęgniarka.

Przyjeżdża winda. Jakiś mężczyzna wywozi z windy ciężarną kobietę na wózku.

- Mogę w czymś pomóc? - pytam.

- Dzwoniłam tu wcześniej - mówi kobieta, wyginając plecy z bólu. - Powiedzieli mi, żebym zaraz przyjechała.

- Dobrze. W porządku. Jak się pani nazywa?

- Sophie Bruen.

Jej mąż mówi:

- Mój samochód jest zaparkowany na drugiego.

- Proszę się tym zająć. Ja zaopiekuję się Sophie.

Mężczyzna znika w windzie, a ja naciskam dzwonek przy drzwiach. Pielęgniarka przy biurku akurat rozmawia przez telefon. Zerka na mnie i widząc mój uniform, automatycznie otwiera drzwi. Wwożę Sophie do poczekalni.

- Może pani tu poczekać na męża. Powiadomię kogo trzeba, że pani już przyjechała.

Oddalam się korytarzem, przypominając sobie plan oddziału z mojej poprzedniej wizyty. Po lewej jest dziesięć pokoi dla rodzających, po prawej zaś dwie sale dla matek, które już urodziły. Dwie godziny wcześniej dzwoniłam do szpitala z pytaniem, czy Meghan Shaughnessy może przyjmować gości. Personel potwierdził, że tego ranka urodziła, i podał mi numer sali Meg.

Idę, kierując się strzałkami, skręcam za róg, obchodzę wózek sprzątaczkowy i zatrzymuję się przed prostokątną długą salą z centralnym przejściem między łózkami. Wokół większości z nich zasunięto zasłonki, dając świeżo upieczonym matkom pozory prywatności. Jedna z zasłonek jest odsunięta. Kobieta rozmawia z mężem. Jej dziecko śpi w małym łóżeczku obok łóżka. Uśmiecham się do nich i wchodzę do sali, idę między zasłoniętymi łózkami.

Niemal natychmiast słyszę głos Jacka. Jest blisko mnie, za kolejną zasłonką. Rozmawia z kimś przez telefon.

- Jest najpiękniejszym chłopcem, jakiego widziałem... Teraz śpi... Jutro go poznasz... Nie, jeszcze nie mówi, to niemowlę.

Sąsiednie łóżko jest wolne. Wślizguję się za zasłonkę, żeby nikt mnie nie widział.

Jack kończy rozmowę, przesyła całusy i wyrazy miłości.

- Jak się mają? - pyta Meg.

- Są podekscytowani.

- Tęsknię za nimi.

- Jeszcze nie minął dzień, jak się z nimi rozstałaś. Powinnaś z tego skorzystać i zrelaksować się, wyspać, poczytać.

- A ty co zamierzasz? - pyta.

- Świątować.

- Przeszłam poważną operację, dałam ci drugiego syna, a ty wybierasz się na imprezę.

- Absolutnie.

Meg próbuje go zganić, ale nie brzmi to poważnie. Dzwoni telefon. Tym razem to jej siostra Grace.

Raptem ktoś rozsuwa zasłonkę. Omal nie podskakuje przestraszona, serce mi wali. Jakiś mężczyzna szuka swojej żony. Przeprasza mnie. Udaję, że poprawiam pościel. Zasuвам znów zasłonkę i uspokajam oddech.

Meg chce wstać i wziąć prysznic.

- Musisz mi pomóc - mówi do Jacka.

Sprężyny łóżka skrzypią, Meg cicho pojękuje. Zasłonki falują, kiedy mnie mijają. Odczekuję parę chwil i wyglądam na zewnątrz. Jack obejmuje Meg w talii, a ona szura nogami w skarpetkach.

- Na pewno dasz radę? - pyta Jack.

- Nic mi nie będzie. Pod prysznicem jest siedzenie.

- Chcesz, żebym z tobą wszedł?
- Nie wydaje mi się, że wolno tu brać prysznic parami.
- Chętnie to zrobię, jeśli chcesz.

Ona pokazuje mu zmęczony uśmiech i całuje go w policzek. Korzystam z okazji i odsuwam zasłonki przy ich łóżku. Przez chwilę wydaje mi się, że łóżeczko jest puste, bo kocyk i pościel są tego samego koloru. Chłopiec jest zawinięty. Widzę maleńką okrągłą twarzyczkę z rączkami wciśniętymi pod brodą.

Biorę go szybko na ręce i wychodzę. Zasuвам zasłonki i kieruję się w stronę korytarza. Wszystko wokół mnie wydaje się zwalniać, podczas gdy ja przyspieszam. Jestem szybsza, zdolniejsza i bardziej bystra niż wszyscy ci guzdrający się ludzie.

- Przepraszam, co pani robi? - pyta jakiś głos.

Jack właśnie po coś wrócił.

- Co robię? - powtarzam, czując, że skóra napina się na mojej twarzy.

- To nasze dziecko.

- Oczywiście. - Siłą woli przywołuję uśmiech. - Pan jest pewnie Jack.

- Tak.

- A ten malec urodził się dziś rano. Jest wspaniały. Gdzie pańska żona?

- Bierze prysznic.

- Dobrze. Cóż, pański cudny maluszek będzie miał badanie krwi. To nie potrwa długo. - Gdy Jack spogląda w stronę łazienki, dodaję: - Może pan ze mną pójść, jeśli pan chce.

- Meg będzie potrzebowała mojej pomocy.

- Okej, zaraz wrócę.

Odwracam się i oddalam się od niego, a mój żołądek się zaciska, w kiszki mam wodę. To jest niepowtarzalna akcja, nie

mogę już zawrócić. Kiedy docieram do recepcji, przystaję przed zamkniętymi oszklonymi drzwiami. Przycisk, który je otwiera, znajduje się pod biurkiem pielęgniarki. Wózek, na którym wcześniej wwiozłam pacjentkę, stoi pusty. Kładę na nim dziecko i ruszam do drzwi. Pielęgniarka bez słowa je otwiera. Macham jej w podziękowaniu, pchając wózek do pustej windy. Naciskam przycisk piętra wyżej. Pamiętam, żeby oddychać. Zanim wysiądę na piątym piętrze, naciskam wszystkie przyciski, wysyłając pusty wózek w podróż po piętrach.

Wsadzam Rory'ego pod pachę niczym tobołek ubrań. Niosę go korytarzem do damskiej toalety. Przeszuję tabliczkę z napisem „Nieczynne”. Później kładę Rory'ego ostrożnie w umywalce i zaczynam się przebierać. Zamieniam uniform pielęgniarki i buty na platformie na robocze buty i bezkształtny męski kombinezon z wyszytym logo firmy hydraulicznej. Zmywam makijaż, po czym ciemnym podkładem robię worki pod oczami, rysuję zmarszczki na czole i w kącikach warg. Perukę zastępuję czapką bejsbolówką z przyszytym siwiejącym końskim ogonem. Wciskam pod nią moje prawdziwe włosy, a na koniec wkładam kolczyk do lewego ucha. Zerkam na swoje odbicie w lustrze i widzę starzejącego się robotnika, który wciąż żyje latami siedemdziesiątymi.

Rory śpi. Obudzi się, jak zgłodnieje, ale mam nadzieję, że nie tak szybko. Większość noworodków śpi szesnaście godzin na dobę, więc mam spore szanse.

Opróżniam wózek i delikatnie wkładam do środka owiniętego w kocyk Rory'ego. Ze sztywnego plastiku zrobiłam w wózku przegrodę, która pozwoli mu oddychać. Na górze układam uniform pielęgniarki, perukę, buty na platformie i okulary.

W mojej głowie tyka zegar. Za dużo czasu mi to zabiera. Zaraz ogłoszą alarm i zamkną szpital.

Istota we mnie wykrzykuje polecenia:

Pośpiesz się!

Nie panikuj.

Oni już idą.

Jeszcze nie. Rozwijam czarną, plastikową przeciwdeszczową osłonę i przyczepiam ją do kraciastego wózka, ukrywając jego kolor.

Teraz jestem gotowa. Otwieram drzwi, zerkam w głąb korytarza i słyszę, jak ktoś pyta:

- Udało się panu to naprawić?

Niedaleko drzwi toalety stoi sprzątaczką, w mocnych ramionach ściska kosz na śmieci. Jest krzepką Polką.

- Przepchałem, co trzeba - mówię moim najbardziej szorstkim głosem, nie patrząc jej w oczy.

- Niech pan nie zapomni tabliczki.

Podnoszę z podłogi trójkątny znak „Nieczynne” i zabieram go ze sobą. Pchając wózek do wind, szeroko stawiam nogi i pochylam głowę. Kiedy ćwiczyłam męski chód, zastanawiałam się, czy nie powinnam kuleć, ale niepełnosprawność przyciąga uwagę.

Nie mogę ryzykować i wyjść głównym wyjściem, a wewnętrzna klatka schodowa ma drzwi przeciwpożarowe i kamery przemysłowe. Podczas poprzedniej wizyty odkryłam windę towarową na wschodnim końcu budynku z napisem „Tylko dla personelu”. Zjeżdża do magazynu z rampą na parterze. Naciskam przycisk i patrzę, jak winda sunie powoli 1...2...3...4.

Szybciej! Szybciej!

Już mam wsiąść do windy, kiedy eksploduje alarm, a moje serce wykonuje salto. Wrzaskliwy przeszywający dźwięk rozbrzmiewa w korytarzach i w szybie windy. Teraz już nie mam wyboru. Nie

mogę zawrócić. Zjeżdżając, odliczam w tym samym powolnym tempie: 4...3...2...1...

Nie mam pojęcia, co mnie czeka. Uzbrojona policja? Ochroniarze? Wściekły ojciec? Winda zatrzymuje się z szarpnięciem. Drzwi się otwierają. Wsiadam w ciemnym korytarzu z betonową podłogą i biegnącymi wzdłuż sufitu rurami. Wciąż słyszę alarm, ale tu dźwięk jest stłumiony. Nad moją głową zapalają się lampy z czujnikiem ruchu. Moje kroki są zbyt głośne. Kółka wózka turkoczą zbyt głośno.

Za kolejnym rogiem nad ciężkimi drzwiami przeciwpożarowymi z pionowymi klamkami widzę tabliczkę „Wyjście”. Opieram się o drzwi i pcham ramieniem. Pochyłam głowę. Szykuję się na to, co mnie czeka. Na zewnątrz alarm brzmi głośniej.

- Hej, kolego - odzywa się jakiś głos. Ochroniarz w odblaskowej kurtce stoi w strefie załadunku i rozmawia przez przypięte na ramieniu radio. Ma trzydzieści kilka lat, bliskowschodnią urodę i zarost.

Podnosi rękę, żebym się zatrzymała. Wdzięczna za cień, pytam go, o co chodzi. Nie odpowiada. Wciąż rozmawia przez radio. Słyszę kilka słów: „Dziecko”. „Pielęgniarka”. Z kieszeni na piersi wydaję paczkę papierosów i wyciągam jednego zębami, postukuję nim w grzbiet dłoni. Nonszalancko trzymając papierosa w kąciku warg, obmacuję niższe kieszenie, wydaję zapalniczkę, zapalam i mrużę oczy przed dymem. Przykucam, udając, że zawiązuję sznurówki w roboczych butach, a tymczasem odpinam nóż i chowam go pod rękaw.

Istota szepcze:

Poderżnij mu gardło i biegnij!

Nie.

Nawet nie krzyknie.

Jeszcze nie.

Staję znów prosto i opieram się jakby nigdy nic o betonowy słup z prawą ręką za plecami. Ściskam w niej nóż ostrzem w dół. Ochroniarz odwraca się do mnie. Cienie są moimi przyjaciółmi.

- Co tu robisz?

- Toaleta się zatkała na piątym piętrze.

- Nie należysz do pracowników szpitala.

- Jestem prywatnym podwykonawcą.

Patrzy na mój wózek.

- Interesujące pudło na narzędzia.

- Mam chory kręgosłup - odpowiadam.

Mężczyzna chwyta za rączkę wózka, stawia go prosto, pochyla do przodu, posuwa naprzód i do tyłu, jakby chciał ocenić jego wagę.

- Widziałeś pielęgniarkę z niemowlęciem na ręku?

- Nie. Czemu?

Puszczam wózek, a radio budzi się do życia. Ochroniarz przekazuje do centrali jakieś informacje, a ja czekam. Po moim czole spływa kropla potu i wpada do kącika oka. Piecze. Próbuję zamrużyć, żeby kropla wypłynęła. Ochroniarz raz jeszcze bacznie mi się przygląda, po czym machnięciem ręki pozwala odejść.

Ciągnę wózek przez strefę załadunkową, wspinam się po rampie, cały czas przyciskając do siebie nóż. Ulicę wypełnia tłum pieszych, gości wychodzących z barów, hulaków i ludzi wracających z pracy. Przeciskam się między nimi, by jak najszybciej oddalić się od szpitala.

Biegnij!

Zachowuj się normalnie.

Oni są tuż za tobą.

Nie odwracaj się.

Dzwoni dzwon kościelny. Ktoś woła taksówkę. Depczę po wykonanym kredą i rozmazanym rysunku na chodniku, po chwili mijam pub z oknem z wytrawionego szkła. Na kolejnym rogu przystaję i zbierając się na odwagę, oglądam się na oświetlony szpital. Nic się nie zmieniło. Wkładam nóż do kieszeni i ruszam przed siebie. Mija mnie pędem policyjny radiowóz... potem kolejny... i jeszcze jeden.

Przede mną znajduje się stacja Gloucester Road. Kasuję bilet przy bramce biletowej i znoszę wózek po schodach. Peron jest prawie pusty. Pociąg właśnie odjechał. Następny ma być za cztery minuty. To są długie minuty.

Patrzę na elektroniczną tablicę z rozkładem jazdy. Ludzie wokół mnie jakby poruszali się w zwolnionym tempie. Odwracają głowy, mrugają i rozmawiają. Pamiętam, że w telewizji oglądałam kiedyś program, w którym mówili o stanie neurologicznym, kiedy mózg zmienia percepcję czasu i wydarzenia wydają się zwalniać albo mijać w przyspieszonym tempie. Tak właśnie się teraz czuję. Jakby Bóg pociągnął za hamulec i planeta zwalniała.

Wsuwam rękę pod pokrywę przeciwdeszczową, otwieram torbę i palcami wymacuję kocyk. Sięgam niżej, aż czuję główkę Rory'ego. Jest ciepła i miękka. Rory śpi. Upewniam się, że nic nie spadło mu na twarz. Ma dosyć powietrza.

Gorący powiew zapowiada przyjazd pociągu. Potem rozlega się świst i pojawiają się wagony. Skrzypią hamulce. Pociąg się zatrzymuje. Zajmuję miejsce, trzymam wózek między kolanami. Drzwi zamykają się i ruszamy. Pociąg wjeżdża do tunelu, ale nagle gwałtownie się zatrzymuje. Światło mruga. Moje serce też jakby włącza się i wyłącza.

Przez głośnik dobiega komunikat:

- Z powodu awarii sygnalizacji na stacji Manor House, pociągi

Piccadilly Line jadące na wschód są opóźnione około jedenastu minut. Londyński Transport przeprosza za wszelkie niedogodności.

Światło znów mruga i pociąg z szarpnięciem rusza naprzód, powoli nabiera prędkości, jakby napędzany hałasem, a nie prądem. Na każdej stacji wagon zapełnia się i opróżnia wciąż zmieniającymi się nowymi twarzami, rasami i mieszankami ras – są wśród nich Polacy, Niemcy, Pakistańczycy, Senegalczyki, mieszkańcy Bangladeszu, Rosjanie, Chińczycy, Walijczycy, Szkoci, Irlandczycy, Anglicy. Nieczęsto czuję sentyment do Londynu, ale kocham to poczucie, że jestem kolejnym elementem w tej etnicznej mozaice.

Na Piccadilly Circus wagon opanowuje stadko nastolatek, piszcząc ze śmiechu i chwiejąc się na idiotycznych obcasach. Jedna z nich wpada na mój wózek.

- Uważaj - mówię.

Dziewczyna wydyma wargi. Robi minę do koleżanek, które wybuchają śmiechem. Nachylam się, przyciskam ucho do górnej części wózka i słyszę cichy stłumiony płacz. Rory się obudził, ale hałas pociągu go zagłuszy.

Na stacji King's Cross setki ludzi jadą ruchomymi schodami i przechodzą przez halę. Wślizguję się do przebieralni dla niemowląt, zamykam drzwi i sprawdzam, czy dobrze je zamknęłam. Rozpakowuję wózek, biorę Rory'ego na ręce i delikatnie go kołyszę, przytulam policzek do jego czoła i szepczę, że go kocham.

Potem kładę go na przewijaku, a on patrzy, jak zdejmuję kombinezon i czapkę bejsbolówkę, po czym wkładam moje ubrania. Przebranie wciskam pod brudne pieluchy w koszu na śmieci.

Wyjmuję szal i układam go na prawym ramieniu, chwytam końce i związuję je, tworząc węzeł, który mogę wedle potrzeby zacieśnić albo poluzować. Przesuwam węzeł na ramię i kładę Rory'ego do nosidełka z szala w taki sposób, żeby był do mnie przytulony. Serce przy sercu.

Koniec z perukami i przebraniami. Teraz jesteśmy matką i dzieckiem. Jestem Agatha, a to mój synek Rory. Jego irlandzkie imię znaczy „czerwony król”.

Jutro zabiorę Rory'ego do domu i pokażę Haydenowi, a on przekona się, jaką jestem idealną matką i jaką będę perfekcyjną żoną. Teraz mam swoją rodzinę.

CZEŚĆ DRUGA

MEGHAN

Odzyskanie świadomości jest jak wydostanie się z ciemnej studni, jak płynięcie w stronę światła. Moje płuca błagają o łyk powietrza. Nagle moje ciało się wygina, powieki się podnoszą i biorę oddech, jakbym połykała własny krzyk.

Jakaś obca osoba pochyła się nade mną, trzyma rękę na mojej piersi. To nie pielęgniarka. Ma na sobie policyjny uniform – ciemne spodnie i niebieską koszulę z długimi rękawami zakończonymi mankietem. Wypowiada moje imię.

W mojej głowie pojawiają się w przebłysku okruchy pamięci, jakbym oglądała wideoklip zmontowany przez szaleńca. Jestem w szpitalu. Słyszę alarm. Ludzie krzyczą. Biegną. Widzę siebie pod prysznicem, siedzę na plastikowym krześle pod strumieniem gorącej wody. Jack pomaga mi się ubrać. Razem wracamy do łóżka. Widzę puste łóżeczko.

- Gdzie dziecko?

- Pielęgniarka zabrała je na badanie krwi.

- Jakie badanie krwi?

- Powiedziała, że to rutynowe.

Mija nas kolejna pielęgniarka.

- Nasz synek został zabrany na badanie krwi – mówię. - Kiedy go przyniosą?

Zdumiona pielęgniarka tylko patrzy na mnie.

- Kto go zabrał? – pytam.

Ramiona pielęgniarki unoszą się i opadają wraz z jej uniformem.

- Czemu trzeba mu zrobić badanie krwi? Może się pani dowiedzieć?

Mijają minuty. Pojawia się przełożona. Pyta Jacka, jak wyglądała tamta pielęgniarka. Zaczynam się coraz bardziej niepokoić.

- Pani dziecko nie było wyznaczone na badanie krwi - mówi przełożona.

- Ale pielęgniarka powiedziała...

- Gdzie jest nasze dziecko? - podnoszę głos spanikowana.

- Na pewno istnieje jakieś wyjaśnienie. - Nad górną wargą przełożonej tańczy pieprzyk.

- Jakie wyjaśnienie?

Wkrótce potem usłyszałam alarm. Ludzie biegali, lecz starali się nie krzyczeć. Żałuję, że więcej nie pamiętam, tylko jakieś niewyraźne obrazy i urywki rozmów. Chyba upadłam, prawie na pewno krzyczałam. Przyszedł lekarz o rudych włosach i z piegami na czole. Wbił mi w ramię igłę. Świat pociemniał, skurczył się do małego białego punktu, aż i ta ostatnia gwiazda zgasła.

Policjantka wciąż stoi obok mojego łóżka. Jest młoda, ma okrągłe pełne policzki, wygląda, jakby żuła balonową gumę.

- Gdzie Jack?

- Pani męża tu nie ma.

- Chcę zobaczyć Jacka.

- Na pewno niedługo wróci.

Próbuję się podnieść. Ból odbiera mi dech.

- Nie wolno się pani ruszać - mówi.

- Chcę iść do domu.

- Miała pani operację.

Policjantka podchodzi do drzwi i rozmawia z kimś na korytarzu. Po chwili wiem, że z pielęgniarką. Szepczą. Policjantka wraca do mojego łóżka.

- Co pani jej powiedziała?

- Żeby poprosiła lekarza.
- Kim pani jest?
- Nazywam się Hipwell, jestem z policji. Może mi pani mówić Annie. Jest pani głodna?
- Nie.
- Chce się pani pić?
- Muszę skorzystać z toalety.
- Mogę pani pomóc.

Odsuwa kołdrę, a ja spuszczałam nogi, sprawdzam, czy podłoga jest stabilna. Annie obejmuje mnie ramieniem w pasie i podtrzymuje podczas krótkiego przejścia do toalety. Kiedy dostałam prywatny pokój z toaletą? Nie pamiętam, żebym tu była. Gdzie jest Jack?

Siadam na misce klozetowej, zauważam bandaż na brzuchu i przypominam sobie poród. Byłam przytomna, chociaż nic nie czułam, kiedy pan Phillips zrobił cięcie. Jack stał obok niego w masce chirurgicznej na twarzy i komentował, co się dzieje, udawał, że to wyścigi konne Grand National.

- Dochodzimy do ostatniego zakrętu, Meg Shaughnessy wyprzedza o trzy długości, wygląda, jakby łatwo jej to szło. Zbliża się do ostatniego płotka. Przeskakuje. Już wyprzedza o pięć długości, teraz już prawie sześć. Tłum podnosi się na nogi. Słuchajcie tego krzyku.

Chciałam go zabić, bo mnie rozśmieszał.

- To chłopiec - oznajmił. - Syn Shaughnessy'ego, przyszły czempion.

Spuszczam wodę. Annie pomaga mi dojść z powrotem do łóżka. Rozlega się kolejne pukanie do drzwi. Zjawia się ta sama pielęgniarka co wcześniej i znów coś z Annie szepczą. Mówią o mnie. Co przede mną ukrywają?

Annie podchodzi do mojego łóżka.

- Na pewno nie jest pani głodna?

- Chcę zobaczyć Jacka.

- Próbujemy go znaleźć.

- Dokąd poszedł? - Mój głos nabrzmiewa złością. - Co wyście mu zrobili?

- Musi pani zachować spokój, pani Shaughnessy. W innym wypadku dadzą pani coś na uspokojenie. Nie chce pani tego, prawda?

Ma irytujący przesłodzony głos nauczycielki z przedszkola, która mówi do dziecka, że opuszcza jego grupę.

- Po filiżance herbaty od razu poczuje się pani lepiej.

- Nie chcę herbaty. Chcę Jacka.

Annie unosi ręce i mówi, że o niego spyta. Zostawia mnie samą w pokoju. Ignorując ból, wstaję z łóżka i szukam moich ubrań, otwieram szafki i szuflady. Znajduję szlafrok i kapcie. Gdzie mój telefon?

Uchylam drzwi i zerkam w jedną i drugą stronę korytarza, staram się zorientować, gdzie jestem. Muszę znaleźć telefon. Jack będzie wiedział, co zrobić. Skręcam w lewo i szuram nogami w stronę podwójnych drzwi. Na horyzoncie pojawia się jakaś pielęgniarka. Zmieniam kierunek i znajduję oddział położniczy. Poznaję to miejsce.

Gdzieś blisko płacze niemowlę. Moje serce bije mocniej. Przynieśli go! Idę za tym głosem i odsuwam zasłonkę. Jakaś kobieta trzyma noworodka.

- To moje dziecko! - krzyczę.

Kobieta otwiera szeroko oczy z przerażeniem.

- Oddaj mi go! On jest mój!

Przytula mocniej dziecko. Próbuję je wyrwać z jej rąk.

Przybiegają pielęgniarki. Jest z nimi policjantka, twarz ma zaczerwienioną ze złości albo zażenowania.

- Proszę puścić, pani Shaughnessy - mówi pielęgniarka. - To nie pani dziecko.

Szlocham na jej ramieniu.

- Nie moje - powtarzam za nią, kiedy fragmenty wspomnień łączą się i przypominam sobie, co się stało.

Moje dziecko zaginęło. Zostało skradzione. Porwane. Ale czemu? Kto mógłby coś takiego zrobić? A jeśli je gdzieś porzucono? A jeśli zostawiono na progu albo w koszu na śmieci? Może leżeć pod liśćmi albo zamknięte w bagażniku samochodu. Ludzie mogą przechodzić obok i nie wiedzieć, że tam jest. Mogą nie słyszeć jego płaczu.

Wciąż gdzieś ktoś porywa jakieś dzieci. Albo same się oddalają. Wpadają do basenów lub wsiadają do samochodów obcych ludzi, gubią się w lesie. Ale niemowlęta same nie znikają. Nie biegną za kotem, nie zasypiają w ogrodowych szopach, nie gubią się w centrach handlowych. Nie potrafią zatrzymać mijających samochodów ani kierować się znakami drogowymi, ani pukać do drzwi czy dzwonić domofonem i prosić obcych o pomoc. Niemowlęta nie potrafią powiedzieć, że się zgubiły, ani znaleźć drogi do domu jak pies.

Gdzie jest Jack? Powinien tu być. Słyszę, jak wykrzykuję jego imię.

Chwytają mnie silne ręce. Moją skórę znów przebija igła, a wtedy mój umysł powoli stacza się w chemiczną pustkę.

Walczę z igłą. Śpię. Śnię.

AGATHA

Rory miał dobrą noc. Spał obok mnie na podwójnym łóżku. Budziłam się co pół godziny i kładłam rękę na jego klatce piersiowej. Tak na wszelki wypadek sprawdzałam, czy oddycha. Nie czuję winy ani wstydu. Moja skrucha została pokonana przez miłość. Ja już nie jestem ważna. Rory jest wszystkim, co się teraz liczy. Mogłabym leżeć obok niego przez resztę mojego życia, wsuwać palec w maleńką piąstkę albo muskać wargami jego czoło czy słuchać trzepoczącego serca.

Szepczę do niego:

- Jesteś moim piątym dzieckiem. Do pięciu razy sztuka. Pięć jest moją ulubioną cyfrą.

Wstaje słońce. Kołyszę Rory'ego w ramionach, patrząc w lustro i wyobrażając sobie, jak będą mnie widzieli inni. Jego główka ma śmieszny kształt. Z jednej strony jest trochę spłaszczona, jakby przygnieciona, jak u słodkiego przybysza z innej planety, ale to prawdopodobnie minie w ciągu kilku dni.

Trzymając wciąż Rory'ego, do drugiej ręki biorę telefon i robię selfie. Uśmiecham się, jakby moja twarz miała pęknąć ze szczęścia. Przesyłam zdjęcia Jules, Haydenowi, panu Patelowi, mojej gospodyni i wszystkim przyjaciółkom. Opisuję im dni, które minęły od porodu, tworząc historię, która ma zamieszkać w ludzkiej pamięci, kojarząc się z konkretnym czasem.

Kiedy wróciłam tu minionego wieczoru, recepcja była pusta. Dwie nastolatki zajęte rozmową na schodach nie zwracały uwagi na kobietę niosącą dziecko w chuście. Ominęłam je i otworzyłam drzwi. Wzięłam prysznic, przebrałam się, nakarmiłam Rory'ego, a potem włączyłam BBC News. Nie wspomniano o zaginionym

dziecku. Było zbyt wcześnie.

Tego ranka sytuacja uległa zmianie. Na ekranie telewizora ujrzałam stojącą przed szpitalem reporterkę, która mówiła do kamery. Pogłośniłam telewizor:

- Na tym etapie znamy niewiele szczegółów, ale policja potwierdziła, że minionego wieczoru kobieta udająca pielęgniarkę wprowadziła nowo narodzone dziecko z Churchill Hospital w Londynie. Niemowlę płci męskiej miało ledwie dziesięć godzin, kiedy zostało zabrane z oddziału położniczego przez kobietę w uniformie pielęgniarki, która twierdziła, że zabiera chłopca na badanie krwi. Alarm podniósł ojciec dziecka i szpital zamknięto, ale kobieta zdążyła go już opuścić.

Na ekranie pokazują się z kolei radiowozy zaparkowane na ulicy i wchodzący przez drzwi detektywi.

- Nazwisko rodziców nie zostało ujawnione, ale policja apeluje do porywaczki, żeby oddała dziecko policji albo służbom medycznym. Nasze źródła sugerują też, że noworodek może potrzebować opieki medycznej.

- Bzdury! - mówię do Rory'ego. - Jesteś całkiem zdrowy, prawda? To histerycy.

Telewizor gra w tle, a ja podgrzewam butelkę w umywalce pełnej gorącej wody. Rory nie lubi mieszanki dla niemowląt albo nie ssie wystarczająco mocno. Kiedy chwyta mój mały palec, zdaje się rozumieć, o co chodzi, ale po jednym czy dwóch łykach odwraca twarz od butelki. Próbuję go karmić przez prawie pół godziny, aż Rory zasypia. Później będzie głodny, mówię sobie.

Sprawdzam wiadomości w telefonie. Najwięcej pochodzi od Haydena. Dzwoniłam do niego wczoraj wieczorem z informacją, że dzisiaj będę w domu. Przeprosiłam, że nie byłam w kontakcie, mówiąc, że bateria mi się wyczerpała, a nie miałam ze sobą

ładowarki. Teraz wysyłam mu kolejną wiadomość, piszę, że jestem w pociągu i w południe powinnam być w domu. Hayden od razu do mnie dzwoni, ale ja nie odpowiadam, więc przekierowuje go na pocztę głosową.

- Mogę cię odebrać z dworca - nagrywa mi się. - Jestem w twoim mieszkaniu. Twoja przyjaciółka Jules mnie wpuściła. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciw. Nie mogę się doczekać, kiedy was zobaczę.

Uśmiecham się pod nosem. Ojcostwo już go odmieniło. Chce widzieć swojego syna. Chce mnie widzieć.

Ranek jest zimny. Ubieram Rory'ego ciepło i wkładam mu na głowę wełnianą czapkę. Kiedy zmieniam pieluszkę, szeroko otwiera oczy. Wymachuje w powietrzu rękami i nogami, jakby był przerażony swoją nagością.

Recepcjonistka siedzi już na swoim miejscu. Tym razem kładę nosidełko na ladzie, pozwalam jej zobaczyć Rory'ego. Nie wydaje się specjalnie zainteresowana. Robię jakąś uwagę na temat pogody, twierdząc, że Rory przeżyje szok, jak znajdzie się na zewnątrz.

- Kto?

- Rory?

- Aha.

- Ma dopiero trzy dni - mówię.

- To mało, żeby podróżować.

- Wracamy do domu.

- A co z pani chłopakiem?

- Wybaczyłam mu.

Proszę ją, żeby zamówiła mi taksówkę, i czekam w cieple, aż zajdzie przed wejście. Kierowca musi mi pomóc przypiąć nosidełko na tylnym siedzeniu. Powinnam była to poćwiczyć.

Przez swoją nieporadność wyglądam na amatorkę.

- Dokąd, kochana? - pyta z akcentem z East Endu, który nie brzmi naturalnie, a raczej afektowanie i sztucznie. Jest rozmowny i wesoły. Od pogody przeskakuje do przedświątecznych tłumów, a potem mówi o swoich dzieciach, a ma ich troje: sześć, osiem i jedenaście lat. - Wolałem je, jak były malutkie, bo jeszcze nie potrafiły odpyskować - mówi, zerkając na mnie w tylnym lusterku. - Pani malec wygląda, jakby dopiero co się urodził.

- Prawie.

- Nie powinien być jeszcze w szpitalu?

- Raczej nie.

Pyta, czemu mieszkałam w hotelu.

- Moi rodzice są właścicielami - odpowiadam.

- Pogratulować.

Teraz myśli, że jestem bogata.

- To znaczy kierują tym hotelem, a właścicielem jest jakiś Rosjanin.

- Rosjanie wszystko wykupują - mówi. - Oligarchowie. - Wymawia to słowo, jakby mówił o mrówniku afrykańskim zwanym też prosiakiem ziemnym.

Objeżdżamy rondo Hammersmith i jedziemy Fulham Palace Road. Dzwoni moja komórka. To znów Hayden.

- Gdzie jesteś?

- Już prawie w domu. Jadę taksówką.

- Będę czekał na dole.

Kierowca zerka znów w tylne lusterko.

- Słyszała pani w wiadomościach o dziecku porwanym ze szpitala?

- Nie.

- No, wczoraj wieczorem ktoś porwał małego chłopca dosłownie

sprzed ich nosa.

- Wiedzą, kto to zrobił?

- Ktoś przebrany za pielęgniarkę.

- To straszne. Biedna matka... Ma inne dzieci?

- Nie mówili. - Nasze oczy spotykają się w lusterku. - Nie chciałem pani zdenerwować, kochana.

Zdaję sobie sprawę, że płaczę. Ocieram policzki, mówię przepaszającym tonem:

- Proszę wybaczyć. To pewnie hormony. Całą ciążę przepłakałam.

- Ja też łatwo się wzruszam - odpowiada. - Odkąd mam rodzinę, nie mogę czytać o porwanych czy źle traktowanych dzieciach. Za każdym razem mnie zatyka. Gdyby ktoś skrzywdził jedno z moich, to zabiłbym drania. Nie myślałbym o policji czy sądzie, a oni nie znaleźliby jego ciała. Wie pani, o czym mówię.

Nie potwierdzam ani nie zaprzeczam. Kierowca emocjonuje się tematem, peroruje z coraz większym zapałem:

- Dlatego potrzebujemy w tym kraju kary śmierci. Nie dla wszystkich, ale dla pedofili i terrorystów.

Skręcamy w moją ulicę. Widzę na schodkach Haydena. Ledwie wysiadam z samochodu, kiedy Hayden bierze mnie w objęcia.

- Delikatnie. - Krzywię się. - Dopiero co urodziłam.

- Przepraszam. Zapomniałem. Jestem taki głupi.

Nie wie, co zrobić z rękami. Najpierw próbuje schować je do kieszeni przednich, a potem tylnych. Później zagląda do samochodu. Na widok Rory'ego otwiera usta pełen podziwu i zdumienia.

- Przywitaj się z synkiem - mówię.

Hayden wyciąga rękę i dotyka policzka Rory'ego. Jego dłoń jest większa od główki chłopca.

- Nie złamie się - mówię.
- Ale jest taki maleńki.
- Wszystkie niemowlęta są małe - mówię ze śmiechem. - Możesz go wnieść do domu.

Hayden wnosi Rory'ego z taksówki, a ja płacę kierowcy i życzę mu wesołych świąt. Wkładam torebkę na ramię i idę za Haydenem po schodach. Trzyma nosidełko obiema rękami, jakby niósł wazę z czasów dynastii Ming. Po wejściu do mieszkania rzucam płaszcz i zauważam kwiaty. Na kominku stoją dwa duże bukiety.

- Te dostarczyli przed godziną - oznajmia Hayden, który nie może usiedzieć na miejscu. - Jeden od moich rodziców, a drugi od Jules.

- Gdzie jest Jules? - pytam. - Myślałam, że tu będzie.
- Pojechała z Kevinem do Glasgow odwiedzić krewnych.
- Kiedy wraca?
- Za parę tygodni. Usiłowała się do ciebie dodzwonić.
- Wiem, przykro mi. Moja komórka padła. Nie miałam ładowarki.

- Nie mogłaś skorzystać z innego telefonu?
- Nie znam na pamięć twojego numeru ani numeru Jules. Już powiedziałam, że bateria mi się rozładowała.

Nosidełko Rory'ego znalazło się na małym stoliku. Hayden patrzy na niego.

- Czemu tak uciekłaś?
- Nie uciekłam. Miałam przecucie, że urodzę przed terminem, dlatego pojechałam na północ. Nie chciałam zostać tu sama.
- Przecież chciałem być przy porodzie. - Hayden nie kryje, że czuje się urażony. - Przyjechałem taki kawał drogi.
- Wiem, ale się przestraszyłam.

- Przestraszyłaś?

- Nie chodzi tylko o poród. Przestraszyłam się, że jak mnie zobaczysz podczas porodu, to później nie będziesz chciał mnie dotknąć. To dość straszne. Siedziałam w basenie i wrzeszczałam jak najęta.

Hayden obejmuje mnie i przytula do piersi. Czuję jego siłę i zapach.

- Wiem, że to brzmi głupio - mówię. - Ale nie widziałam cię od końca marca. Rozmawialiśmy tylko kilka razy przez satelitę. Martwiłam się, że możesz się rozmyślić, jak mnie taką zobaczysz, na czworakach, wypychającą z siebie dziecko.

- To niemożliwe - mówi, całując mnie w usta.

Cudownie.

Rory wydaje z siebie pisk, jakby coś stracił.

- Jest głodny? - pyta Hayden.

- Nie, po prostu się obudził. Chciałbyś go potrzymać?

- Mogę go upuścić.

- Nie upuścisz.

Odpinam Rory'ego i wyjmuję go z nosidełka. Hayden przysiadł na skraju sofy, stopy trzyma równo na podłodze, wyprostował plecy.

- Musisz podtrzymywać mu główkę - mówię. - Jego szyja nie jest jeszcze dość mocna, żeby utrzymać głowę, ale nabierze siły. Połóż go na rękę. Widzisz? To nie takie trudne.

Hayden siedzi sztywno, nie czuje się swobodnie, ale uśmiecha się od ucha do ucha.

- Możesz oddychać - mówię.

- Wybacz, ale trochę się denerwuję. Może lepiej weź go ode mnie.

- Powoli go poznasz.

- Później go potrzymam. - Podaje mi Rory'ego, po czym wyciera dłonie w nogawki dżinsów.

- Podoba ci się imię? - pytam.

Kiwa głową i pyta:

- Skąd wiedziałaś?

- Twój ojciec mi powiedział, że on, twój dziadek i ty macie na drugie Rory.

- A teraz mamy kolejnego Rory'ego.

- Podoba ci się?

- Jest doskonały!

MEGHAN

- Meghan... Meghan... Obudziłaś się?

Głos powoli się zbliża, wypełnia moją głowę. Próbuję podnieść powieki, ale są chyba na dobre sklezione. Zamroczone lekami próbuję je pokonać i znaleźć drogę powrotną do rzeczywistości. Żeby tam już pozostać. Obrazy na siebie nachodzą. Słyszę głosy. Widzę światło. Moje oczy są mokre. Płakałam przez sen.

Przy moim łóżku siedzi inna policjantka. Pochyliła się do przodu, jakbym powiedziała coś, czego nie dosłyszała. Otwieram usta, lecz moje wargi są wyschnięte. Próbuję raz jeszcze.

- Moje dziecko?

Podaje mi kubek z pokrywką i słomką. Woda. Wypijam do dna.

Odzyskuję głos.

- Czy są jakieś nowe wiadomości?

- Jeszcze nie - mówi policjantka.

- Kim pani jest?

- Jestem z policji, nazywam się Soussa. Proszę mi mówić Lisa-Jayne.

Ma zielone oczy i jasne włosy z grzywką, która wciąż opada jej na czoło, choć zaczesuje ją za lewe ucho.

- Co pani tu robi? - pytam.

- Zajmuję się łącznością z rodzinami.

- Co?

- Wyznaczono mnie do opieki nad panią.

- Chcę rozmawiać z pani szefem.

- Komisarza MacAteera nie ma jeszcze w szpitalu.

Gdy próbuję usiąść, Lisa-Jayne podkłada mi poduszkę pod plecy. Wciąż mam na sobie szpitalną koszulę i czuję moje szwy,

zaopatrzone, zabandażowane i zaklejone plastrem.

- Gdzie jest mój telefon?

- Jest u mnie - odpowiada Lisa-Jayne. - Monitorujemy pani wiadomości.

- Czemu?

- Na wypadek gdyby odezwał się porywacz.

- Czy to porwanie? Ktoś porwał mojego synka? Żądają okupu? Nie jesteśmy bogaci.

- Musimy brać pod uwagę każdą ewentualność.

Wyjmuje z kieszeni mój telefon i podaje mi go. Trzymam go w dłoniach, czując ciepło jej ciała. Mam dziesiątki nieodebranych połączeń, głównie od rodziców, Grace i przyjaciół, ale nic od Jacka. Wybieram jego numer i czekam. Przełącza mnie na pocztę głosową.

- Gdzie jesteś? - Głos mi się załamuje. - Potrzebuję cię.

Nie przychodzi mi do głowy nic innego, co mogłabym powiedzieć. Kończąc, patrzę na telefon. Gdzie podziewa się Jack? Czemu go tu nie ma? Chcę, żeby mnie objął. Chcę, żeby mnie zapewnił, że wszystko będzie dobrze.

- Kto zabrał moje dziecko? - szepczę.

- Nie wiemy - mówi Lisa-Jayne, zajmując miejsce obok łóżka.

- Ta kobieta była ubrana jak pielęgniarka.

- Naszym zdaniem tu nie pracowała.

- Ale uniform...

- Mógł być skradziony.

Ktoś cicho puka do drzwi. Lisa-Jayne podchodzi i uchyla je, po czym odwraca się do mnie.

- Są pani rodzice. Chce się pani z nimi widzieć?

- Mogą chwilę poczekać? Potrzebuję szczotki do włosów i lusterka.

Lisa-Jayne przynosi mi je z łazienki. Przechyłam lusterko, patrzę na różne fragmenty mojej twarzy, lecz nie na całość. Moje oczy są podsiniaczone, jakbym zbyt wiele widziała albo za mało spała. Próbuję szczotką przywrócić normalny wygląd moim włosom, szczypię się w policzki z nadzieją, że się zaróżowią.

Kiedy moi rodzice wchodzą do pokoju, ich oczy mówią wszystko. Matka piskliwie wypowiada moje imię i śpieszy w stronę łóżka, bierze mnie w ramiona, przytula jak dziecko cierpiące na ból ucha. Stojący za nią ojciec milczy, patrzy bezradnie. Ma sześćdziesiąt kilka lat i zawsze był dumny ze swojej rodziny, zabezpieczał jej potrzeby, dbał o nasze bezpieczeństwo. To nim wstrząsnęło. To było nie do przewidzenia.

Uwalniając się z objęć matki, ściskam ojca, pozwalam sobie wtulić się w jego ramiona, przyciskam twarz do jego piersi, wyczuwając zapach marki Old Spice pomieszanej z Imperial Leather. Płaczę jak dziecko. Szlocham i trzęsę się cała. Ojciec głaszcze mnie po głowie i szepcze moje imię. Teraz z kolei matka czuje się wykluczona.

- Gdzie są dzieci? - pytam, ocierając oczy.
- Grace się nimi opiekuje - mówi matka.
- Co im powiedzieliście?
- Nic. Lucy wciąż wypytuje.
- Widzieliście Jacka?
- Nie.
- Jego telefon nie odpowiada.
- Pewnie pomaga w poszukiwaniach - mówi tata.

Jakby na zawołanie słyszemy jakiś ruch w korytarzu. Pojawia się Jack. Ma na sobie te same ubrania co wczoraj, a może i przedwczoraj. Jest rozmamłany. Potargany. Nieogolony.

Wykończony. Pada na kolana obok łóżka i kładzie głowę na moim brzuchu.

- Przepraszam! Przepraszam! - mówi płacząco. Oczy ma przekrwione, cuchnie potem, brudem i strachem.

- Gdzie byłeś? - pytam.

- Jeździłem samochodem. Chodziłem. Myślałem... chciałem... miałem nadzieję... - Urywa i znów zaczyna, ale nie może skończyć. - Wszędzie szukałem, ale dopiero kiedy człowiek zaczyna sobie uświadamiać, ile jest ulic w Londynie... ile domów...

Głaszczę jego nieumyte włosy.

- Powinieneś się przespać.

- Muszę go znaleźć.

- Zostaw to policji.

- To moja wina. Powinienem był spojrzeć na plaketkę z jej nazwiskiem. Powinienem był z nią pójść. - Trzęsie się. - Tak mi przykro. Nie wiedziałem. Sądziłem, że ona... powiedziała... powiedziała... że mogę z nią pójść... powinienem był pójść.

- To nie twoja wina - mówię stanowczo, choć w środku krzyczę: „Oddałeś nasze dziecko obcej kobiecie! Może być potworem albo molestować dzieci. Nie chciałeś kolejnego dziecka, więc je oddałeś”.

Jestem rozdarta między chęcią pocieszenia go i ukarania - wybaczenia i oskarżenia. Chcę grać ofiarę, ale wygląda na to, że Jack już uzurpował sobie tę rolę. Wszyscy mu współczują - moja matka, mój ojciec, policjantka... A ja w myśli krzyczę na niego: „Na Boga, Jack, tu nie chodzi o ciebie”. Przetykam gniew, gładzę jego włosy i każę mu iść do domu, żeby się wyspał.

- Policja będzie chciała z nami rozmawiać - mówi.

Lisa-Jayne wtrąca:

- Już z panem rozmawiali, panie Shaughnessy. Teraz chcą porozmawiać z pańską żoną.

- Czemu?

- To normalna procedura.

- Normalna? Nie ma w tym nic normalnego. Chcę wiedzieć, co robi policja.

Odwracam się do rodziców i proszę ich, żeby zabrali Jacka do domu. Mówię mu, że później porozmawiamy, ale on wciąż biadoli, kiedy go popychają na korytarz.

Dwaj detektywi czekają na rozmowę ze mną. Ktoś przynosi i ustawia krzesła, po jednym z każdej strony łóżka. Czuję się, jakby chcieli postawić mnie w stan oskarżenia, a nie tylko porozmawiać. Ten ważniejszy podaje mi swoją wizytówkę. Studiuję ją bacznie, daję sobie czas, by zebrać myśli.

Komisarz Brendan MacAteer ma niebieskie oczy, jasne rzęsy i twarz tak wyrzeźbioną i kościstą, że skóra wygląda jak naciągnięta na kościach. Jego piegi teraz zbladły, ale każdego lata z pewnością wysypują się garściami na nosie i policzkach. Ciekawe, czy w dzieciństwie boleśnie z niego żartowano. Jakie przezwiska musiał znosić?

Drugi detektyw ma nadwagę i kwadratową głowę ze zbyt małymi oczami w stosunku do wielkości czaszki. Nie dosłyszałam jego nazwiska, ale rzadko się odzywa, woli robić notatki i od czasu do czasu wymienia spojrzenia z MacAteerem. Detektywi siedzą pochyleni do przodu. Jedynym dźwiękiem jest skrzypienie krzesel i szelest ich ubrań.

Na początek zapewniają mnie, że robią, co w ich mocy, żeby odnaleźć moje dziecko. Komisarz MacAteer ledwie porusza wargami, gdy mówi, a równocześnie nieustannie wędruje po mnie wzrokiem z dziwnym napięciem, jakby mnie składał niczym

puzzle.

Po rozłożeniu planu szpitala komisarz wskazuje oddział położniczy, rozmaite korytarze, klatki schodowe i windy.

- Fałszywa pielęgniarka wyszła z oddziału tymi drzwiami, pchając wózek inwalidzki. Wjechała windą na piąte piętro. Kwadrans po dwudziestej szpitalna sprzątaczką widziała pielęgniarkę, która pasuje do opisu porywaczki. Trzymała coś prawą ręką. Sprzątaczką nie przyjrzała się dobrze jej twarzy, ale mamy nadzieję, że porozmawiamy z hydraulikiem, który pracował na tym samym piętrze. - Pokazuje ziarnistą fotografię zrobioną kamerą przemysłową. Widać na niej jakąś kobietę nieco z tyłu i z góry. - Powiększyliśmy zdjęcia, ale na żadnym nie widać dobrze twarzy. Technicy wciąż nad tym pracują, chcą się przekonać, czy da się coś poprawić. Widziała ją pani może?

- Nie. A co z programem, dzięki któremu można rozpoznać twarze?

- Byłby skuteczny tylko wtedy, gdybyśmy dysponowali wyraźnym zdjęciem podejrzanej. Może się też okazać, że ta kobieta nigdy nie była aresztowana ani nigdy nie interesowała się nią policja, co znaczy, że nie znajduje się w naszej bazie danych. Zwróciłem się do policyjnego rysownika, żeby usiadł z pani mężem i sprzątaczką i narysował portret pamięciowy. Mam nadzieję, że uda się uchwycić podobieństwo. Opublikowaliśmy też jej opis. To biała kobieta, trzydzieści do czterdziestu pięciu lat, około stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu, jasna karnacja, średnia budowa, ciemne włosy. Na razie nie udało się nam zidentyfikować nikogo, kto wchodziłby do szpitala albo z niego wychodził i pasował do tego opisu, co sugeruje, że mogła mieć inne przebrania.

- Możliwe, że wciąż tu jest? - pytam.

- Mało prawdopodobne. Alarm ogłoszono mniej więcej po dziesięciu minutach, wtedy szpital został zamknięty. Ochroniarze zatrzymywali wszystkich wychodzących. Personel przeszukał pokój po pokoju. Policja zatrzymała ruch na zewnątrz i rozmawiała z przechodniami. - MacAteer pochyła się naprzód i kładzie dłonie na kolanach. - Możliwe też, że miała współnika, co mogłoby wyjaśniać, jak uniknęła zatrzymania przez ochronę. W tej chwili skupiamy się na zidentyfikowaniu wszystkich osób, które wchodziły do szpitala i z niego wychodziły w godzinach przed porwaniem i tuż po nim.

- Miała na sobie uniform pielęgniarki.

- Co sugeruje, że wszystko precyzyjnie zaplanowała. Nie było to działanie improwizowane, pod wpływem chwili.

- To dobrze?

- Prawdopodobnie znaczy to, że bardzo jej zależało na dziecku i dobrze się nim zaopiekuje. Jednocześnie przez to trudniej ją będzie odnaleźć, ponieważ starannie zaciera ślady.

Przez kolejne dwadzieścia minut jestem zmuszona powrócić do minionych wydarzeń - porodu, jego następstw, pójścia pod prysznic, powrotu i znalezienia pustego łóżeczka.

- Rozmawiała pani z mężem o tamtym wieczorze? - pyta komisarz.

- Tak. Czemu pan pyta?

- Powiedział pani, dokąd się udał, kiedy opuścił szpital?

Przez moment się waham.

- Powiedział, że szukał tej pielęgniarki.

MacAteer zerka na swojego kolegę i wymieniają jakieś niewypowiedziane uwagi.

- Wybrała pani imię dla dziecka? - pyta.

- Jeszcze nie zdecydowaliśmy.

- O sprawie jest już głośno, ludzie się tym interesują. Dobrze by było, gdybyśmy dysponowali jakimś imieniem. Dzięki temu media spersonalizują tę historię, skupią się na konkretnym, a nie bezimiennym dziecku.

- Chce pan, żebyśmy teraz wybrali imię?

- Może je pani później zmienić, wymyślić coś innego.

Rozumiem jego argumenty, jednak nie wydaje mi się właściwe nadawać imię dziecku, którego nie mogę trzymać w ramionach.

- Myśleliśmy o Benjaminie, w skrócie Ben.

- Ładnie - mówi Lisa-Jayne, która cały czas siedzi w kącie.

- Więc niech będzie Baby Ben - mówi MacAteer. - Mediom się to spodoba. A co ze zdjęciami?

- Jack zrobił jakieś zdjęcia.

- Z pani pozwoleniem chciałbym natychmiast opublikować jedno zdjęcie, a resztę zatrzymać.

Przeglądam zdjęcia w telefonie i wybieramy Bena owiniętego bawełnianym kocykiem, z pomarszczoną twarzą i półotwartymi oczami. Mruży je przed nieoczekiwaną jasnością. Ja także jestem na tym zdjęciu. Dzięki cesarce starczyło mi siły, by się uśmiechnąć.

- Będziemy też potrzebowali pani komentarza.

- Nie chcę z nikim rozmawiać - mówię.

- Rozumiem. Polecę, żeby oficer prasowy napisał coś za panią. - MacAteer wstaje.

- To wszystko? - pytam.

Uśmiecha się, stara się mnie uspokoić.

- Takie sprawy zwykle dość szybko się wyjaśniają. Noworodka trudno nie zauważyć. Ktoś się z nami skontaktuje, przyjaciel, członek rodziny albo sąsiad. Jestem tego pewien.

- Nie chcę zostawać w szpitalu.

- Lekarze nalegają, żeby pani została.
- Nie będę brała więcej środków uspokajających.
- Pomogą pani wypocząć.
- Chcę karmić Bena piersią, kiedy go znajdziecie, a leki mogą mi to uniemożliwić.
- Proszę porozmawiać ze swoim lekarzem. To jego decyzja.

AGATHA

Rory budzi się o piątej w widmowym świetle, posapuje i gaworzy. Szyby zalewa deszcz, światło maluje wzory na twarzyczce Rory'go i białej pościeli. Zostawiam śpiącego Haydena, ogrzewam butelkę i siadam z Rorym na sofie, głaszczę jego policzek, patrząc mu w oczy. Lubię tę porę dnia, kiedy mam Rory'ego tylko dla siebie.

Mam wszystko, czego pragnęłam, tu i teraz, pod tym dachem, a jednak miotam się między bólem a euforią, jakbym miała jednocześnie dwa życia, jedno tak blisko drugiego.

Jak dotąd Hayden nie kwestionował powodów, dla których w jego obecności nie karmię Rory'ego piersią. Powiedziałam mu o popękanych sutkach i zapaleniu sutka, i że nie mam dość mleka, w związku z czym położna zasugerowała, żebym dodatkowo karmiła dziecko mieszanką dla niemowląt.

- Odciągam mleko - mówię do Haydena, pokazując mu pompkę służącą do tego celu. - Nie mów swojej mamie o moich kłopotach.

- Czemu? - pyta.

- Bo czuję się winna.

- Zrozumiałaby.

- Niektóre matki nie rozumieją, oceniają cię.

Hayden patrzy na mnie z zakłopotaniem.

- Być może już jej o tym wspomniałem. Pytała o różne rzeczy.

- Powiedziałeś jej?

- Powiedziałem, że karmisz go butelką.

- Pomyśli, że jestem złą matką.

- Na pewno nie.

Hayden jest zakochany w Rorym. To zadziwiające, jak

mężczyźni przy dzieciach zamieniają się w klaunów, wyciskają całusy na dziecięcych brzuskach, robią miny i wymyślają nowe słowa, zdesperowani, by doczekać jakiejś reakcji.

Hayden nabrał już pewności i wie, jak odpowiednio trzymać Rory'ego na rękach, nauczyłam go też przygotowywać butelkę i sprawdzać temperaturę mleka, wyciskając kroplę na wnętrze nadgarstka. Poza tym Hayden okazuje mi wyjątkową troskę, parzy i podaje herbatę i załatwia różne drobne sprawy.

- Nie zmieniałeś jeszcze pieluszki - powiedziałam wczoraj.

- Zmienię następną - odparł.

Później zawołałam:

- Hej, twoja kolej, marynarzu.

- Miałem na myśli przy następnym dziecku. - Zaśmiał się, a moje serce przepełniła duma.

Robimy mnóstwo zdjęć: Rory z Haydenem, Rory ze mną, Rory z panem i panią Cole, Hayden ze mną i Rorem. Najlepsze oprawie i postawię na półce nad kominkiem.

Rory zjada niemal całą butelkę. Opieram go na ramieniu, żeby mu się odbiło. Hayden wychodzi z sypialni, drapiąc się po brzuchu. Podoba mi się, że zgolił brodę. Pocałunki tak nie drapią i widzę mocną linię jego szczęki.

Na widok Rory'ego jego oczy jaśnieją.

- Hej, popatrz. - Zbliża się do Rory'ego i wystawia język. Mija chwila, a Rory też wystawia język, naśladuje go.

- Nauczyłem go tego - mówi Hayden. - Ten dzieciak to prawdziwy geniusz.

Włącza telewizor. Historia zaginionego Baby Bena jest na pierwszym miejscu we wszystkich serwisach. Reporterzy telewizyjni nadają na żywo sprzed Churchill Hospital, przeprowadzają wywiady z pacjentami i przechodniami oraz

członkami personelu, którzy mówią, że nie wolno im komentować sprawy.

- Ci biedni ludzie muszą być chorzy ze zmartwienia - mówi Hayden, stojąc za mną i masując mi ramiona.

Pomrukuje coś i przytakuję mu bez słów.

Na ekranie jakiś detektyw apeluje o pomoc:

- W czwartek siódmego grudnia mniej więcej za dziesięć ósma wieczorem nieznana kobieta weszła na oddział położniczy Churchill Hospital w centrum Londynu. Udając pielęgniarkę, zabrała Bena Shaughnessy'ego, który przyszedł na świat tego samego dnia. Kobieta ma między trzydzieści a czterdzieści pięć lat, około stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu, jest średniej budowy, ma brązowe oczy, jasną cerę i ciemne włosy, które mogły być peruką.

Na ekranie pokazuje się zamazany obraz, na którym widać, jak idę szpitalnym korytarzem z pochyloną głową. Drugie nagranie pokazuje mnie, gdy czekam na windę. Unoszę rękę i zasłaniam twarz. Zdjęcie zostało powiększone, ale jakość jest tak kiepska, że moja twarz to niemal same piksele.

- Znacie ją? - pyta detektyw. - Może to wasza znajoma albo sąsiadka? Znacie kogoś, kto nieoczekiwanie pojawił się w domu z niemowlęciem? Jeśli możecie pomóc, proszę, skontaktuje się z Crimestoppers. Gwarantujemy całkowitą anonimowość. - Detektyw robi pauzę, sięga po kartkę papieru i mówi dalej: - Państwo Shaughnessy prosili mnie, żebym podziękował za liczne wyrazy wsparcia, jakie otrzymują. Napisali następujące słowa: „Ben miał ledwie dziesięć godzin, gdy został nam zabrany. Bardzo krótko mogliśmy się nim cieszyć, a jego strata to dla nas nieopisany ból. Prosimy, oddajcie go nam. Zostawcie go w kościele, szkole albo na komisariacie policji. Przekażcie go

władzom. Bardzo prosimy, oddajcie nam nasze dziecko”.

Na ekranie pojawia się zdjęcie, widnieje na nim oparta o poduszki Meg z dzieckiem przy piersi. Musiało zostać zrobione zaraz po porodzie.

- Znam ją - szepczę.

Hayden się waha.

- Co?

- Tę matkę. Chodziła ze mną na jogę. Parę tygodni temu byłam w jej domu. Dała mi trochę ubranek dla dziecka.

Hayden obchodzi sofę i siada.

- Jaka jest?

- Ma jeszcze dwójkę dzieci, Lucy i Lachlana. Kiedy pracowałam w supermarkecie, stale ją widywałam.

- Czemu wcześniej nie powiedziałaś?

- Nie podali jej nazwiska, dopiero teraz. - Sięgam po telefon i przeglądam mejle, aż znajduję jeden od Meg. - Zobacz. Wysłałam jej zdjęcie Rory'ego, a ona mi odpowiedziała.

- Kiedy to było?

- Zanim poszła do szpitala.

- Powinnaś się do niej odezwać - mówi Hayden.

- I co niby miałabym napisać?

- Nie wiem. Napisz, że się za nią modlisz.

- Czy to nie byłoby okrutne? Przypomniałoby jej, że moje dziecko jest bezpieczne i zdrowe, a jej zaginęło.

Hayden przez chwilę rozważa moje słowa, wreszcie przyznaje:

- Może masz rację.

- Ma jeszcze dwójkę dzieci - mówię. - Zajmie się nimi. Jestem pewna, że pozwie szpital o miliony.

- Przecież nie to jest najważniejsze, prawda? - mówi Hayden.

Kładę głowę na jego ramieniu i splecam palce z jego palcami,

gładzę kciukiem włoski na grzbiecie jego dłoni.

- To prawda. Zaczekam, aż wróci do domu ze szpitala, i wtedy do niej zadzwonię.

MEGHAN

Minęło czterdzieści osiem godzin. To czas krytyczny. Jeżeli w tym czasie zaginiona osoba się nie odnajduje albo zbrodniarz nie zostaje wykryty, albo podejrzany nie zostaje postawiony w stan oskarżenia, szansa na sukces zaczyna się zmniejszać. Jestem pewna, że gdzieś to czytałam lub słyszałam w telewizji.

Bena nie ma już nawet dłużej. Annie i Lisa-Jayne, moje policyjne asystentki, siedzą ze mną na zmianę. Chronią mnie. Trzymają dziennikarzy na dystans, odpowiadają na telefony, czytają moje wiadomości i sprawdzają gości.

Szpital przeniósł mnie do innego pokoju, z dala od oddziału położniczego, żeby nie denerwować innych świeżo upieczonych matek. Jestem jak ciało, które trzeba szybko usunąć z miejsca wypadku, albo jak błąd, który trzeba wyciszyć.

Udając, że śpię, słyszę skrzypienie butów pielęgniarek i turkot wózka na korytarzu, dzwonki telefonów i szum interkomu. Wyobraźnia podsuwa mi różne obrazy. Na przykład Bena, którym opiekuje się jakaś obca osoba. Albo wyobrażam sobie, że został porzucony na zboczu jakiejś góry jak Edyp lub puszczony w koszu z biegiem rzeki jak mały Mojżesz.

Innym znów razem wyobrażam sobie, że jestem w stanie porozumiewać się z nim telepatycznie. Nie dlatego, że mamy to samo DNA, ale ponieważ nosiłam go w sobie przez dziewięć miesięcy. Połączyły nas krew i składniki pokarmowe. Słuchaliśmy nawzajem bicia swoich serc. On słyszał mój głos. Nie można zerwać takiej więzi, przecinając pępowinę czy zabierając dziecko matce.

Ilekcroć policjantki czy pielęgniarki się zmieniają, zadaję wciąż

to samo pytanie:

- Są jakieś wiadomości?
- Brak wiadomości to dobra wiadomość - odpowiada Annie.
- Jak brak wiadomości może być dobrą wiadomością?
- To znaczy że osoba, która zabrała dziecko, nie wpadła w panikę i go nie porzuciła. Wzięła dziecko do domu, dba o nie, jest bezpieczne. Opiekuje się nim.

Myślę o Madeleine McCann, małej dziewczynce, która zaginęła w Portugalii i nigdy nie została odnaleziona. A jeśli nam też się to przytrafi? Co będzie, jeśli nie znajdą Bena? Czy do końca życia będziemy żyli w niepewności, czekali na pukanie do drzwi albo telefon, który nam powie, że Ben jest żywy albo martwy?

Annie wciąż mi przypomina, że niemowlęta są bardzo odporne. To samo mówią lekarze. Jeden z nich opowiedział mi wczoraj o dziecku, które przez dziesięć dni przeżyło w gruzach po trzęsieniu ziemi.

Chciałam spytać:

- Czemu mówi pan o trzęsieniu ziemi? Co to ma z tym wspólnego?

Ale nic nie powiedziałam.

Annie i Lisa-Jayne mają za zadanie wyciągnąć ode mnie możliwie najwięcej szczegółów. W praktyce oznacza to, że wciąż zadają mi te same pytania, aż wpadam w irytację. Czy mam jakichś wrogów? Czy zauważyłam, żeby ktoś kręcił się po korytarzach Churchill Hospital?

Poza murami szpitala Ben stał się czymś więcej niż tylko imieniem. Jest teraz marką, produktem, dzięki któremu lepiej sprzedają się gazety i poprawiają się wskaźniki popularności. Aliteracja dobrze prezentuje się w tytułach:

Baby Ben - koszmar każdej matki

Baby Ben - trzy kolejne zgłoszenia osób, które twierdzą, że coś widziały

Biały van przejęty podczas polowania na Baby Bena

Baby Ben - jak zniknął?

Jack podziela moją niepewność, ale oboje udajemy przed sobą, że myślimy inaczej. Jack siedzi przy moim łóżku albo schodzimy na dół do kawiarni. Jest sfrustrowany brakiem postępów, nieustannie pyta, czemu policja nie wyważa drzwi i nie spisuje nazwisk. Chce widzieć plakaty w każdym oknie wystawowym i słyszeć, jak wykrzykują imię Bena z każdego dachu.

Bardzo staram się go nie obwiniać. Walczę z tym, wiedząc, że to złe i irracjonalne, ale nie mogę się powstrzymać. Oddał nasze dziecko obcej osobie. Patrzył, jak ktoś zabiera Bena.

Annie siedzi przy stoliku obok, daje nam trochę prywatności. Obserwuje, czy dziennikarze nie zakradli się do szpitala, licząc na wywiad lub zdjęcie. Reporterzy stoją na zewnątrz, są ich dziesiątki, przysyłają mi listy i karteczki za pośrednictwem pielęgniarek i sanitariuszy, oferując nam pieniądze za wywiad na wyłączność. Jedna ze sprzątaczek została przyłapana na tym, że próbowała zakraść się do mojego pokoju z ukrytą w kieszeni kamerą.

Siedzimy z Jackiem w boksie. W milczeniu. Jack rozdziera saszetkę z cukrem i wysypuje zawartość na plastikowy stolik, a potem palcem wskazującym zgarnia cukier w małe kopczyki. Chciałabym móc go pocieszyć. Chciałabym, żeby on mógł mnie pocieszyć.

Zbliżają się do nas dwaj mężczyźni w ciemnoszarych garniturach, białych koszulach i jedwabnych krawatach.

- Jestem Patrick Carmody - mówi ten młodszy. - Dyrektor Hospital Services.

- Thomas Glenelg - przedstawia się drugi, podając Jackowi wizytówkę.

- Nie jestem nawet w stanie wyrazić, jak nam przykro z powodu tego, co się stało - mówi Carmody. - Jestem zaszokowany i zasmucony, że nowo narodzone dziecko mogło zostać uprowadzone z tego szpitala pomimo najnowocześniejszego systemu zabezpieczeń. Proszę przyjąć moje przeprosiny.

Żadne z nas nie odpowiada.

Carmody zerka na drugiego mężczyznę i podejmuje:

- Churchill Hospital w pełni współpracuje z policją, która ma dostęp do naszych kamer, naszego personelu, naszych nagrań. Jeśli jest coś jeszcze, czego państwo potrzebujecie, proszę dać nam znać.

- Może pan złożyć wymówienie - mówi Jack ze śmiertelną powagą.

Pan Carmody śmieje się nerwowo, po czym odzyskuje panowanie nad sobą.

- Poza pomaganiem policji robimy przegląd naszej ochrony. Zarząd szpitala szybko zareagował, zatwierdzając bransoletki identyfikacyjne i czujniki ruchu, żeby zapobiec podobnym zdarzeniom w przyszłości.

- Podobnym zdarzeniom - mówi Jack, naśladowując akcent Carmody'ego. - Myślę raczej, że ten koń się spłoszył, prawda? Zrzucił dżokeja, wykopał drzwi stajni i zniknął z widoku.

Administrator próbuje raz jeszcze:

- Rozumiem pańskie zdenerwowanie, panie Shaughnessy. Absolutnie ma pan do tego prawo. Jesteśmy w Churchill dumni z naszej historii. Odebraliśmy tu tysiące porodów i nic podobnego do tej pory się nie zdarzyło. Stosujemy bardzo twarde i zdecydowane zasady dotyczące bezpieczeństwa, ale żaden

system nie jest niezawodny.

- Myli się pan - przerywa mu Jack. - Ochrona w szpitalu położniczym powinna być absolutnie niezawodna, żeby żaden szaleniec nie mógł z niego wyjść z cudzym dzieckiem.

W końcu odzywa się drugi z mężczyzn:

- Churchill nie jest pańskim wrogiem, panie Shaughnessy.

Jack zerka na wizytówkę, którą od niego dostał.

- Jest pan prawnikiem.

- Moja firma reprezentuje szpital.

- Boicie się, że was pozwiemy.

- To nie jest powód naszej...

- Boicie się, ile was to będzie kosztowało.

- Chcieliśmy wyrazić nasz najgłębszy smutek i współczucie - mówi Carmody.

Jack wskazuje na prawnika.

- Czy on pana wcześniej przygotował? Poinstruował pana, co powiedzieć?

- Nie wydaje mi się, żeby to pomagało...

Jack odsuwa się z krzesłem.

- Wynocha!

- Proszę nie podnosić głosu - mówi prawnik.

- Chce pan, żebym był cicho? - pyta głośno Jack. - Ktoś przebrany za waszą pielęgniarkę wyniósł nasze dziecko z waszego szpitala, mijając waszą ochronę, wasze kamery, a pan chce, żebym był cicho? Pieprz się! - Przez chwilę mam wrażenie, że mój mąż uderzy Carmody'ego, ale zamiast tego Jack rzuca wizytówkę na podłogę i kończy podniesionym głosem: - Proszę więcej się do nas nie zbliżać. Od tej pory będzie pan rozmawiał z naszym adwokatem.

Wrócił do mnie komisarz MacAteer. Wstałam z łóżka

i poruszam się już bez bólu, a lekarz mówi, że jutro mogę wyjść do domu. Rozmawiamy w saloniku dla pacjentów, gdzie jest telewizor, kilka kanap i ściana automatów sprzedających napoje i przekąski.

MacAteer odlicza drobne i kupuje mi puszkę lemoniady, która z klekotem spada na metalową tacę.

- Przepraszam, że nie mam szklanki.

- Nic nie szkodzi.

Siadamy. Popijam z puszkki. Komisarz podejmuje:

- Przeglądaliśmy nagrania z kamer przemysłowych i wiemy już, jak porywaczka weszła do szpitala i z niego wyszła. - Otwiera kopertę i wyjmuję zdjęcia kobiety w za dużym płaszczu, ciągnącej za sobą przez hol kraciasty wózek. Na drugim zdjęciu jest mężczyzna z długim siwym końskim ogonem, w kombinezonie roboczym i czapce bejsbolówce. - Pamięta pani, jak mówiłem, że szukamy hydraulika, który pracował na piątym piętrze mniej więcej w tym czasie, kiedy zabrano Bena?

- Znaleźliście go?

- Nie.

- Nie rozumiem.

- Wiemy, że jakaś kobieta weszła do szpitala, ciągnąc kraciasty wózek, ale nie znaleźliśmy dowodu na to, że stąd wyszła. Nasuwa się pytanie, jak wyniosła Bena ze szpitala? - MacAteer kładzie dwa zdjęcia obok siebie. - Według kamer ochrony mamy kobietę porywaczkę, która nie wyszła ze szpitala, i niezidentyfikowanego hydraulika, który tu nie wchodził. To wskazuje na wysokie prawdopodobieństwo, że mamy do czynienia z jedną i tą samą osobą w innym przebraniu.

Ponownie przyglądam się zdjęciom. Na pierwszy rzut oka - zresztą ilekroć na nie spojrzę - mam wrażenie, że patrzę na dwie

kompletnie różne osoby.

- Diabeł tkwi w szczegółach - mówi MacAteer. - Znaleźliśmy ślady kosmetyków do makijażu w umywalce na piątym piętrze i jedno szkło kontaktowe na podłodze.

- Ale gdzie jest Ben?

- Uważamy, że został umieszczony w wózku.

Unoszę ręce do warg.

- Udusiłby się.

- Nie, tam jest dużo powietrza.

MacAteer pokazuje mi kolejne zdjęcie zrobione przez kamerę przemysłową w szpitalnej strefie załadunku obok magazynów. Jest na nim hydraulik oddalający się od kamery. Kieruje się w stronę ulicy, ciągnąc za sobą ciemny wózek.

- Powiększyliśmy obraz, ale lepszego nie uzyskaliśmy.

- Jest nie do rozpoznania.

- Tak, ale teraz, kiedy wiemy o drugim przebraniu, możemy poszukać wyraźniejszych zdjęć z innych kamer i raz jeszcze przesłuchać świadków. A w tym czasie może pani coś dla mnie zrobić. Chcę zorganizować konferencję prasową dla pani i pani męża. Chcemy, żeby ogłosili państwo kolejny apel.

- Co na to Jack?

- Zgadza się.

Kiwam głową.

- Zanim do tego dojdzie, chciałbym, żeby porozmawiała pani z psychologiem, który już pracował z policją. Prosiłem go, żeby przygotował profil psychologiczny porywaczki, żebyśmy lepiej wiedzieli, z kim mamy do czynienia.

- Profil?

- Może nam pomóc zrozumieć, co działo się w umyśle tej kobiety i jak zareaguje na informacje w mediach. Nazywa się

Cyrus Haven, jest najlepszy.

AGATHA

- Chodźmy gdzieś - mówi Hayden.

- Gdzie?

- Zabierzmy Rory'ego na spacer.

- Jest zimno.

- Świeże powietrze dobrze mu zrobi. Chodź, dostają tu klaustrofobii.

- Jesteś marynarzem.

- Wiesz, o czym mówię.

Przypinam Rory'ego do wózka i dokładnie zakrywam go kocykiem, po czym pchamy wózek New King's Road do Parsons Green. W White Horse Hayden zamawia piwo i siedzimy przy stoliku na zewnątrz, ciesząc się słabym zimowym słońcem.

Hayden zauważa kogoś znajomego, przedstawia mnie jako swoją narzeczoną. Czuję w środku miłe ciepło, jakbym wlała w siebie podwójną wódkę z sokiem, choć nie tknęłam ani kropelki.

Ktoś zostawił na stoliku egzemplarz *Metra*. Hayden rozkłada gazetę pod szklanką piwa. Baby Ben zajmuje pierwsze cztery strony, gazety konkurują ze sobą, która wzbudzi największe zainteresowanie. *Daily Express* zaferował nagrodę w wysokości pięćdziesięciu tysięcy funtów, ale przebił go *Daily Mirror* ze swoimi stoma tysiącami, aż *Sun* pokonał konkurentów, proponując całe ćwierć miliona.

- Marnują pieniądze - stwierdza Hayden.

- Czemu tak mówisz?

- Baby Bena już dawno nie ma.

- Myślisz, że nie żyje?

- Tego nie powiedziałem.

- Więc co?

- Uważam, że został porwany na zlecenie. Ktoś chciał mieć syna, więc kazał go ukraść. Może szejka arabski albo jakaś bogata para.

- Łatwiej byłoby po prostu kupić dziecko.

- Nie można po prostu kupić dziecka - prycha Hayden, jakby był ekspertem w tej kwestii. - Założę się, że osoba, która wzięła Bena, już go przesz mugłowała przez granicę. Pewnie opłaciła kogoś z urzędu imigracyjnego albo przewiozła dziecko prywatnym odrzutowcem. - Patrzy znów na gazetę, gwizdząc na widok wysokości nagród. - Mielibyśmy co zrobić z taką kasą.

- Nie potrzebujemy jej.

- Moglibyśmy kupić dom.

- Moje mieszkanie jest dość duże.

- Nie na długo. - Szczypie mnie w brzuch. - Co z kolejnymi dziećmi?

- Powoli, marynarzu! - wołam roześmiana.

Po drugiej stronie Parsons Green matki i nianie siedzą na parkowych ławkach, pilnują maluchów, które stawiają pierwsze kroki albo raczkują. Dzieci jeżdżą na hulajnogach po ścieżkach z asfaltu. Wiele kobiet ma na sobie podobne bluzy. Przyglądam im się baczniej. Na bluzach znajduje się zdjęcie dziecka, a pod spodem słowa:

Gdzie jest Baby Ben?

Na plecach widnieje logo sponsora. To *Daily Mail*.

- Zauważyłeś, jak ludzie na nas patrzą? - mówię.

Hayden stawia szklanę w piwem.

- Co masz na myśli?

- Patrzą na Rory'ego, a ja widzę, że myślą, no wiesz...

Zastanawiają się, czy go ukradliśmy.

- Przecież nie ukradliśmy.

- Wiem, ale spójrz na tamtą matkę, o tam, tę pod drzewem. - Pokazuję ręką. - Kto z nas tu wszystkich mógłby mieć pewność, że to jej dziecko? To może być Baby Ben.

- Już ci mówiłem, Baby Bena dawno tu nie ma. Nie ma go już w tym kraju.

- A jeśli jest?

- Pomyśl tylko. Został zabrany... ile to już? Trzy dni temu? Gdyby nadal był w kraju, ktoś by coś zauważył. Nie można tak sobie przynieść do domu cudzego dziecka. Sąsiedzi na pewno by usłyszeli jego płacz albo zauważyli, że ktoś, kto nie ma małego dziecka, kupuje pieluchy. Nie jest łatwo ukryć dziecko. - Wyciąga rękę i kładzie dłoń na piersi Rory'ego. - Ale musimy pilnować naszego kolesia na wypadek, gdyby komuś przyszło do głowy go ukraść.

- Chyba tak nie myślisz.

- Żartowałem. - Wypija piwo i beka. - Jeszcze jedno na drogę.

Idzie do baru. Sięgam do wózka i głaszczę policzek Rory'ego. Z każdym dniem czuję się bardziej pewna jego miejsca w świecie. Zapuścił korzenie w moim sercu, zakotwiczył. Teraz ja jestem jego matką. Do mnie wyciąga rączki. Za moim dotykiem tęskni.

Jestem pewna, że Hayden czuje tak samo. Niektórzy mężczyźni są zabawni, kiedy chodzi o dzieci, bo im się zdaje, że kobieta ma skończoną ilość miłości do ofiarowania, a tu nie chodzi o dzielenie ani odejmowanie czy godzenie się na mniej. Nasze serca się powiększają. Mamy dwa razy tyle miłości, a może więcej.

Hayden wraca z kolejnym piwem. Podejmuje rozmowę, pyta mnie, gdzie się urodziłam i wychowałam, chce wiedzieć więcej na temat mojej matki. Powinnam się cieszyć z jego zainteresowania,

jednak nie życzę sobie, by grzebał w mojej przeszłości. Jednocześnie nie chcę, żeby wyszło na to, że się wykręcam albo mam jakieś tajemnice. Muszę mu cokolwiek powiedzieć, więc wspomina o Elijahu, o tym, że zginął pod kołami w drodze do szkoły. Hayden wypytuje o szczegóły. Czy to widziałam? Czy się obwiniam?

- Czemu miałabym się obwiniać? - odburkuję. - To nie była moja wina.

- Okej, okej. - Hayden unosi ręce. - Jezu! Chciałem tylko porozmawiać.

Przepraszam go. Hayden milknie. Pytam, czy zawsze chciał zaciągnąć się do marynarki.

- Nie, do diabła. Dotrzymałem przysięgi.

- To znaczy?

- Miałem kumpla, nazywał się Michael Murray. Pewnego dnia nacięliśmy sobie prawe kciuki, połączyliśmy naszą krew i złożyliśmy przysięgę, że kiedy dorośniemy, zaciągniemy się do marynarki.

- Jak bracia krwi.

- Taa.

- On to zrobił?

- Jasne, że nie. Sprzedaje odkurzacze dla swojego starego.

- Ale ty dotrzymałeś obietnicy.

- W sumie to musiałem.

- Czemu?

- Gdy skończyłem szesnaście lat, miałem spory problem z policją i wylądowałem w sądzie. Mój adwokat powiedział sędziom pokoju, że chciałem wstąpić do Marynarki Królewskiej, a wyrok skazujący by to utrudnił. Sędziowie dali mi ostrzeżenie i puścili wolno, więc czułem się zobowiązany to zrobić.

- O co byłeś oskarżony?
- Poważne szkody.
- Co zniszczyłeś?
- Podłożyłem ogień w samochodzie nauczyciela. Był dupkiem.
- Jestem w szoku.

Hayden patrzy na mnie zażenowany, po czym mówi obronnym tonem:

- Ty też na pewno nieźle narozrabiałaś, kiedy byłaś młodsza.
- Nigdy.
- Założę się, że tak. Założę się, że trzymasz to w tajemnicy.

Skontaktuję się z twoją mamą i dowiem się, jaka naprawdę wtedy byłaś.

Reaguję lękiem na te słowa, co Hayden wychwytuje, a ja czuję, jak istota zaczyna się poruszać, przeciska się przez moje organy.

- Zdenerwowałem cię - mówi Hayden. - Co takiego powiedziałem?

- Nieważne.
- Chodzi o te pytania? Jestem ciekaw.
- Trzeba nakarmić Rory'ego.
- Mogłabyś nakarmić go piersią.
- Wciąż jestem obolała.

Zapinam płaszcz i uwalniam hamulec wózka, manewruję nim między stolikami i wyjeżdżam na chodnik. Hayden w pośpiechu kończy piwo, po czym biegnie, żeby mnie dogonić. Idziemy w milczeniu.

- Powinnaś sobie kupić taką bluzę - mówi.
- Co?
- Bluzę z Baby Benem. Wtedy nikt by się na ciebie nie gapił.

MEGHAN

Psycholog jest młodszy, niż się spodziewałam, ma trzydzieści parę lat, jest ubrany w bawełnianą koszulę z długim rękawem zapiętą pod szyją i luźne džinsy. Jest wysoki i szczupły, ma wystające kości policzkowe i rzęsy, za które większość kobiet dałaby się zabić. Wygląda raczej na studenta college'u, który stara się oszczędzić na fryzjerze.

Cyrus Haven ściska moją dłoń, przytrzymując ją sekundę dłużej, niż to konieczne, i wydaje mi się przyglądać. Słyszałam kiedyś, że ludzkie oczy są jedynym elementem twarzy, który się nie starzeje. Są nie mniej jasne pierwszego dnia niż ostatniego. Oczy Havena są bladoniebieskie ze źrenicami czarniejszymi niż węgiel.

- Mogę tu usiąść? - pyta.

- To jedyne krzesło - odpowiadam.

Śmieje się i kiwa głową. Zastanawiam się, czy on też jest zdenerwowany.

Znajdujemy się w moim pokoju w szpitalu, gdzie zasłony są odsunięte i widać szary londyński dzień. Moja walizka jest już w połowie spakowana, leży otwarta na łóżku. Za parę godzin przyjedzie Jack i zabierze mnie do domu.

Cyrus wyjmuje żółty notes z torby, którą miał na ramieniu. Szuka pióra, otwiera różne kieszenie, aż je znajduje i unosi triumfalnie. Próbuje napisać coś na kartce, ale pióro nie pisze. Potrząsa nim kilka razy i znów próbuje. Bez skutku.

- Mogę poprosić pielęgniarkę o długopis.

- Nie trzeba - mówi, odkładając notes. Wyjmuje białą złożoną chusteczkę, rozkłada ją i zaczyna czyścić okulary w drucianych oprawkach.

Zastanawiam się, czy ta cała rutyna to część przedstawienia. Udaje, że jest zapominalski i roztargniony, żeby przełamać moje opory.

Cisza się przeciąga.

- Ma pan ochotę na filiżankę herbaty? - pytam.

- Nie, dziękuję.

Cyrus wkłada znów na nos okulary i poprawia je. Jest przystojny w pewien rozmamłany, specyficznie angielski sposób, przypomina mi mojego opiekuna z uniwersytetu. Był wówczas w wieku Cyrusa, a ja byłem dużo młodsza. Kochało się w nim wielu studentów, chłopców i dziewcząt. Odnosiłam wrażenie, że z jakiegoś powodu opiekun naukowy poświęcał mi więcej uwagi niż innym. Pochlebiało mi to. Nawet o nim fantazjowałam, bo był inteligentny i starannie wykształcony, miał niesforne ciemne włosy i mały dołeczek na środku brody, który chciałam dotknąć językiem, żeby przekonać się, jaki jest głęboki.

Pewnego dnia zaprosił mnie do siebie. Przyjęłam zaproszenie. Myślałam, że będzie mnie uwodził, a ten pomysł jednocześnie przerażał mnie i podniecał. Jednak on wręczył mi nieoprawioną odbitkę korektorską swojej najnowszej powieści, pytając, czy mogłabym zrobić korektę, ponieważ mam „dobre oko”.

- Dobre oko? - spytałam.

- Jesteś dobra w gramatyce i ortografii.

Na to wspomnienie kulę się z zażenowania.

Cyrus cały czas mnie obserwuje.

- Jak pani sypia?

- Dają mi tabletki.

- Je pani?

- Rozmawiał pan z pielęgniarkami.

- Martwią się o panią.

Zauważa oprawione zdjęcie Lucy i Lachlana w otwartej walizce i pyta o ich imiona. Pół godziny później zdają sobie sprawę, że wciąż mówię. Niezauważenie wciągnął mnie w jednostronną konwersację. Dowiaduje się, gdzie się urodziłam i gdzie chodziłam do szkoły, słucha moich opowieści o rodzicach, siostrze i Jacku. Potem mówię mu o kupnie domu w Barnes i o tym, jak znów zaszłam w ciążę. Nie wspominam sprzeczek ani wątpliwości związanych z nocą spędzoną z Simonem.

Ma łagodny głos, który od czasu do czasu popycha naszą rozmowę w innym kierunku albo pozwala spojrzeć na coś z innej perspektywy. Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak dużo wyjawiałam o sobie kompletnie obcemu człowiekowi.

W końcu docieramy do dnia dzisiejszego. Cyrus zna detale uprowadzenia, widział materiał z kamer przemysłowych, ale chce, żebym mu od nowa wszystko opowiedziała. Wyjaśnia mi charakter tego rodzaju wywiadu kognitywnego, który może człowiekowi pomóc rozpoznać więcej z tego, co przeżył.

- Nie ma żadnego pośpiechu, proszę się zrelaksować. Proszę się położyć. Zamknąć oczy. Proszę mi opowiedzieć o porodzie. Niech pani sobie wyobrazi, że jest pani reżyserem filmowym i stara się zobrazować dany moment, powiedzieć ludziom, gdzie mają stanąć i co mówić.

Spełniam jego prośbę i opisuję zabieg cesarskiego cięcia. Mówię, jak Jack mnie rozśmieszał.

- Przez długi czas nie chciał trzeciego dziecka, ale gdy tylko ujrzał Bena, zmiękł.

Do jedenastej powiedziałam Cyrusowi, jak znaleźliśmy się na oddziale. Przez parę godzin spałam, potem się obudziłam, zjadłam lunch i znów spałam. Jack dzwonił do moich rodziców i do Grace, przekazał im dobre wieści. Moi rodzice przyjechali w godzinach

odwiedzin. Grace opiekowała się Lucy i Lachlanem.

- Kiedy szła pani wziąć prysznic, coś na oddziale zwróciło pani uwagę?

- Nie.

- Proszę mi opisać tę scenę.

- Jack pomógł mi dojść do łazienki. Trzymał mnie w pasie.

Szliśmy między łózkami.

- Słyszała pani jakieś głosy?

- Kobieta na sąsiednim łóżku rozmawiała ze swoim mężem.

- Coś jeszcze?

- Pielęgniarka.

- Gdzie?

- Obok jednego z łóżek. Nie widziałam jej twarzy. Poprawiała pościel.

- Jakie miała włosy?

- Ciemne. Długie.

- Jak była uczesana?

- Miała włosy związane z tyłu.

- Proszę spojrzeć dalej, obok niej. Co pani widzi?

- Zasłonkę.

- Odsuniętą czy zasuniętą?

- Częściowo odsuniętą.

- Co jeszcze pani widzi?

- Kobietę. Chyba właśnie urodziła. Jej rodzina przyszła z wizytą, przynieśli kwiaty i balony. To mogli być Włosi, byli dość hałaśliwi.

- Czy ktoś z nich stał twarzą do pielęgniarki, którą pani widziała przy pustym łóżku?

Skupiam się, próbując wrócić myślą do tamtej chwili.

- Babka! Patrzyła w moim kierunku. Przeprosiła za hałas. - Otwieram oczy. - Musiała widzieć pielęgniarkę.

- Niewykluczone - mówi Cyrus. - Warto z nią porozmawiać.

- Czy przypomniałabym sobie więcej, gdyby pan mnie zahipnotyzował? - pytam.

- Być może nie ma nic więcej.

Na tym samym oddechu przypominam sobie Simona i nagle zmieniam zdanie. Cyrus chyba to zauważa, ale niczego nie komentuje. Nienawidzę tego, jak wykorzystuje ciszę, żeby skłonić mnie do mówienia.

- Jest pan żonaty? - pytam, bo chcę zmienić temat.

- Nie. - Uśmiecha się z żalem.

- Czemu pan zrobił taką minę?

- Nie sądzę, żebym był dobrym materiałem na męża.

- Chce pan powiedzieć...?

- Nie jestem gejem, jeśli o to pani pyta. Mieszkam z dziewczyną. Jest prawniczką.

- Ale nie sądzi pan, że się z nią ożeni?

- Moi rodzice nie mogliby posłużyć za dobrą reklamę małżeństwa.

- Rozwiedli się?

- Nie żyją.

- Przepraszam.

- Dawne czasy.

Cyrus wstaje i podchodzi do okna, patrzy na niebo, jakby coś zarysowało się na skraju jego pamięci.

- Czemu ona zabrała Bena? - pytam.

- Powody mogą być rozmaite. - Przesuwa palcami po szybie. - Pedofile zwykle celują w konkretną grupę wiekową i zwykle ich celem nie są niemowlęta. Bardziej prawdopodobne, że szukamy kobiety, która nie może zająć w ciążę albo poroniła czy straciła dziecko. Może próbuje uratować swoje małżeństwo albo

rozpadający się związek. Dziecko to dla niej szansa na wyjście z tej matni, to coś, czym zaklei spękania i zatrzyma mężczyznę.

- Wiele kobiet przeżywa poronienia.

- Ma pani rację, ale większość z nich uczy się radzić sobie ze swoim nieszczęściem. Są jednak jeszcze trudniejsze historie. Czasami taka kobieta bywa zaniedbywana przez własnych rodziców. Może rodzice się rozstali albo dochodziło do molestowania. Mogło jej brakować miłości, więc potrzebuje dziecka, które będzie ją kochało bezwarunkowo.

- Mówi pan tak, jakby pan jej współczuł.

- Ja ją tylko rozumiem. Jest bezbronna i skrzywdzona.

- Czy skrzywdzi Bena?

- Nie, jeśli nie zostanie przyparta do muru.

- Więc co teraz?

- Przygotowałem profil i strategię medialną.

- Co pan rozumie przez tę strategię?

- Osoba, która zabrała Bena, będzie oglądała wiadomości i czytała gazety. Będzie nasłuchiwała. To znaczy, że możemy się z nią komunikować. Możemy jej wysyłać wiadomości. Możemy ją uspokajać.

- Jak?

- Nie traktując jej jak przestępcy, nie poniżając jej ani nie strasząc.

- Jak to pomoże w odzyskaniu Bena?

- Pokażemy jej pani cierpienie. Jeśli straciła dziecko, wie, co pani przeżywa. Możemy to wykorzystać.

Cyrus wstaje, sięga po torbę i zakłada ją na ramię. Patrzy na krzesło, jakby coś tam zostawił, wydaje się niepewny, czy powinien uścisnąć mi rękę.

- Proszę starać się myśleć pozytywnie - mówi, i nie zabrzmiało

to protekcjonalnie.

Chcę mu powiedzieć to samo, chociaż nie wiem dlaczego. Potem nagle mnie oświeca. Cyrus przypomina mi Blaszanego Drwala z „Czarnoksiężnika z Krainy Oz”. Nie jest tak załamany, ale potrzebuje wspomagania. W jego życiu wydarzyło się coś, co mu ciąży i sprawia, że kiedy się porusza, trzeszczy i jęczy. Może taki jest los człowieka, który poświęca życie na grzebanie w umysłach innych ludzi. Wysłuchuje opowieści o ich najgorszych lękach, demaskuje ich niedoskonałości i odkrywa ich motywy. Może taki człowiek, nawiedzany przez zbyt wiele duchów, zaczyna rdzewieć albo zacinać się jak mechanizm.

AGATHA

Uczę się gotować. Do tej pory jajko w koszulce i podgrzewanie pieczonej fasolki z puszki to był szczyt moich kulinarnych możliwości, ale chcę pokazać Haydenowi, że mogę być dobrą żoną. Dzisiaj wieczorem zjemy kurczaka po kijowsku z zieloną fasolką i marchewką w miodzie.

- Gdzie frytki? - pyta.
- W przepisie nie było frytek.
- Lubię frytki.
- Nie wszystko trzeba podawać z ziemniakami.

Hayden dziobie widelcem roladkę z kurczaka, ale gdy bierze do ust pierwszy kęs, wcina z apetytem i prosi o dokładkę.

Kiedy sprzątnęłam kuchnię, siadamy przytuleni na sofie, skacząc po kanałach TV. Rory śpi, ale jak zwykle obudzi się przed północą.

- Nie powinnaś odciągnąć pokarmu? - pyta Hayden, głaszcząc mnie po głowie.

- Od kiedy to zostałeś policją od karmienia? - odpowiadam, dając mu kuksańca w bok.

- Mogę popatrzeć, jak odciągasz?
- Wstydzilibym się.
- Czemu?
- Bo czuję się jak dojna krowa.
- Chcę to zobaczyć.
- Może kiedyś.

Sięgam po pilota, wyłączam dźwięk i dosiadam Haydena, całuję go w usta i lekko kręcę biodrami, aż czuję, że stwardniał. Prowadzę go do sypialni, szepcząc, że musimy być cicho. Rory śpi

w swoim łóżeczku.

- A jeśli nas zobaczy? - pyta Hayden.

- To niemowlę. - Znów go całuję i wsuwam dłonie za pasek jego dżinsów. - Uwielbiam, kiedy jesteś już gotowy.

Kochamy się po raz pierwszy, odkąd Hayden wrócił na statek. Opiera się na rękach, boi się przygnieść mnie swoim ciężarem.

- Jesteś pewna, że możemy to zrobić? - pyta.

- Wszystko w porządku.

- Nie chcę ci zrobić krzywdy.

- Nic mi nie zrobisz.

Jest o wiele delikatniejszy, niż podczas naszego pierwszego spotkania. Wówczas zachowywał się jak byk w rui, przyspilił mnie do materaca, jakby chciał mnie ukarać za wszelkie zło, jakiego doznał od innych kobiet, które nie chciały się z nim przespać albo które go rzuciły czy były poza jego zasięgiem.

- Nie powinniśmy użyć gumki? - pyta.

- Cii.

Zaczyna się we mnie poruszać, demonstruje swój zapał, a jednak próbuje się powstrzymywać, ale wtedy unoszę biodra, wychodząc na spotkanie każdemu pchnięciu, aż czuję, że Hayden się poddaje. Drży i wzdycha, całuje koniuszek mojego ucha i szepcze:

- Kocham cię.

Moje serce puchnie z radości, wypełniając każdy zakątek mojego ciała i nie zostawiając miejsca na istotę ani wątpliwości, którymi ona się żywi.

Zasypiam w ramionach Haydena. Naprawdę szczęśliwa.

Wiem, że macierzyństwo to nie bułka z masłem, ale bardzo lubię moją nową rolę. Nie przeszkadza mi, że budzę się o czwartej rano, żeby nakarmić Rory'ego, ani że mnie oblewa swoim wężem,

kiedy zmieniam mu pieluchę. Nie przeszkadza mi jego częsty płacz ani to, że wymiotuje mi na ubranie. Nic nie jest zbyt dużym wysiłkiem. Wczoraj trzy razy załadowałam pralkę. Składałam, prasowałam, odkurzałam, sterylizowałam butelki i przygotowywałam mieszankę dla niemowląt. A także zamykałam się w łazience i udawałam, że odciągam pokarm.

Ojcostwo odmieniło Haydena. Złagodniał, stał się bardziej troskliwy. Wykonuje ciężkie domowe prace, chętnie chodzi na zakupy, często zabiera ze sobą Rory'ego w chuście na piersi. Nie ma nic seksowniejszego niż mężczyzna z małym dzieckiem. Wcale mu to nie odbiera męskości ani nie czyni słabszym. Wygląda jak ktoś, kto potrafi zadbać o rodzinę, modelowy ojciec, który zawsze będzie na miejscu.

Hayden dostał dwa tygodnie urlopu z pełnym wynagrodzeniem. Później weźmie sobie wolne, będziemy razem aż do połowy stycznia, kiedy dołączy do załogi okrętu w Portsmouth.

Żałuję, że nie może zostać dłużej. Jakaś część mnie chce trzymać się tego uczucia na zawsze, tej nowości i podekscytowania, ale inna już obawia się, że się za bardzo obnażę i zbyt mu zaufam. Nie przywykłam do dłuższego przebywania z ludźmi. Zwykle szykuję się na rozczarowanie, spodziewam się odrzucenia albo zakładam najgorsze.

Wciąż jestem ostrożna, jeśli chodzi o rodziców Haydena. Wiem, że pan Cole mnie lubi, a pani Cole jest zakochaną babcią, która krząta się wokół Rory'ego, korzystając z każdego pretekstu, żeby go wziąć na ręce i pochwalić się nim. Już planuje chrzciny na wiosnę, kiedy Hayden przyjedzie na kolejny urlop. Chce zaprosić ciotki, wujów i kuzynów. Nigdy nie miałam licznej rodziny, która zjeżdża się na Boże Narodzenie i na rocznice, i czasami czuję, jakbym znalazła się w disnejowskim filmie czy rodzinnym

sitcomie, gdzie najgorsze, co może się zdarzyć, to przypalenie indyka albo zaprawienie się ponczem.

W niedzielę odwiedzamy państwa Cole'ów. Na lunch jest pieczona wołowina ze wszystkimi niezbędnymi dodatkami, czyli Yorkshire pudding, chrzan, pieczone ziemniaki i tłusty sos. Siostra Haydena, Nigella, przyjechała z Norfolk, zostawiając w domu męża. Okazuje mi dziwną wrogość. Ilekroć mówię coś na temat ciąży czy porodu, prychnie, jakby się ze mną nie zgadzała, ale nie komentuje tego głośno.

Kiedy próbuję z nią porozmawiać na temat dzieci, robi kąśliwą uwagę, twierdząc, że świeżo upieczeni rodzice są nudni, bo mówią wyłącznie o swoich dzieciach. Pociągam Haydena na stronę, do kuchni, i pytam:

- O co jej chodzi?

- To nie twoja wina - szepcze. - Starła się o dziecko i dwa razy poroniła.

- Czemu mi nie powiedziałaś?

- Ona to ukrywa. Mama tylko mnie powiedziała.

- A tata?

- Nic nie wie, więc nic nie mów.

Podczas lunchu pani Cole pyta Haydena, kiedy uczyni ze mnie „uczciwą kobietę”.

- Agatha jest uczciwa.

- Chodzi mi o to, kiedy się z nią ożenisz. Dziecko powinno mieć nazwisko.

- On ma nazwisko - odpowiada Hayden.

- Ale nie w oczach Boga - mówi pani Cole. - Jeszcze ludzie pomyślą, że jest... - Nie kończy zdania.

- Ludzie już się takimi sprawami nie interesują - odpowiada Hayden ze skrępowaną miną.

- Jeśli za szybko się pobierzemy - wtrącam się - to ludzie pomyślą, że podjęliśmy taką decyzję tylko z powodu Rory'ego. A jeśli odczekamy trochę czasu, pokażemy, że naprawdę się kochamy. - Ściskam rękę Haydena.

Nigella wydaje taki dźwięk, jakby miała zwymiotować, a ja aż się najeżyłam.

Kiedy stół zostaje sprzątnięty, przenosimy się do saloniku. Hayden włącza telewizor, żeby obejrzeć mecz. Na ekranie pokazują się wiadomości - kolejna historia na temat Baby Bena.

- Och, nie powiedziałem wam - mówi Hayden. - Agatha zna Meg Shaughnessy.

Pani Cole nalewa herbatę.

- Kogo?

- Matkę Baby Bena.

Cała rodzina przenosi na mnie wzrok.

- Chodziłyśmy razem na jogę, kiedy byłam w ciąży - wyjaśniam.

- I odwiedziłaś ją w domu - dodaje Hayden.

- Jaka ona jest? - pyta pan Cole.

- Naprawdę miła.

- Jej mąż jest całkiem przystojny - mówi Nigella, zdrapując lakier z paznokcia.

- Mają jeszcze dwoje dzieci, Lucy i Lachlana. Chyba sześć i cztery lata.

- Biedna kobieta - mówi pani Cole. - A dom mają ładny?

- Jaka to różnica? - prychna pan Cole.

- Cóż, on pracuje w telewizji, więc spodziewam się, że mają bardzo ładny dom.

- Bardzo ładny. Cztery sypialnie. Mieszkają w Barnes, niedaleko rzeki - odpowiadam. - Blisko miejsca, gdzie pracowałam.

- A gdzie pracowałaś? - interesuje się Nigella.

- W supermarkecie.

- W supermarkecie! - powtarza, jakby to była kolonia trędowatych.

Na ekranie telewizora pojawia się nagranie z kamer przemysłowych. Ziarnista postać w uniformie pielęgniarki oddala się od kamery, odwraca się i wchodzi do windy. Obraz nieruchomieje, kamera robi powiększenie.

- Jest do ciebie podobna, Agatho - oznajmia Nigella.

- Do mnie?

- Tak.

- Wcale nie jest do niej podobna - broni mnie Hayden.

Pan Cole pochyla się w fotelu, żeby lepiej widzieć.

- Trochę jest.

Czuję ucisk w piersi, ale udaje mi się zaśmiać.

- Ma pan rację.

- Masz krótsze włosy - mówi Hayden.

- Mogłam włożyć perukę - mówię.

- Twoja twarz ma ten sam kształt - twierdzi Nigella.

- Nie zawsze była taka okrągła. Cięża mnie rozděła.

- Nie jesteś rozděta - mówi Hayden.

- Nie, ale mogłabym stracić kilka kilo.

Czuję, że Nigella uśmiecha się złośliwie na drugiej kanapie.

Na ekranie telewizora widać, jak Meg i Jack opuszczają szpital.

- Więc kto twoim zdaniem zabrał Baby Bena? - pyta pani Cole.

- Pewnie ktoś, kto nie może mieć własnych dzieci - mówię, widząc, że Nigella sztywnieje. - Czasami kiedy kobieta poroni albo nie może zająć w ciążę, traci rozum.

- Chyba powinniśmy zmienić temat - mówi pani Cole.

- Nie twierdę, że wszystkie kobiety tak mają, tylko niektóre. Gorzknieją i robią się zazdrosne. Współczuję im.

Nigella przeprosza i wychodzi z pokoju, zasłaniając ręką usta.

- Co się stało? - pytam. - Powiedziałam coś, co ją zdenerwowało?

MEGHAN

Przed naszym domem kręcą się dziesiątki dziennikarzy. Zajmują chodnik i miejsca parkingowe vanami i samochodami z antenami satelitarnymi. Nasz pojemnik na śmieci kipi od ich kubków do kawy i opakowań po fast foodach.

Jack jest zmuszony zaparkować za rogiem, zaraz potem atakują nas kamery telewizyjne, lampy błyskowe i mikrofony. Lisa-Jayne usiłuje umożliwić nam przejście przez ten ścisk, krzycząc na dziennikarzy, żeby się odsunęli.

- Państwo Shaughnessy nie mają nic do powiedzenia. Jeśli się nie odsuniecie, będę zmuszona was aresztować... nie będę drugi raz prosić.

Pod nos podsuwają mi mikrofony, kamery, telefony i wykrzykują pytania. Ktoś dotyka mojej ręki. Odskakuję, jakbym się poparzyła. Jakaś dziennikarka na siłę wciska mi list do ręki. Niewiele myśląc, biorę go od niej.

- Damy wam więcej! - krzyczy ktoś inny.

- Niech pani jej nie ufa - wtrąca ktoś jeszcze inny.

Przez radio przypięte na ramieniu Lisa-Jayne wzywa posiłki. Zbliżamy się do bramy od frontu. Jack otacza mnie ramieniem. Czuję, że chętnie by kogoś uderzył albo obraził, nazwał ich wszystkich draniami żerującymi na cudzym nieszczęściu i pariasami, ale przecież pracuje w telewizji i doskonale wie, jak to działa.

Docieramy do drzwi, wreszcie jesteśmy w holu, naszym azylu. Ktoś wrzuca ostatni list do skrzynki pocztowej i hałas słabnie. Lisa-Jayne obiecuje, że to się nie powtórzy. Jack burczy zniesmaczony i znika w ogrodzie na tyłach domu.

Idę na górę i rozpakowuję walizkę, którą przywiozłam ze szpitala. Wśród koszul nocnych i piżam odkrywam dziecięce ubranka, które Ben miał nosić w domu. Kładę maleńkie ubranka na łóżku, próbuję sobie wyobrazić, że mój Ben jest tu ze mną, patrzy na mnie, jak się rozpakowuję. Lucy i Lachlan zostali u moich rodziców, tęsknię za nimi... ich głosami, ich bałaganem, sprzeczkami i uściskami. Idę od pokoju do pokoju, wszystkie są tak dobrze mi znane, a jednak nie takie same jak wcześniej. Są ciemniejsze, zimniejsze i pozbawione koloru.

W niedawno odnowionym pokoju dziecięcym przesuwam palcami po namalowanych według szablonu słowach kołysanki i zakręcam zabawką nad łóżeczkiem, patrząc, jak ręcznie malowane afrykańskie zwierzęta kręcą się nad materacem.

Ustawiony w rogu fotel bujany dostałam od moich rodziców, kiedy urodziła się Lucy. Na lśniącym drewnianym siedzeniu leży ulubiony kocyk Lachlana, wyprany i wyprasowany. Podarował go nowemu dziecku, kiedy mu powiedziałam, że jest już za duży na takie rzeczy. Podnoszę wystrzępiony kocyk i przykładam do policzka, przypominam sobie, że Lachlan się z nim nie rozstawał. Parę chwil później, nie zdając sobie z tego sprawy, klęczę na podłodze, wciskam twarz w kocyk i szlocham jak dziecko.

Lisa-Jayne woła z dołu:

- Zrobiłam herbatę!

- Zaraz zejść - odpowiadam, wycierając policzki.

Myję twarz w łazience. W lustrze nad umywalką widzę obcą twarz z zaczerwienionymi oczami i prostymi włosami. Próbuję znaleźć fizyczne oznaki mojej bolesnej straty, jakąś dodatkową zmarszczkę na czole, bliznę na skórze, nieistniejącą dotąd ułomność, na przykład brak dłoni czy nogi. Strata dziecka jest skrajnie fundamentalna i tak samo szokująca, z pewnością musi

więc istnieć jakiś jej namacalny dowód. Czuję w sobie wyrwę.

W lustrze zauważam brzeg wanny, gdzie w rzędzie stoi menażeria zwierząt, jakby czekały na pojawienie się Noego. Krowy, kaczki, owce, konie. Jedna z ciężarówek Lachlana stoi na otworze odpływu. Półka powyżej zastawiona jest dziecięcymi szamponami, płynami, kulami do kąpieli i kolejnymi zabawkami.

Rozlega się pukanie do drzwi.

- Wszystko w porządku? - pyta Lisa-Jayne.

- Tak.

Stoi za drzwiami i nasłuchuje. Słyszę jej oddech. Po chwili odchodzi, zostawia mnie samą. Przysiadam na brzegu wanny i próbuję liczyć minuty od chwili, gdy zabrano Bena. Ile czasu z nim spędziłam? Jak długo już go nie ma? Czy rozpoznam jego płacz albo zapach? Czy w ogóle go poznam? Nie pamiętam koloru oczu, wielkości stóp, długości rzęs.

Kiedy schodzę na dół, Jacka nie ma w domu.

- Powiedział, że ma coś do zrobienia - oznajmia Lisa-Jayne, która spięła jasne włosy z tyłu głowy jak gimnastyczka. - Między wami wszystko w porządku?

- W porządku.

Prawdę mówiąc, czuję się spokojniejsza, kiedy Jacka nie ma obok. W ciągu minionych dni prawie nie rozmawialiśmy. Ilekroć patrzę na jego twarz, w jego oczach widzę odbity swój strach.

Lisa-Jayne ze mną zostanie, by mieć pewność, że nie będą nas nachodzić dziennikarze, że obcy nie będą pukać do naszych drzwi. Będzie spała w pokoju Lachlana. Komisarz MacAteer sugerował, żebyśmy wynajęli pokój w hotelu, z dala od mediów, ale chcę być w domu, spędzać bezsenne noce we własnym łóżku. Wiem, że to idiotyczne, ale wyobrażam sobie, że Ben do mnie zadzwoni albo odnajdzie drogę do domu, i dlatego muszę tu być

na wszelki wypadek.

Otwieram laptop i zaczynam czytać dziesiątki mejli, które znajdują się w mojej skrzynce. Są tam najlepsze życzenia, słowa wsparcia i współczucia, obietnice modlitw „za was i waszego synka”. Rozpoznaję wiele z tych imion. To nauczyciele ze szkoły Lucy i przedszkola Lachlana, matki z grupy matek, stare przyjaciółki z uniwersytetu i z czasów pracy w magazynie dla kobiet.

Czytam wybrane mejle. Wydaje się, że nikt nie wie, co napisać. Na tej liście jest imię Agathy.

Cześć, Meg.

Słyszałam wiadomości. Jestem w szoku. Jestem przerażona. Nie mogę uwierzyć w to, co się stało. Czuję się winna z powodu mojego szczęścia, bo wiem, jak musi Ci być ciężko. Gdybym mogła coś dla Ciebie zrobić. Gdybyś potrzebowała ramienia... albo przyjaznej twarzy...

Myślę o Tobie,

Agatha

Niemal natychmiast wysłała mi drugą wiadomość:

Meg, to znów ja. Chciałam tylko dodać, że jestem pewna, że z Benem będzie wszystko w porządku. Ten, kto go zabrał, będzie się nim opiekował. Wszystko się ułoży.

Te wszystkie słowa wsparcia, obiecane modlitwy i serdeczne współczucie powinny budzić moją życzliwość, tymczasem mnie irytują, wydają mi się wyrachowane, jakby ich autorzy, kontaktując się ze mną, poprawiali sobie samopoczucie. Wiem, że to niesprawiedliwe. Jak ja bym się zachowała na ich miejscu? Tak samo.

Patrzę na mój blog. Jedna z gazet odkryła moją karierę blogerki i cytuje niektóre z moich postów. Moi obserwatorzy już wiedzą, że

Kleopatra to Meghan Shaughnessy, a Jack jest Cezarem. Te wieści wywołały setki komentarzy, większość z nich wyraża współczucie i szok.

Kim są ci ludzie? Nawet mnie nie znają. Czytali kilka wpisów na moim blogu o dziwactwach mojej rodziny i codziennych zgryzotach, a teraz roszczą sobie do mnie jakieś prawo. Zamiast cieszyć się słowami pociechy i wsparcia, czuję złość. Nie mają prawa przywłaszczać sobie moich uczuć ani mojego cierpienia.

Kobieta z Norfolku twierdzi, że widziała Bena we śnie. Píše, że on żyje i mieszka z rodziną Romów w Dorset. Inna kobieta, jasnowidząca o imieniu Claire, twierdzi, że jeśli prześlę jej próbkę krwi z łóżyska, urządzi seans, który pomoże odnaleźć Bena. Mężczyzna podpisujący się „Peter z Brighton” píše o swojej wizji. Według niego Ben przebywa niedaleko wody, obok starej stodoły. W jego wizji występują też świny, citroen i samochód cysterna z mlekiem.

Zaczynam usuwać ich wiadomości, ale się powstrzymuję. Nie wierzę w wizje, karty tarota ani żadne paranormalne zjawiska, mimo to nie jestem w stanie pozbyć się żadnego potencjalnego tropu.

Rozlega się dzwonek u drzwi i Lisa-Jayne otwiera. Rozmawia z kimś, każe mu odejść. Najprawdopodobniej to jakiś dziennikarz. Kilka chwil później Lisa-Jayne zjawia się w sypialni na górze.

- Ktoś, kto przedstawia się jako Simon. Nalega na rozmowę z panią, mówi, że jest przyjacielem.

W żołądku mi się przewraca.

- Nie chcę go widzieć.

- Okej.

Lisa-Jayne jest w połowie schodów, gdy zmieniam zdanie. Chcę wiedzieć, po co Simon tu przyszedł i jakie ma plany.

- Proszę go wpuścić - wołam za nią. - Za parę minut zejde.

Czeszę włosy i zakraplam zaczerwienione oczy. Nie wiem, dlaczego to jest ważne, ale nie chcę rozpaść się na oczach Simona ani okazać przed nim słabości.

Simon czeka w bawialni, stoi przy oknie, patrzy przez zasłony na koczujących na zewnątrz dziennikarzy. Jest ubrany w pogniecioną lnianą marynarkę i obcisłe džinsy, na jego dwudniowym zarostcie widnieją pierwsze ślady siwizny, ale jeszcze się tym nie przejmuje.

- Czego chcesz? - pytam, nie kryjąc chłodu.

- Martwiłem się o ciebie. - Zerka znów przez okno. - Tam jest istne zoo.

- Jesteś jednym z tych zwierząt?

- Nie bierz mnie za takiego idiotę.

- Więc nie pracujesz?

- Nie. - Przesuwa palcami wzdłuż półki nad kominkiem. - Gdzie Jack?

- Wyszedł.

- Nie musisz mu tego robić.

- Czego? - pytam zdezorientowana.

- Jack nie zasługuje na takie cierpienie. Żaden z nas nie zasługuje. - Moje zdumione spojrzenie wydaje się potwierdzać jego podejrzenia, bo dodaje: - Jesteś bardzo dobrą aktorką, Meg.

- O czym ty mówisz?

- Choćby w tej chwili możesz zakończyć ten cały cyrk. Po prostu powiedz policji, co zrobiłaś z dzieckiem.

Patrzę na niego z niedowierzaniem, świadoma, że rozchyłam wargi, bo w ustach mi zaschło. I na moment odebrało mi mowę.

- Pamiętam, co mi powiedziałaś, jak ostatnio rozmawialiśmy - mówi dalej Simon, biorąc do ręki oprawione zdjęcie Lucy

i Lachlana. – Przysięgałaś na życie swojego dziecka, że nigdy tego dziecka nie zobaczę. Nigdy nie wezmę go na ręce.

– Myślisz, że ja to zrobiłam?! – Wreszcie wraca mi zdolność mówienia.

– Przekonaj mnie, że jest inaczej.

Jestem tak bardzo wściekła, że do oczu napływają mi łzy.

– Uważasz, że zorganizowałam porwanie własnego dziecka?!

– Mogą cię aresztować za to, że niepotrzebnie absorbujesz policję, marnujesz ich czas. Opieka społeczna zabierze ci Lucy i Lachlana. Stracisz wszystko.

– Simon, Simon, Simon... – Wzdycham, kręcąc głową. – Może mi wyjaśnisz, w jaki sposób, będąc tuż po operacji, mogłabym przeszmużlować własne dziecko ze szpitala?

– Może działałaś w zмовie z siostrą. À propos, Grace u mnie była. Groziła, że wyda mnie jako dilerę narkotyków.

– Nie powinna tego robić, przepraszam. Ale jeśli sądzisz, że porwałam własne dziecko, to jesteś szalony.

– Tak? Może to zleciłaś, zapłaciłaś jakimś ludziom, żeby porwali dziecko i przetrzymali w bezpiecznym miejscu.

– Naprawdę? Komu zapłaciłam? – Gdy tylko wzrusza ramionami, jakby nie miało to znaczenia, mówię dalej: – Myślisz, że zapłaciłam komuś, żeby przebrał się za pielęgniarkę i zabrał Bena. Jak długo ma się nim opiekować? Tydzień, miesiąc, a może rok? Nie bądź idiotą.

Widzę, że Simon nie jest już taki pewny swego, mimo to mówi:

– Nie odtrącisz mnie, Meg, nie możesz w nieskończoność ukrywać dziecka.

– Wynoś się!

– Nie dajesz mi wyboru. Przedstawię moją opinię policji.

– Wyśmieją cię.

- Jack nie będzie się śmiał.

Z całej siły uderzam go w twarz. Już po raz drugi. Najwyraźniej Simon ma twarz, która zasługuje na policzkowanie. Chcę zrobić to jeszcze raz. Chcę wydrapać mu oczy. Chcę zetrzeć mu z twarzy ten zadowolony z siebie uśmiech.

- Wynoś się! Wynocha!

Przyciągnięta naszymi podniesionymi głosami Lisa-Jayne staje w drzwiach i pyta:

- Wszystko w porządku?

- On natychmiast ma się wynieść z mojego domu! - krzyczę.

- Właśnie wychodziłem - mówi Simon, przepychając się obok Lisy-Jayne. Jest już w holu, wychodzi, a ja zamykam za nim drzwi na klucz i zakładam łańcuch. Później siedzę na kuchennej ławie. Lisa-Jayne podaje mi szklankę wody. Ręce mi się trzęsą. Woda się rozlewa. Lisa-Jayne czeka na wyjaśnienia.

- Chcę, żebyście trzymali tego człowieka z dala ode mnie... z dala od mojej rodziny.

- Czemu?

- On... on... próbuje mnie szantażować.

- Co? Jak?

- Nieważne.

- Czym próbuje panią szantażować?

- Proszę o tym zapomnieć. Po prostu pilnujcie, żeby się do nas nie zbliżał.

AGATHA

Rory miał ciężką noc, płakał i marudził. Nie był głodny ani nie miał mokro, nie miał też gorączki, chociaż myślę, że powinnam go więcej karmić. Dziś rano zważyłam Rory'ego na łazienkowej wadze. Wiem, że nie jest zbyt dokładna, ale powtórzę to jutro i pojutrze, aż zobaczę, jak przybiera na wadze.

Wyglądam okropnie. Mam wory pod oczami, moja twarz jest nabrzmiała bez powodu. Nienawidzę tego. Wczoraj prawie nic nie zjadłam. Nie obzerałam się ciastkami ani czekoladowymi herbatnikami. W takie dni jak ten patrzę w lustro i widzę moje prawdziwe ja, potwora, który występuje w spektaklu dziwadeł. Zamiast gładkiej cery widzę blizny, rany, bruzdy i narośle wyrzeźbione w moim ciele albo z niego sterczące.

Hayden także nie spał, przez co jest w kiepskim nastroju. Marudzi, kiedy za długo gotuję jajka i palę grzanekę. Później krytykuje wyprasowaną przeze mnie koszulę. Wiedziałam, że miesiąc miodowy nie potrwa wiecznie. On już się mną zmęczył. Kiedy minie urok nowości, zda sobie sprawę, że mógł trafić lepiej. Zaczniemy kłócić się o drobiazgi. Będę testować jego miłość, bo zwątpię w jej moc. Będę się domagała więcej codziennych dowodów miłości, a to go odstraszy.

Więc dlaczego to robię? Jestem swoim najgorszym wrogiem. Ilekroć tak się zdarza, że walczę o szczęście, bo dostrzegam taką szansę, to zawsze znajduję sposób, żeby wszystko zepsuć, bo gdzieś w głębi mnie istota wierci się i kręci, podgryza moją wiarę w siebie, przypomina moje dawne klęski, moje inne dzieci, ciała na polanie, i w głębi duszy wiem, że nie zasługuję na to, by być kochana.

Dzwoni mój telefon. Nie poznaję numeru.

- Halo?

- Agatha?

- Tak.

- Mówi Nicky.

Dopiero po chwili orientuję się, z kim rozmawiam. Od trzech lat nie rozmawiałam z byłym mężem. Na każde Boże Narodzenie przysyła mi gruby list, pisze, co u niego słyhać, dzięki czemu wiem, że ożenił się z rozwódką z Newcastle i został ojczymem dwóch chłopców.

- Nicky... co za niespodzianka. Jak się masz?

- Ja dobrze. A ty?

- Ja też. - W mojej głowie odzywa się alarm. Czemu dzwoni akurat teraz?

Oboje milczymy, a potem zaczynamy jednocześnie.

- Ty pierwszy - mówię.

- Przyjechałem do Londynu na konferencję i wczoraj wpadłem na Sarę Derry. Pamiętasz ją, pracowała w twojej agencji pracy tymczasowej?

- Oczywiście - mówię, zastanawiając się gorączkowo, do czego on zmierza.

- Gawędziliśmy i nagle ona rzuca bombę. Powiedziała, że masz dziecko. Moje gratulacje.

- Dziękuję.

- Synka. Byłem zdumiony. To znaczy myślałem, że to jakaś pomyłka.

- Pomyłka?

Waha się i zmienia kierunek:

- To wspaniale. Na pewno jesteś bardzo szczęśliwa.

- Tak.

Następuje kolejna długa pauza, jeszcze bardziej krępująca niż poprzednia.

- Mogę cię zaprosić na lunch? - pyta.

- Teraz jestem dosyć zajęta.

- Oczywiście. To może na kawę? Mógłbym wpaść. Bardzo bym chciał zobaczyć dziecko.

Nie chcę, żeby tu przychodził. Hayden nie wie o Nickym. Nie wie, że byłam mężatką i przez trzy lata starałam się o dziecko. Ani o tym, że się rozwiodłam.

Za plecami słyszę jakiś dźwięk. Hayden stoi w drzwiach kuchni. Pyta bezgłośnie: Kto to?

- Nikt - szepczę.

Nicky wciąż mówi:

- Chciałbym usłyszeć, jak ci się udało zająć w ciążę po tych wszystkich nieudanych próbach. Pamiętam ostatniego specjalistę od niepłodności, który powiedział, że nigdy więcej nie zajdziesz w ciążę.

- Mylił się.

- Najwyraźniej.

On mi nie wierzy.

- Jestem teraz wolny. Mógłbym wpaść. Mam twój adres.

- Przeprowadziłam się.

- Naprawdę? Twoja matka mówiła, że wciąż mieszkasz w dawnym mieszkaniu.

Moje serce na moment się zatrzymuje.

- Kiedy rozmawiałeś z moją matką?

- W sierpniu w jej urodziny. Wciąż jesteś w Fulham?

- Nie. Tak.

Hayden na mnie patrzy.

- Zmieniłam zdanie - mówię. - Spotkajmy się gdzieś.

- Świetnie. Jestem umówiony na rozmowy w South Kensington, a później mogę się z tobą zobaczyć. Pasuje ci? - Nicky podaje miejsce i uzgadniamy godzinę. - Tylko weź ze sobą Rory'ego. Chcę poznać to dziecko cud.

- Skąd znasz jego imię?

- Oczywiście od Sary - odpowiada wesoło.

Szybko kończę rozmowę. Hayden staje nade mną.

- Kto to był?

- Stary przyjaciel.

- Chłopak?

- Nie, właściwie nie.

- Co to znaczy?

- Przyjaciel rodziny, taki przyszywany wujek. Od lat go nie widziałam.

- Więc się z nim spotkasz.

- Na kawę.

- Mogę z tobą pójść?

- Nudziłbyś się. Może weźmiesz Rory'ego do mamy? Będzie zachwycona.

Restauracja jest jednym z tych miejsc w South Kensington, które zaprzeczają prawom fizyki. Patrząc z ulicy, nikt by się nie domyślił, że wewnątrz jest tak przestronne. Wzdłuż jednej ze ścian mieści się bar, a naprzeciwko są usytuowane boksy. Im dalej od wejścia, tym objawia się coraz większa powierzchnia sali restauracyjnej z antresolą. W ciągu dnia serwują tam kawę i herbatę, a wieczorem jest to tapas bar.

Nicky nic się nie zmienił, może poza tym, że lekko posiwiął na skroniach i przytył parę kilo. Dodatkowe kilogramy sprawiają, że wygląda bardziej kobieco, bo umiejscowiły się na biodrach.

- Nie wzięłaś ze sobą dziecka - stwierdza zawiedziony.

- Nie spał dobrze tej nocy.

- Jaka szkoda.

Nicky bierze ode mnie płaszcz i wiesza go, potem przywołuje kelnerkę, żeby przyjęła zamówienie. To dziwne po tak długim czasie siedzieć naprzeciw byłego męża i słyszeć znów jego głos, który brzmi nadzwyczaj znajomo, a jednocześnie jakże obco, ponieważ należy już do przeszłości. W przeciwieństwie do milczącego i ponurego Haydena, Nicky jest radosny i bardzo ekspresyjny, nosi serce na dłoni.

Jesteśmy niedaleko Muzeum Wiktorii i Alberta, mnóstwo tu zaparkowanych wycieczkowych autokarów. Na ulicy właśnie wieszają bożonarodzeniowe oświetlenie, przeciągają kable między latarniami i drzewami. Kiedy przyjdzie noc, kable znikną w ciemności, a światła nadadzą okolicy wesoły świąteczny wygląd.

- Więc jak ci się to udało? - pyta Nicky, nie spuszczać ze mnie wzroku.

- Udało?

- Zająć w ciążę?

- Po prostu się zdarzyło.

- Naprawdę?

Jego oczy pociemniały, wyglądają, jakby je pomalował.

- Jeśli musisz wiedzieć, skorzystałam z dawcy - mówię ze złością, po czym przepraszam. - Wybacz. Nie chcę, żeby ludzie wiedzieli.

- Czemu?

Wzruszam ramionami.

- Tak jest prościej.

- Twoja matka nie wspomniała, że byłaś w ciąży.

- Nie powiedziałam jej aż do trzeciego trymestru. Nie chciałam

robić jej nadziei po tym, co się ostatnio stało.

Oczy Nicky'ego zachodzą mgłą smutku, potrzebuje chwili, żeby się otrząsnąć. Przynoszą nam kawę.

- Jesteś z kimś? - pyta.

- Jestem zaręczona.

- To dobrze.

Opowiadam mu o Haydenie, przesadnie podkreślając jego służbę w marynarce, jakby miał zostać kapitanem fregaty albo nawet wielkim admirałem.

- W lecie się pobierzemy, a w podróż poślubną wybieramy się na Tahiti.

- Tahiti? No, no! Więc on jest biologicznym ojcem?

- Tak - odpowiadam.

Nicky składa i rozkłada serwetkę.

- Ta historia o skradzionym dziecku... Co za koszmar.

- Nie śledziłam jej zbyt dokładnie.

- Hm... - Unosi brwi. - Trudno tego nie zauważyć.

- Jestem ostatnio raczej zajęta. - Śmieję się, ale nie patrzę mu w oczy.

- Tak, oczywiście.

Nicky zaczyna mówić o tym, że przejeżdżał obok naszego starego domu w Highgate.

- Wydaje mi się, że nadbudowali poddasze - mówi. - Pamiętasz, rozmawialiśmy o tym, żeby to zrobić... kiedy będziemy mieli dzieci. - Patrzy na mnie przeprasząco, żałuje, że nie może cofnąć słów. - Zastanawiasz się czasem, co by było, gdyby Chloe żyła? Miałaby teraz cztery latka. - Gdy nie odpowiadam, mówi dalej: - Cały czas o tym myślę. Widzę małą dziewczynkę na ulicy czy w parku i wyobrażam sobie, że to nasza Chloe, cała i zdrowa, wychowywana przez kogoś innego.

- Oszalałabym, gdybym tak myślała.

- Masz rację. Oboje trochę zbzikowaliśmy, prawda? Pamiętam, jak wspominałaś, żeby ukraść dziecko. Tak, tak, wiem, że nie mówiłaś tego serio. Powiedziałaś, że powinniśmy znaleźć parę, która już ma dzieci, i zabrać im niemowlę.

- Byłam w żałobie, cierpiałam.

- Oczywiście.

Udaje mi się patrzeć Nicky'emu w oczy, choć pragnę uciec od niego wzrokiem. Istota we mnie rozciąga się.

On wie! On wie!

- Gdzie rodziłaś? - pyta Nicky.

- W Londynie.

- Och, Sara mówiła, że w Leeds.

- To znaczy rodziłam w Leeds, ale zaraz potem przyjechałam do Londynu. Hayden właśnie przyleciał z Kapsztadu. Walczył z piratami na Oceanie Indyjskim.

Nicky przekrzywia głowę.

- Byłem w Leeds parę tygodni temu. Pukałem do drzwi twojej matki. Dom wyglądał na pusty. Sąsiad powiedział, że pojechała na zimę do Hiszpanii.

- Wróciła na poród.

- A potem znów pojechała do Hiszpanii?

- Tak.

On wie! On wie!

Patrzę na nadgarstek, żeby sprawdzić godzinę, ale nie wzięłam zegarka, więc zerkam na telefon.

- Naprawdę muszę już iść. Trzeba nakarmić Rory'ego.

- Jasne, oczywiście. - Nicky wstaje i podaje mi płaszcz. Wsuwam ręce w rękawy, a Nicky dodaje: - Miło było cię znów wiedzieć, Aggy. Opiekuj się dobrze dzieckiem.

- Na pewno.

Rozstajemy się na chodniku przed restauracją. Po dwóch krokach oglądam się. Nicky wciąż na mnie patrzy.

On wie! On wie!

Odmachuje mi, po czym przechodzi na drugą stronę ulicy, kieruje się do najbliższej stacji metra. Kiedy jest dość daleko, zawracam i idę za nim, ze spuszczoną głową lawiruję między przechodniami. Nicky jest na tyle wysoki, żeby nie zgubić go w tłumie.

On wie! On wie!

On nic nie powie.

Powie policji.

Nie ma dowodu.

Nieważne.

Na stacji South Kensington zawsze jest tłok. Jest tam mnóstwo przejść prowadzących na różne perony. Nie spuszczać oczu z Nicky'ego, wkładam na głowę kaptur, by ukryć twarz przed kamerami. W pewnym momencie Nicky przystaje, żeby dać pieniądze grającemu na skrzypcach ulicznemu artyście. Zatrzymuję się i odwracam, idę naprzeciw tłumowi. Po kilku sekundach znów zawracam i ponownie idę za Nickym.

Dotarł na peron, skąd odjeżdżają pociągi na wschód District i Circle Lines, zatłoczone zwiedzającymi, którzy opuszczają muzea. Pomrukując przeprosiny, przepycham się między oczekującymi, śpiesząc śladem Nicky'ego na odległy koniec peronu.

Zerkam na tablicę informacyjną. Następny pociąg jest za minutę.

Nicky bierze do ręki komórkę.

Zadzwoń na policję.

Może czyta mejle.

Albo wysyła wiadomość.

Na pewno nic ważnego.

Jest zazdrosny, bo nie dałaś mu dziecka.

Nicky mnie kocha.

On wie! On wie!

Nadjeżdża pociąg, wybijając rytm na torach, a pod zamkniętymi powiekami rozbłyskują mi obrazy. Widzę policję, która przyjeżdża do mojego mieszkania, widzę, jak zabierają mi dziecko. Szarpie się z nimi, błagam, żeby mi je oddali... żeby pozwolili mi je potrzymać.

Nicky powoli podchodzi na skraj peronu. Stoję tuż za nim, dość blisko, by widzieć meszek na jego karku i łuski łupieżu na ramionach. Wokół nas cisną się ludzie.

On wie! On wie!

Co może zrobić?

Może powiedzieć policji.

Nie.

Wiatr unosi włosy Nicky'ego z czoła, gdy pociąg wjeżdża na peron, śpiesząc w naszym kierunku. Pierwszy wagon jest jakieś sto dwadzieścia metrów dalej, sto metrów, sześćdziesiąt metrów... Widzę motorniczego za przednią szybą. Wygląda na znudzonego.

On wie! On wie!

Co może zrobić?

Powstrzymaj go.

Jak?

Moje ręce dotykają środkowej części pleców Nicky'ego. Jego głowa zaczyna się odwracać, ale ja pcham mocniej, czuję jego wagę. Przez moment kręci mi się w głowie, duszę śmiech, kiedy

on pochyła się do przodu, usiłuje złapać równowagę, kręcąc rękami małe kółka. Przez chwilę wydaje się, że opiera się przyciąganiu ziemskiemu, ale potem spada, znika pod pociągiem z miękkim łupnięciem – dźwiękiem powtarzanym przez każde kolejne koło.

Jakaś kobieta podnosi krzyk. Potem kolejna. Dołączam do nich. Ludzie krzyczą, kiedy wagony mijają nas pędem, a następnie zwalniają i zatrzymują się. Pasażerowie stojący w wagonach czekają, żeby wysiąść, nieświadomi tego, co się właśnie stało. Jakaś pulchna dziewczynka, pięcio- albo sześćoletnia, wlepia we mnie wzrok. Trzyma na ręce lalkę i ciągnie za rękaw mamę.

Matka zakrywa jej oczy, zabrania patrzeć.

- Co się stało temu panu? – pyta dziewczynka.

- Cii.

- Gdzie on poszedł?

Dziewczynka odsuwa z twarzy rękę matki i patrzy na mnie oskarżająco. Nie mogę spojrzeć jej w oczy. Odwracam się i ruszam przez tłum. Ludzie przepychają się naprzód, liczą, że zobaczą coś więcej. Inni chcą stamtąd uciec. Przeciskam się między nimi, przez las ramion, wciąż ze spuszczoną głową. Słucham ich rozmów.

- Ktoś skoczył?

- Upadł.

- Cholera. Spóźnimy się?

Wydaje się, że dotarcie do wyjścia i schodów zajmuje całe wieki. Ręce mi się trzęsą. Czuję się jak otępiała. Muszę myśleć logicznie. Jeśli wyjdę ze stacji, to będzie wyglądało podejrzanie. Powinnam wsiąść do któregoś pociągu. Wybrać inny peron. Zniknąć, zatrzeć ślady.

Istota we mnie ucichła, ale ja wiem, co myśli.

On wiedział! On wiedział! On wiedział!

MEGHAN

Lucy i Lachlan ścigają się, kto szybciej wbiegnie przez frontową bramę, i biegną dalej ścieżką, rzucają się w moje wyciągnięte ramiona. Strzelają lampy błyskowe, kamery TV rejestrują każdy moment. Nasze prywatne rodzinne powitanie staje się publiczną strawą bez końca przeżywaną przez wszystkie kanały informacyjne. Jesteśmy gwiazdami naszego własnego reality show: Poznajcie rodzinę Shaughnessy.

Jack idzie za nimi ścieżką, niesie ich jednakowe walizki. Fotoreporterzy wykrzykują polecenia, chcą, żebyśmy pozwolili do kolejnych ujęć, ale ja zaganiam dzieci do środka i zamykam drzwi.

Znów je ściskam, tym razem jak należy. Lucy mówi jak najęta, próbuje natychmiast powiedzieć mi wszystko, co ma do powiedzenia, zanim Lachlan zdoła ułożyć zdanie.

- Chyba mamy wszy. Cała głowa mnie swędzi. Babcia myła mi włosy specjalnym szamponem, ale piecze w oczy, i muszę nosić odżywkę na głowie przez całe wieki. Płakałam, kiedy je wyczesywała, ale nie znalazła żadnych wszy. To dlaczego głowa mnie tak swędzi?

- Jestem głodny - oznajmia Lachlan.

- Zaraz ci zrobię kanapkę - mówię.

Lucy gramoli się na kolana Jacka. Lachlan przychodzi do mnie.

- Urodziłaś dziecko? - pyta Lucy.

- Tak, małego chłopca.

Lucy marszczy czoło.

- Miałam nadzieję, że to będzie dziewczynka.

- Przecież wiedziałaś, że będziemy mieli chłopca.

- Tak, ale myślałam, że może się pomyliłaś albo zmieniłaś zdanie. Jak wtedy, kiedy zamówiliśmy tę lampę z IKE-i i wybrałaś złą, i uznaliśmy, że ta zła wygląda lepiej niż tamta dobra, więc jej nie oddaliśmy.

- Dzieci to nie są lampy z IKE-i - mówię.

- A gdzie on jest? - pyta Lachlan. - Możemy go zobaczyć?

- Jeszcze nie.

- Czemu?

Patrzę na Jacka. Już przedyskutowaliśmy, jak to załatwić.

- Ben zaginął - mówię.

- Wiedziałam - mówi triumfalnie Lucy. - Słyszałam, jak babcia i dziadek rozmawiali. Powiedzieli, że ktoś go ukradł.

- To prawda - mówi Jack. - Ale go odzyskamy.

Lachlan ściąga brwi.

- Czemu go ukradli?

- Na pewno chcieli mieć dziecko - odpowiada logicznie Lucy.

- Dziecka nie można ukraść. - Lachlan patrzy na mnie, oczekując potwierdzenia.

- Policja go szuka - wyjaśniam. - Dlatego przed domem jest tak dużo ludzi. To dziennikarze.

Lachlan szeroko otwiera oczy. Unosi rękę do ust.

- A jeśli zabrał go Porywacz Dzieci?

- To nie był Porywacz Dzieci - uspokaja Jack. Odkąd Lachlan obejrzał „Nasz cudowny samochodzik”, boi się Porywacza Dzieci, złego człowieka, który kusi dzieci słodyczami i zamyka je w klatce.

Następuje wiele pytań o policję i znajdujących się na zewnątrz reporterów.

Widzę, że Lachlan ma z tym największy problem.

- Czy on zniknął na zawsze?

- Nie.
- To gdzie jest?
- Jest teraz u innej rodziny.
- Tak jak się czasem nocuje u koleżanki - mówi Lucy.
- Nie, niezupełnie. - Serce omal mi nie pęka. - Ben ma nowy dom i opiekuje się nim inna osoba.
- Ale czemu? - pyta Lachlan.
- Nie wiem, co mu odpowiedzieć.
- Nie będzie za nami tęsknił? - pyta Lucy.
- Jack przychodzi mi na ratunek.
- Osoba, która zabrała Bena, jest smutna. Jest bardzo smutna i myślała, że dziecko uczyni ją szczęśliwą. Nawet cudze dziecko.
- Czemu nie może mieć własnego dziecka? - pyta Lachlan.
- Tego nie wiemy - mówi Jack - ale odzyskamy Bena.
- Kiedy?
- Niedługo.
- Jutro?
- Może jeszcze nie jutro.
- Pora coś przekąsić - ogłaszam, klaszcząc w dłonie. - Kto chce czipсы z piekarnika?
- Ja! - krzyczą zgodnie dzieci.

Jack zanosí Lucy do kuchni, czego już raczej nie robi, ponieważ jest dość duża. Ja niosę na rękach Lachlana, dmucham mu we włosy, wciągám w nozdrza jego zapach, żeby sobie przypomnieć, że ta dwójka jest ze mną i jest bezpieczna.

To dziwne mieć Jacka cały dzień obok siebie w domu. Szef dał mu nieograniczony urlop, ale Jack nie wie, co ze sobą począć. Ja każdą godzinę wypełniam pracą - gotowaniem, sprzątaníem, przyszywaniem guzików. Jack szwenda się po domu, wygląda przez okno, sprawdza mejle, znów wygląda przez okno.

Normalnie grałby w tenisa albo poszedł pobiegać, ale wszystkie nasze działania są monitorowane, nagrywane i pokazywane w telewizji. Dziennikarze pukają do drzwi naszych sąsiadów, proszą o możliwość skorzystania z łazienki albo o coś wypytują. Fotoreporterzy i kamerzyści ustawili drabinki, żeby robić zdjęcia ponad naszym żywopłotem, sięgając obiektywem okna wykuszowego i drzwi od frontu. Nasz dom jest tłem codziennych wiadomości z ostatniej chwili, wygłaszanych przez zadyszanych dziennikarzy, a gdy jasne światła lamp przedzierają się przez zasłony w naszych oknach od frontu, rzucają cienie na ściany.

Tkwimy tu jak uwięzieni w pułapce. Jak szczury w klatce albo złote rybki w akwarium. Minionej nocy leżeliśmy z Jackiem w łóżku jak obcy sobie ludzie, patrząc w sufit. W pewnym momencie jego kolano dotknęło mojego uda, a ja znów odsunęłam się od niego kilka centymetrów. Gdy Jack cicho zachrapał, wzbudził we mnie jeszcze większą niechęć.

W końcu zasnęłam. W moim śnie pojawił się Ben. Słyszałam jego płacz, miałam piersi pełne mleka i zastanawiałam się, jak moje serce może jeszcze bić, skoro jest złamane i pokaleczone. Co cztery godziny odciągałam mleko i chowałam je do zamrażarki, powiększając coraz większe zapasy z nadzieją, że za jakiś czas bardzo mi się przydadzą.

Obudził mnie śmiech dziennikarzy na zewnątrz. Żartowali sobie. Wiem od Jacka, że dziennikarze potrafią znaleźć coś zabawnego w najtragiczniejszej historii, bo to ich znieczula na tragedię albo pozwala pokonać nudę. Żartują na temat Jimmy'ego Savile'a, Rolfa Harrisa, Borisa Johnsona i Donalda Trumpa. Nie ma dla nich tematów ani osób nietykalnych, nigdy nie jest za wcześnie, by sobie z nich dworować.

Stale włączony telewizor jest niczym ścieżka dźwiękowa

naszego życia. Śledzę wszystkie wiadomości, wysłuchuję niekończącej się parady ekspertów od opieki nad dziećmi, lekarzy, negocjatorów policyjnych i rodziców, którym porwano dziecko, a którzy są proszeni o komentarz na temat śledztwa i naszych emocji. Nie oszczędzają też naszych znajomych, którzy wpadają w zasadzkę dziennikarzy, kiedy wysiadają z samochodu albo wychodzą z domu. Zaskoczeni kamerami wyrażają swoje współczucie, niczego istotnego nie wnosząc, wypełniają tylko czas antenowy.

Pojawiły się dziesiątki zgłoszeń z całego kraju. Świeżo upieczone matki skarżą się na to, że są zatrzymywane na ulicy przez obcych ludzi, którzy zaglądają im do wózków i podejrzliwie wypytują.

Od czasu do czasu wypływa coś nowego. W toalecie na stacji King's Cross odnaleziono szpitalny kocyk. Kraciasty wózek na zakupy znaleziono w pociągu, który przyjechał do Edynburga. Sprzątaczką zabrała go do domu, przekonana, że ktoś go porzucił, ale zobaczyła wspomniany wózek w wiadomościach i oddała go policji.

- Więc Ben jest w Szkocji - mówię do Annie.

- Tego nie wiemy.

- A co z wózkiem?

- Ktoś mógł go zostawić w pociągu. Między King's Cross a Edynburgiem jest siedem przystanków.

- Czyli może być wszędzie?

- Sprawdzamy nagrania z kamer przemysłowych i zakupy biletów na tych stacjach.

Próbuję myśleć pozytywnie, a ilekroć rozmawiam z policją, w taki sposób moduluję głos, by brzmiał spokojnie i rozsądnie, ale w duchu krzyczę: Po prostu go znajdźcie, na Boga!

Cały czas masowo napływają kartki i listy. Listonosz był dzisiaj dwa razy, za każdym razem przynosząc trzy worki. Annie zasugerowała, że będzie wszystko czytała jako pierwsza na wypadek, gdyby jeden z listów pochodził od porywacza, ale myślę, że próbuje nas chronić przed trollami. W internecie pojawiło się już mnóstwo teorii spiskowych. Ktoś twierdzi, że porwanie jest mistyfikacją, która ma służyć popularności Jacka. Inni mówią, że za porwaniem stoi zbrodniczy syndykat, który przemyca białe dzieci handlarzom niewolników na Bliskim Wschodzie. Nie powinnam czytać tych szaleństw. Moja wyobraźnia ma i tak dość paliwa.

Annie proponuje, żebyśmy zamieszkali u moich rodziców.

- Powiedziała pani, że porywacz może próbować się z nami skontaktować.

- Będziemy przekierowywać wasze numery.

- A jeśli zechcą przywieźć Bena do domu?

Annie nie odpowiada, ale wiem, co myśli - że chwytam się wszelkich sposobów jak tonący brzytwy. Nic mnie to nie obchodzi. Mam prawo być irracjonalna czy nienormalnie optymistyczna. Odmawiam za to utraty nadziei.

Lucy poszła dziś do szkoły, ale Lachlana zostawiłam w domu, bo potrzebuję jakiegoś zajęcia. Od wczoraj żadne z nich nie wspomniało Baby Bena. Nie sądzę, żeby byli obojętni czy nieporuszeni tym, co się stało. Na tym polega różnica między dziećmi a dorosłymi: dzieci nie wkładają aż tak wiele energii w pograżanie się w smutku.

Mój laptop stoi otwarty na kuchennym stole. Szukam w sieci historii innych zaginionych dzieci. Kiedy zniknęła Madeleine McCann, cyrk trwał miesiącami, a w zasadzie latami. Jack złości się, kiedy wspominam takie fakty.

- To nie to samo - mówi. - My znajdziemy Bena.

W tej chwili jest na górze, siedzi w dusznym gabinecie i ogląda mecz piłki nożnej albo gra na komputerze. A może też szuka czegoś w internecie? Pocieszenia, zapewnienia albo rozwiązania.

- Doktor Haven chciałby do pani wpaść - mówi Annie, trzymając telefon obiema rękami. - Ma gotowy profil psychologiczny porywacza.

- Kiedy?

- Może tu być za kwadrans.

- Okej. - Rozpaczliwie chcę usłyszeć coś nowego. Nie jestem znudzona, chodzi o brak efektów. Chcę robić coś pożytecznego albo pozytywnego, co przyniesie jakąś zmianę.

Annie szczotkuje włosy i maluje wargi błyszcznikiem przed lustrem w holu. Zastanawiam się, czy ma to coś wspólnego z Cyrusem Havenem.

- Dobrze go pani zna? - pytam.

- Kogo?

- Doktora Havena?

- Nie za bardzo.

- Och, myślałam, że się przyjaźnicie.

Annie lekko się rumieni, czyli moje domysły są słuszne. Albo wzdycha do Cyrusa, albo chodzi o coś, co wydarzyło się w przeszłości.

- Jak go pani poznała? - pytam.

- Przeprowadza rozmowy z oficerami, którzy brali udział w strzelaninie albo zostali ranni na służbie.

- Pani się to przytrafiło?

- Tak. - Kiwa głową. - Ale nie wolno mi o tym mówić.

Jej tajemniczość tylko rozbudza moją ciekawość.

- Doktor Haven to bardzo interesujący człowiek. Potrafi

słuchać. No, musi, taki zawód. Ale uderzył mnie jego smutek.

- To zrozumiałe - mówi Annie.

- Czemu?

- Po tym, co przeszedł.

- Co się stało?

- Nie powinnam o tym mówić.

Otwieram laptop i wpisuję w Google'a: Cyrus Haven.

- Nic pani nie znajdzie - mówi Annie.

- Czemu?

Przygryza policzek.

- Nie słyszała pani tego ode mnie, okej? - Gdy kiwam potakująco głową, dodaje: - Proszę poszukać Eliasa Havena-Sykesa.

Na ekranie pojawiają się dziesiątki linków z dramatycznymi słowami:

Rodzina zarąbana na śmierć.

Najmłodszy syn odkrywa rodzinną masakrę.

Haven-Sykes w szpitalu psychiatrycznym.

Otwieram niektóre linki i czytam w ciszy:

Elias Haven-Sykes, lat osiemnaście, zamordował maczetą swoich rodziców i dwie młodsze siostry w Manchesterze w 1995 roku. Jeden z członków rodziny przeżył, to Cyrus Haven-Sykes, lat trzynaście. Wrócił do domu po treningu piłkarskim i ujrzał swojego brata, który oglądał telewizję, opierając nogi na ciele ojca. Ich matka leżała na kuchennej podłodze. Siostry usiłowały zabarykadować się w sypialni, ale zostały wyciągnięte spod łóżek i zarąbane.

Annie na mnie patrzy.

- Czemu? - pytam szeptem.

- Gdy Elias skończył szesnaście lat, zdiagnozowano u niego

schizofrenię. Do popełnienia tej zbrodni był kilkakrotnie hospitalizowany w psychiatryku.

- Gdzie jest teraz?

- W Rampton, o ile wiem. Maksimum ochrony.

- Czy Cyrus w ogóle o nim mówi?

- Nie.

Zamykam komputer, nie chcę więcej czytać. Teraz przypominam sobie tę sprawę, choć nie związane z nią nazwiska. Zwłaszcza jeden obraz wciąż do mnie powraca - zdjęcie nastolatka, który w czarnym garniturze stoi samotnie wśród trumien z ciałami swoich bliskich. W tytule nazwano go najbardziej samotnym chłopcem na świecie.

Cyrus przyjeżdża w południe. Jest tak nieatrakcyjny i niezauważalny, że dziennikarze ignorują go do ostatniej chwili, gdy zbliża się do drzwi frontowych. Wtedy jeden z nich woła go po nazwisku. Wkrótce pozostali wygrzebują się z samochodów osobowych i vanów, ale wtedy drzwi już się zamykają, a Cyrus zdejmuje skórzaną kurtkę. Annie ją wieszka. Ich dłonie się dotykają, wymieniają spojrzenia.

Nalewam filiżankę herbaty, której Cyrus nie pije. Chyba lubi związany z herbatą rytuał, ale nie jej smak.

- Gdzie Jack? - pyta.

- Na górze.

- Jak się ma?

Co chciałby usłyszeć? Jack walczy, a ja nie mogę mu pomóc. Och, nawet nie wiem, czy chcę. Mam świadomość, że to niesprawiedliwe i nieracjonalne obwiniać Jacka, ale od kiedy życie jest sprawiedliwe? Nic z tego nie mówię na głos, choć czuję, że Cyrus i tak to słyszy.

Jak na zawołanie Jack pojawia się w kuchni. Siada i przyjmuje

filizankę herbaty, patrzy w mlecznobrązowy płyn, jakby usiłował sobie przypomnieć jego nazwę.

Cyrus wyjmując z torby kartkę papieru i kładzie ją na stole między swoimi łokciami. Palcem wskazującym przesuwając wyżej okulary na nosie.

- Oto co powiedziałem policji - mówi. - Szukajcie kobiety trzydziestoparoletniej albo tuż po czterdziestce, która czuła się w szpitalu swobodnie, bez problemu tam się odnalazła i nawiązała kontakt z pacjentami i gośćmi, nie przyciągając uwagi ani nie będąc przez nikogo zatrzymywana. Znała też plan szpitala, wiedziała, dokąd prowadzą poszczególne korytarze i gdzie są klatki schodowe, windy oraz kamery, co sugeruje, że albo pracowała w szpitalu, albo go odwiedzała. Policja sprawdza personel i starsze nagrania z kamer przemysłowych. - Cyrus przesuwając palcem w dół. - Ta kobieta jest doświadczoną oszustką, co może brzmieć jak oczywistość, ale nie jest łatwo kłamać, gdy stawka jest tak wysoka. Większość osób okazałaby jakieś oznaki stresu: rumieńce, zająknięcia, pocenie się albo wiercenie, a ona zachowywała się bardzo spokojnie niezależnie od sytuacji. Moim zdaniem jest bardzo inteligentna, co nie musi oznaczać dobrego wykształcenia.

- Co ma pan na myśli? - pyta Jack, który składa papierowy ręcznik na coraz mniejsze kwadraciki.

- Wysoki poziom inteligencji nie zawsze równa się akademickim dokonaniom. Być może nie miała szansy kontynuować edukacji po średniej szkole. Ale z pewnością jest wyjątkowo bystra. Proszę pomyśleć, ile musiała zaplanować. Te wszystkie rozmaite przebrania, środki ostrożności, zachowania werbalne i niewerbalne. A także interakcję z innymi osobami, na przykład z państwem.

- Więc mamy do czynienia z przestępczym geniuszem? - pyta Jack.

Cyrus nie reaguje na ten sarkazm, tylko odpowiada spokojnie:

- Nie geniuszem, ale inteligentną kobietą, która nie wydaje się zagubiona, zdenerwowana ani przestraszona. Która planowała to miesiącami.

- Szuka pan wymówki dla szpitala.

- Cyrus nie to chciał powiedzieć - wtrącam.

- Nazwał ją geniuszem.

- Zapoznaję państwa z profilem psychologicznym - mówi Cyrus.

- Nie szukam dla nikogo wymówek. Próbuję ludzi zrozumieć. Zwykle, kiedy patrzę na miejsce zbrodni, widzę ograniczenia sprawcy. Prawie zawsze popełnia jakiś błąd z powodu niezdolności zaplanowania wszystkiego z wyprzedzeniem. Skupia się na zbrodni, ale nie na tym, co potem. Niecierpliwi się i nie myśli, co dalej. W tym wypadku ta kobieta wszystko precyzyjnie zaplanowała, miała przemyślane krok po kroku, jak ukryć dziecko i jak się wydostać ze szpitala. Nie improwizowała, nie mówiła sobie: „Okej, skoro zaszłam tak daleko, to dalej też dam radę”. Miała dodatkowe przebranie. Miała wózek. Musiała słyszeć alarm. Wiedziała, że jej szukają. Szpital był jak labirynt. Wyjścia zostały zamknięte, ale ona nie wpadła w panikę, nie uciekała, nie zwracała na siebie uwagi. Policji zajęło parę dni, zanim odkryli, jak przeszmurowała Bena ze szpitala.

Cyrus urywa, czeka na odpowiedź czy komentarz Jacka. Kiedy nie padają żadne słowa, podejmuje:

- Sprawczyni jest prawdopodobnie mężatką albo żyje w związku, choć niestabilnym. To jeden z głównych powodów, dla których pragnęła dziecka. Pragnie scementować związek, pragnie, żeby mężczyzna z nią został, bo boi się, że mógłby ją

zostawić. - Znów przerywa na moment. - Jest gotowa podjąć ryzyko. Podczas każdego jej kroku szansa na niepowodzenie wzrastała, ale ona nie rezygnowała, tylko robiła swoje. Przebierała się, szła korytarzem, penetrowała samo serce szpitala. W każdym momencie ktoś z personelu mógł ją zapytać o tożsamość albo wszcząć alarm. Uważam, że działała sama, ale wcześniej przygotowała miejsce dla dziecka i wymyśliła wiarygodną historię.

- Jaką historię? - pytam.

- Najprawdopodobniej udawała ciążę, przekonując znajomych i rodzinę, że lada dzień urodzi.

- Aha, wsadzała poduszkę pod spódnicę - mówi Jack.

- Myślę, że działała bardziej wyrafinowanie - odpowiada Cyrus.

- W internecie można kupić protezy ciążowego brzucha. Sprzedają też fałszywe testy ciążowe i zdjęcia z badania USG.

- Czemu nie ma własnego dziecka? - pyta Jack.

- Być może ma problem z zajściem w ciążę. In vitro jest kosztowne, a dawało jej dwadzieścia pięć procent szansy. Adopcja też mogła być trudna, zależnie od jej wieku, pochodzenia, sytuacji życiowej. W swojej pracy natknąłem się na wiele bezdzietnych kobiet, które rozważały kradzież dziecka. Niektóre miały problem w związku, inne cierpiały na urojenia albo tak desperacko pragnęły miłości, że dziecko stało się ich świętym Graalem.

- Czy ona skrzywdzi Bena? - pytam.

- W normalnych okolicznościach nie.

- A jakie są inne okoliczności?

- Jeżeli się przestraszy, zostanie postawiona pod ścianą albo będzie bardzo zdesperowana. Bojąc się zdemaskowania, może spanikować. Ale jeśli będziemy jej wysyłać właściwe sygnały, jeśli zachowamy spokój, będzie kochała Bena i dbała o jego

bezpieczeństwo.

- Naprawdę pan myśli, że ona tego słucha? - pyta Jack. - Jaki mamy na to dowód? Policja traktuje ją jak ofiarę, nie kryminalistkę, wszyscy mają jej współczuć. A co z nami?

- Jack ma rację - mówię. - Traktowanie jej jak ofiary nic nie dało.

- Ona nie jest kryminalistką ani ofiarą - mówi Cyrus. - Nie w swoim mniemaniu. Teraz jest już przekonana, że Ben to jej dziecko, a my jesteśmy tymi, którzy chcą go jej odebrać. My jesteśmy przestępcami.

- To idiotyczne - mówię drżącym głosem. - To nasze dziecko.

- Oczywiście - stwierdza Cyrus. - Odzyskamy Bena. - Zdejmuje okulary i pociera grzbiet nosa. - Przez ostatnie trzydzieści lat w Wielkiej Brytanii zostało porwanych ponad sześćdziesięcioro dzieci i tylko czwórki nie odnaleziono. Wiem, że to niezbyt silny argument, ale mam nadzieję, że znajdziecie w tym pocieszenie.

Odpowiedź brzmi: nie. Przeciwnie. To, że zostaliśmy statystycznym wyjątkiem, nie jest pocieszeniem. To jak cierpieć na rzadką chorobę albo być ofiarą strasznego nieszczęścia. Wtedy człowiek zadaje sobie pytanie: Czemu ja? Czemu nie ktoś inny?

Cyrus patrzy znów na kartkę na stole.

- Studiując tę sprawę, a w szczególności dokładny plan i precyzyjne wykonanie, zaczynam podejrzewać, że ta kobieta mogła to już kiedyś zrobić.

- Zabrać komuś dziecko? - pyta Jack.

- Albo robiła to na próbę, albo wcześniejsza próba była nieudana.

- Kiedy? Gdzie?

- Prosiłem komisarza MacAteera, żeby przejrzał raporty dotyczące wcześniejszych uprowadzeń, a także zaginionych dzieci

i naruszenia systemu bezpieczeństwa w szpitalach i szkołach.

Patrzę na Jacka i zastanawiam się, czy do niego dotarła ta sama wiadomość.

- Jest jeszcze coś. - Cyrus ostrożnie dobiera słowa. - Myślę, że powinniśmy wziąć pod uwagę ewentualność, że Ben został wybrany.

- Co ma pan na myśli? - pyta Jack.

- Tamtego wieczoru na oddziale położniczym było osiemnaścioro dzieci. Ta kobieta minęła co najmniej sześć matek z niemowłętami. Czemu nie wybrała jednego z nich?

Usiłuję za nim nadążyć.

- Więc sądzi pan...?

- Próbuję wyjaśnić pewną niespójność.

- Czemu miałyby wybrać Bena? - pyta Jack.

- Może widziała, jak Meg przyjechała do szpitala, albo poznała pana z telewizji, albo wcześniej państwa znała. Zauważyliście kogoś, kto by was śledził w tygodniach przed porodem? Jakies obce samochody albo dziwne telefony?

Kręcę głową, ale już mniej pewna niż wcześniej.

- Ile osób wiedziało, kiedy i gdzie będzie pani rodzić?

Zastanawiam się nad tym pytaniem. Wiedziała moja grupa matek, instruktorka jogi, przyjaciółki, moja fryzjerka, nauczycielka Lucy, personel przedszkola Lachlana... Oczywiście także mój lekarz. I moja matka...

- A twój blog? - pyta Jack.

Cyrus podnosi wzrok znad kartki.

- Jaki blog?

- Piszę bloga poświęconego dzieciom - wyjaśniam. - To takie moje hobby.

- O czym pani pisze?

Wzruszam ramionami zażenowana.

- O moim życiu, dzieciach, Jacku... ale nie używam naszych prawdziwych imion.

- Ma sześć tysięcy obserwatorów. - Jack stara się być pomocny.

- Pisała pani, kiedy pani rodzi?

Serce mi zamiera.

- Być może wspomniałam...

- Podała pani datę?

Kiwam głową.

- Nazwę szpitala?

- Może.

- Korespondowała pani z którąś z tych kobiet?

- One komentują moje posty albo wysyłają wiadomości.

- A pani odpowiada?

- Nie zawsze.

Wiem, co myśli. Niektóre z czytelniczek bloga są ciężarne albo dopiero założyły rodziny, albo straciły dzieci.

- Ma pani hakerów czy trolli? - pyta.

- Może. Paru. Bardzo rzadko. Prawie wcale. Nigdy nie pisałam, gdzie mieszkam, ani nie podałam adresu szkoły czy przedszkola dzieci. - Wiem, że brzmię defensywnie.

- A skąd mamy te wszystkie darmowe rzeczy? - pyta Jack.

- Firmy wiedzą, kto pisze bloga - tłumaczę. - Moje przyjaciółki też wiedzą.

Wpakowałam się w kłopoty, ale tu nie chodzi o mnie. Próbuję myśleć. Czy ktoś mógł mnie prześladować? Zmuszam mój umysł do pracy. Parę tygodni temu jakieś bmw jechało za mną na zmieniających się światłach w Hammersmith. A ta dziwaczka, która kręci się koło stawu, kiedy karmię kaczki z Lachlanem? Zawsze drapie się po rękach i mówi do siebie. Kiedy już

zaczynam, nie mogę przestać. W bramie kościoła sypia bezdomny mężczyzna. Czasami puka do drzwi pobliskich domów i pyta, czy nie ma dla niego jakiejś pracy. A mężczyzna w bibliotece, który usiłuje zaglądać kobietom pod spódnicę, kiedy siadają na miękkich pufach, żeby poczytać bajki swoim dzieciom?

- Czy ktoś okazywał wyjątkowe zainteresowanie pani ciążą? - pyta Cyrus.

- Nie wydaje mi się. Znam sporo kobiet w ciąży. Chodziłam na jogę dla ciężarnych do centrum fitnessu. Mój blog komentuje wiele świeżo upieczonych mam.

- Czy któraś z tych osób się wyróżniała? Może była szczególnie nachalna albo zadawała dużo osobistych pytań?

- Raczej nie.

Wtrąca się Jack.

- A ta, której mąż jest w Marynarce Królewskiej?

- Agatha - mówię. - Nie, ona nie jest nachalna.

- Kim jest Agatha? - pyta Cyrus.

- Chodziła ze mną na jogę.

- Jak długo ją pani zna?

- Jakiś miesiąc. Pracuje w okolicy.

- I jest w ciąży?

- Urodziła przede mną.

Cyrus robi notatki.

- Ma pani adres tej Agathy?

- Mam jej numer telefonu i adres mejlowy.

Z zewnątrz słychać jakieś zamieszanie. Krzyki i przepychanki. Annie otwiera frontowe drzwi. Dziennikarze oblegają komisarza MacAteera, który wysiada z policyjnego radiowozu. Ochroniany przez kierowcę i drugiego detektywa, przeciska się przez ten młyn, ignorując wykrzykiwane do niego pytania.

Spotykam się z nimi w holu, który nagle robi się bardzo ciasny. MacAteer zerka na Cyrusa i kiwa głową, ale nie ściska mu dłoni.

Zwraca się do mnie:

- Przed kościołem w Little Drayton w Shropshire porzucono noworodka. To chłopiec, ale nie wiemy, czy to Ben - oświadcza.

Cofam się, chwieję i opieram się o ścianę.

- Dziecko zostało zawiezione do najbliższego szpitala. Muszę podkreślić, że nie wiemy, czy ma to związek z tą sprawą, ale pomyślałem, że powinniście dowiedzieć się tego ode mnie, a nie od tych hien na zewnątrz.

Pytania utykają mi w gardle.

- Co wiemy? - pyta Jack.

- Ze wstępnych raportów wynika, że dziecko może mieć tylko kilka godzin. Jest badane przez lekarzy.

- To Ben! - mówię bez zastanowienia. - To on.

- Tego nie wiemy - powtarza MacAteer. - Musimy wykonać test DNA.

- Pozwólcie mi go zobaczyć, proszę. Mogłabym go nakarmić. Wciąż odciągam mleko.

MacAteer wymienia spojrzenia z Cyrusem. Myślą, że zawodzi mnie rozsądek. Zaczynam się kłócić, ale Cyrus mi przerywa:

- Pani Shaughnessy, proszę. Meghan, proszę tego bardziej nie utrudniać.

MacAteer wyjmuje małą plastikową fiolkę.

- Chcemy pobrać próbkę DNA, wymaz z wewnętrznej strony policzka.

- Oczywiście - mówi Jack, sięgając po test.

- Nie, ja powinnam to zrobić - oznajmiam natychmiast, świadoma niebezpieczeństwa i grzechów, które DNA mogłoby zdradzić.

- Matka albo ojciec, bez różnicy - mówi MacAteer.

Biorę od Jacka fiolkę i przeciągam wacikiem po wewnętrznej stronie policzka, potem wrzucam go do fiolki. MacAteer zamyka ją szczelnie i chowa do wewnętrznej kieszeni.

- Dam państwu znać, gdy tylko otrzymamy informację - mówi. - W tym czasie Hipwell zostanie tu, żeby media za bardzo się nie panoszyły. Dopóki nie będziemy wiedzieli nic więcej, wolałbym, żeby państwo nie wygłaszali żadnych publicznych oświadczeń.

Detektywi wychodzą z domu atakowani kolejną serią pytań. Annie i Cyrus zostają z nami. Cyrus pyta, czy ja lub Jack byliśmy kiedyś w Little Drayton albo czy kogoś tam znamy. Kręcimy głowami.

Jack włącza telewizor. Patrzymy na dziennikarkę, która stoi przed szpitalem w Stoke, z trudem panując nad włosami na wietrze, i mówi do kamery:

- Chłopiec, który waży niewiele ponad trzy kilogramy, został znaleziony w kartonowym pudle obok wejścia do głównej nawy kościoła. Ratownicy medyczni przewieźli go do Royal Stoke University Hospital, którego rzecznik wydał krótkie oświadczenie, twierdząc, że dziecko jest odwodnione, ale ogólnie w dobrym stanie. Odkrycie to wywołało liczne spekulacje, że znalezione dziecko może być Benem Shaughnessym, noworodkiem porwanym ze szpitala w Londynie przed sześcioma dniami. Policja odmawia komentarza, ale niedawno prowadzący śledztwo komisarz odwiedził rodziców Baby Bena, Jacka i Meghan Shaughnessych, w ich domu w Londynie.

Obraz zmienia się, widać komisarza MacAteera i jego kolegów wchodzących do naszego domu. Cała scena miała miejsce zaledwie dwadzieścia minut temu, a już jest w telewizji.

- To Ben - szepczę.

- Tego nie wiemy - mówi Jack.
- A co by to mogło być za dziecko?
- Ciągle gdzieś znajdują porzucone dzieci.

Kręcę głową.

- Wcale nie ciągle...

AGATHA

Dzwoni domofon. Śnią mi się pierwsze urodziny Rory'ego. Przyjeżdżają goście z prezentami i balonami. Na stole stoą upieczony przeze mnie tort w kształcie misia i półmiski z kiełbaskami w cieście i małymi kanapkami. Domofon znów dzwoni i cała ta scena się rozmywa. Słyszę głosy. Hayden rozmawia z kimś przez domofon. Chwilę potem spotyka się z kimś u szczytu schodów – to dwaj policjanci. Zerkam przez szparę w drzwiach sypialni.

- Przepraszamy za najście – mówi detektyw. – Chcielibyśmy rozmawiać z Agathą Fyfle.

- Ona śpi – odpowiada Hayden.

- Nie śpię! – wołam z sypialni. – Proszę mi dać parę minut.

Nasłuchując przy drzwiach, poprawiam suknię i czeszę włosy, mówiąc sobie, że muszę oddychać normalnie i zachować spokój. Przyszli w sprawie Nicky'ego czy dziecka? Ale czy to ważne?

Za daleko się posunęłaś.

To był wypadek.

Zabiłaś go.

Nie!

Pchnęłaś go.

Kocham Nicky'ego.

Policjanci siedzą na kanapie na dwóch jej końcach. Jeden ma na sobie mundur, drugi brzydki niebieski garnitur wyświecony na łokciach. Na mój widok grzecznie wstają. Ten umundurowany zbliża się do trzydziestki, ma krótko ostrzyżone włosy i okrągłą twarz, która ukrywa podwójny podbródek. Drugi to detektyw. Jest ze dwie dekady starszy, ma nos alkoholika i rzednące włosy.

Proponuję im herbatę albo kawę. Odmawiają, więc siadam w fotelu. Hayden przysiada na podłokietniku.

- Mogę zwracać się do pani Agatho? - pyta detektyw, a kiedy kiwam głową, mówi dalej: - Nie jestem pewien, czy słuchała pani wiadomości. Przedwczoraj na stacji metra South Kensington zdarzył się wypadek. Mężczyzna wpadł pod pociąg.

- To straszne!

- Uważamy, że może pani znać ofiarę - mówi detektyw. - To Nicholas David Fyfle.

Piszczę przerażona, zakrywając usta.

- To na pewno pomyłka.

- Czemu pani tak sądzi?

- Widziałam się wczoraj z Nickym, a może to było przedwczoraj? Nie, wczoraj. Byliśmy na kawie.

- Gdzie to było?

- W restauracji niedaleko Muzeum Wiktorii i Alberta.

Policjanci wymieniają spojrzenia.

- Czy dobrze mi się zdaje, że była pani żoną pana Fyfle'a? - pyta detektyw.

- To nieprawda - mówi Hayden. - To jej wuj.

Chwytam go za rękę i zwracam się do detektywów.

- Rozwiedliśmy się trzy lata temu.

Hayden zabiera rękę.

- Nie mówiłaś, że byłaś mężatką. - Jego słowa brzmią jak oskarżenie.

- To nie trwało zbyt długo - tłumaczę.

- Co? Przecież powiedziałaś, że to twój wuj.

Hayden przesadza, wprawia mnie w zażenowanie w obecności obcych ludzi. Wiedziałam, że będzie zazdrosny, dlatego to przed nim ukryłam.

Policjanci wymieniają spojrzenia, są wyraźnie skrępowani, nie mają ochoty włączać się w domowe spory. Ten starszy odchrząkuje.

- Kiedy była pani na kawie z panem Fyfle'em, jakie zrobił na pani wrażenie?

- Dobrze. Świetnie. Przyjechał do Londynu na konferencję. - Wycieram nos w chusteczkę.

- Jak opisałaby pani stan jego umysłu?

- Nie jestem pewna, czy rozumiem pytanie.

- Wydawał się zdenerwowany czy może czymś zasmucony?

- Zasmucony? Nie, wcale. Mówił o swojej żonie i pasierbach.

Myślę, że trochę tęsknił za domem.

- Tak pani powiedział?

- Nie, ale dał mi to do zrozumienia.

- Czy wspominał o jakichś małżeńskich problemach?

- Raczej nie.

- W takim razie o czym mówił?

- Powiedział, że „nie spełnia wszystkich oczekiwań”. - Palcami pokazuję cudzysłów.

- Jakich oczekiwań?

- Zakładam, że miał na myśli oczekiwania żony.

- Problemy finansowe?

- Jest pisarzem - odpowiadam, jakby to wszystko tłumaczyło.

Policjant w cywilu dopytuje:

- Więc rozstaliście się w przyjaźni?

- Absolutnie.

- Zatrzymała pani jego nazwisko?

- Tak.

- Czemu?

- Nie wiem, naprawdę. Nie chciało mi się zajmować tymi

wszystkimi formalnościami, wymianą prawa jazdy, paszportu, kart kredytowych...

Hayden krąży przy oknie, udaje, że przez nie patrzy, ale rzuca wzrokiem z boku na bok.

- Gdzie się pożegnaliście? - pyta detektyw.

Wracam pamięcią do tamtej chwili.

- Na ulicy, przed kawiarnią.

- I wtedy widziała pani pana Fyfle'a po raz ostatni?

Waham się. Nie chcę, żeby mnie przyłapali na kłamstwie. Odtwarzam w myślach tamtą scenę. Moja twarz była ukryta. Gdyby kamery mnie nagrały, nie zadawałoby tych pytań.

- Pomyślałam, że mogłabym pogadać z nim jeszcze chwilę na stacji metra, ale on mnie wyprzedził.

- Co pani robiła na stacji metra?

- Chciałam złapać pociąg do Earl's Court. Nicky powiedział, że jedzie na Victoria Station.

- Widziała go pani na peronie?

- Nie, pojechałam Piccadilly Line.

- Czemu nie poszliście razem na stację? - pyta detektyw.

- Wpadłam na ten pomysł dopiero wtedy, kiedy Nicky się oddalił.

Wtrąca się Hayden:

- Więc ten gość skoczył czy został popchnięty?

- Czemu uważa pan, że został popchnięty? - pyta starszy detektyw, odwracając się całym ciałem do Haydena, który natychmiast się denerwuje.

- Bez powodu - mówi. - Zadajecie tyle pytań. Gdyby facet rzucił się pod pociąg, po co by to było?

Wzdrygam się i zerkam na policjantów przepaszająco.

Detektyw patrzy na mnie.

- Rozmawialiśmy z kilkoma świadkami, którzy sugerują, że pan Fyfle mógł zostać przez kogoś popchnięty. Albo że ktoś celowo się z nim zderzył. Kamery również wskazują na taki kontakt, który nie mógł być przypadkowy.

- Kto to był? - pyta Hayden.

- Nie udało nam się zidentyfikować tej osoby. On lub ona miała na sobie długi płaszcz z kapturem. - Detektyw przekrzywia głowę.

- Ma pani taki płaszcz, pani Fyfle?

- Panno - poprawiam go.

- Panno Fyfle.

- Nie popchnęłam Nicky'ego!

- Pytałem, czy ma pani płaszcz z kapturem.

- Jak wyglądał?

- Czarny, a może granatowy, z dużym kołnierzem, który zamienia się w kaptur.

Zerkam na Haydena, który czeka na moją odpowiedź.

- Miałam kiedyś podobny płaszcz, ale oddałam go dla biednych.

- Kiedy to było? - pyta policjant w mundurze.

Milczę, jakbym wysilała pamięć.

- Kilka tygodni temu. Wrzuciłam go do pojemnika na ubrania.

Widzę odbicie Haydena w szybie. Patrzy na mnie.

- Cóż - mówi detektyw, wycierając ręce w spodnie. - Chyba wszystko już wiemy. Gdyby pani sobie coś przypomniała...

- Na pewno dam znać.

Gdy są już przy drzwiach, detektyw odwraca się i pyta:

- A tak z ciekawości, czy to pan Fyfle się z panią kontaktował, czy pani z nim?

- On do mnie zadzwonił.

- Ile czasu minęło, odkąd ostatnio rozmawialiście?

- Lata.

- Więc czemu dzwonił?

- Dowiedział się o dziecku.

- O dziecku?

- Dziesięć dni temu urodziłam. - Wskazuję na kartki na półce nad kominkiem, niektóre od przyjaciół, niektóre sama do siebie wysłałam.

- Gratuluję.

- Dziękuję. Nie udało nam się z Nickym zostać rodzicami, choć próbowaliśmy. Myślę, że dlatego w końcu się rozstaliśmy, ze stresu i rozczarowania.

- Rozumiem - mówi detektyw.

Nie podoba mi się jego ton. Nie wiem, czy naprawdę rozumie ani ile zrozumiał, ani czy mi wierzy.

- Do widzenia, panie Cole - mówi detektyw do Haydena, który nie odpowiada.

Stoję na podeście i odprowadzam ich wzrokiem, kiedy schodzą po schodach, i szykuję się na to, co mnie czeka.

Hayden chodzi w tę i z powrotem za sofą, ciągnąc się za ucho. Czasami tak robi, kiedy nad czymś myśli. Siadam i kręcę głową, żeby utrzymać z nim kontakt wzrokowy.

- Czemu skłamałaś? Powiedziałaś, że to twój stary przyjaciel czy wujek.

- Bałam się, że będziesz zazdrosny.

- Ja? Czemu?

- Mężczyźni dziwnie reagują na takie rzeczy.

- Tak? Kto ci tak powiedział? Twoi inni mężowie?

- Był tylko jeden. Nie bądź taki, proszę.

- Czemu się rozwiedliście?

- Nie mogliśmy mieć dziecka. Nicky miał zbyt niski poziom plemników. Próbowaliśmy wszystkiego, ale nic nie działało. O tym

rozmawialiśmy przy kawie.

- Czy Jules wie, że byłaś mężatką?

- Nie! Tak, być może jej o tym wspomniałam.

- Więc wiedzą wszyscy prócz mnie?

- Nie wszyscy.

- Czego jeszcze mi nie powiedziałaś?

- Niczego.

- A co z płaszczem? Powiedziałaś glinom, że oddałaś płaszcz, a on wisi w twojej szafie.

- To nie ten, o którym mówiłam.

- Co?

- To inny płaszcz.

- Wygląda tak samo.

- Lubię ten styl. Stary był już powycierany na łokciach i brakowało w nim dwóch guzików.

- Kiedy kupiłaś nowy płaszcz? Prawie nie wychodzisz z domu.

- Kupiłam w internecie. Dostarczyli go, kiedy cię nie było.

Hayden chce mi wierzyć, ale widzę, że ze sobą walczy. Nienawidzi tajemnic i nie lubi być zaskakiwany. Jednocześnie podoba mu się rola ojca i zabawa w szczęśliwą rodzinę. Widzę to w jego oczach i słyszę w jego głosie, kiedy mówi o Rorym.

Staję za nim i obejmuję go, przytulam, przyciskam głowę do jego pleców. Hayden odwraca się, zaczynamy się całować. Otwieram oczy i widzę, że mi się przygląda. Istota ślizga się we mnie i owija się wokół serca, powoli się na nim zaciska.

Głupia! Głupia! Głupia!

MEGHAN

To dziecko to nie Ben. Według szpitala miało ledwie sześć godzin, kiedy je podrzuciono. Szesnastoletnia matka urodziła w swojej sypialni, wyniosła synka w szkolnej torbie i zostawiła na schodach kościoła. Matka i jej niechciane dziecko zostali połączeni. Jakie to wzruszające!

Moją pierwszą reakcją było zaprzeczenie. Stwierdziłam, że dziewczyna kłamie, i domagałam się testu DNA. Co za ironia! Kręciłam głową, świadoma swojej irracjonalności. To cudze dziecko, a jednak wydawało mi się to niesprawiedliwe. Ona nie chce tego dziecka. Nie zasługuje na nie.

Annie przekazała mi tę wiadomość. Poczułam się słaba i położyłam się do łóżka, ściskając pudełko chusteczek. Później przyszedł do mnie Jack i usiadł obok mnie. Wiedziałam, że chciał porozmawiać, ale udawałam, że śpię. Nazwijcie mnie tchórzem, ale przecież wiem, jak skończy się taka rozmowa. Po pierwsze obwinię Jacka, że nie chciał Bena, że sugerował aborcję, że w duchu życzył sobie takiego rozwiązania. On będzie na mnie patrzył jak futrzana foka, która ma zostać zakatowana, i będzie mnie błagał o wybaczenie, a ja mu wybaczę, bo wiem, że to nie jego wina, chociaż wybaczenie nie będzie szczere, ponieważ nie popłynie z serca.

Im dłużej to trwa, tym jest gorzej. Z początku trzymałam się dzięki wsparciu bliskich i ogólnej życzliwości, ale teraz mi to nie wystarcza. Moje życie się zatrzymało. Planeta przestała się obracać. Przypominam sobie wciąż słowa Annie, że brak wiadomości to dobre wiadomości, ale czy taka jest prawda? Już tego nie wiem. Mam nadzieję na cud, choć boję się, że Bóg karze

mnie za niewierność wobec Jacka albo za brak wiary w Niego. Jeśli chodzi o religię, należę do wątpiących, którzy wciąż domagają się dowodu. Którzy są na przemian pełni podziwu i przerażeni, że wierzący w imię tego samego Boga tworzą piękno i zadają okrucieństwo.

Próbuję się modlić, ale mam kłopot z przypomnieniem sobie pieśni i modlitw z czasów szkoły niedzielnej. Jedyna modlitwa, jaką pamiętam z naszych cotygodniowych spotkań, kiedy staliśmy w grupach, przyrzekając kochać się nawzajem, mówi, że „tak jak wiele rąk buduje dom, tak wiele serc tworzy szkołę”. Zamykam oczy i przywołuję moje własne słowa. Nasłuchuję. Liczę na odpowiedź.

Nic.

Bóg ma inne zadanie.

Tego popołudnia mamy konferencję prasową. Komisarz MacAteer prosił, żebyśmy przyjechali wcześniej, żeby przygotować to, co mamy powiedzieć. Tuż po drugiej wyjeżdżamy z domu. Po raz pierwszy od wieków zrobiłam sobie makijaż i włożyłam spódnicę sprzed ciąży, nie dopinając górnego guzika, który ukryłam pod swetrem.

Komisariat jest bardziej obdrapany, niż się spodziewałam. Poza komputerami i drukarkami, nie wygląda na nowoczesny, wyposażony w najnowsze technologie czy laboratorium kryminalistyczne. Centrum koordynacyjne jest zagracone i głośnie, pełne funkcjonalnych mebli, które były pewnie modne w latach dziewięćdziesiątych. Detektywi w cywilnych ubraniach odbierają telefony i stukają w klawiatury. Jak mają znaleźć Bena? – chcę zapytać. Powinni chodzić od drzwi do drzwi i potrząsać gałęziami drzew.

Cyrus Haven siedzi już przy stole konferencyjnym, ubrany

w znajome luźne dzinsy i zapiętą pod szyją koszulę. Natychmiast ogarnia mnie spokój. Nie wiem czemu, ale przy nim czuję się, jakbym dała radę przez to przejść.

MacAteer wyjmuję z kieszeni gumę do żucia. Odpakowuje ją z folii, wkłada do ust i głośno żuje, żeby poczuć smak.

- Prosiłem doktora Havena, żeby przygotował nową strategię.

- Czemu potrzebujemy nowej strategii? - pyta Jack, który wyraźnie szykuje się do kłótni.

MacAteer natychmiast odpięra atak:

- Ponieważ obecna nie działa.

- Okoliczności uległy zmianie - dodaje Cyrus, którego głos emanuje spokojem. - Kiedy Ben został zabrany, wybraliśmy strategię bezpośredniego apelowania do kobiety, która go porwała. Chcieliśmy jej pokazać ogrom bólu, jaki państwu zadała, i zachęcić ją do oddania dziecka z własnej woli. Teraz posunęliśmy się dalej. Im dłużej ona ma u siebie Bena, tym silniejsza staje się łącząca ich więź. Jeśli do tej pory nasze działania nie odniosły skutku, musiała się wydarzyć jedna z dwu rzeczy. Albo ona przestała nas słuchać, albo postanowiła nie reagować.

- Chce pan powiedzieć, że nic jej to nie obchodzi - mówię.

- Chcę powiedzieć, że nie istniejecie państwo w jej kalkulacjach. Ją obchodzi wyłącznie Ben.

Czuję się chora.

- Dlatego chcę zmienić nasze wiadomości - mówi dalej Cyrus. - Zamiast apelować wprost do sprawczyni, będziemy zwracać się do otaczających ją osób, do jej przyjaciół, rodziny i sąsiadów. Podpowiemy im powody, dla których powinni zadać jej pytania. Pomożemy im zobaczyć, że osoba, która ma Bena, popełniła nieprzemyślany błąd i nie potrafi odróżnić dobra od zła. Jeśli

naprawdę chcą jej pomóc, powinni się z nami skontaktować.

- Myśli pan, że ktoś ją wyda - mówi Jack.

- Jeśli podpowiemy im właściwe powody.

- Czemu dotąd tego nie zrobili? - pytam.

- Może się boją, może są skonfundowani albo nie mają ochoty się angażować. Możemy to zmienić, używając bardzo łagodnego tonu i unikając konfrontacji. Musimy pomóc ludziom zrozumieć, że osoba, która zabrała Bena, nie jest przez nas postrzegana jako przestępca, którego trzeba schwytać i ukarać. Ona jest ofiarą. Stało się coś strasznego, co skłoniło ją do podjęcia tak potwornej decyzji. Być może straciła dziecko albo odmówiono jej adopcji. Ogromnie cierpiała, dlatego musimy okazać jej współczucie i zrozumienie. Musimy nakłonić innych, że zaczęli myśleć w podobny sposób i zainterweniowali przez wzgląd i na nas, i na nią.

Jack poburkuje:

- Więc nie dość, że straciliśmy dziecko. To za mało, to ona zasługuje na współczucie?

- Jeśli ją znajdziemy, znajdziemy Bena - mówi MacAteer, którego chyba już męczy marudzenie Jacka.

Cyrus kontynuuje:

- W tej chwili to media kontrolują przekaz. Znajdują nowe osoby, z którymi codziennie przeprowadzają wywiady, przekazują plotki zamiast faktów. Musimy to zmienić. Od tej pory będziemy mówić jednym głosem i stawiać jasno określone cele. Pierwszy krok to wyznaczenie jednej osoby, która będzie się kojarzyła z naszym przekazem.

- Okej, zgadzam się - mówi MacAteer.

- Nie, nie pan - mówi Cyrus. - Jest pan policjantem. Reprezentuje pan stronę, która kojarzy się z karą.

- Więc kto?

Cyrus patrzy na mnie.

- Nie, nie, ja nie. - Kręcę głową, lecz nie dlatego, że jestem wstydliva, ale z przerażenia. - A jeśli popełnię błąd? Mogę ją zdenerwować.

- Napisałem dla pani tekst. Pani musi to tylko odczytać.

- Czemu Jack nie może tego zrobić? Jest przyzwyczajony do występów przed kamerą.

- W pani ustach to będzie miało większą siłę.

Jack dotyka mojego ramienia.

- Poradzisz sobie. Pomogę ci.

Błyskają flesze, klikają migawki, lampy ekip telewizyjnych rzucają białe światło na moją przygnębioną twarz. Wydaje się, że to transmitowany na żywo proces, a nie konferencja prasowa. Kamery telewizyjne ustawiono w półkole przed podestem, na którym stoją długi stół i krzesła. Fotoreporterzy wykrzykują nasze imiona, żebyśmy się odwrócili w tę, a to znów w inną stronę.

Mrugam oślepiona światłami, oczy mam zażawione, spuszczam głowę, żeby się upewnić, że nie potknę się na stopniach. Jack jest obok mnie, mam jednak dziwne uczucie pustki, jakbym była sama, wrażenie braku osoby, która znajduje się tuż obok mnie. Chcę wziąć go za rękę, ale coś mnie powstrzymuje.

MacAteer wyciąga dla mnie krzesło. Poprawiam spódnicę i siadam prosto, ze złączonymi kolanami, patrzę przed siebie, widząc białe plamy fleszy pod powiekami.

Kiedy szum ucicha, przychodzi moja kolej. Próbuję sobie przypomnieć, co powiedział Jack - żebym patrzyła prosto do kamery i nie myślała o tym, ilu ludzi na mnie patrzy. Kilka pierwszych słów wypowiadam drżącym głosem, ale z czasem nabieram pewności.

- To były trudne, pełne emocji dni. Całych dziewięć dni. Jesteśmy bardzo poruszeni licznymi wyrazami wsparcia, listami ze słowami pocieszenia i modlitwami w naszej intencji. - Urywam i podnoszę wzrok znad kartki. - Jakby Ben został zaadoptowany przez cały nasz kraj i należał do nas wszystkich, co jest ogromnie przejmujące. - Przerywam na moment, przetykam. - Dziś moje słowa płyną prosto z serca, ponieważ nie sędzę, żeby ktokolwiek mógł sobie wyobrazić, ile znaczy dla nas Ben. Jesteśmy silną rodziną, ale w tej chwili nie jesteśmy pełną rodziną. Mamy w domu małego syna i córeczkę, którzy jeszcze nie poznali swojego brata. Ich serca są złamane, a my nie możemy im wytłumaczyć, co się stało. Sama nie potrafię sobie tego wytłumaczyć.

Instynktownie zrobiłam pauzę, dopiero po chwili podjęłam:

- Wiem, że ktoś gdzieś musi wiedzieć, co się stało z Benem. Może nie zdajecie sobie sprawy z ogromu tej tragedii albo nie jesteście całkiem pewni, co się zdarzyło, albo się boicie. Może podejrzewacie kogoś, kogo kochacie, i dlatego tak trudno wam powiedzieć o tym innym. Rozumiem lojalność i miłość. Wiem, co znaczy siła rodziny.

Obiecałam sobie, że nie będę płakać, ale czuję łzy pod powiekami. Biorę się w garść, przypominam sobie słowa doktora Havena. „Porywaczka mogła przestać oglądać, ale jej przyjaciele i rodzina będą pani słuchać”. A ja sobie ich wyobrażam i mówię do nich:

- Jeśli macie jakieś podejrzenia, milczeniem nikomu nie pomagacie. Powiedzcie o tym komuś. Zadzwońcie. Zostawcie wiadomość. A przynajmniej dajcie nam znać, że Ben jest bezpieczny. Tylko tego pragnę, jakiegoś znaku, że jest cały i zdrowy.

Ostatnie słowa utykają mi w gardle i tylko je wyszeptuję. Jack otacza mnie ramieniem. Opieram na nim głowę i rozpływam się w jego objęciu.

Dziennikarze zaczynają wykrzykiwać pytania. Jeden krzyczy najgłośniej:

- Czemu nie zrobicie testu DNA wszystkich dzieci urodzonych w tym samym czasie?

MacAteer bierze mikrofon.

- Każdego dnia w Wielkiej Brytanii przychodzi na świat ponad dwa tysiące dzieci. Nie możemy zmusić rodziców, żeby dali nam próbki DNA. A nawet gdybyśmy mogli, kosztowałyby to miliony funtów.

Ktoś inny woła:

- Czy potwierdzono któreś z licznych zgłoszeń?

- Wciąż śledzimy setki tropów.

Kolejny dziennikarz podnosi rękę.

- Czemu nie pokazaliście więcej nagrań ze szpitalnych kamer?

- Nagrania są tak kiepskiej jakości, że mogłyby nas tylko zmylić i jeszcze bardziej utrudnić nam pracę.

- Dlaczego?

- Jediną osobą, która mogłaby rozpoznać porywaczkę na tych nagraniach, jest sama porywaczka. Nagrania, zamiast pomóc zidentyfikować tę kobietę, mogłyby ją tylko przestraszyć i zdenerwować. Nie jesteśmy tu, by kogoś karać. Osoba, która zabrała Bena Shaughnessy'ego, potrzebuje pomocy i wsparcia. Możemy jej to zaoferować. Możemy zapewnić jej leczenie. Możemy jej zapewnić terapię.

AGATHA

- Wyłącz telewizor - mówię.

Hayden patrzy na mnie zdziwiony.

- Nie interesuje cię to?

- Nie.

- Czemu?

- Bo mnie to przygnębia.

To prawda, ale nie mogę wyjaśnić tego Haydenowi. Wiem, jak to jest stracić dziecko. Przeżyłam to, co teraz czuje Meg, ale ona ma Jacka, Lachlana i Lucy. O nich powinna myśleć.

Hayden ścisza telewizor, sięga po program TV i kartkuje go.

- Więc kto twoim zdaniem go porwał? - pyta.

- Kogo?

- Baby Bena.

Wzruszam ramionami, chcę porzucić ten temat.

- Zmieniłem zdanie - mówi Hayden.

- W jakiej sprawie?

- Myślałem, że to bogacz, który chciał mieć dziecko, ale teraz myślę, że to jakaś wariatka.

- Czemu uważasz, że to wariatka?

- Bo to logiczne - odpowiada. - Sama to powiedziałaś. Pewnie nie mogła mieć własnych dzieci albo straciła dziecko, i trochę jej się pomieszało w głowie.

- Wiele kobiet traci dzieci.

- Wiesz, o czym mówię. - Opiera stopy na małym stoliku, czego nie znoszę. - Oni teraz udają, że ona potrzebuje pomocy. Ale gdyby chodziło o naszego Rory'ego, chciałbym ją zabić. Wytropiłbym ją i zrobił to własnymi rękami.

- Udusiłbyś ją?

- Tak. Jestem wytrenowany, no wiesz, trenuję walki wręcz. - Unosi dłonie. - To śmiertelna broń.

- Zabiłbyś bezbronną kobietę?

- Tak, gdyby zabrała nasze dziecko. - Drapie się w krocze i przygląda się strupowi na łokciu. - Nie ujdzie jej to na sucho.

- Tak?

- Ktoś ją wyda, to jasne. Pojawiła się w domu z dzieckiem, którego nie może karmić piersią albo które budzi sąsiadów płaczem. A co się stanie, kiedy dziecko zachoruje albo trzeba będzie je zaszczepić? Co będzie, jak zaczniesz chodzić do szkoły?

- To całe lata.

Macha na mnie lekceważąco.

- Co z numerem ubezpieczenia, świadectwem urodzenia czy prawem jazdy? A jak kiedyś zechce ubiegać się o paszport?

- Do tej pory ludzie o tym zapomną.

- Mówisz, jakbyś chciała, żeby jej to uszło na sucho.

- Nie, uważam tylko, że to niewykluczone.

Hayden prycha, a ja się zastanawiam, czy chce mnie sprowokować, czy coś podejrzewa. Istota powoli się rozwija, przeciska się przez moje jelita, zamienia ich zawartość w papkę.

On wie! On wie!

Cii!

On wie! On wie!

- Kogo uciszasz? - pyta Hayden.

- Nikogo.

Zaczynam szykować jedzenie dla Rory'ego. Hayden patrzy, jak odmierzam łyżeczką mieszankę dla niemowląt i wsypuję ją do butelek z gotowaną wodą.

- Myślałem, że jeszcze odciągasz pokarm.

- To jest tylko na wszelki wypadek.
- Czemu nie pozwolisz mu possać?
- Bolą mnie sutki.
- Kiedy ci przejdzie?
- Nie wiem.
- Co by robiła ta kobieta, która ukradła dziecko? - pyta.
- O co ci chodzi?
- Jak by karmiła Baby Bena?
- Pewnie mieszanką dla niemowląt.

On wie! On wie!

- Ciekawe, jak jej się to udało? - znów pyta Hayden.
- Nie wiem.
- Może udawała, że jest w ciąży, i przekonała wszystkich, że będzie miała dziecko - mówi Hayden.
- To mało prawdopodobne, prawda? Udawać przez dziewięć miesięcy?

Hayden wyskrobuje brud z za paznokci.

- Myślałem, że dlatego przyszła policja.
- To znaczy?
- Myślałem, że ci dwaj gliniarze sprawdzają wszystkie kobiety, które urodziły w ostatnich dwóch tygodniach.
- Urodziłam Rory'ego, zanim porwano Bena.
- Taa, masz rację - mówi wymijająco.

Zapala papierosa, uchyla okno w pokoju i klęka na podłodze, żeby wydmuchiwać dym na zewnątrz. Mimo to wciąż go czuję. Chcę mu powiedzieć, żeby poszedł z papierosem na dół, ale milczę. Zastanawiam się, czy policja mnie sprawdzała. Nie zarejestrowałam narodzin Rory'ego, ale prawo daje mi na to miesiąc. Rory nie potrzebuje świadectwa urodzenia, więc mogę to odłożyć jeszcze przez jakiś czas bez niczyjej wiedzy.

- Powinnaś zadzwonić do tej kobiety - odzywa się znów Hayden, gasząc niedopałek na parapecie.

- Której?

- Mamy Baby Bena. Powinnaś się dowiedzieć, jak sobie radzi.

- Nie chcę jej niepokoić.

- Ale to twoja koleżanka. - Jego twarz jaśnieje. - Kurwa!

- Co?

Hayden podnosi się na nogi.

- Powinniśmy zadzwonić do gazet.

- Po co?

- Mogłabyś sprzedać swoją historię.

- Nie mam żadnej historii.

- Przecież masz. Twojej najlepszej przyjaciółce ukradziono dziecko. Byliby zachwyceni! Rozumiesz, jedna świeżo upieczona matka mówi o drugiej, o swojej koleżance. Złamane serca. To może być warte fortunę, a przynajmniej z tysiąc. Może więcej.

- Ona nie jest moją najlepszą przyjaciółką.

- Oni tego nie wiedzą.

- Nie!

Hayden nie słucha moich protestów.

- Mogłabyś udzielić wywiadu w telewizji. Jak się nazywa ten program...

- Nie pójdę do telewizji. Meg nie jest moją bliską koleżanką.

- Sama mówiłaś...

- Chodziłyśmy razem na jogę.

- Byłaś u niej w domu.

- Raz.

- Rozmawiałaś z nią już po tym, jak to się stało?

- Nie. Wysłałam jej wiadomość, napisałam, że modlę się za jej dziecko. Chciałam wysłać kartkę, ale nie wiem, czy to właściwe.

Hayden osuwa się gwałtownie na sofę, zły, że nie chce się zgodzić.

- Przydałyby nam się te pieniądze.

- Nie potrzebujemy ich.

Przez kolejny kwadrans Hayden jest w złym nastroju. W końcu mówi:

- Założę się, że na tym zarobią. Pozwą szpital i sprzedadzą swoją historię temu, kto da najwięcej. Wyobraź sobie tylko, idealna para, gwiazdor telewizyjny, jego atrakcyjna żona i ich skradzione dziecko. Wycisną z tej sytuacji, ile się da.

- Nie są taką idealną parą - oznajmiam.

- Co masz na myśli?

- Nic, zapomnij o tym.

MEGHAN

Jack wyszedł z domu parę godzin temu, nie zdradzając, dokąd się wybiera. Patrzyłam na niego z okna na górze, kiedy maszerował przez tłum dziennikarzy, ignorując ich pytania, i wsiadł do samochodu. Wczoraj zrobił dokładnie to samo. Wrócił do domu, kiedy leżałam już w łóżku.

- Co robiłeś? - spytałam go dziś rano.

- Chodziłem - odparł, jakbym zadała mu głupie pytanie.

Wiem, że jest pod presją. Z każdym mijającym dniem wygląda na bardziej otumanionego, jak niedźwiedź polarny trzymany zbyt długo w zamknięciu i kołyszący się na boki. Wciąż pyta, czemu policja jeszcze nie znalazła Bena. Wie, że nie mogę mu na to odpowiedzieć, ale i tak pyta, bo to lepsze niż milczenie.

W naszym domu nie ma już żadnego policjanta na stałe, ale Lisa-Jayne albo Annie codziennie nas odwiedzają i informują. Od konferencji prasowej minęły dwa dni, w reakcji na nią policyjna gorąca linia omal się nie zatkała, pojawiły się dziesiątki nowych zgłoszeń, ale żadnego z nich nie potwierdzono. Pośród zalewających nas nowymi informacjami są marnujący nasz czas trolle, wariaci, jasnowidze i wyznawcy teorii spiskowych. Zamknęłam dzisiaj mojego bloga, bo niektóre wiadomości były strasznie toksyczne.

Cały czas wykonuję wszystkie matczyne obowiązki. Szykuję dzieciom kolację, ścielę łóżka, całuję ich czoła, śpiewam kołysanki. Mam nadzieję, że ktoś robi to samo dla Bena.

Cyrus twierdzi, że kobieta, która go uprowadziła, zapewne jest bezdzietna albo straciła dziecko, lub też próbuje utrzymać swój związek. Znałam takie małżeństwa. Jestem prawie pewna, że dwie

z moich najlepszych przyjaciółek zaszły w ciążę, żeby zatrzymać swoich mężczyzn, którzy wciąż się wahali. Czy to coś złego? Ich małżeństwa przetrwały. Teraz mają więcej dzieci, hipoteki i wszystkie inne małżeńskie pułapki. Gdybym miała odwagę o to spytać, założę się, że żadna z tych kobiet nie żałuje tego, co zrobiła, by „przypieczętować umowę”.

O dziewiątej dostaję telefon z policji. Sierżant z komisariatu w Fulham powiadamia mnie, że Jack został aresztowany za napad na jakąś kobietę i próbę porwania jej dziecka.

- Mój Boże! Nic się im nie stało? Dziecku i tej kobiecie?

- Wszystko w porządku - mówi sierżant. - Ale napadnięta upiera się, żebyśmy wnieśli oskarżenie. Wyjaśniłem jej sytuację, ale nadal obstaje przy swoim.

- Gdzie jest Jack?

- W celi.

- Muszę wpłacić kaucję?

- To nie będzie konieczne, ale ktoś musi go stąd odebrać.

- Mógłby go pan wsadzić do taksówki?

- Czułbym się lepiej, gdyby ktoś po niego przyjechał.

Rozłączam się i zastanawiam, czy powinnam zadzwonić do rodziców, ale nie chcę, żeby się o tym dowiedzieli. Budzę Lucy i Lachlana, ubieram ich w szlafroki i kapcie.

- Dokąd jedziemy? - pyta Lucy.

- Po tatusia.

- Gdzie on jest?

- Rozmawiał z policją.

Temperatura spadła, jest za zimno, żeby dziennikarze i fotoreporterzy stali na zewnątrz. Większość z nich siedzi w samochodach, od czasu do czasu włączają silniki, żeby się ogrzać. Poruszam się szybko, przypinam dzieci do fotelików,

zanim przyciągnę ich uwagę.

- Jest coś nowego? - woła jeden z nich, gdy docieram do drzwi od strony kierowcy.

- Nie.

- Myśli pani, że Baby Ben wciąż żyje?

Wzdrygam się i odwracam.

- To obrzydliwe mówić takie rzeczy.

Dziennikarz czeka na odpowiedź. Wsuwam się na siedzenie i zatraskuję drzwi, nerwowo szukając kluczyków. Kolejni dziennikarze wykrzykują pytania. Ignoruję ich, ruszam i omal nie potrącam kamerzysty, który nagle wyskakuje przed maskę.

- Czemu pytał, czy Ben żyje? - pyta Lucy.

- Nie powiedział tego.

- Czy Ben może nie żyć?

- Nie.

- Kto nie żyje? - pyta Lachlan.

- Wszyscy żyją, nikt nie umarł.

Włączam im jakąś bajkę i uchylam okno. Zimne powietrze pomoże mi zachować przytomność. Nie powinnam prowadzić tak szybko po cesarce. Cholerny Jack!

Sierżant jest szczupły i przygarbiony, ma włosy jak szczotka do szorowania. Pozwala nam zaczekać w swoim pokoju, z dala od wścibskich oczu, kiedy Jacka przyprowadzają z celi.

Policja zdołała prześledzić jego ruchy. Zaczął w King's Arms na Fulham Road, pijąc piwo i popijając whisky. Stamtąd przeniósł się do Duke na Green i do White Horse. W pewnym momencie wylądował w The Trafalgar na King's Road, gdzie właściciel pubu odmówił obsłużenia, kiedy Jack obraził barmana. Niecałą przecnicę dalej stał się z kobietą, która prowadziła psa i pchała wózek z dzieckiem. Kobieta zaczęła krzyczeć. Dwaj mężczyźni

przyszli jej z pomocą. Jack zadał cios, ale oni go obezwładnili. Kiedy zadzwonili na policję, przechodnie powiedzieli kobiecie, że nie może odejść, dopóki nie potwierdzi swojej wersji funkcjonariuszowi, co jeszcze bardziej ją zdenerwowało.

- Gdzie ona teraz jest? - pytam sierżanta.
- Odesłaliśmy ją do domu.
- Chcę ją przeprosić.
- Może najlepiej będzie zostawić ją w spokoju.

Jack wchodzi, szurając nogami, eskortowany przez dwóch posterunkowych. Brakuje mu guzików u koszuli, na czole ma krwawiące zadrapanie. Nie wiem, od czego ma plamę na spodniach. Mam nadzieję, że to nie mocz. Nie zauważa nas, kiedy podpisuje odbiór portfela i telefonu.

W drodze do samochodu Lucy i Lachlan milczą. Żadne z nich nie bierze Jacka za rękę, jakby wyczuwali, że nie wszystko z nim w porządku. Chcę coś powiedzieć, chcę go zgromić za nieszczęsny egocentryzm i durne uzalanie się nad sobą. Jednocześnie wyobrażam sobie, jak krąży po ulicach pogrążony w szaleństwie.

Jedziemy do domu w milczeniu. Jack wsadza koszulę za pasek spodni i przeczesuje włosy palcami, zanim stawimy czoło plutonowi egzekucyjnemu złożonemu z kamer przed naszym domem. Kiedy zamykamy za sobą drzwi, Jack idzie na górę. Słyszę szum wody pod prysznicem. Kładę dzieci do łóżek i robię sobie gorącą czekoladę. Zabieram ją do pokoju i z kubkiem w dłoniach siadam na sofie, podkulając nogi.

Skrzypią schody. Jack szuka mnie w kuchni i pralni, w końcu znajduje mnie w zaciemnionym pokoju.

- Co robisz?
- Myślę.

Siada na podłodze i opiera głowę o moje udo. Moja ręka zawisa nad jego głową, ale jakoś nie jestem w stanie go pogłaskać.

- Musisz mi wybaczyć, Megs - szepcze.

- Nie mam ci czego wybaczać.

Siada prosto i mówi żarliwie:

- Proszę, przestań. Łamiesz mi serce. Spójrz na mnie.

Nie mogę.

- Wiem, że mnie obwiniasz - dodaje Jack.

- Nie obwiniam cię.

- Ależ tak.

Słyszę zduszony szloch.

- Myślisz, że nie chciałem kolejnego dziecka. Myślisz, że to moja wina, ale to nie fair.

- Wiem.

- Ja też za nim tęsknię.

- Wiem.

Wyciągam rękę, odsuwam grzywkę z czoła Jacka i przebiegam palcami po mokrych włosach. Jack drży.

- Wiem, że to nie fair, ale nie wiem, kogo innego winić - mówię.

- Nie mogę tak żyć, Megs. Nie możesz mnie wciąż odtrącać.

- Przepraszam.

- Chcę, żeby było jak wcześniej.

- Ja też.

Jego oczy lśnią.

- Wciąż się zastanawiam, co takiego zrobiliśmy, żeby sobie na to zasłużyć.

- Nikt na to nie zasługuje.

- Chodzi o mnie, Megs. Czuję się, jakbym cuchnął. Nawet Simon ze mną nie rozmawia.

Moje mięśnie sztywnieją.

- Kiedy ostatnio widziałeś Simona?

- Byłem dziś u niego. Oskarżył mnie, że się nad sobą użalam. Powiedziałem mu, że nie ma pojęcia, jak to jest być ojcem i stracić dziecko.

- Co on na to?

- Powiedział, że ze mnie dupa wołowa, a on świetnie wie, jak to jest. Że gdybym bardziej pilnował domowych spraw, mogłoby do tego nie dojść. Spytałem, co ma na myśli, a on na to: „Spytaj Megs”.

- Mnie?

- Taa.

- Nie mam pojęcia, o co mu chodziło.

- Coś się wydarzyło? Bo kiedyś dobrze wam się z Simonem układało, a teraz nie chcesz go tu widzieć. Powiedział coś nie tak albo zrobił? Dotykał cię?

- Już to przerabialiśmy.

- Bo jeśli tak...

- Nie dotykał mnie.

Jack wzdycha i przyciska palce do rany na czole.

- Przepraszam za dzisiaj.

- Powinieneś się położyć.

- Nie mogę spać.

- Weź moją tabletkę.

Całuje mnie w policzek, a chwilę potem słyszę, jak wchodzi po schodach. Dwadzieścia minut później idę za nim i znajduję go cicho pochrapującego w naszym łóżku. Sprawdzam, czy Lucy i Lachlan śpią, wkładam ciepłą bluzę i sznuruję sportowe buty.

Przygotowana na zimno, otwieram drzwi balkonowe i z latarką w ręce idę przez ogród na tyłach domu. Na trawie lśni rosa. Docieram do szopy, a tam, korzystając z treliazu, wspinam się na

murek, przerzucam nogi na drugą stronę, po czym zeskakuję na stertę zeschniętych liści i skoszonej trawy.

Nie powinnam się wspinać ani podnosić nic ciężkiego, dopóki moje szwy się nie zagoją. Latarka rzuca cienie na połamane drzewa. Zauważam niewielkie miejsce ze śladami czyjejs bytności. Są tam puszki po wodzie sodowej i papierki po czekoladzie. Może to miłosne gniazdko nastolatków, niewygodne, ale dobrze ukryte.

Oglądam się na pogrążony w ciemności dom. Ktoś, kto siedziałby na zwałonym drzewie, mógłby stamtąd widzieć naszą kuchnię i jadalnię, i cienie na zasłonach na piętrze.

Odwracam się i idę zarośniętą ścieżką przez krzewy jeżyn, aż docieram do torów kolejowych i skręcam na wschód w stronę stacji Barnes. Na najbliższym przejeździe kolejowym przechodzę na drugą stronę, słysząc odległy stukot pociągów.

Na South Circular zatrzymuję taksówkę i podaję kierowcy adres Simona. Po drodze dwa razy omal go nie proszę, by zawrócił. Jestem zła, a to niedobry początek.

Zajeżdżamy na miejsce. W oknach wciąż jest jasno. Dzwonię do drzwi i nasłuchuję kroków. Otwiera mi Gina, dziewczyna Simona. A tego się nie spodziewałam...

- Megs! Co tu robisz?
- Muszę porozmawiać z Simonem.
- Oczywiście. Wejdz. Masz lodowate ręce.

Bierze ode mnie płaszcz i woła, żeby Simon zszedł na dół. Dom jest za bardzo nagrany i pachnie curry.

- Napijesz się kieliszek wina? - pyta Gina. - Mamy otwartą butelkę. Albo filiżankę herbaty?

- Nie.
- Jadłaś coś?

- Nic mi nie trzeba, dziękuję.

- Tak mi przykro z powodu... wszystkiego. Chciałam do ciebie zadzwonić, ale pomyślałam, że jesteście zasypywani telefonami i wiadomościami.

- Naprawdę muszę porozmawiać z Simonem.

- Tak, oczywiście. - Znów go woła.

Simon pojawia się na schodach, jest ubrany w szerokie dżinsy i bluzę.

- Spójrz, kto nas odwiedził - mówi Gina.

- Muszę z nim porozmawiać w cztery oczy - oświadczam.

Jej uśmiech gaśnie.

- Oczywiście, ja... skoczę na górę. - Po drodze wymienia spojrzenie z Simonem.

Stoję wciąż w holu i patrzę na schody. Upewniam się, że Gina sobie poszła. Simon idzie za mną do kuchni.

- Co powiedziałaś Jackowi? - pytam.

- Nic.

- On wie, że coś między nami było.

- Gówno wie.

- Mówiłam ci, żebyś nas zostawił w spokoju.

Złość Simona jest bliska mojej złości.

- I dlatego nasłałaś na mnie policję, żeby mnie wypytywali?

- Co?

- Dwaj detektywi przyszli ze mną porozmawiać. Chcieli wiedzieć, gdzie byłem, kiedy zaginął Ben. Pytali mnie o moją relację z tobą. Padło słowo szantaż.

- Powiedziałaś im coś?

- Nie. Co ty im o mnie powiedziałaś?

- Nic.

- Gówno prawda.

- Byłam zła. Coś mi się wymknęło. Prosiłam, żeby o tym zapomnieli.

- Najwyraźniej nie posłuchali - mówi sarkastycznie. - Dzięki tobie jestem podejrzany. Znają moją przeszłość. Posiadanie narkotyków, handel narkotykami. Gina zaczęła zadawać pytania. Jeśli coś z tego przecieknie do stacji, stracę pracę.

- To był błąd, przepraszam.

- Od razu mi lepiej.

- Obiecałeś, że nic nie powiesz Jackowi.

- To było, zanim wpakowałam mnie w to szambo. Teraz żadne obietnice się nie liczą.

- Nie możesz tego zrobić.

- Czemu? Nic cię nie obchodzi. Myślę, że Jack powinien wiedzieć, z kim się ożenił.

- Nie. Proszę. Zrobię test DNA, jak tylko znajdziemy Bena. - Już wypowiadając te słowa, chce je odwołać, ale jest za późno.

Simon przekrzywia głowę, patrzy na mnie z powątpiewaniem.

- A jeśli jest mój?

- Powiem Jackowi. Ale jeżeli test wykaże, że nie jesteś ojcem, chcę, żebyś nas zostawił w spokoju. Raz na zawsze. Zgadzasz się?

Simon kiwa głową, już nie jest wściekły ani spięty. Jego głos łagodnieje.

- Przepraszam, że cię oskarżyłem o zaaranżowanie porwania.

Nie chcę mu wybaczyć. Chcę być w domu z Jackiem.

Simon przysuwa się.

- Są jakieś wiadomości?

- Nie.

- Mogę jakoś pomóc?

- Nie.

Cała drzę, a on mnie obejmuje i przez najkrótszy moment

opieram się o niego, akceptuję jego uścisk, cieszę się fizycznym kontaktem. Potem odsuwam Simona.

Nienawidzę siebie. Nienawidzę Simona.

- Pamiętaj, co powiedziałam.

AGATHA

Rory miał ciężką noc. Godzinami płakał i nie chciał jeść. Próbowałam wszystkiego. Kołysałam go, potrząsałam, głaskałam, poklepywałam po plecach, nosiłam go w chuście, trzymałam przy sercu i chodziłam z nim w dół i w górę po schodach. Uruchomiłam zmywarkę i pralkę, puszczałam wodę z kranu, włączyłam jakiś teledysk i radio. W końcu o trzeciej nad ranem zasnął skulony na mojej piersi na sofie.

Dziś rano go zważyłam. Weszłam na łazienkową wagę z Rorym na rękach, a potem sama, i obliczyłam różnicę. Odnoszę wrażenie, że Rory nie rośnie. W internecie nazywają to „brakiem prawidłowego rozwoju”.

Jak dotąd wypróbowałam trzy różne rodzaje mieszanki dla niemowląt, ale Rory nie zjada na raz więcej niż trzydzieści mililitrów, które zresztą czasami zwraca. Musi szybko zacząć rosnać. Z nim nie może być tak jak z innymi. Moje najukochańsze dzieci wszystkie zmarły zbyt wcześnie. Pocieszam się, że zmarły w czystości, bo tylko takie małe dzieci są całkiem niewinne. Moje dzieci nie miały czasu dorosnąć, doznać zawodu ani rozczarować innych. Na zawsze będą lśniły jasnym światłem i zawsze będą dobre.

Ostatnia była Emily. Straciłam ją trzy lata temu. Byliśmy z Nickim już w separacji, ale jeszcze nie po rozwodzie. Pojechałam na tydzień do Brighton, mając nadzieję, że w wakacyjnym tłumie znajdę towarzystwo, lecz nie zaznałam pocieszenia. Emanowałam samotnością. Płynęła za mną jak chmura deszczowa albo zapach.

Ostatniego wieczoru, w sobotę, puby były pełne pijanych

hulaków słuchających kretyńskiej muzyki i palaczy plujących na chodnik. Kupiłam wodę sodową i usiadłam na ławce na nabrzeżu, patrzyłam na pary, które obmacywały się w cieniu albo pluskały na brzegu. Dzień był upalny i wszyscy wydawali się czekać, aż temperatura spadnie.

Zastanawiałam się, czy nie złapać późnego pociągu do Londynu, zamiast spędzać kolejną noc w tanim hotelu. Minęła mnie młoda matka z wózkiem. Nie wiem, co kazało mi iść za nią do domu. Nie planowałam ukraść jej dziecka, chciałam tylko popatrzeć.

Kobieta mieszkała w domu z ogrodem na cichej ulicy z alejką na tyłach i garażem z tabliczką „Proszę nie zastawiać”. Niewielkie spiralne schody prowadziły do tylnych drzwi. Czekałam i patrzyłam, aż światło zgasło.

W oknie wydymała się siatkowa firanka. Zostawiono je uchylone, żeby do środka wpuścić trochę powietrza. Wsunęłam rękę i uniosłam okno dość wysoko, żeby wejść do pokoju. Dziewczynka spała w łóżeczku. Wyglądała na jakieś trzy miesiące. Nad jej głową mrugała elektroniczna niania. Wyłączyłam ją, czerwona lampka zgasła.

Wzięłam dziecko na ręce, położyłam na poduszce i wyniosłam przez okno jak włamywacz kradnący srebrne sztuce. Zanim ktoś się zorientował, że Emily zaginęła, byłam już w Londynie. Nicky wyprowadził się z domu, który planowaliśmy sprzedać, ale na razie miałam gdzie mieszkać.

Emily przeżyła dwanaście dni. To była moja wina. Zasnęła, kiedy ją karmiłam, więc położyłam ją do łóżeczka na plecach, a powinnam najpierw ponosić na ramieniu, żeby jej się odbiło. Wtedy by nie wymiotowała, a mleko nie dostałoby się do płuc.

Obudziłam się o piątej i znalazłam ją martwą. Nie oddychała. Jej

skóra była sina. Wymiociny zaschły na policzku i na tyle głowy. Umyłam maleńkie ciało, owinęłam je w prześcieradło i zabrałam w moje specjalne miejsce. Położyłam ją obok Chloe i Lizzie, które nigdy nie dorosły, na zawsze pozostały niewinne i czyste. Na zawsze wolne.

Jest jeszcze wcześniej, kiedy kładę Rory'ego do wózka i pcham ulicami z nadzieją, że na świeżym powietrzu zgłodnieje. Łapię autobus do Hammersmith, a potem drugi jadący Kensington High Street aż do stacji metra.

Muszę poczekać do wpół do dziesiątej, kiedy młoda bibliotekarka otworzy drzwi Kensington Central Library. Kolejka składa się głównie z bezdomnych, którzy szukają miejsca, gdzie mogliby spędzić kilka godzin w cieple.

- Jak zaśniecie, wyrzucę was - ostrzega bibliotekarka. - To biblioteka, nie schronisko.

Siedząc przy komputerze, tworzę nazwę użytkownika i hasło, potem zaczynam poszukiwania. Rory patrzy na mnie z wózka. Od czasu do czasu robię przerwę i głaszczę jego czoło, tłumacząc mu, co robię.

Wpisuję hasło „kobiece mleko” i trafiam na dziesiątki ogłoszeń:
Zdrowa matka gotowa sprzedać ekstra mleko jak najszybciej.
Niewykorzystane mleko z piersi na sprzedaż (nie piję alkoholu i nie biorę narkotyków).

Wysokiej jakości kobiece mleko Londyn SW 1 - tylko organiczna dieta.

Jednocześnie znajduję rządowe ostrzeżenia przed kupnem kobiecego mleka przez internet. Piszą, że może być skażone albo przenosić choroby. Zastanawiam się, czy przy kupnie pytają o tożsamość. Czy ich to obchodzi?

Rozważam wysłanie mejla, kiedy wpada mi do głowy, że policja

może monitorować podobne strony, żeby mnie znaleźć, więc nie mogę ryzykować.

Usuwa historię poszukiwania i zabieram Rory'ego na drugą stronę ulicy do apteki, gdzie oglądam lekarstwa na kolkę i rozmaite mieszanki dla niemowląt, których jeszcze nie wypróbowałam.

Hayden czeka na mnie, kiedy wracam do domu. Rory zasnął.

- Zostawiłam na dole wózek - mówię, kładąc dziecko do łóżeczka. - Kupiłam parę rzeczy na kolację. Możesz zanieść zakupy do kuchni?

Hayden ani drgnie. Czuję zapach dymu papierosowego. Obiecał nie palić w mieszkaniu.

Zaczynam chować zakupy, odkładam to, co trzeba włożyć do lodówki. Otwieram szafki. Hayden patrzy na mnie, stojąc w drzwiach. Coś jest nie tak.

- Dzwoniła twoja matka - mówi, a gdy nie odpowiadam, pyta: - Kiedy pojechała do Hiszpanii?

- Nie jestem pewna. - Dalej się rozpakowuję.

Hayden bierze puszkę pomidorów i waży ją w dłoni.

- Była cholernie zaskoczona, kiedy wspomniałem o Rorym. Wiesz, co powiedziała? - Znów nie odpowiadam. - Spytała, kto to jest Rory. A ja na to, że to jej wnuk. Zaśmiała się, jakbym żartował. A ja na to: „Przecież była pani przy porodzie”. A ona znów się śmieje.

Nadal milczę. Hayden głośno odstawia puszkę pomidorów na blat, co w małej kuchni brzmi jak wystrzał. Potem znów ją podnosi. Słyszę, że Rory zaczyna płakać.

- Mogę ci to wytłumaczyć.

- Okej.

- Najpierw powiedz, co jej powiedziałaś.

- Powiedziałem jej o Rorym. Że rodziłaś w Leeds i że to był poród domowy. Czy coś z tego jest prawdą?

- Tak.

- Kto z tobą był?

- Położna. - Napełniam wodą czajnik elektryczny. - Napijesz się herbaty?

- Pieprzyć herbatę. Czemu mnie okłamałaś?

- Nie układa mi się z matką. Wiedziałam, że będzie próbowała się rządzić. Ona mną dyryguje, lekceważy mnie. Niszczy wszystko, co dobre w moim życiu.

- Po co jechałaś do Leeds? Mogłaś zostać w Londynie i tu urodzić. Byłbym przy tobie.

- Bałam się.

- Czego?

- Nie mówiłam ci tego, ale Nicky i ja straciliśmy dziecko. Byłam w piątym miesiącu. Ta dziewczynka umarła w moim łonie. Byłam przerażona, że to się powtórzy. Dlatego nie chciałam, żebyś przy mnie był. Nikogo nie chciałam, ani przyjaciół, ani rodziny.

Mam wrażenie, że Hayden nie wie, jak zareagować. Chce mi wierzyć, widzę to, lecz jego wiara została zachwiana. Pyta o poronienie. Chce znać detale: kto, gdzie, co i dlaczego? Mówię mu prawdę.

- Widziałam, co strata dziecka zrobiła z Nickym. Przez to się rozwiedliśmy. Miał złamane serce, nasze małżeństwo tego nie przetrwało. - Rory wciąż płacze, jest coraz bardziej niespokojny. - Dlatego Nicky się ze mną skontaktował. Dowiedział się, że urodziłam. Cieszył się moim szczęściem, a jednocześnie był smutny.

- I dlatego ze sobą skończył? - pyta Hayden.

- Nie wiem. Może.

Idę do sypialni, by uspokoić Rory'ego. Hayden chwytą mnie za nadgarstek i boleśnie wykręca rękę.

- Czemu okłamałaś matkę?

- Nie okłamałam jej. Po prostu nic jej nie powiedziałam. To nie twój interes.

- Czemu tak jej nienawidzisz?

- Nie zrozumiesz.

- Daj mi szansę.

- To wariatka. Jest przebiegła, manipuluje ludźmi. Ma głowę wypełnioną banałami, a kiedy otwiera usta, to dzieje się tak, jakby wszystkie nagle chciały się uwolnić. Założę się, że powiedziała, że mnie kocha. - Hayden potakuje. - I że zламаłam jej serce.

- Tak.

- Była pijana?

- Mówiła normalnie.

- Świetnie to ukrywa.

Rozprostowuję palce Haydena i zdejmuję z mojego nadgarstka.

Ale Hayden jeszcze nie skończył:

- W czym jeszcze mnie okłamałaś? - pyta natarczywie.

- W niczym.

- Okłamałaś Jules, mnie, moją rodzinę... To nie w porządku. Czuję się przez ciebie jak głupek.

- Przepraszam. - Opieram czoło o jego klatkę piersiową.

Odpycha mnie, trzyma na odległość wyciągniętej ręki.

- Twoja matka nawet o mnie nie wiedziała.

- Bo z nią nie rozmawiam.

Hayden nie odpowiada. Wymijam go, biorę Rory'ego z sypialni i kołyszę w ramionach, aż przestaje płakać.

Hayden się nie poddaje:

- Chcę znać nazwisko położnej, która odbierała dziecko.
- Po co?
- Chcę z nią porozmawiać.
- Co może ci powiedzieć?
- Prawdę.
- Ja mówię ci prawdę. Czemu miałabym cię okłamywać?
- Zadzwoń do niej.

On wie! On wie!

Biorę do ręki torebkę, wydaję telefon i przeglądam listę kontaktów.

Hayden czeka, aż wreszcie mówię:

- Nie mogę znaleźć.
- Nie masz jej numeru?
- Mam. Zaraz sobie przypomnę... Bateria mi padła, pamiętasz?

Gdzieś zapisałam jej numer.

- A co z dokumentami? Muszą być jakieś dokumenty.
- Oczywiście, całe mnóstwo - odpowiadam podenerwowana. -

Nie pamiętam, gdzie je dałam.

On wie! On wie!

- Aha, czyli nie masz numeru telefonu położnej ani żadnych papierów. Nie opowiadaj mi takich pierdół! - Bierze kurtkę.

- Dokąd idziesz?
- Zabieram Rory'ego na spacer.
- Nie! - mówię zbyt gwałtownie. - To znaczy dokąd?
- Może pojedziemy do zoo. Nigdy nie był w zoo.
- Mogę z wami pojechać?
- Nie!
- Czemu?

- Nie chcę cię widzieć przez jakiś czas, muszę pobyć sam.

Szykuję butelkę dla Rory'ego i pomagam Haydenowi go ubrać.

Wciąż szukam pretekstów, żeby nie wychodził. Mówię mu, że kocham go do szaleństwa i że nigdy nie widziałam tak wspaniałego ojca, i że bez niego bym sobie nie poradziła. Mówię, że jutro możemy wziąć ślub w urzędzie stanu cywilnego w Fulham i że pojedę z nim, dokąd tylko zechce, bylebyśmy tylko byli razem.

Hayden milczy. Nie słucha moich obietnic ani frazesów. Już mnie nie kocha.

- Nie mów nikomu - błagam.

- Czego?

- Nie mów swoim rodzicom o mojej matce. Mogą nie zrozumieć.

- Masz rację - odpowiada. - Ja nie rozumiem. Oszukujesz mnie i nie robisz nic, żeby nam pomóc.

- O co ci chodzi?

- Mogłaś sprzedać swoją historię gazetom. O tym, że znasz mamę Baby Bena. Mogliśmy zdobyć pieniądze.

- Nie chcę rozmawiać z dziennikarzami.

- Ta Shaughnessy rozmawia, i to stale. Ciągłe jest w wiadomościach, płacze przed kamerami. Niedobrze mi się robi, gdy słyszę jej głos.

- Nie mów tak.

- Czemu?

- Nie znasz jej.

- Znam ten typ. Idealne włosy, idealne zęby, idealne małżeństwo, a teraz idealna płaczliwa historia. Wkurza mnie.

Dotąd Hayden współczuł Meg, teraz ją atakuje, bo albo jest na mnie zły, albo mnie testuje. Muszę mu pokazać, że jestem uczciwa, muszę odzyskać jego zaufanie.

- Oni nie są idealnym małżeństwem - szepczę.

- Już to mówiłaś, ale co to znaczy?

- Jack Shaughnessy miał romans.

- Skąd wiesz?

- Widziałam go z inną kobietą. Kupował prezerwatywy w supermarkecie, a ona parkowała przed sklepem. Potem wskoczył do samochodu i całowali się.

- Co to za kobieta?

- Agentka nieruchomości. Sprzedała im dom, w którym mieszkają.

Hayden gwizdże przez zęby.

- Pieprzony gnojek.

Nie powinnam mu była tego mówić. Powinnam była trzymać gębę na kłódkę.

- Ale proszę, nie mów nikomu. To się zakończyło kilka tygodni temu.

Hayden nie odpowiada. Znosi Rory'ego po schodach i przypina go do wózka. Potem przechyla wózek i stopień po stopniu zjeżdża na chodnik.

Patrzę na nich przez okno od frontu, opierając czoło o szybę. Odprowadzam ich wzrokiem, aż docierają do rogu i znikają mi z oczu. Pragnę za nimi pójść, pragnę odzyskać Rory'ego.

Wiem, że Hayden chce mi wierzyć, ponieważ kocha naszego synka. Niestety daję mu zbyt wiele powodów, by we mnie wątpił. Nie oskarżył mnie o udawanie ciąży ani o kradzież dziecka, ale czy przeszło mu to przez myśl? Nie, na pewno nie. Nie sądzi, że jestem dość bystra, by zrobić coś takiego.

Od tej pory będzie mnie jednak baczniej obserwował i sprawdzał wszystko, co powiem czy zrobię. Nawet jeśli sfalszuję papiery związane z porodem, i tak nie wyczaruję położnej.

Czemu matka nie może zostawić mnie w spokoju?

MEGHAN

Policja przyjeżdża przed szóstą rano, konwój oznakowanych i nieoznakowanych aut blokuje ulicę. Drzwi samochodów otwierają się niemal jednocześnie, policjanci mijają dziennikarzy i kamerzystów. Jack otwiera im w piżamie, a komisarz MacAteer podaje mu nakaz rewizji.

- Kto to? - pytam, stając u szczytu schodów.

Technicy policyjni mijają Jacka. Są ubrani w kombinezony i lateksowe rękawiczki.

- Mam nakaz przeszukania posesji - oznajmia MacAteer, a jego głos już nie jest przyjacielski i współczujący. - Pozwolę państwu tu zostać, o ile nie będziecie przeszkadzać. Policjanci będą wam towarzyszyli podczas ubierania, a potem proszę zejść do kuchni.

- Co z dziećmi?

- Dzieci też.

Jack pyta, co się stało. Czy mają jakieś informacje? Czy istnieje jakiś powód, dla którego się pojawili? Patrzy na mnie z nadzieją na wyjaśnienie, ale kręcę bezradnie głową. Lisa-Jayne idzie ze mną do sypialni i obserwuje, jak się ubieram. Gdy ruszam do łazienki, ona też rusza za mną.

- Mogę to zrobić sama? - Gdy odmownie kręci głową, zadaję następne pytanie: - Po co przyjechaliście? - Jednak nie odpowiada.

Przez następne dwie godziny siedzimy w kuchni, a policja przeszukuje dom od strychu po szafy pod schodami. Konfiskują nasze komputery i iPady. Mówią, że nam je zwrócą, kiedy skopiują twarde dyski. Biorą do rąk nasze rzeczy, otwierają, oglądają, kartkują książki, przesuwają meble, odsuwają dywany,

żeby odsłonić gołe deski. Zastanawiam się, co mają nadzieję znaleźć. Sekretną kryjówkę? Ukryte zapasy? To jakieś szaleństwo.

Policjanci ignorują nasze pytania. Są uprzejmi, lecz nalegają, żebyśmy nie przeszkadzali. Już nie zwracają się do nas po imieniu.

Jack jest wściekły i rozżalony.

- Co zrobiliśmy? Kto im dał prawo? Próbują odwrócić od siebie uwagę. Nie potrafią znaleźć Bena, więc próbują nas oskarżyć.

- To idiotyczne. Czemu mieliby to robić?

- Nie wiem, ale popatrz, co wyprawiają.

Jack konfrontuje się z MacAteerem, domaga się wyjaśnienia, nie zgadza się, żeby go zbywano. Detektyw rozpina kurtkę i wsadza rękę do kieszeni.

- Mamy nowe informacje.

- Jakie informacje?

- Ktoś zadzwonił na gorącą linię.

- Kto? Co powiedział?

- W nocy, kiedy zaginął Ben, opuścił pan szpital przed przyjazdem policji.

- Szukałem Bena.

- Nie było pana prawie dwie godziny.

- Wiedziałem, jak wygląda ta pielęgniarka. Myślałem, że może być gdzieś niedaleko. Już wam to mówiłem.

- Wrócił pan tutaj.

- Co? Nie!

- Widziano pana, jak tamtej nocy wynosi pan coś z domu.

- Co za bzdura! Ten, kto tak twierdzi, kłamie.

- Opuszczając szpital, utrudnił pan śledztwo. Nie było pana, więc nie mógł nam pan podać rysopisu pielęgniarki. Na pana ubraniu mógł się znajdować jakiś materiał zawierający jej DNA.

- Nie myślałem o tym.
- Dokąd pan poszedł?
- Już mówiłem.

Patrzę na Jacka, jakbym brała udział w przesłuchaniu, i nagle chcę poznać te wszystkie odpowiedzi. Jack spotyka się ze mną wzrokiem, patrzy błagalnie, już nie jest zły. W jego oczach widzę inną emocję. To strach.

- Czy potrzebujemy adwokata? - pyta.
- To zależy wyłącznie od pana, panie Shaughnessy.

Komisarz MacAteer zwraca się do mnie:

- Chciałbym pomówić z panią na osobności.

Zamierzam mu powiedzieć, że Jack i ja nie mamy przed sobą tajemnic, ale to nieprawda... odkąd spałam z Simonem.

Zostawiam Jacka z dziećmi i idę za MacAteerem do pokoju dziennego. Komisarz zamyka drzwi. Widzę ślady rewizji. Policjanci starali się odłożyć wszystko na miejsce, ale nic nie wygląda tak samo jak wcześniej. Zdjęcia na półce nad kominkiem stoją w innej kolejności, płyty DVD są pomieszane. Wygląda to jak włamanie, podczas którego nie zabrano nic prócz naszego spokoju.

MacAteer wskazuje sofę, ale wolę stać. Pokój wydaje się za mały dla nas dwojga.

- Zadam pani kilka pytań - mówi. - Byłbym wdzięczny, gdyby odpowiedziała pani zgodnie z prawdą.

- Kiedy nie mówiłam prawdy? - Udaję rozdrażnioną.
- Czy pani mąż chciał tego dziecka?

Waham się chwilę za długo.

- Proszę mnie nie traktować jak głupca, pani Shaughnessy. Moi ludzie, kobiety i mężczyźni, pracują nad tą sprawą na okrągło, dzień i noc. Najlepsze umysły. Tysiące nadgodzin. Mnóstwo

zaangażowanych środków. Proszę odpowiedzieć.

- Z początku nie był zachwycony, ale potem zmienił zdanie - wyjawiam wreszcie.

- Czy kiedykolwiek skrzywdził panią albo dzieci?

- Nigdy.

- Państwa córka w wieku dwu lat została przyjęta do szpitala z raną ciętą nad okiem.

- Potknęła się o nogi Jacka i uderzyła głową o siedzenie pod oknem.

- Czy mąż ogląda pornografię w sieci?

- Nie. Nigdy. To znaczy nie sądzę.

- Przeszukamy jego komputer. Pani również.

- Nie mam nic do ukrycia.

Mówiąc te słowa, uprzytamniam sobie, jak sztampowo brzmią. Jak z kiepskiego filmu. Wielka aktorka potrafiłaby to odpowiednio powiedzieć, ale ja nie jestem wielką aktorką, a kłamię jeszcze gorzej.

MacAteer przechodzi do sedna:

- Dwa dni temu wyszła pani z domu o dziesiątej wieczorem.

- Poszłam się przejść.

- Czemu?

- Chciałam być sama.

- Dokąd pani poszła?

- Nigdzie specjalnie.

- Jak pani wyszła z domu?

Waham się, bo nie wiem, ile on wie.

- Przeskoczyłam przez ogrodzenie na tyłach i szłam wzdłuż torów.

- Przedzierała się pani przez krzewy?

- Nie przedzierałam się.

- Niedawno pani urodziła. Powinna pani odpoczywać, a wymyka się pani z domu, przeskakuje przez ogrodzenie i przechodzi przez tory kolejowe.

- Nie wymknęłam się po kryjomu. Wyszłam frontowymi drzwiami, ale być może pan nie zauważył, że na zewnątrz jest mnóstwo dziennikarzy.

MacAteer tego nie kupuje.

- Po powrocie ze szpitala miała pani gościa, Simona Kidda. Kto to jest?

- Stary przyjaciel rodziny. Był drużbą na naszym ślubie, jest ojcem chrzestnym Lucy. Pracuje z Jackiem.

- Była pani później zdenerwowana.

- To nic takiego.

- Powiedziała pani Lisie-Jayne Soussie, że Simon Kidd próbował panią szantażować.

- To było nieporozumienie.

Zaciśnięte wargi komisarza układają się w uśmiech.

- Pani Shaughnessy, czy z panią albo kimś z pani bliskich kontaktowała się jakaś osoba, twierdząc, że ma pani dziecko?

- Nie.

- Pani Shaughnessy, jeśli ktoś się z panią kontaktował, a pani rozważa zapłacenie okupu porywaczowi czy szantażystce, to oświadczam, że łamie pani prawo.

- Rozumiem. Już powiedziałam, że nikt się z nami nie kontaktował. - Czuję nieoczekiwaną ulgę. Wyjdę z tego.

MacAteer bierze kapelusz i idzie do drzwi. Jedną rękę kładzie na klamce.

- Aha, jeszcze jedno. Czy pani mąż jest ojcem Bena?

- Słucham?

- Czy to jest dziecko pani męża?

Następuje chwila ciszy, dziura w czasie, która mogła trwać tyle, co uderzenie serca, ale wydaje się, że trwa dłużej.

- Jak pan śmie... Kocham mojego męża. - Moje oburzenie brzmi sztucznie i absurdalnie. - To potworne tak mówić.

MacAteer kiwa głową, ale nie przeprosza. Wkłada na głowę kapelusz i lekko przechyla rondo w geście pożegnania.

- Proszę na siebie uważać, pani Shaughnessy. Wartość tajemnicy zależy od tego, przed kim zamierza się coś ukryć. Dla pani może być wiele warta. Dla mnie bezwartościowa. Ale zawsze ktoś musi za to zapłacić.

AGATHA

Od samego początku byłam świadoma ryzyka, że moja matka dowie się o Rorym. Liczyłam, że stanie się to za kilka miesięcy, kiedy ludzie zapomną o szczegółach jego narodzin, a synek zdobędzie niekwestionowane miejsce w moim życiu.

Teraz wciąż dzwoni i zostawia wiadomości, pyta, czy może przyjechać i zobaczyć wnuka. Ignoruję jej telefony, przełączam na pocztę głosową, ale nie mogę bez końca zbywać matki.

Wybieram jej numer i czekam, słuchając jakiejś melodii.

Matka odbiera.

- Agatha? Właśnie myślałam o tobie. Miałam nadzieję, że zadzwonisz. - W jej głosie pobrzmiwa drżąca słabość, coś, co nigdy mi się z nią nie kojarzyło. Może to poza, żeby zyskać moje współczucie? Pewnie tak, myślę, a ona mówi dalej podniecona: - Masz dziecko! Nie mogłam w to uwierzyć, kiedy Jayden mi powiedział.

- Hayden - poprawiam.

- Och, wybacz. Tak, Hayden.

- Jesteśmy zaręczeni.

- To cudownie. Bardzo się cieszę. Jak się ma Rory?

- Dobrze.

- Jest grzecznym dzieckiem?

- Tak.

- Karmisz go piersią? Podobno tak jest najlepiej. Wiem, ja cię nie karmiłam, ale wtedy niewiele wiedzieliśmy na ten temat.

- I chciałaś zachować figurę? - zauważam cicho.

- Co takiego, kochanie?

- Nic. Po co do mnie dzwoniłaś?

- Matka nie potrzebuje powodu, żeby dzwonić do córki.
- Skąd masz mój numer?
- Dzwoniłam do agencji pracy tymczasowej.
- Więc czego chcesz?
- Chcę cię odwiedzić... zobaczyć wnuka.
- Nie.
- Proszę, Aggy. Nie bądź okrutna. Wiem, że popełniłam błędy. Wiem, że nie zawsze mogłaś na mnie liczyć, ale już powiedziałam, że mi przykro, a to było dawno temu.
- Czemu wczoraj dzwoniłaś?
- Co?
- Rozmawiałaś z Haydenem. Musiałaś mieć jakiś powód, żeby dzwonić.
- Tak, owszem. Chodziło o Nicky'ego. Pisali o tym w gazetach. Dostarczają mi je z Londynu. Napisali, że wpadł pod pociąg, krótki artykuł, tylko parę akapitów. Wiesz o tym, prawda? O Nickym, znaczy się.
- Tak.
- Nie byłam pewna.
- Uważają, że to mogło być samobójstwo.
- Zawsze lubiłam Nicky'ego - mówi matka dopiero po chwili ciszy.
- Ledwie go znałaś.
- Dzwonił do mnie co tydzień, kiedy byliście małżeństwem.
- Kłamiesz.
- Dzwonił! Naprawdę. Po waszym rozwodzie przysyłał mi listy na Boże Narodzenie i dzwonił na moje urodziny, a ty nawet tego nie robiłaś.
- Nie znał cię tak dobrze jak ja.
- Och... - To cała reakcja na mój komentarz. - Biedny Nicky.

Taki miły człowiek. To musiało być straszne dla jego biednej żony.

- Gdy nie odpowiadam, dodaje: - Dobrze ci się układało z Nickym.

Szkoda, że nie mogliście mieć dzieci. Wiem, że próbowaliście.

Znów zapada cisza, tym razem boleśnie długa.

Wreszcie matka pyta:

- Jak ci się udało zajść w ciążę?

- Normalnie.

- Nicky zawsze mówił... to znaczy... myślałam... - Nie kończy zdania. Te przerwy sprawiają wrażenie, jakby się jąkała.

- Cóż, jeśli to wszystko... - mówię, gotowa się rozłączyć.

- Ale mi nie powiedziałaś.

- Czego?

- Kiedy mogę przyjechać i zobaczyć Rory'ego.

- Nigdy.

- Proszę, Aggy. - Głos jej się łamie. - Nie mam nikogo innego.

Chcę być babcią. Chcę się z tobą pogodzić.

- Za późno.

- Nie bądź okrutna.

Słucham jej czkającego szlochu i chcę się rozłączyć, ale wciąż trzymam telefon w ręce.

- Kiedy wracasz do Leeds? - pytam.

- Pod koniec marca.

- Może wtedy go zobaczysz.

MEGHAN

Dzisiaj policja znów tu jest. Tym razem przeszukują teren za murem ogrodu, gdzie rosną drzewa i krzewy, obok torów kolejowych, ponieważ im powiedziałam o kryjówce, którą zobaczyłam, kiedy wymknęłam się, by odwiedzić Simona.

Początkowo Komisarz MacAteer odrzucił pomysł, że ktoś obserwował dom, ale Cyrus Haven przekonał go, żeby potraktował to poważnie. Dlatego technicy kryminalistyczni w białych kombinezonach wbijają paliki w wilgotną ziemię, oznaczając to miejsce.

Słyszę Jacka, nim zjawia się w kuchni. Odkąd policja przeszukała dom i wzięła jego komputer, wyraźnie ucichł. Z początku pomstował na ich niekompetencję, oskarżał o to, że próbują nas obwinić albo „ratować własne tyłki”. Równocześnie usiłuje zgadnąć, który z naszych sąsiadów zadzwonił na policję z informacją, że go widział, jak wynosił coś z domu tego wieczoru, kiedy zabrano Bena. Jego podejrzenie pada na państwa Pringlesów, którzy mieszkają dwa domy dalej. W zeszłym roku ich nastoletni syn został aresztowany za wandalizm po tym, jak Jack przyłapał go na niszczeniu samochodów na ulicy.

Stoję przy drzwiach balkonowych i patrzę na techników pracujących za ogrodem. Jack staje u mojego boku.

- Czy policja pytała cię o Simona?

- Tak.

- Jak sądzisz, czemu chcieli o nim tyle wiedzieć? Przecież nie może być podejrzanym?

- Nie wiem.

Jack przerywa i przygryza policzek.

- Tamtej nocy, kiedy mnie aresztowali, poszłaś do Simona. - Nie pyta, on oznajmia.

- Tak.

- Czemu?

- Martwiłam się o ciebie.

- O mnie?

- Zostałeś aresztowany. Napadłeś na jakąś Bogu ducha winną kobietę. Byłeś pijany. Myślałam, że tracisz rozum.

- Czemu odwiedziłaś Simona?

- Wspomniałeś, że byłeś u niego wcześniej tego dnia, a on ci coś powiedział na mój temat.

Jack przyciska kciuk do nadgarstka, jakby mierzył puls. Unosi go i patrzy na biały odcisnięty ślad, który powoli różowieje. Czuję, że w myślach układa kolejne pytanie.

- Czemu przechodziłaś przez mur na tyłach domu?

- Z powodu dziennikarzy.

- Mogłaś zadzwonić do Simona.

- Chciałam się z nim zobaczyć.

Jack patrzy na ogród. Niektórzy z techników pracują na czworakach, grzebią w ziemi, zbierają próbki, otrzepują opakowania po jedzeniu i puszki po wodzie sodowej i wkładają do plastikowych worków.

- Przynajmniej dałaś im coś do roboty - mówi Jack.

Dzwoni dzwonek od frontu. Otwieram drzwi. Z wizytą przyszedł ksiądz z naszej parafii, ojciec George. Od czasu porwania Bena wpadał parę razy, siadał w pokoju od frontu, pił herbatę i składał mi wyrazy współczucia, oferował ramię, na którym mogłam się wypłakać. Nie skorzystałam z ramienia, ale doceniam wysiłki księdza.

Jack znajduje jakiś pretekst, by zniknąć, w moich rękach

zostawia naszą duchową pomyślność. Ojciec George jest po sześćdziesiątce, ma niski dźwięczny głos, jaki zwykle słyszy się na taśmach z nagraniami mówców w motywacyjnych albo w późnowieczornych audycjach radiowych. Jego wizyty zaczynają mnie irytować, bo traktuje mnie, jakbym była w wieku Lucy i straciła kotka, a nie dziecko. Jednocześnie ilekroć go widzę, czuję się winna.

Kiedy postanowiliśmy wysłać Lucy do katolickiej podstawówki St Osmund's, wiedzieliśmy, że nie będzie to proste. Zwykle o trzydzieści miejsc w pierwszej klasie stara się tam dziewięćdziesięcioro dzieci. Część aplikacji stanowiło oświadczenie miejscowego księdza, który musiał potwierdzić, że Lucy została ochrzczona, a my regularnie uczęszczamy do kościoła. Przez pół roku każdej niedzieli gromadnie chodziliśmy na mszę, pamiętając, by pozdrowić ojca George'a, który witał ludzi przy wejściu. Przez jakiś czas zabawa w całe to religianctwo, siły nadprzyrodzone i nieziemskie, modlenie się, wychwalanie i dziękowanie wydawała się nam dość egzotyczna. Oczywiście gdy tylko ojciec George podpisał papiery i Lucy została przyjęta do szkoły, nasze wizyty w kościele ograniczyły się do symbolicznego zjawiania się na Wielkanoc i Boże Narodzenie.

Przeprosiłam ojca George'a za to, że go wykorzystaliśmy.

Zaśmiał się.

- Nie wykorzystaliście mnie.
- Oszukaliśmy ojca.
- Podobnie jak większość rodziców.
- Czy to jest irytujące?
- To dobrzy ludzie, tylko bardzo zajęci. - Uśmiechnął się cierpko. - Jestem pewien, że pewnego dnia wrócą do owczarni. Tak jak wy.

Ojciec George i rada parafialna jutro wieczorem organizują czuwanie przy świecach. Nalegałam, żeby to było czuwanie ekumeniczne, dla wszystkich wyznań, a także dla niewierzących. Nie mam ochoty w nim uczestniczyć, choć wiem, że tego oczekują. Jakby czytając w moich myślach, ojciec George unosi rękę i bierze moje dłonie w swoje.

- Chcemy, żeby pani wiedziała, że nie jest pani sama. Wszyscy się za panią modlimy. Ośmielę się rzec, że cały kraj się za was modli.

- Nie wszyscy - odpowiadam z błyskiem złości w oczach. - Osoba, która zabrała Bena, nie modli się o jego szczęśliwy powrót do domu.

Uśmiecha się łagodnie nieporuszony moją niechęcią, co sprawia, że jestem bliska furii. Jaki Bóg dopuszcza coś takiego? Jaki Bóg stwarza świat, gdzie jest tyle nieszczęścia, niesprawiedliwości i bólu?

Milczę jednak. Ojciec George otwiera Biblię.

- Chciałaby pani pomodlić się ze mną teraz?

- Nie jestem w tym zbyt dobra.

- Mogę zacząć.

Siedzę cicho, kiedy on robi znak krzyża i prowadzi jednostronną rozmowę z Bogiem. Prosi go w moim imieniu o siłę, pomoc, przewodnictwo i miłość.

- Pomóż Meghan nie obwiniać siebie ani tych, którzy są blisko niej - mówi. - Pomóż jej nigdy nie tracić nadziei. Wiesz, jak to jest stracić syna. Wysłałeś Jezusa na ziemię, a on zapłacił najwyższą cenę za nasze grzechy. Pomóż Meghan pokonać ten test, otaczając ją miłością i troską, pomóż uleczyć jej serce.

Po wyjściu ojca George'a odkrywam, że na małym stoliku zostawił Biblię. W kilku miejscach tkwią czerwone wstążeczki.

Otwieram na jednej z zaznaczonych stron i czytam kilka linijek o Bogu, który leczy złamane serca i rany, ale nie widzę ani słowa na temat odnalezienia zaginionego dziecka.

Święty Antoni to patron rzeczy zaginionych. Czy także zaginionych dzieci? Zapewne tak. Niemal każdy ma swojego świętego - żeglarze, naukowcy, panny młode i prostytutki. Jest nawet patron handlarzy narkotyków, Jesús Malverde. Dowiedziałam się o tym z jednego z odcinków „Breaking Bad”.

AGATHA

Minionej nocy Rory zwymiotował obie porcje jedzenia. Dwa razy musiałam zmieniać mu pościel i go przebierać. Tego ranka znów go zważyłam. Od tygodnia jego waga nie uległa zmianie. Wiem, że wagi łazienkowe nie są zbyt dokładne, ale nie potrzebuję żadnego urządzenia, by widzieć, że Rory jest chory i walczy o życie.

Nie uśmiecha się, ma gazy, nie wzdycha radośnie, a jednak kiedy na mnie patrzy swoimi niezwykłymi oczami, wydaje się mówić: „Proszę, mamusiu, nie trać nadziei. Wyzdrowieję”.

Teraz śpi obok Haydena na łóżku.

Włączam telewizor bez głosu i widzę dziennikarza, który stoi obok torów kolejowych. Kamera patrzy w lewo i robi zbliżenie między drzewami, pokazując znajomy dom. Potem znów przenosi się na mężczyzn i kobiety w białych kombinezonach, którzy szukają czegoś w poszyciu i pod krzewami obok torów.

Naciskam przycisk głosu.

- Zespół techników kryminalistyki pracuje tu od wczesnego rana, przeszukują ogród na tyłach domu i okolicę, pobierają próbki i mierzą ślady. Policja nie mówi dokładnie, czego szukają, ale za tymi drzewami i za tym ogrodzeniem znajduje się dom należący do Jacka i Meghan Shaughnessych, rodziców Baby Bena.

Rozpoznaję moje zwalone drzewo... moją polanę... moją kryjówkę. Co mogłam tam zostawić? Były tam jakieś puszki po wodzie sodowej i papierki po czekoladzie. Kilka razy sikałam, kiedy dłużej nie mogłam wytrzymać. Nie mają moich odcisków palców w kartotece ani mojego DNA.

Widziano cię tam.

Nikt mnie nie widział.

A sąsiedzi?

Byłam ostrożna.

Wyśledzą twój telefon.

Każdego dnia przechodzą tam setki ludzi z telefonami.

Wyłączam telewizor i mówię sobie, żeby się nie denerwować. Muszę zachować spokój i opiekować się Rorem. On wymaga całej mojej uwagi, jeśli ma być zdrowy i silny.

Zajmuję się czymś, żeby odwrócić uwagę od problemów. Trzeba wynieść dwa kosze ze śmieciami. Hayden powinien to zrobić wczoraj wieczorem. Niosę je na dół i po schodkach od frontu idę do pojemników na śmieci. Z samochodu wysiadają dwie osoby. Jedna to kobieta wciśnięta w spodnie z wysoką talią i granatowy żakiet do kompletu. Mężczyzna jest młodszy, ale udaje doświadczonego światowca.

- Pani Agatha? - pyta kobieta neutralnym tonem, ani przyjacielskim, ani wrogim.

- Tak. - Kiwam głową, pamiętając, że za plecami mam drzwi.

- Jesteśmy detektywami, prowadzimy śledztwo w sprawie zaginięcia Bena Shaughnessy'ego.

Moją głowę wypełnia głos, każe mi rzucić śmieci, uciekać i zamknąć drzwi na klucz.

- Chcielibyśmy zamienić z panią słowo, jeśli można.

Czy mają nakaz rewizji?

- O co chodzi?

- Zdaje się, że zna pani Meghan Shaughnessy.

- Jesteśmy koleżankami.

Spytaj o nakaz.

Zmuszam swoje nogi do ruchu, niosę worki do pojemników na śmieci i wrzucam je do środka. Wycieram ręce w dzinsy.

- Znaleźliście Baby Bena? - pytam.

- Jeszcze nie.

- Biedna Meg - mówię, odgarniając kosmyk z oczu. - Musi być zrozpaczona. Napisałam do niej, ale trudno znaleźć słowa.

- Pani też niedawno urodziła - stwierdza mężczyzna.

- To prawda.

- Na dworze jest zimno. Może zaprosiłaby nas pani do środka?

- Naprawdę nie chcę budzić dziecka.

- Będziemy bardzo cicho.

Prowadzę ich na górę do mieszkania, gdzie zostawiłam uchylone drzwi.

- Napijcie się herbaty albo kawy? Mam tylko rozpuszczalną.

- Dziękujemy, nie trzeba - odpowiada kobieta i podaje mi wizytówkę.

Patrzę na nią przez chwilę, żeby zyskać na czasie, czytam na głos:

- Detektyw sierżant Alison McGuire.

- A to detektyw Paulson - mówi dalej pani detektyw, przyglądając się kartkom z życzeniami na półce nad kominkiem. - Ma pani syna.

- Tak.

- Jak mu na imię?

- Rory.

Sierżant Alison McGuire ma gęste brwi i oliwkową karnację. Mogłaby wyglądać atrakcyjnie, gdyby rozpuściła włosy i częściej się uśmiechała. Siada na krześle. Akurat w tym momencie pojawia się Hayden. Ma na sobie tylko bokserki, drapie się w ciemny pasek zarostu pod pępkiem. Na widok detektywów mruga, choć nie wydaje się zaskoczony. Przechodzi do kuchni, odkręca kurek i nalewa wody do szklanki, wypija ją zbyt szybko,

więc krople spadają mu na klatkę piersiową. Ociera wargi.

- Prowadzimy śledztwo w sprawie zaginięcia Baby Bena - wyjaśnia Paulson.

Hayden siada na skraju fotela. Na jego piersi wciąż widnieją krople wody.

- Może coś by pan na siebie włożyć - mówi pani detektyw.

- O ile się nie mylę, jestem u siebie - odpowiada Hayden.

McGuire kiwa głową, jakby zaakceptowała jego zasady, po czym oznajmia:

- Pańska żona opowiada nam właśnie o waszym dziecku.

- Nie jesteśmy małżeństwem.

- Rozumiem.

Haydenowi nie podoba się, że ma do czynienia z kobietą.

- Jesteśmy zaręczeni - wyjaśniam.

- Pan jest ojcem Rory'ego?

- Tak - odpowiada Hayden.

Detektyw Paulson wyjmuje notes i ołówek.

- Kiedy urodziło się państwa dziecko? - pyta.

- Prawie trzy tygodnie temu. - Podaję dokładną datę.

- Gdzie pani rodziła?

- W Leeds, stamtąd pochodzę. Moja matka tam mieszka.

Podaję zbyt dużo informacji. Powinnam poczekać na ich pytania.

Detektyw McGuire bawi się luźną nitką przy mankiecie żakietu. Mężczyzna by ją oderwał albo odgryzł, ale kobieta czeka na nożyczki.

- Spędziłam jakiś czas na północy - mówi. - Który szpital pani wybrała?

- Rodziłam w domu. Chciałam rodzić w znajomym otoczeniu.

Podstępne pytanie zostaje szybko odparte, teraz ona nie jest

pewna, co dalej.

Hayden kładzie mi rękę na ramieniu, jakby mnie wspierał.

- Był pan obecny przy porodzie? - pyta McGuire.

- Nie, ciut się spóźniłem - odpowiada Hayden. - Jestem marynarzem. Leciałem z Johannesburga, dotarłem dzień za późno.

- Zaczęłam rodzić przed terminem - tłumaczę.

- Więc kto był z panią podczas porodu?

- Położna. - Staram się zachować spokój.

- I twoja matka - dodaje Hayden. Kłamie dla mnie.

Czemu to robi?

- Przesłałam Meghan zdjęcia mejlem - mówię. - Tak się cieszyła z mojego powodu. Teraz czuję się winna.

- Winna?

- Biorąc pod uwagę to, co się stało. Ja tu sobie świętowałam i czułam się taka szczęśliwa, a dwa dni później Meg skradziono dziecko.

- Nie mogłaś tego wiedzieć - zauważa Hayden.

- Wiem, mimo to...

- Ma pani zdjęcia z porodu? - pyta detektyw Paulson.

- Oczywiście. - Wybieram zdjęcia w telefonie i przeglądam je, aż znajduję te, które zrobiłam na górze w sypialni Leo. - Nie mam ich wiele. Moja matka nie jest w tym dobra.

Podaję mu telefon, a on przekazuje go koleżance.

- Jak długo zna pani panią Shaughnessy? - pyta McGuire.

- Niedługo. Chodziłyśmy razem na jogę. Widywałam ją, kiedy pracowałam w supermarkecie w Barnes. Dała mi trochę ubranek dla dziecka.

Znów za dużo mówię. Detektywi powoli rozglądają się po pokoju, jakby zauważyli ogólne zaniedbanie i bylejąkość moich

mebli.

- Kiedy ostatnio ją pani widziała?
- Parę tygodni temu, przed wyjazdem do Leeds.
- Wiedziała pani, że będzie rodziła siódmego grudnia?
- Tak, powiedziała mi.
- Poznała pani jej męża, Jacka?
- Nie, widziałam go w telewizji. Jest dziennikarzem sportowym.

Przestań gadać, Agatho!

Detektyw McGuire oddaje mi telefon.

- Kiedy chodziłyście na jogę, może zauważyła pani, że ktoś kręcił się w pobliżu albo zadawał pytania? Ktoś, kto w jakiś wyjątkowy sposób interesował się tym, że pani Shaughnessy była w ciąży?

- Wyjątkowo się interesował?
- Bardziej niż zwykle.

Zastanawiam się. Zaczynam coś mówić. Urywam. Kręcę głową.

- O co chodzi? - pyta detektyw Paulson.

- To pewnie nic nie znaczy - mówię.

- Pozwoli pani, że my o tym zdecydujemy.

- Cóż, była taka kobieta... Byłyśmy z Meg na kawie w Barnes. Kiedy wychodziłam, podeszła do mnie i spytała, gdzie będę rodzić.

- Rozmawiała też z panią Shaughnessy?

- Nie jestem pewna.

- Jak wyglądała?

- Mojego wzrostu, ciemne włosy, dość krępa, ale nie gruba. - Urywam, żeby się skupić. - Wyglądała, jakby wyszła prosto od fryzjera, może z jednego z lokalnych salonów.

- Skąd pani to wie?
- Widać, jak włosy są świeżo ścięte i wysuszone suszarką.

- W jakim wieku była?
- Trzydzieści kilka lat albo tuż po czterdziestce.
- Była w ciąży?
- Trudno powiedzieć, miała luźne ubranie. - Słyszę, jak ołówek skrzypi na kartce. - Czemu pan pyta, czy była w ciąży?
- Naszym zdaniem osoba, która zabrała Bena, mogła udawać ciążę, żeby ukryć swoje przestępstwo.
- Naprawdę?
- Nie jest pani przekonana.
- To w ogóle możliwe? A co ze wszystkimi badaniami i testami? Przecież w końcu ktoś by to odkrył.

Detektyw McGuire chce dążyć temat tajemniczej kobiety.

- Widziała ją pani wcześniej?

- Nie.

Otwiera teczkę i wyjmuje zdjęcie ze szpitala.

- Czy to może być ona?

- Trudno powiedzieć.

Kolejne zdjęcie też pochodzi z kamery przemysłowej w szpitalu. Jestem na nim jako brunetka z długimi włosami. Ziarnisty obraz pokazuje czubek mojej głowy. Na drugim zdjęciu widać mnie od tyłu. W tym uniformie wyglądam na potężną, myślę.

- To mogła być ona - stwierdzam. - Ale nie dam głowy.

Rozlega się pisk elektronicznej niani stojącej na stole w kuchni. Rory się obudził. Marudzi i głośno płacze.

- Jest głodny - mówię, podnosząc się na nogi. Łapię się za piersi. - Wciąż nie wiem, jak on to robi. Jeden cichy krzyk, a moje piersi napełniają się mlekiem.

Hayden idzie po Rory'ego. Wynosi go z sypialni zawiniętego w kocyk. Rory już całkiem się przebudził, patrzy na detektywów, którzy nie mają w sobie nic rodzicielskiego.

- Możecie państwo zostać - mówię. - Ale będę karmić piersią.

Młodszy detektyw chciałby już być gdzie indziej. Odprowadzam ich do drzwi.

- Jak zobaczycie Megs, powiedzcie jej... powiedzcie... że o niej myślę. Gdybym mogła jeszcze jakoś pomóc...

Czekam na podeście, aż wyjdą z budynku, słuchając istoty.

A gdyby zapytali o świadectwo urodzenia Rory'ego? A gdyby zadzwonili do twojej matki? A gdyby szukali położnej?

Hayden siedzi na sofie, kołysze Rory'ego w ramionach i komentuje:

- Nie byli zbyt przyjaźni.

- Byli w porządku.

- Nie lubię glin.

- Czemu?

Wzrusza ramionami.

- Wielu z nich cierpi na kompleks mini-Hitlera, znajdują przyjemność w dyrygowaniu ludźmi.

Chcę go zapytać, dlaczego dla mnie skłamał, ale boję się odpowiedzi. Mam nadzieję, że wciąż jest po mojej stronie. Nikt nie potrafi udawać ciąży tak dobrze jak ja. Policja powinna spytać Meghan. Ona by im powiedziała. Ona mi uwierzyła.

MEGHAN

Lachlan i Lucy są już wykąpani i ubrani w swoje najlepsze ubrania, mają umyte i wyszczotkowane włosy, wypastowane buty. Zabroniłam im się pobrudzić, kiedy się szykują. Wciąż zmieniam zdanie w kwestii czuwania przy świecach, ale Jack mówi, że powinniśmy podziękować ludziom i uszanować ich wsparcie.

Nie mam się w co ubrać. Nie chcę wkładać ciężowych ubrań, a nie mieszczę się w większość sukienek sprzed ciąży, poza jedną obcisłą wełnianą, w której wyglądam dość masywnie.

Jack pastuje buty na podeście. Powiedziałam mu, żeby tego nie robił, bo zabrudzi wykładzinę czarną pastą, ale on nigdy nie słucha. Obracam się wte i wewte przed lustrem. Nie podoba mi się to, co widzę, ale niespecjalnie się tym przejmuję. Po prostu chcę mieć to już za sobą.

Na dole wkładam płaszcz i wołam pozostałych. Lachlan zbiega po schodach. Ma za krótkie spodnie. Przysięgłabym, że podłużałam je kilka dni temu. Chętnie położyłabym mu cegłę na głowie, żeby przestał rosnąć.

Lucy ładnie wygląda w kraciastej sukience, czerwonych rajstopach i czarnych lakierkach. Ma do tego czerwone rękawiczki, bo na dworze jest zimno.

- Jesteś gotowa? - pyta Jack.

- Chyba tak.

- Damy radę.

Próbuję się do niego uśmiechnąć.

Kiedy wychodzimy z domu i idziemy do bramy od frontu, zapalają się lampy z czujnikiem ruchu. Dwaj policjanci czekają, żeby nas eskortować do kościoła. To niespełna kilometr stąd.

Chcą nas podwieźć, ale zamierzamy iść piechotą w procesji ze świecami, zbierając po drodze ludzi. Kamery i fotografowie zostają zatrzymani za barykadami. Jasne światła rozbielają twarze i zamieniają każdy oddech w bladą mgłę.

Biorę Jacka pod ramię, każde z nas bierze jedno z dzieci za rękę. Pojawiają się sąsiedzi, trzymają lampy, pochodnie i świece mrugające w papierowych osłonach. Kiwają nam głowami, gdy przechodzimy, i dołączają do naszej procesji sunącej wąskimi uliczkami wzdłuż Barnes Green i Church Road, gdzie skręcamy w lewo w Castelnau i kierujemy się w stronę Hammersmith Bridge.

Wkrótce staje się jasne, że kościół wszystkich nie pomieści. Ludzie stoją w nawach, wzdłuż ścian i wylewają się na schody na zewnątrz. Zarezerwowano dla nas miejsca na przedzie. Lucy i Lachlan siadają między nami, oboje zbyt mali, by stopami sięgać podłogi. Moi rodzice i Grace siedzą obok mnie. Brat i szwagierka Jacka przyjechali ze Szkocji.

Otoczają nas matki, przyjaciele, sąsiedzi, koledzy z pracy, opiekunki do dzieci i ludzie, z którymi wymieniam tylko skinienia głowy, jak rzeźnik czy Koreanka, która robi mi manikiur. Moja nauczycielka jogi też już urodziła i wygląda nieprawdopodobnie szczupło. Dyrektorka szkoły Lucy kieruje ludzi do ławek, upewniając się, że dla wszystkich starczy miejsc. Dwie z moich najstarszych przyjaciółek z uniwersytetu przyjechały z Leicester i Newcastle.

Kobieta o pięknym głosie prowadzi chór, który błaga wszystkich, by wznieśli serca do Boga. Większość ludzi porusza wargami bezgłośnie, udają, że śpiewają. Po hymnie ojciec George wygłasza ładne kazanie o czasach, kiedy Bóg wydaje się nieobecny, i o tym, że musimy trwać w naszej wierze, bo inaczej

czeka nas tylko strach.

Ojciec George prosi Jacka o powiedzenie kilku słów. Serce mi zamiera. Nie miałam pojęcia, że to zaplanował. Jack podchodzi po kilku stopniach do pulpitu, gdzie zatrzymuje się i poprawia mikrofon, postukuje w niego palcem. Przeprasza.

- Od chwili, gdy zabrano nam Bena, bez końca zadaję sobie pytanie: Dlaczego? Czemu on? Czemu my? Nie ma na nie odpowiedzi, ale to nie powstrzymuje mnie przed ich poszukiwaniem. W Wielkiej Brytanii co trzy minuty ktoś zgłasza zaginięcie dziecka. W Europie ta liczba wzrasta do jednego zgłoszenia co dwie minuty. W Ameryce to prawie jedno zgłoszenie na minutę. Wiem, że te liczby brzmią szokująco. Ale słyszymy tylko o drobnej części tych spraw, ponieważ większość dzieci sama wraca do domu albo zostaje szybko odnaleziona. Mamy wszelkiego rodzaju zabezpieczenia. Child Alert. Cyfrowe billboardy. Organizacje ratujące dzieci. Facebooka. Twittera. Kampanie w rodzaju Niebezpieczny Obcy. Kamery przemysłowe... A jednak dzieci wciąż znikają. Jeszcze dwa tygodnie temu zdawało mi się, że rozumiem, co to znaczy stracić dziecko. Oglądałem rodziców zaginionych dzieci w telewizji. Wyobrażałem sobie siebie na ich miejscu. Myliłem się. Utrata dziecka to coś, czego nie da się zrozumieć. Zaprzecza biologii. Doprowadza do obłędu. Gwałci naturalny porządek.

Przerywa na moment, przymyka oczy, po czym mówi dalej:

- Jak wielu ludzi czasami nie doceniam faktu, że mam wspaniałą żonę i rodzinę, dobrą pracę, świetnych przyjaciół, a także, jak pokazuje ten wieczór, żyję w przyjaznej lokalnej społeczności. Często zapominałem za to podziękować, bo uważałem, że to normalne. Już tak nie uważam. Chcę coś powiedzieć kobiecie, którą kocham, a która siedzi w pierwszej ławce. Nie mogę ci dać

tego, czego najbardziej pragniesz - możliwości przytulenia twojego synka. Widziałem twoje bezinteresowne oddanie Lucy i Lachlanowi i wiem, jak głęboko odczuwasz nieobecność Bena, ponieważ dla matki nie ma większej straty, jak strata dziecka.

Znów milczy przez chwilę.

- Przy każdej okazji w ciągu minionych dwóch tygodni, kiedy zastanawiałem się, jak to przetrwam, patrzyłem na ciebie, Megs. Siła twojego charakteru, hart ducha i determinacja są bardzo inspirujące. Kocham cię, Meghan Shaughnessy. Kocham was, Lucy i Lachlanie. I ciebie, Benie, gdziekolwiek jesteś, kocham cię.

W tym momencie się rozpadam, moim ciałem wstrząsa szloch. Do końca czuwania nie bardzo wiem, co się dzieje. Wstaję i chodzę wśród tłumu, żeby podziękować zebrany. Ściskam dłonie.

Zauważam Agathę. Ten mężczyzna obok to pewnie jej narzeczony, Hayden. Przytula do piersi szczelnie owinięte dziecko.

- Nie wiedziałam, czy go ze sobą zabrać - mówi Agatha niepewna, czy mnie uściskać, czy tylko uścisnąć mi rękę. Całuję ją w policzek. - Myślałam, że to będzie nietaktowne.

- Nie, w porządku.

- To jest Hayden.

- Miło mi pana poznać - zwracam się do niego, a on kiwa głową i wygląda na skrepowanego, jakby smutek był zaraźliwy.

Podchodzę bliżej i przyglądam się ich dziecku, którego twarz jest częściowo zakryta koszulą Haydena.

- Jest piękny. - Słowa z trudem przechodzą mi przez gardło.

- Przykro mi z powodu Bena - mówi Hayden. - Mam nadzieję, że go znajdą.

Nie odpowiadam. Ktoś popycha mnie naprzód.

Odwracam się do Agathy.

- Dbaj o niego.

Nie rozumie mnie.

- Dbaj o swoje dziecko - wyjaśniam. - Nigdy go nie zawieź.

AGATHA

Wszędzie są dziennikarze, fotoreporterzy i kamerzyści. Na pewno są ważniejsze historie do przekazania. Co z wojnami, atakami terrorystycznymi, naszymi lokalnymi dżihadystami czy tonącymi imigrantami?

Reporterzy mieszają się z tłumem, zadając wciąż te same pytania:

- Co pan sądzi?

- Jest pan zaszokowany? Przestraszony?

Co spodziewają się usłyszeć? Banalne pytania zasługują na banalne odpowiedzi:

- Nic takiego się tutaj nigdy dotąd nie wydarzyło - mówi ktoś.

- Dokąd zmierza ten świat? - pyta ktoś inny.

- To każe się człowiekowi zastanowić, prawda? - dodaje kolejna osoba.

Nad czym? - chcę krzyknąć. Zastanowić się, czemu złe rzeczy przytrafiają się dobrym ludziom? Zastanowić się, czy zdążymy wrócić do domu na „Taniec z gwiazdami”?

Czemu ludzie nie mogą zaakceptować, że Ben zniknął? To Rory się liczy. Oddanie go byłoby okrucieństwem. Najważniejszy jest interes dziecka. Tak zawsze twierdzą sędziowie, którzy zajmują się sprawami dotyczącymi przyznania opieki nad dzieckiem. Rory ma matkę. Ma rodzinę. Ben już nie istnieje.

Meg trzymała się do czasu, gdy Jack wygłosił tę mowę, a teraz tusz jej się rozmazał na policzkach i wygląda jak panda. Lucy i Lachlan chyba nieźle się trzymają. W takich sytuacjach ludzie często zapominają, że mają jeszcze inne dzieci. To właśnie spotkało mnie po śmierci Elijaha. Zostałam zapomniana. Byłam

niekochana. Mniej ważna. I to chcę przekazać Megs. „Kochaj dzieci, które ci zostały. Skup się na nich”.

Ludzie stoją jeszcze przed kościołem, ściskają się i podają sobie chusteczki. Przypadkowe obce osoby dotykają główki Rory'ego i uśmiechają się, jakby się upewnili, że świat dalej się kręci. Ksiądz robi na czole Rory'ego znak krzyża i błogosławi go.

Odwracam się i omal nie wpadam na Megs. Patrzy znów na Rory'ego, a mnie ogarnia strach.

A jeśli go rozpozna? Niektóre zwierzęta wyczuwają zapach swoich dzieci i rozpoznają głos. Nie wiem, czy Megs spędziła z Rorym dość czasu, żeby była do tego zdolna, ale nosiła go w łonie przez dziewięć miesięcy.

- Jest piękny - mówi Meg.

- Nie byłam pewna, czy powinnam go ze sobą zabrać - jąkam się.

- Oczywiście, że powinnaś. Jest grzeczny?

- Wszystkie dzieci są grzeczne - odpowiadam, a potem zdaję sobie sprawę, jak to brzmi. - Wybacz. Nie powinnam była tego mówić.

Meg ściska mnie i patrzy na Haydena.

- Miło w końcu pana poznać.

- I nawzajem - mówi Hayden.

- Zdążył pan przyjechać na poród?

- Niezupełnie.

- Cóż, ale teraz pan jest.

- Na pewno znajdą pani synka - powtarza Hayden.

- Dziękuję.

Policjant, który trzyma dziennikarzy na odległość, odprowadza Megs.

- Chodźmy. - Hayden zdaje się podzielać mój niepokój.

Między nas wkracza fotograf z aparatem i bez pytania zaczyna robić zdjęcia Rory'emu i Haydenowi.

- Możemy mieć też zdjęcie z panią? - pyta jakaś dziennikarka. - Robimy reportaż na temat czuwania. Zna pani rodzinę Shaughnessych?

- Tak.

- Może go pani podnieść wyżej? O tak. Proszę go tak trzymać, przy policzku.

Strzela lampa błyskowa. Podstawiają mi mikrofon pod brodę.

- Boi się pani o swoje dziecko? - pyta dziennikarka.

- Nie. Czemu?

- To szokujące, prawda? Nikt się nie spodziewa, że ukradną mu dziecko.

- No raczej nie.

- Chciałaby pani powiedzieć coś osobie, która zabrała Baby Bena?

- Raczej nie. Chyba wszystko zostało już powiedziane.

MEGHAN

Ranek. Szósta piętnaście. Na radiowym zegarze świecą się na czerwono cyfry. Przesuwam rękami po zimnej pościeli, ale łóżko jest puste. Jack zapewne obudził się wcześniej i postanowił wstać. Kochaliśmy się tej nocy po czuwaniu przy świecach. Jack we mnie nie wszedł (z powodu moich szwów), ale znaleźliśmy inne sposoby na zbliżenie i to nas lepiej uleczyło niż dziesięć sesji terapeutycznych.

Jednak nawet kiedy go pieściłam ręką i wargami, czułam, że Jackowi powoli zaczyna brakować sił, jest zużyty jak sprężyna napędowa w zegarku. Przyciągnęłam do siebie jego głowę i zobaczyłam łzy. Wtedy zacisnął powieki, by je ukryć, zaczął się energiczniej poruszać i z jękiem wypowiedział moje imię.

Znów zapadam w drzemkę. Kiedy budzę się po raz drugi, włączam telefon. Mam dziesiątki wiadomości, głównie pytań o artykuł w gazecie. Otwieram link, ale w tej samej chwili odzywa się dzwonek do drzwi. Słyszę głosy Annie i komisarza MacAteera. Wyskakuję z łóżka, wkładam szlafrok i związuję włosy gumką.

Annie, Jack i MacAteer są w kuchni. Lucy i Lachlan oglądają kreskówki w pokoju. Na stole leżą rozłożone gazety. Jack pochyla się nad nimi blady i zaszokowany.

Dołączam do nich, zerkam na gazety i zauważam zdjęcie, na którym jestem z Jackiem. Drugie zdjęcie pokazuje atrakcyjną kobietę ze zmierzwionymi włosami, białymi zębami i w bluzce z dużym dekoltem. Poznaję ją, to agentka nieruchomości, która sprzedała nam dom.

Tytuł krzyczy:

Nie ukradłam Baby Bena!

A pod spodem:

Ale kocham jego tatę.

Jack próbuje zamknąć gazetę, ale kładę na niej rękę, odpycham go i czytam początek artykułu:

Londyńska agentka nieruchomości zaprzeczyła, by miała jakikolwiek związek ze zniknięciem Baby Bena Shaughnessy'ego, za to przyznała się do romansu z jego ojcem, znanym dziennikarzem sportowym Jackiem Shaughnessym.

Rhea Bowden twierdzi, że „ściany się trzęsły”, kiedy uprawiali seks w dziesiątkach różnych nieruchomości, które sprzedawała w południowym Londynie. Wśród tych nieruchomości znajdował się dom w Barnes, który sprzedała Meghan i Jackowi Shaughnessym w grudniu zeszłego roku, trzy miesiące przed rozpoczęciem romansu z Jackiem.

Jack próbuje oderwać moje palce od gazety.

- Proszę, Megs - mówi głosem ochrypłym od... Od czego? Poczucia winy? Wstydu? Skruchy?

Czytam dalej:

Wpadliśmy na siebie w lokalnym pubie Sun Inn na wieczorne zagadek i Jack zaproponował, że postawi mi drinka. Kupił mi butelkę szampana - powiedziała Rhea Bowden dziennikarzowi Daily Mirror.

Flirtowaliśmy i śmialiśmy się, przy drugiej butelce byliśmy już dość wstawieni. W końcu w drzwiach, wychodząc, zaczęliśmy się całować, a potem kochaliśmy się w moim biurze. Oczywiście wiedziałam, że jest żonaty, ale nie miałam pojęcia, że jego żona jest w ciąży.

Później Jack dzwonił do mnie, kiedy miał wolne popołudnia. Spotykaliśmy się u mnie albo jechaliśmy do jednego z domów, które pokazywałam klientom. Wiem, że to nie było w porządku,

ale cokolwiek ludzie o mnie myślą czy mówią, nie porwałam Baby Bena. Kocham Jacka. Nigdy nie skrzywdziłabym jego rodziny.

Gazeta się drze, kiedy Jack wyszarpuje ją spod moich zaciśniętych pięści. Oczy mam mokre od łez, ale nie chcę płakać. Patrzą na pierwsze strony pozostałych gazet. Wszystkie opisują tę samą historię, wytłuszczone tytuły rzucają się w oczy. Wyobrażam sobie, że cały kraj chichocze nad płatkami kukurydzianymi czy musli, plotkuje przy ksero, ogrodowym płocie czy też przy sklepowych kasach. Już nie jesteśmy biedną rodziną, która straciła dziecko. Jesteśmy tabloidową strawą, operą mydlaną. Jack nie tylko mnie zdradził, on mnie upokorzył, wystawił nasze małżeństwo na pośmiewisko, wykpił nasze zapewnienia, że jesteśmy kochającą się rodziną. Nie zasługujemy na współczucie. Nie zasługujemy na odzyskanie Bena.

Idę na górę. Jack próbuje iść za mną, lecz MacAteer go zatrzymuje. Ma pytania.

- Czy to nie może poczekać? - pyta błagalnie Jack.

- Nie.

Wyciągam z szafy torbę podręczną i wrzucam do niej ubrania na chybił trafił. Ubieram się. Zapinam kozaki. Schodzę na dół i wychodzę z domu. Kluczyki wypadają mi z ręki. Pochyliłam się, żeby je podnieść, i natychmiast znajduję się w samym środku medialnego cyrku, wśród kamer i dziennikarzy, którzy wykrzykują pytania.

- Wiedziała pani o tym romansie? - krzyczy ktoś.

- Zostawia go pani? - pyta inny.

Nie odpowiadam. Zamykam się w samochodzie i zapalam silnik, uderzam bokiem w radiowóz, tłukąc boczne lusterko. Nic mnie to nie obchodzi. Wszystkich ich przejadę. Mogą mnie zamknąć i wyrzucić klucz, byle tylko dali mi spokój.

AGATHA

Mój synek umiera. Wiem to od paru dni, ale wmawiam sobie, że da radę i nabierze sił. Tak, widzę, że się męczy, ale wszystkie dzieci czasami czują się gorzej. Wymiotują, gorączkują albo płaczą bez powodu.

Od dziecka nigdy nie bałam się o siebie, ale boję się o Rory'ego. A jeśli nie potrafię zadbać o niego jak należy? Jeżeli mi się nie uda?

Minionej nocy zasnęłam obok jego kosza. Obudziłam się zesztywniała z zimna i wyciągnęłam rękę, żeby dotknąć czoła Rory'ego. Jego maleńkie ciało promieniowało gorącem. Wytarłam go, podałam lekarstwo. Czekałam, aż Rory zaśnie, potem trzęsłam się, wręcz dygotałam świadoma, że to się znów stanie. Tracę kogoś, kogo kocham. On słabnie, stopniowo zanika, gram po gramie.

Budzę się. Na zewnątrz jest już jasno. Leżę w łóżku sama. Hayden musiał wstać wcześniej, ale pozwolił mi spać. Podchodzę do łóżeczka Rory'ego. Jest tak blady, że wstrzymuję oddech. Przerazona wyciągam rękę i dotykam jego klatki piersiowej. Jego płuca napełniają się powietrzem. Jego serce bije. Rory żyje. Jeszcze żyje.

Wciąż jednak gorączkuje. Daję mu paracetamol, wycieram drobne ciało. Pozwalam mu zacisnąć piąstkę na moim palcu i próbuję za niego oddychać, robiąc wdech i wydech.

On umiera.

Jeszcze nie.

Potrzebuje lekarza.

Nie mogę z nim iść do lekarza.

Zdejmuję nocną koszulę i otworzywszy szafę, zauważam tam jakąś zmianę. Moje ubrania zostały przesunięte, zepchnięte na boki, odsłaniając gołe półki. Na środkowej stoi niebieskie pudełko z powlekanego metalu z pokrywą na zawiasach, zamykane na kłódkę. Zawiera nieliczne pamiątki z przeszłości - okruchy warte przechowania - dyplom za drugie miejsce w konkursie na pisanie ręczne, nagrodę za test z ortografii, moje świadectwo urodzenia, nieważny paszport, kilka ślubnych zdjęć i pasek ze zdjęciami z kabiny fotograficznej. Siedzę tam, wówczas szesnastoletnia, na kolanach chłopaka, który mi się podobał, a którego imienia nie pamiętam.

Pudełko stoi inaczej, odwrócone. Przyglądam się i dostrzegam zadrapania na farbie w miejscu, gdzie odkręcano i znów przykręcano zawiasy.

Niosę pudełko do kuchni. Hayden siedzi nad miską płatków.

- Grzebałeś w moich rzeczach?

- Jakich rzeczach?

- W moim pudełku.

- Po co miałbym to robić?

- Nie wolno tam zaglądać.

- Czemu?

- Po prostu nie.

- Nie lubię tajemnic.

- To nie tajemnica, tam są moje prywatne rzeczy. Nie ufasz mi?

- Okłamałaś mnie w sprawie małżeństwa, w sprawie swojej matki i płaszcza, który podobno oddałaś dla biednych. Okłamałaś mnie nawet co do swojego wieku. - Wskazuje na pudełko. - Widziałem twoje świadectwo urodzenia. Powiedziałaś mi, że masz dwadzieścia dziewięć lat. A masz trzydzieści osiem.

- Kobieta ma prawo do drobnego oszustwa, jeśli chodzi o wiek -

próbuję obrócić to w żart.

Twarz Haydena jest pozbawiona wyrazu. Już go nie bawię.

- Dzwoniłem na ten numer, który mi podałaś, mówiąc, że to numer położnej. Przełączyło mnie na pocztę głosową. Nie ma jej aż do stycznia.

- Nie moja wina.

Czuję ulgę, ale jej nie okazuję. Cały dzień wymyślałam ten plan. Kupiłam kartę SIM i nagrałam powitanie, korzystając z aplikacji zmieniającej głos: „Dodzwoniłeś się na pocztę głosową Belindy Wallace z Yorkshire Home Birth Service. Nie ma mnie w pracy do siódmego stycznia. Wesołych świąt i szczęśliwego nowego roku”.

Hayden jeszcze nie skończył.

- Więc zadzwoniłem do twojego lekarza. Znalazłem jego numer w twoim telefonie. Ale pan doktor nie miał pojęcia, że byłaś w ciąży.

- Przestałam do niego chodzić. Jules pomogła mi zarejestrować się do jej lekarza.

- Dobra, to wszystko wyjaśnia - mówi cynicznie Hayden.

- Co to ma być, hiszpańska inkwizycja? - Udaję, że wzięłam jego słowa za żart.

- Jeszcze nie wiem - mówi Hayden trochę łagodniej. - Chcę ci wierzyć, Aggy, ale boję się, że coś zrobiłaś... kogoś skrzywdziłaś...

Stojąc boso na drewnianej podłodze, zaczynam się trząść i czuję w ustach metaliczny smak. To może być krew. Wszystkie dźwięki wydają się wzmocnione. Słyszę szum i świst samochodów na mokrej ulicy i pociąg District Line wjeżdżający na stację Putney Bridge.

Rozglądam się po kuchni, patrzę na dzbanek z herbatą, płatki śniadaniowe i miskę z mlekiem na sosnowym stole. Muszę mu powiedzieć. Muszę go błagać, żeby mi wybaczył. Oboje kochamy

Rory'ego. Żadne z nas nie chce go stracić. To może być nasza tajemnica.

Zaczynam coś mówić, ale mój umysł nie działa, ponieważ ledwie spałam. A jeśli on się nie zgodzi? Jeżeli zadzwoni na policję?

- Martwię się o Rory'ego - oznajmiam. - Nie chce jeść. Od wczoraj prawie nic nie zjadł.

Hayden nie waha się ani chwili. Jego pytania mogą poczekać. Rusza do sypialni, gdzie Rory leży na naszym łóżku wciśnięty między dwie poduszki. Nóżki ma rozsunięte pieluchą, w tej pozycji jego chudość boleśniej rzuca się w oczy.

Hayden dotyka jego czoła.

- Jest rozpalony.

- Dotknij jego rączek i nóżek. Są zimne.

- Obudź się, maleństwo - mówi Hayden, delikatnie potrząsając Rorym, który ledwie mruga.

Hayden podnosi go z łóżka. Rory przelewa mu się na rękach, jego główka opada na bok.

- On jest bezwładny.

- Jest tylko zmęczony.

- Nie, potrzebuje lekarza.

- Dam mu więcej calpolu.

- Ile dostał wczoraj do jedzenia?

- Daję mu tyle, ile chce. Czasami zasypia, zanim skończy.

- Jak się nazywa ten twój nowy lekarz?

- Zaczekajmy jeszcze trochę.

- Nie, chcę, żebyś zadzwoniła do lekarza.

Mój telefon leży na kuchennym stole. Przeglądam listę kontaktów i udaję, że wybieram numer.

- Czy to gabinet doktora Kneeble'a? Mówi Agatha Fyfle... Tak, zgadza się. Pani również życzę wesołych świąt. Mam

parutygodniowe dziecko, ma wysoką gorączkę.

Hayden szepcze dość głośno:

- Powiedz mu, że to poważne.

Zakrywam telefon.

- Rozmawiam z recepcjonistką.

- Mówisz, jakby nic się nie działo.

Wracam do udawanej rozmowy.

- Nie chce jeść i źle sypia. Tak, zrobiłam tak... co cztery godziny... rozumiem. Więc do tej pory nie może pani inaczej pomóc? Okej, proszę go zapisać. Rory Fyfle, nie, Rory Cole. Ma szesnaście dni.

- Kiedy? - pyta Hayden, gdy się rozłączam.

- Jutro.

- Co?

- To pierwsza wolna wizyta.

- Nie możemy tyle czekać.

Hayden sięga po swój telefon.

- Co robisz?

- Dzwonię do mamy. Ona będzie wiedziała, co zrobić.

- Nie, on wydobrzeje. - Chwytam go za rękę.

Ale Hayden mnie odtrąca.

- Nie obchodzi mnie, co zrobiłaś, Aggy, ale Rory jest chory. Nie będziemy czekać.

Dziesięć minut później wkładamy Rory'emu skarpetki, rękawiczki i wełnianą czapkę. Pani Cole zadzwoniła do swojego lekarza i umówiła nas na wizytę. Znam ryzyko, ale Hayden nie godzi się czekać. Znosi na dół wózek i pcha go przede mną.

- Chodź, no chodź.

- Przecież idę.

Gabinet mieści się w Brent Cross na Northern Line. Musimy

złapać trzy różne pociągi, żeby się tam dostać. Kiedy czekamy na peronie, wciąż zaglądam do Rory'ego, modłę się, żeby zapłakał, ożywił się, okazał choć odrobinę energii. Jednak wygląda na ospałego i półprzytomnego. Podaję mu łyk gotowanej wody z butelki, ale woda spływa mu po brodzie.

Muszę się przygotować. Muszę być pewna siebie. Lekarz będzie zadawał pytania. Muszę odpowiadać swobodnie, jakby wszystko było normalnie. Jestem świeżo upieczoną matką z chorym dzieckiem. Oddychaj, zrelaksuj się. Dasz radę.

Gdy przyjeżdżamy do przychodni, pani Cole skacze koło Rory'ego. Przy nim zmienia się nie do poznania, rozjaśnia się. Wnuk dał jej siłę i energię, jakby wypełniła swoje przeznaczenie.

Poczekalnia wygląda jak reklama United Colours of Benetton. Hindusi. Pakistańczycy. Afrykanie. Etiopka z małym dzieckiem wtulonym w jej wielobarwną suknię. Nie mówi po angielsku. Zazdroszczę jej. Żałuję, że nie mogę udawać obcokrajowca, który nie rozumie pytań lekarza.

Proszą mnie o wypełnienie szczegółowej karty pacjenta.

- Gdzie urodził się Rory? - pyta recepcjonistka.

- W Leeds.

- Ma pani ze sobą jego książeczkę zdrowia?

- Zostawiłam w domu, przepraszam.

- Jak się nazywa pani pielęgniarka środowiskowa?

Wymyślam nazwisko.

- Ma pani jej numer w telefonie?

- Nie, dała mi wizytówkę, przykleiłam ją na lodówce. Przepraszam. Nie bardzo pani pomagam. Nie jestem teraz w stanie myśleć. - Zmuszam się do łez.

Recepcjonistka mówi, żebym się nie martwiła. Później wypełnimy kartę.

- Karmi pani piersią? - pyta.
- Trochę karmiłam, ale mam trudności.
- Ale ma pani mleko?
- Tak.
- Ile ważył Rory przy urodzeniu?
- Dwa kilo osiemdziesiąt sześć deko.
- To był naturalny poród?
- Tak.
- Jakież problemy?
- Nie.

Każde nowe kłamstwo wydaje się coraz ciasniej owijać mnie kolejnym sznurem wokół piersi. Istota wierci się we mnie i kręci, przeżywa mnie, każe mi uciekać.

Wracam na krzesło i czekam. Po dziesięciu minutach proszą nas do gabinetu.

- Nie musi pani zostawać - zwracam się do pani Cole. Brzmi to, jakbym była niewdzięczna. - To znaczy nie chcę pani zatrzymywać, jeśli jest pani zajęta.

- Nie jestem zajęta - odpowiada. - Przyniosłam sobie robótkę. - Pokazuje mi maleńki sweterek, który robi na drutach.

Doktor Schur jest po sześćdziesiątce, ma bujną siwą czuprynę układającą się w falę, która wygląda niemal aerodynamicznie. Na widok Haydena okazuje wyjątkową radość.

- Tyle razy zakładałem ci szwy, nie sądziłem, że tak długo pożyjesz - mówi ze śmiechem. - Połóżcie tu małego. - Wskazuje na stół do badania. - I rozbierzcie go.

Przez kilka kolejnych minut nic nie mówi, bada oczy, uszy, nos, serce i płuca Rory'ego. Zgina jego rączki i nóżki, porusza biodrami, zagląda do ust, obmacuje czaszkę.

- Jest bardzo odwodniony. Wymiotuje?

- Nie, dawałam mu przegotowaną wodę.

- Karmi pani piersią?

- Nie zawsze. Pielęgniarka środowiskowa powiedziała, że powinnam go parę dni karmić butelką i chyba mu się spodobało.

- Ale ma pani mleko?

Lekko kiwam głową.

- Mamy tu pielęgniarkę, która jest bardzo dobra, jeśli chodzi o problemy z karmieniem piersią, ale bardziej martwi mnie jego waga i nieustająca gorączka.

- Dawałam mu paracetamol - mówię.

- Jak długo? - pyta doktor Schur.

- Od wczoraj rana... co cztery godziny.

Doktor kontynuuje badanie Rory'ego, ogląda ręce i nogi, patrzy na łokcie i pod kolana.

- Na wszelki wypadek chcę, żebyście zawieźli Rory'ego do szpitala - oświadcza.

- Czemu? - Słyszę panikę w swoim głosie.

- To bardzo mało prawdopodobne, ale wolę grzeszyć nadmiarem ostrożności.

- Co jest bardzo mało prawdopodobne? - pyta Hayden.

- Zapalenie opon mózgowych występuje dość rzadko, szczególnie u dzieci, które mają zaledwie parę tygodni, ale on ma gorączkę i wysypkę na wewnętrznej stronie prawego uda, a to są właśnie niektóre objawy. Chciałbym mu od razu podać antybiotyk o szerokim spektrum działania, tak na wszelki wypadek. W szpitalu właściwie go zdiagnozują. Zaraz zadzwonię i uprzedzę. Nie będziecie musieli czekać.

Doktor Schur idzie do biurka i pisze coś na swoim komputerze. Otwiera szafkę, wyjmuje kilka pakietów z lekami, zapisuje numer seryjny. Podaje Rory'emu pierwszą dawkę.

- Możesz go ubrać - mówi do Haydena, po czym odwraca się do mnie. - A teraz pani, młoda damo, co pani na to, żebym panią zbadał?

Cofam się.

- Nie!

- Chcę się upewnić, czy pani macica się obkurczyła.

- Wszystko jest w porządku.

- Ma pani jakieś skurcze albo bóle?

- Nie.

Hayden przerywa ubieranie Rory'ego i przenosi na mnie wzrok.

- Proszę tylko zsunąć spodnie i usiąść na stole. To zajmie parę minut.

On wie! On wie!

- Nie chcę, żeby pan mnie oglądał. To nie pańska... Ja... Mam problem z lekarzami. Coś się stało, jak byłam młodsza... Pozwalam się dotykać tylko kobietom.

- Mogę poprosić siostrę Hazelwood. Zbada panią i porozmawia o karmieniu piersią.

On wie! On wie!

- Nie, dziękuję. - Mocniej owijam się płaszczem. - Bardzo nam pan pomógł, ale nie chcę być badana.

Doktor Schur patrzy na kartę, którą wcześniej zaczęłam wypełniać.

- Nie podała pani nazwiska swojej pielęgniarki środowiskowej.

- Zostawiłam w domu jej wizytówkę.

- Ani swojego lekarza rodzinnego. Jak on się nazywa?

- Później się do niego wybieram.

On wie! On wie!

- Gdzie pani rodziła?

- W Leeds - odpowiadam rozdrażniona. - Już to mówiłam

repcjonistce. Zapisała to.

- Gdzie w Leeds?

Mam wrażenie, że język mi spuchł i zatyka mi gardło.

- Jest pani zdenerwowana, Agatho. Powinna się pani uspokoić.

- Jestem spokojna.

- Proszę usiąść, wszystko załatwimy.

- Nie ma nic do załatwienia. Wychodzę. - Biorę Rory'ego na ręce i mijam Haydena.

Doktor Schur staje mi na drodze.

- Musimy porozmawiać.

- Nie ma o czym.

Dotyka mojego ramienia. Istota we mnie uwalnia się z łańcuchów, wypełnia mi gardło.

- Zabieraj ode mnie swoje pieprzone łapska!

Nie poznaję swojego głosu. Jakby całkiem inna osoba, podająca się za mnie oszustka, w jednej sekundzie zajęła moje miejsce. Doktor Schur cofa się pół kroku, a ja naciskam kłamekę. Drzwi się otwierają. Szybkim krokiem przemierzam poczekalnię. Pani Cole podnosi się na nogi.

- Zejdź mi z drogi, suko, albo wydrapię ci oczy!

Pani Cole zatacza się do tyłu z rozdziawionymi ustami.

Hayden krzyczy, żebym się zatrzymała. Odwracam głowę i widzę, że doktor Schur rozmawia z recepcjonistką, która sięga po telefon.

Nie zatrzymuję się. Biegnę.

Oni wiedzą! Oni wiedzą! Oni wiedzą!

MEGHAN

Drań! Pieprzony drań!

Jack miał romans. Poszedł do łóżka z inną kobietą, do naszego łóżka, do wielu innych łóżek. Robili to na podłodze, na sofie, na kuchennym stole. Wyobrażam sobie, jak bzyka Rheę Bowden we wszystkich tych domach w południowym Londynie z tabliczką: „Na sprzedaż”. Czuję się niemal fizycznie chora.

Ilekcroć próbuję odsunąć od siebie te obrazy, uparcie powracają. Że też akurat ze wszystkich kobiet, z którymi mógł się przespać, wybrał tę rozmemłaną, wypacykowaną, tlenioną agentkę nieruchomości, która wygląda jak puma. Jest ode mnie starsza. Pieprzony drań!

Jack wciąż dzwoni, zostawia mi wiadomości, które usuwam, nawet ich nie słuchając. Proszę rodziców, żeby nie odbierali telefonów od Jacka. Później słyszę, jak Jack stuka do drzwi, a mój ojciec mówi mu, żeby mi dał trochę czasu, a gdy Jack wsadza nogę w drzwi, mój ojciec podnosi głos.

Nienawidzę go. Tak bardzo go nienawidzę, że nie chcę go więcej widzieć ani z nim rozmawiać. Tak właśnie sobie mówię i w to wierzę. Nie jestem histeryczką. Zachowuję absolutny spokój. Przygotowuję sobie, co powiem, kiedy mu oznajmię, że to koniec naszego małżeństwa, i zażądam rozwodu. Jack osłupieje. Będzie zrozpaczony i zacznie błagać o jeszcze jedną szansę.

Równocześnie jestem rozdarta między złością a ulgą, miłością a nienawiścią - niebezpieczna dychochotomia - ponieważ nie jestem niewinna. Przespałam się z Simonem. Tylko raz, ale na zawsze będę to pamiętać. Mój akt zdrady to pięć minut alkoholowej namiętności, typowa chwila słabości. Za to Jack spotykał się

z Rheą Bowden przez kilka miesięcy. Czyli jego zdrada jest zdecydowanie większa niż moja. Gorsza.

W gazetach piszą, że romans zakończył się po tym, gdy ktoś wsunął pod samochodową wycieraczkę Jacka karteczkę z ostrzeżeniem, żeby przestał mnie zdradzać. Najwyraźniej ten ktoś wiedział, że jest żonaty. To mogła być jedna z moich przyjaciółek. Wzdrygam się na tę myśl. Moje przyjaciółki są nieuleczalnymi plotkarami niezdolnymi do zachowania tajemnicy, zwłaszcza tak skandalicznej. Wystarczy, że jedna powiedziała o tym pozostałym, które z kolei by to rozpowszechniły, aż wiedziałyby całe Barnes, oprócz mnie oczywiście.

Jak one musiały szeptać za moimi plecami, wytykać mnie palcami z konspiracyjnym uśmiechem. Prawdziwe przyjaciółki by mi powiedziały. Prawdziwe przyjaciółki pomagają ci zakopać ciała. Przynoszą własny szpadel i nie zadają pytań.

Może na to zasłużyłam, choć nie miałam zamiaru przespać się z Simonem ani zająć znów w ciążę. Jack dokonał świadomego wyboru, postanawiając mnie zdradzić. Głupi, słaby, żaloszny drań zasługuje na samotność. Takie myśli kołaczą mi się po głowie, jakbym była przewodniczącą składu sędziowskiego i rozważała dowody, próbując wydać wyrok.

Jestem sama w swoim dawnym pokoju, który od czasów dzieciństwa został na nowo urządzony, ale pamiętam, jakie plakaty wisiały na tych ścianach i gdzie postawiłam łóżko, żeby w nocy widzieć dachy domów w odległej części ulicy. W rogu stało biurko z tajemną skrytką za drugą szufladą, gdzie chowałam papierosy i pierwsze jointy, które bałam się zapalić.

Moje myśli płyną naprzód. Pamiętam, jak zaszłam w ciążę z Lucy, jacy podekscytowani byliśmy wówczas z Jackiem. Godzinami rozmawialiśmy o wszystkich naszych planach.

Wieczorem w przeddzień porodu (Lucy urodziła się dziesięć dni po terminie) jedliśmy curry i kochaliśmy się, żeby się przekonać, czy uda nam się przyspieszyć poród.

Po urodzeniu Lucy spałam przez wiele godzin. Pamiętam, że kiedy się budziłam, widziałam Jacka, który trzymał Lucy w ramionach, patrząc na ten doskonały mały model stworzonego przez nas człowieka. Zabierał ją do okna mojego szpitalnego pokoju i pokazywał jej różne rzeczy.

- To jest piętrowy autobus - mówił. - Któregoś dnia przejedziemy się takim autobusem. Pokochasz Londyn.

Następne, co pamiętam, to śmierć ojca Jacka. Pojechaliśmy do hospicjum i siedzieliśmy przy jego łóżku, patrzyliśmy, jak z każdym oddechem zbliża się kres jego życia. Tamtego dnia zdałam sobie sprawę, że życie to seria pożegnań i że muszę coś zrobić, żeby nie marnować swojego czasu ani nie zużyć go zbyt szybko.

Dwa dni temu Jack wygłosił w kościele mowę, która wzruszyła mnie do łez. Powiedział, że mnie kocha i dzięki mnie jest silniejszy. Że jestem źródłem jego siły. Muszę wierzyć, że to wciąż prawda. Jestem na niego zła. Chcę go ukarać. Chcę go tak mocno szczytać, żeby krzyczał z bólu. Chcę, żeby wiedział, co zrobił, ale nie chcę się z nim żegnać, nie chcę go stracić.

Dzwoni dzwonek do drzwi. Mój ojciec otwiera, słyszę kroki na schodach. Ktoś cicho stuka do drzwi mojego pokoju.

- Jest tu policja - mówi ojciec zatroskanym głosem. - Próbowali się z tobą skontaktować telefonicznie.

MacAteer stoi w holu obok Cyrusa Havena. Nie zdjęli nawet płaszczy. Komisarz sugeruje, żebym usiadła.

- Nie, proszę powiedzieć, o co chodzi.

- Pojawiły się nowe fakty - oznajmia. - Być może znamy już

tożsamość porywaczki.

- To Rhea Bowden?

Czy ją aresztowali? Mam nadzieję, że prowadzili ją na komisariat w świetle kamer. Gdzie jest Ben?

- Zna pani kobietę, która nazywa się Agatha Fyfle? - pyta MacAteer.

- Co? Tak. - Komisarz zaczyna coś wyjaśniać, ale mu przerywam: - To nie może być Agatha. Urodziła wcześniej ode mnie.

Żaden z mężczyzn nie odpowiada, dopiero po chwili komisarz pyta:

- Jak pani ją poznała?

- Pracowała w lokalnym supermarkecie, naprzeciw parku. Chodziłyśmy razem na jogę.

- Była w ciąży?

- Tak.

- Czy kiedykolwiek była w pani domu?

- Raz. Dałam jej trochę dziecięcych ubranek.

- Czy mogła udawać ciążę? - pyta Cyrus.

- Nie. Urodziła przede mną. Widziałam jej zdjęcia.

- Ma je pani jeszcze? - pyta MacAteer.

- Tak, w telefonie.

Przeglądam listę mejli i pokazuję zdjęcia Agathy z dzieckiem. Cyrus dokładnie im się przygląda.

- To mogło być zrobione wszędzie.

- Rodziła w domu - mówię.

- Można było to ustawić - twierdzi MacAteer.

- Jak? Przecież ona trzyma dziecko.

- Jej sąsiadka z góry urodziła miesiąc temu dziewczynkę.

Kręcę głową, próbuję myśleć logicznie. Agatha przyszła ze mną

do mojego domu. Obie byłyśmy przemoknięte. Korzystała z mojej łazienki i pożyczyła ode mnie coś do ubrania. Nie widziałam jej rozebranej.

MacAteer kontynuuje:

- Dziś rano Agatha Fyfle odwiedziła lekarza w północnym Londynie. Nie miała żadnych dokumentów dziecka i nie potrafiła podać lekarzowi szczegółów dotyczących pielęgniarki środowiskowej ani położnej.

- Mówiła, że była z nią matka.

- Matka Agathy od początku października przebywa w Hiszpanii - wyjaśnia Cyrus. - Zadzwoiłem do niej przed godziną. O tym, że Agatha ma dziecko, dowiedziała się dopiero tydzień temu podczas rozmowy telefonicznej z narzeczonym córki, Haydenem Cole'em.

Jak jej matka mogła tego nie wiedzieć?

Wracam pamięcią do kolejnych szczegółów. Agatha przyszła na czuwanie przy świecach. Miała ze sobą dziecko. Dotknęłam jego główki. Z pewnością wiedziałabym, że to Ben. Rozpoznałabym go. W tej samej sekundzie słyszę swoje słowa:

- Musicie ją aresztować.

- Musimy być pewni - mówi MacAteer.

- Jeśli ją aresztujecie, będzie musiała oddać dziecko, a wtedy możecie zrobić test DNA.

- Tylko na podstawie nakazu. Potrzebujemy dowodu.

Mocno wystraszona podnoszę głos.

- Powiedział pan, że była z synkiem u lekarza. Jest chory?

- Miał gorączkę - wyjaśnia Cyrus. - Lekarz dał mu antybiotyki i polecił dalsze badania. Agatha uciekła, zanim wszczął alarm.

- Jak bardzo chory? Co mu dolega?

- Istnieje niewielkie prawdopodobieństwo, że ma zapalenie

opon mózgowych.

Unoszę zaciśniętą pięść do ust i wbijam zęby w knykcie, chcę, żeby popłynęła z nich krew.

- Obserwujemy mieszkanie Agathy - informuje MacAteer. - Jeśli wróci do domu, przesłuchamy ją.

- A jeśli nie wróci?

- Obserwujemy dworce kolejowe, lotniska i terminale promów. Kontaktujemy się z jej znajomymi i przyjaciółmi, którzy mogliby jej udzielić schronienia.

- A co z domem jej matki w Leeds? - pyta Cyrus.

- Też go obserwujemy - odpowiada MacAteer.

- Ben nie przeżyje na zewnątrz w taką noc - mówię.

- Wiem o tym, ale jeśli nagłośnimy jej nazwisko w mediach i pokażemy zdjęcie, ryzykujemy, że narazimy Bena na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Pamiętaj pani naszą strategię. Nie możemy jej przestraszyć ani zdenerwować.

Mam ochotę wrzeszczeć: „Pieprzyć strategię! Moje dziecko jest chore!”.

Cyrus chce jeszcze ode mnie usłyszeć, jak bardzo Agatha się przede mną odsłoniła. Wiem, o co mu chodzi. Próbuje ocenić jej stan umysłu. Chce wiedzieć, czy Agatha wpadnie w panikę, znajdując się pod presją. Nie wiem, czy jestem najlepszą osobą, którą należy o to pytać. Uważałam Agathę za przyjaciółkę. Zaprosiłam ją do mojego domu. Dałam jej ubranka dla dziecka. Siedziałyśmy w mojej kuchni i rozmawiałyśmy o ciąży, dzieciach i przyszłości.

Jakim trzeba być potworem, żeby ukraść dziecko innej kobiecie?

AGATHA

Teraz po nas przyjdą. Otoczą dom i wyważą frontowe drzwi, rozłupując drewno i wykrzywiając zawiasy. Wpadną po schodach jak burza i będą biegać od pokoju do pokoju, będą nas szukać.

Powinnam była przewidzieć, że do tego dojdzie. Powinnam była zabrać Rory'ego za granicę, gdzie miałabym szansę. Spakować swoje rzeczy i przesz muglować go przez odprawę. Mogłam go zabrać do... do... Dokąd? Nie mam pieniędzy ani kontaktów. Ani doświadczenia w nieustającej ucieczce.

Istota mnie obwinia, wylicza moje błędy, krytykuje głupotę. Jestem bezużyteczna. Żałosna. Znów mi się nie udało. Czego się spodziewałam? Wszystko stracę - dziecko, narzeczonego, wolność... Nie mam prawa do szczęścia. Bogactwo czy urodę los ofiarowuje innym. Nie komuś takiemu jak ja.

Głupia! Głupia! Głupia dziewczyna!

Zerkam na Rory'ego, który śpi w moich ramionach. Moja pierś unosi się w zdławionym szlochu. Kilka minionych tygodni to najszczęśliwsze chwile, jakich zaznałam w życiu. Spełniło się moje marzenie. To był... mój czas. Byłam kochana. Czułam się spełniona.

Powinnam wiedzieć, że to nie będzie trwało wiecznie, ale nie zamierzam płakać. Nie tutaj. Nie teraz.

Taksówka, którą jadę z Brent Cross, zwalnia w korku na North Circular. Już prawie jestem w Chiswick, kiedy odkrywam, że mam tylko dwadzieścia funtów w portmonetce. Licznik już dawno pokazał większą sumę.

- Może się pan tu zatrzymać? - pytam kierowcę.
- Nie chce pani jechać do Fulham?

- Nie, tu będzie dobrze.

Wyjmuję wszystkie banknoty i monety, liczę je, podczas gdy taksówkarz czeka zniecierpliwiony.

- Ogromnie mi przykro, ale nie mam dość pieniędzy. Brakuje pięć funtów. - Patrzę na niego z nadzieją.

- Płakała pani? - pyta.

Słowa utykają mi w gardle.

Taksówkarz patrzy na dziecko.

- Niech pani da dwadzieścia. Nie chcę drobnicy. Będziemy kwita.

Taksówka się zatrzymuje. Ryzykuję i zerkam na telefon. Dzwonił Hayden, zostawił też wiadomość głosową i przysłał SMS-y. Może powinnam do niego oddzwonić. Mogłabym wyznać mu prawdę i poprosić o pomoc. On kocha Rory'ego tak samo jak ja. Razem mogliśmy wymyślić jakiś plan. Uciec, zacząć gdzieś od nowa.

W tym samym momencie przypominam sobie, że policja może śledzić sygnał z komórki. Wyłączam telefon, wyjmuję kartę SIM i wrzucam ją do kratki ściekowej. Stoję na Chiswick Roundabout, wdychając spaliny, i niewidzącym wzrokiem patrzę na samochody. Dalej przede mną jest stacja Kew Bridge. Mogę wsiąść do pociągu. Tylko dokąd bym pojechała? Nie mogę wrócić do mieszkania. Nie mam karty kredytowej ani debetowej. Zostawiłam je w torbie wiszącej na wózku Rory'ego. Nie myślałam o nich, nie miałam czasu.

Kładę dłoń na czole Rory'ego. Gorączka spadła, policzki leciutko się zaróżowiły. Mam antybiotyk, który dał mi lekarz. Mogę mu podać kolejną dawkę za parę godzin. Ale jak go nakarmię? Jak przebiorę?

Na stacji metra znajduję automat telefoniczny i dzwonię na

numer Haydena. Odpowiada po pierwszym sygnale.

- Agatha! Gdzie jesteś? Umierałem ze zmartwienia.
- Jesteś w domu?
- Tak.
- Jest tam policja?
- Kto? Nie.
- Wyjrzyj przez okno.
- Co się dzieje? Gdzie jesteś?
- Wyjrzyj przez okno - mówię ponagląco.
- Okej. Okej. Czego mam szukać?
- Widzisz kogoś?
- Nie.

W tle słyszę dźwięk domofonu.

- Zaczekaj - mówi Hayden.
- To oni?

Nie odpowiada, ale słyszę, że rozmawia z kimś przez domofon.

- Nie ma jej tu. Kto pyta?

Nie słyszę odpowiedzi. Rozłączam się, nie czekając.

Rozglądam się przekonana, że mnie obserwują. Starając się nie patrzeć nikomu w oczy, schodzę po schodach na peron. U stóp schodów stoi pracownik straży kolejowej w służbowym uniformie, czyta darmową gazetę, czeka na pociąg. Między jego nogami leży sportowa torba. Podnosi wzrok znad gazety i zauważa Rory'ego w moich ramionach.

Idę na koniec peronu i chowam się za pomalowanym betonowym słupem. Na peronie naprzeciwko, skąd odjeżdżają pociągi na zachód, jakiś mężczyzna zbiera śmieci, nabijając je na szpikulec. Na uszach ma słuchawki, które zwisają spod jego dredów. Może być członkiem zespołu prowadzącego obserwację. Sięgam wzrokiem do odległej części peronu, gdzie rozmawiają

dwie Azjatki. Żadna z nich na mnie nie patrzy. Nie patrzyłyby, prawda? Celowo by mnie unikały.

Rory marudzi, jest głodny. Nie mam dla niego nic prócz gotowanej wody. Czemu nie zostawią nas w spokoju? Czemu muszą nadal szukać Baby Bena? Przedstawiają go jak jakieś dziecko z bajki skradzione przez wilki albo porzucone, by umarło w dziczy. Rory zawsze był bezpieczny i kochany. Gdyby dali mu spokój, byłby zdrowy i szczęśliwy.

Staralam się nie myśleć o takiej chwili jak ta. Klęska jest moim cieniem, ale nie chcę oglądać się za siebie. Już to przeżyłam. Mam wrażenie, jakbym się wychylała z płonącego budynku, tak samo bojąc się i skoku, i płomieni, wiedząc, że tak czy owak nie przeżyję, a jednak muszę dokonać wyboru.

Istota do mnie szepcze, że przegrałam. To brutalna bestia, zdeterminowana, żeby osłabiać i demoralizować, nigdy nie wybaczyć ani nie zapomnieć. Czego się spodziewałam? Zabijam dzieci. Wystarczy, że ich dotknę, i zaraz umierają. Chloe. Lizzie. Emily. Elijah. Wszystkie nie żyją przeze mnie. A teraz stracę Rory'ego.

Nadjeżdża kolejny pociąg. Jak łatwo byłoby rzucić się i skończyć ze sobą. Po co miałabym żyć, jeśli odbiorą mi Rory'ego? Nie będę widziała barw tego świata, nie poczuję słodczy ani ciepła. Zostanę nikim. Będę gorsza.

Palce moich stóp znajdują się na skraju peronu. Kołyszę się na piętach, słysząc wibrację torów. Czuję pęd powietrza.

Jesteś tchórzem.

Nie jestem tchórzem.

Więc zrób to.

Przez moją głowę przepływają obrazy. Mój pogrzeb. Kto na niego przyjdzie? Po tym, co zrobiłam, nikt, chyba że moja matka

się zjawi się ubrana jak hiszpańska wdowa i odegra spektakl rozpaczny nad trumną, uderzając w lśniące wieko kościstymi pięściami.

Moje życie nie jest warte zapamiętania, ale moja śmierć może to naprawić. Może zaszokować i przerazić. Będą się o niej rozpisywać. Trafi na pierwsze strony gazet i do wszystkich wydań wiadomości. Maszynista nigdy tego nie zapomni. Meghan i Jacka będą dręczyły koszmary, będą się budzili zrani potęm z moim imieniem na wargach, z moją twarzą przed oczami.

Kołyszę się do przodu i do tyłu, za każdym razem bardziej się nachylam. Patrz, jakie to proste. Nicky nie żyje. Nie miał czasu żałować. Nic nie przeleciało mu przed oczami poza pociągiem, który zmiażdżył jego ciało. Moje życie może zakończyć się tak samo szybko. Mój ból. Moje wątpliwości.

Zrób to! Teraz!

A co z Rorym?

Zabierz go ze sobą.

On na to nie zasłużył.

Będiesz go miała na zawsze.

Jak? On zasługuje na coś więcej.

Samobójstwo jest najwyższym aktem egoizmu, ale z pewnością staje się czymś więcej, jeśli zabieramy ze sobą inne życie. To jak powiedzenie: Nie mogę znieść tego świata, więc wybieram śmierć, ale nie mogę znieść śmierci, więc zabieram kogoś ze sobą. Jakie to tchórzliwe. Jak obsesyjnie w siebie zapatrzone. Wołanie o pomoc staje się czynem niegodziwym. Niewybaczalnym. Podstawą wiecznego potępienia.

Peron drży. Ryczy klakson pociągu. Zataczam się do tyłu jak zdmuchnięta przez ten huk, przyciskam do piersi Rory'ego. Pociąg hamuje, zatrzymuje się powoli, otwierają się drzwi.

Pracownik straży kolejowej jest obok mnie.

- Nic się pani nie stało? - pyta.
- Nie, w porządku.
- Upadła pani?
- Nie, dziękuję, nic się nie stało.
- Pani dziecko płacze.

Wskazuje na Rory'ego, którego twarzyczka jest obrazem nieszczęścia, poczerwieniała i pomarszczona.

Niosę go do pociągu. Pracownik straży kolejowej zajmuje miejsce, patrzy na mnie. Stoję obok drzwi, czekam na sygnał oznaczający, że się zamkną. W ostatnim momencie wyskakuję na peron, a drzwi zamykają się za moimi plecami. Pracownik straży kolejowej wstaje. Idzie przez wagon, nie spuszczając ze mnie wzroku, ale pociąg zabiera go w dal.

Rory ucicha. Patrzy na mnie z oczekiwaniem. Niedługo się ściemni. Potrzebujemy jakiegoś schronienia. Jedzenia. Supermarket! Wiem, gdzie pan Patel trzyma zapasowe klucze. Znam kod alarmu, chyba że zmienił go po moim odejściu. Sklep zamyka się o dwudziestej pierwszej. Wezmę pieluszki i mieszankę dla niemowląt. Będziemy tam mogli przespać całą noc, jeśli tylko znikniemy przed szóstą rano.

Siedzę na metalowej ławce i trzymam Rory'ego na kolanach.

- Wszystko będzie dobrze - szepczę, całując go w policzek. - Dzisiaj nie był nasz dzień, ale zawsze jest jutro.

MEGHAN

Ciemnoskóra Hawajka w bikini z kokosa i spódniczce hula kołysze się na desce rozdzielczej. Jack ją tam postawił, uważał, że jest zabawna na swój retro-seksowny sposób, ale teraz przypomina mi Rheę Bowden kołyszącą biodrami i zachowującą się jak dziwka. Uderzam lalkę grzbietem dłoni. Pochyla się i prostuje, jeszcze bardziej się kołysze.

- Czy jest coś, o czym chciałaby pani porozmawiać? - pyta Cyrus, który uparł się, że będzie prowadzić. Gdy nie odpowiadam, dodaje: - Widziałem gazety.

- Wszyscy je widzieli. Cały świat się ze mnie śmieje.

- Współczują pani.

- To jeszcze gorzej.

- Mogę powiedzieć tylko...

- Nie! Nie chcę o tym mówić.

Jedziemy w milczeniu, przejeżdżamy Putney Bridge i skręcamy w Lower Richmond Road.

- Coś jednak pani powiem - mówi Cyrus. - Potem się zamknę.

Urywa, jakby spodziewał się mojego sprzeciwu, ale milczę.

- Zdradziłem kogoś - wyznaje Cyrus. - To była jedna noc, nic nie znaczyła, ale kosztowała mnie związek z kobietą, która była mi bardzo droga.

- Nie wybaczyła panu?

- Nie mogłem jej tego wynagrodzić. - Ból wyrył się wokół jego oczu. Głos Cyrusa zamiera. - Próbowałem coś zrobić, żeby zrozumiała, że jej uraza do mnie krzywdzi nas oboje. Może to nie fair, żeby pani wybaczyła Jackowi, ale wybaczenie z samej swojej natury nie ma wiele wspólnego ze sprawiedliwością. Ktoś musi

bardziej się poświęcić. Ktoś musi zacząć.

- Chce pan powiedzieć, że to mam być ja? Czemu to zawsze musi być kobieta?

- Nie musi, zapewniam. Rozmawiałem z Jackiem. Jest zdruzgotany.

- To dobrze.

- Myśli, że panią stracił.

- Jeszcze lepiej. - Obejmuję się ramionami i wyglądam przez okno.

- Kocha go pani jeszcze? - pyta Cyrus.

- To pytanie nie fair.

- Ma pani rację. Powinienem spytać, czy może mu pani wybaczyć.

- Jak mam to zrobić?

- Porozmawiać z nim. Pozwolić mu się wytłumaczyć.

Nie chcę znać szczegółów. Nie chcę sobie wyobrażać Jacka z Rheą Bowden. Sama myśl o tym, że miałabym go dotknąć po tym, co zrobił, gdzie się włóczył z tą kobietą, jest nie do zniesienia. Mam chęć obciąć mu penisa.

Cyrus wciąż mówi:

- To nie jest proste. Najpierw trzeba się obejrzeć za siebie, na to, co was łączyło, a potem spojrzeć w przyszłość. Skupić się na odbudowaniu, nie oskarżaniu.

- Czy tak było w pana przypadku? - pytam.

- Prawie - odpowiada, wjeżdżając na naszą ulicę. - Nie dość się starałem.

Jack spotyka się z nami w holu. Jest niepewny, nie wie, czy mnie uściskać, czy trzymać się z daleka. Sięga po moją torbę. Odwracam się i w ostatniej chwili przyciskam wargi do jego warg, trzymając go za głowę. Jack drży i mięknie. Czuję smak kawy na

jego wargach.

- Przepraszam - szepcze.
- Wiem.
- To się nie powtórzy.
- Nie powtórzy się...

Znów go całuję, ponieważ nie chcę rozmawiać o Rhei Bowden ani myśleć o Simonie Kiddzie. Los mojego małżeństwa może poczekać. Całą energię muszę poświęcić na odzyskanie Bena. Potem zdecyduję, czy nadal chcę Jacka.

Policjantka Soussa znów została naszym oficerem kontaktowym. Jest w kontakcie z MacAteerem, który wrócił na komisariat i dowodzi grupą dochodzeniową. Agatha nie wróciła do mieszkania w Fulham, jej telefon komórkowy przestał emitować sygnał w Chiswick w zachodnim Londynie tuż przed czternastą. Dwadzieścia minut później korzystała z automatu na stacji Kew Bridge, dzwoniła do swojego narzeczonego Haydena Cole'a, który zaprzeczył, by wiedział cokolwiek o Baby Benie czy porwaniu. Twierdzi, że został oszukany przez Agathę, która udawała ciążę, kiedy był na morzu.

Przeglądają billingi i mejle Agathy, szukając podpowiedzi, dokąd mogła się udać. Komisarz MacAteer postanowił na razie nie ujawniać jej nazwiska ani zdjęcia w obawie, że mogłoby ją to pchnąć do jakiegoś desperackiego czynu. Rozumiem jego argumenty, ale jako matka chciałabym obkleić jej zdjęciami wszystkie latarnie i wykrzyzczyć jej imię z dachów.

Dzwoni telefon. Jack odbiera i włącza głośnik. Komisarz odzywa się pełen energii, jakby minione tygodnie były tylko rozgrzewką. Teraz dopiero zaczęła się prawdziwa gra.

- Wiemy, że Agatha Fyfle czwartego grudnia podróżowała do Leeds pociągiem, ale nie znaleźliśmy dowodów, żeby tam rodziła.

- Jego głos brzmi metalicznie i głucho przez głośnik. - Szóstego grudnia w środku dnia wsiadła do autobusu jadącego z Central Leeds na dworzec London Victoria. Kamery przemysłowe zarejestrowały ją z nosidełkiem dla dzieci, ale nie widać na nich dziecka. Według jej narzeczonego nie spędziła tamtej nocy w swoim mieszkaniu w Fulham, co znaczy, że może mieć jakieś inne lokum, na przykład dom przyjaciółki albo hostel czy hotel. W każdym razie znalazła się w Londynie, zanim pani pojechała do szpitala.

- Dzwoniła do mnie tamtego wieczoru - mówię. - Powiedziała, że jest w Leeds.

- To było za pięć ósma wieczorem. Nasi technicy zlokalizowali sygnał jej komórki. Agatha dzwoniła z Londynu, była niedaleko pani.

- Jak blisko? - pyta Cyrus.

- Najlepszy szacunek to ogród na tyłach domu.

Mam wrażenie, że w moim żołądku coś się urywa i spada. Wyglądam przez drzwi balkonowe i przypominam sobie tamtą rozmowę. Byłam w kuchni, robiłam sobie herbatę. Agatha opowiadała mi o swoim dziecku i porodzie. Wyobrażałam ją sobie w domu matki w Leeds, gdy w rzeczywistości była tuż obok i patrzyła na mnie przez oszklone drzwi. Obie słyszałyśmy ten sam deszcz.

- Czemu my? - szepczę.

- Nie mogła mieć dzieci - mówi komisarz. - Jej matka to potwierdziła.

- Ale dlaczego my? - pytam głośniej. - Poznałam ją zaledwie dwa miesiące temu.

- Myślę, że obserwowała panią dużo wcześniej - mówi Cyrus. - Podejrzewam, że Agatha bardzo dużo myślała o tym, jakiego

dziecka pragnęła. Pomogło jej to zracjonalizować plany.

- W tym wszystkim nie ma nic racjonalnego - stwierdza Jack, który z pogardą odnosi się do wszelkich motywów Agathy czy usprawiedliwiania jej działań.

- Była pani jej idolką - mówi Cyrus. - Odniosła pani sukces, jest pani zamożna, lubiana. Ma pani już dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę. Agatha postrzegала to jako idealne życie.

Gdyby tylko znała prawdę.

MacAteer musi na chwilę przerwać. Przeprasza i każe nam czekać. Słyszymy głos jego rozmówcy.

- Jesteś pewien? Ile?... Okej... Wezwij techników. Chcę, żeby to miejsce zamknięto i ogrodzono.

Wraca do rozmowy z nami, ale słyszę w jego głosie jakąś nową powagę, która budzi we mnie lęk.

- Nasi technicy prześledzili ruchy Agathy Fyfle w dniach poprzedzających uprowadzenie. Czwartego grudnia jechała pociągiem do Leeds i udała się do domu matki. Następnego dnia wcześniej się obudziła i pojechała na obrzeża miasta, gdzie wzdłuż kanału szła do lasu. Sygnały jej telefonu pozwoliły nam zidentyfikować miejsce, gdzie się zatrzymała. Policja dotarła tam dwadzieścia minut temu. To zrujnowana farma na polanie nad jazem. - Detektyw waha się. - Odkryli trzy kamienne kopczyki ułożone wokół polany.

Unoszę rękę do ust, mój umysł rozpada się jak domek z kart zdmuchnięty przez powiew z otwartych nagle drzwi.

- Groby - szepczę.

- Za wcześniej na spekulacje - mówi MacAteer. - Technicy dopiero tam jadą.

- Porwała jeszcze inne dzieci - mówię, patrząc na Cyrusa. - Pan to przewidział.

- Nie powinniśmy wyciągać pochopnych wniosków.

W ustach mi zasycha.

- Czy ona zabije Bena?

- To mogą być dzieci, które poroniła.

- Troje?

- Chryste! - Jack opiera głowę o ścianę.

Mój nastrój waha się między euforią a rozpaczą. Nagle znów nisko upada, sięga dna. Musimy ją znaleźć. Musimy odzyskać Bena.

Jednocześnie jestem rozdarta między dwoma przeciwstawnymi pragnieniami. Jakaś część mnie chce, żeby Agatha była zmuszona do ucieczki, ale nie miała się gdzie ukryć. Inna część wie, że ona potrzebuje ciepłego i bezpiecznego schronienia, żeby ukryć się z moim dzieckiem na kolejną noc.

Jestem uwięziona w pułapce tych myśli. Życzę jej powodzenia i mam nadzieję, że jej się nie uda.

AGATHA

Trzęsę się od godziny na grudniowym zimnie, przyciskając Rory'ego do piersi, żeby było mu cieplej. Przykucnięta za pojemnikami na śmieci patrzę, jak pan Patel zamyka supermarket, wychodzi tylnym wyjściem i obraca kluczykami na palcu wskazującym, kierując się do swojego mercedesa.

Spod śmietników wyskakuje ciemno umaszczony kot, goni coś mniejszego i równie ciemnego. Omal nie krzyczę i nie upuszczam Rory'ego, który nagle podnosi powieki. Nie płacze. Taki dobry chłopiec. Dałam mu kolejną dawkę antybiotyku, wstrzykując lekarstwo głęboko do ust, żeby go nie wypluł. Jest głodny, ale nic nie będę dla niego miała, dopóki nie wejdziemy do środka.

Trzymając się w cieniu, docieram do drzwi z zamkiem antywłamaniowym i unoszę luźną cegłę na dole. Klucz jest przyczepiony do plastikowego breloczka, służy pracownikowi, który otwiera sklep każdego ranka.

Na ślepo wpycham klucz do zamka, świadoma, że kiedy znajdę się wewnątrz, mam około dwudziestu sekund, żeby wstukać kod dezaktywujący alarm.

Klucz wchodzi na miejsce i obraca się. Drzwi się otwierają i słyszę pierwszy pisk alarmu, który staje się coraz głośniejszy, kiedy docieram do panelu. Ręce mam tak zeszywniałe z zimna, że wbijam niewłaściwy kod. Kasuję próbę i zaczynam od nowa. Ile czasu mi zostało? Dziesięć sekund? Pięć? Chyba że kod został zmieniony.

Jestem w połowie sekwencji cyfr, kiedy dźwięk eksploduje wokół mnie i światła zaczynają migać, oświetlając wszystkie alejki supermarketu. Naciskam ostatnią cyfrę. Enter. Cisza. Obudziłam

chyba połowę Barnes.

Patrzę wzdłuż alejki przez okna od frontu. Ulicą przejeżdża czerwony autobus. Jakaś starsza para wyszła na spacer z psem, zagląda do sklepu i idzie dalej.

Słyszę stłumiony szloch Rory'ego spod płaszcza. Zamykam drzwi na klucz. Wyłączyli ogrzewanie, ale jest dość ciepło, żebym mogła zdjąć płaszcz. Wyjmuję Rory'ego z chusty, kołyszę go, uciszam, mówię mu, że wszystko jest w porządku. Uspokaja się, ssąc mój mały palec.

Alejki supermarketu są oświetlone przez niskowatowe żarówki, które zabarwiają wszystko na żółtozielony odcień. Każdy, kto będzie przechodził obok sklepu, może mnie zobaczyć. Przebieram się w fartuch pozostawiony przez któregoś z pracowników i przechodzę między alejkami, biorę pieluchy, chusteczki, puder dla dzieci, mieszanki dla niemowląt i butelki. Dopiero na widok półek pełnych herbatników crispy i batonów czekoladowych zdaję sobie sprawę, że jestem głodna.

Gotuję wodę w służbowym czajniku, sterylizuję dwie butelki i przygotowuję mieszankę dla niemowląt, potem wciskam butelkę do zamrażarki między mrożony groszek i frytki, żeby ją schłodzić. Co parę minut sprawdzam temperaturę.

W tym czasie myję i przebieram Rory'ego, szukam na jego ciele śladów wysypki. Doktor Schur powiedział, że ma niedowagę i jest niedożywiony, ale to nie moja wina. Próbuję go karmić. Robiłam wszystko, co jest napisane w książkach.

Siedząc na workach ryżu, karmię Rory'ego, który wypija całą butelkę, wysysa wszystko aż do ostatniej kropli. Kładę go na ramieniu, żeby mu się odbiło, modląc się przy tym, by nie wymiotował. Rory nie zasypia. Patrzy na mnie, kiedy przygotowuję kolejne dwie butelki na wypadek, gdybyśmy musieli

wyść w pośpiechu.

Znajduję w zamrażarce zapiekane w cieście mięso z grzybami i rozmrażam w mikrofalówce w magazynie. Do tego gotuję paczkę mrożonych warzyw i zjadam moją ucztę na papierowym talerzu plastikowymi sztućcami. Przeglądając półki, wybieram najdroższe czerwone wino. Otwieram butelkę i wznoszę toast za pana Patela i jego szczodroblivość.

- To jest życie, co? - mówię do Rory'ego, który mnie obserwuje.

- Czy nie byłoby miło zostać tu na zawsze?

Wiem, że to niemożliwe. O szóstej rano ktoś przyjdzie otworzyć sklep i zaczną się dostawy - chleb, mleko i gazety. O szóstej trzydzięci otworzą drzwi i pojawią się ranne ptaszki, by kupić coś w drodze do pracy.

- Mam ochotę na coś słodkiego - mówię do Rory'ego, któremu opadają powieki. Otwieram szufladę zamrażarki, podnoszę wieko i szukam najlepszych lodów.

- Ben i Jerry's, Häagen Dazs czy Bessant & Drury? Lubię te marki. Czemu by nie spróbować wszystkich?

Więc je biorę i próbuję po kolei. Otwieram czwartego loda, kiedy ktoś stuka do drzwi od frontu. Para nastolatków daje mi jakieś znaki. Oboje są pijani i podtrzymują się nawzajem.

- Zamknięte! - wołam.

- Potrzebujemy papierosów - mówi chłopak, machając banknotem dwudziestofuntowym.

- Spróbuj w pubie.

- Wyrzucili nas.

- Nie mój problem.

Dziewczyna krzywi się.

- Nie bądź taką krową. Możesz otworzyć na minutę.

- Nie mogę. Kasa jest zamknięta.

Chłopak uderza ręką w drzwi, aż wibrują. Gdy to powtarza, jestem zmuszona go ostrzec, że wezwę policję.

Cofa się i rozgląda, aż dostrzega plastikową skrzynkę po mleku. Podnosi ją, rzuca nią o drzwi, ale skrzynka odbija się i uderza go w piszczel. Musiało go zboleć, bo aż podskakuje. Dziewczyna kopie w drzwi.

- Dzwonię na policję - mówię, pokazując telefon.

- Gruba krowa! - odpowiada dziewczyna.

Ciągnie chłopaka dalej. Idą chwiejnym krokiem na przystanek autobusowy, pokazując dwa palce w obscenicznym geście mijającemu ich kierowcy, który naciska klakson.

Nalewam sobie kolejny kieliszek wina i zerkam na okładki magazynów, na których widnieją piękne kobiety z natryskową opalenizną i pary celebrytów z polakierowanym życiem, którzy się zestarzeją bez wdzięku, kurczowo trzymając się sławy. Jedno zdjęcie pokazuje kobietę w bikini i sarongu na białym piasku plaży, gdzie lazurowe morze ma kolor jej oczu. U jej stóp mały chłopiec bawi się wiaderkiem i łopatką. Spytałam kiedyś Haydena, czy zabierze mnie na Tahiti, a on się zaśmiał i powiedział, że zachorowałabym na chorobę morską. To było, zanim pojawił się Rory.

Chcę wrócić do domu. Chcę spać we własnym łóżku. Chcę znaleźć się w ramionach Haydena i usłyszeć, że mnie kocha. Byliśmy razem tacy szczęśliwi. Bylibyśmy doskonałą parą, inni by nam zazdrościli, jak Jackowi i Meghan. Może nie taką idealną, zdaję sobie teraz sprawę, ale wartą przetrwania. Małżeństwo powinno mieć dzieci. Dość trudno utrzymać związek nawet z jednym dzieckiem, a bez dzieci nie wiem, czy to w ogóle możliwe. Przeżyłam to z Nickym. Widziałam, jak radość, spontaniczność i śmiech znikły z naszego małżeństwa, kiedy

Nicky był zmuszony onanizować się do kubka, a ja byłam obmacywana, nakłuwana i zapładniana z nogami w strzemionach i obcą ręką, która mnie dotykała.

Rory śpi. Głaszczę palcem jego policzek i rozchylone wargi. Wiem, jak niewiele czasu nam zostało. Nie mamy się gdzie ukryć. Nie mam pieniędzy, nie jestem anonimowa. Brak mi energii.

Kulę się na podłodze obok Rory'ego, przykrywam się płaszczem jak kocem i próbuję zasnąć i śnić o Tahiti, o ciepłej wodzie, łagodnej bryzie i moim małym synku, który bawi się w piasku. Wszystko mnie przeraża – samochody na ulicy, skrzypienie dachu i cisza. Istota zwyciężyła. Ona to wie. Zajada się moimi organami, ciesząc się swoją ostatnią wieczerzą...

MEGHAN

Uwięziona w pułapce między bezsennością a koszmarami, rzucam się na łóżku, od czasu do czasu otwierając oczy z nadzieją, że poranek pojawi się już za oknem. Zastona pozostaje ciemna, miasto śpi.

W pewnym momencie wstaję z łóżka i idę przez ciemny dom. Jack śpi w za małym łóżku w nowo urządzonym pokoju dzieciennym.

- Nie śpisz? - szepczę.
- Uhm. - Jack mruczy w poduszkę, Siadam obok niego. Łóżko się ugina.
- O czym myślisz?
- O tym samym co ty.
- Myślisz, że jest cały i zdrowy?
- Mam nadzieję.

Rozsuwam zastony, gałęzie rzucają cień na ścianę.

- Jesteś pewien, że to przetrwamy? - pytam. - Może nie jest nam przeznaczone wspólne życie.

- Nie mów tak.
- Czemu spałeś z Rheą Bowden?
- Bo byłem bezdennie głupi.
- To nie jest odpowiedź.

Jack bierze głęboki oddech, czuję, jak jego pierś unosi się i opada.

- Nie wiem, co odpowiedzieć.
- Mogę ci pomóc, po prostu wybierz, które pytanie cię dotyczy. Czy to kryzys wieku średniego? Nuda? Przestałeś mnie kochać?
- Nie, nie, nic podobnego.

- Nie jest nawet ode mnie młodsza. Ani ładniejsza - mówię coraz ostrzej głosem nabrzmiałym złością. - Wyjaśnij mi to.

- Była na miejscu - szepcze.

- Co?

- Rhea Bowden... po prostu była.

- Mount Everest też jest. Mogłeś się wspiąć na sam szczyt.

- Nie kocham jej. Nigdy jej nie kochałem.

- Och, to był tylko seks.

Moja ironia go boli. Odsuwa się zakłopotany. Czuję zapach jego dezodorantu i ciepło jego ciała.

- Daję ci szansę, żebyś mi to wytłumaczył.

Odwraca się do mnie twarzą, podpierając się na rękę.

- Z początku to było ekscytujące. Taki dreszczyk emocji. Trochę strachu. Coś innego. My przestaliśmy ze sobą rozmawiać.

- Cały czas rozmawiamy.

- Rozmawiamy o rachunkach, wydatkach i dzieciach, ale nie o nas. Nie dzielimy się myślami tak jak dawniej. Nie rozmawiamy o przyszłości ani nie śmiejemy się z przeszłości. Kiedyś sądziłem, że życie ma jakiś sens, ale nie ma, prawda? To jest to. Po prostu egzystujemy.

- I Rhea Bowden to zmieniła?

- Nie. Myślałem, że może to zmienić, ale byłem głupi. - Sięga ponad kołdrę i dotyka mojej dłoni.

Zabieram rękę.

- Ilekroć myślę o tobie z tamtą kobietą...

- To nie myśl.

- Jak sobie z tym poradzimy?

- Zaczniemy od nowa. Zrobimy to dla Lucy, Lachlana i Bena. Jesteśmy im to winni.

Znów sięga po moją rękę. Tym razem go nie odtrącam.

- Wszystko, co powiedziałem w kościele, to prawda. Każde słowo. Uważam, że jesteś nadzwyczajna. I cokolwiek się stanie, Megs, czy zostaniemy razem, czy się rozstaniemy, zawsze będę cię kochał.

Odsuwam kołdrę i wślizguję się obok niego na wąskie łóżko. Jack mnie obejmuje i leżymy wtuleni w siebie jak łyżeczki, jakbyśmy próbowali stać się jednym ciałem.

- To nie znaczy, że ci wybaczyłam.

- Wiem.

Zauważam na podłodze walizkę i stertę ubrań Jacka.

- Odchodzisz?

- Nie wiedziałem, czy chcesz, żebym został.

- Myślałam, że może już się wyniosłeś.

- Nie.

- Jesteś pewien?

- Absolutnie.

AGATHA

Budzę się nagle przerażona, że zasnęłam. Zegar na kuchence mikrofalowej pokazuje piątą czternaście. Dotykam czoła Rory'ego. Rory ani drgnie, ale gorączka mu spadła. Sztywno podnoszę się na nogi, wkładam płaszcz i podgrzewam butelkę w mikrofalówce.

Kiedy Rory dotyka wargami smoczka, otwiera buzię i ssie automatycznie, wypija całą butelkę. Zmieniam mu znów pieluszkę i pakuję kilka na zapas. Na zegarze jest piąta czterdzieści. Mam jeszcze piętnaście minut.

Sekretne miejsce pana Patela to szuflada pod kasą. Tam trzyma karty SIM, zdrapki i pieniądze. Zapasowy klucz do szuflady przechowuje w szafce ze szczotkami, żeby osoba, która otwiera sklep, każdego ranka miała pieniądze do wydawania.

Otwieram szufladę, wydaję garść kart SIM i zwitek banknotów, zostawiając drobnicę. Sięgam głębiej, moje place trafiają na coś ciężkiego zawiniętego w tłustą szmatkę. To broń. Ta, którą pan Patel się przed nami przechwala i pokazuje ją nowym pracownikom z nadzieją, że zrobi na nich wrażenie. Broń, której nie lubi używać. Zaciskam palce na rękojeści. Wyjmuję pistolet, odwijam go ze szmatki, ważę w dłoni. Kilka chwil zajmuje mi zidentyfikowanie bezpiecznika i nauczenie się, jak wyjąć magazynek. Ucisk w mojej piersi się zmniejsza. Teraz mam wyjście. Nie dam się zastraszyć ani popędzać. To ja zdecyduję, jak to się zakończy.

Chowam pistolet do torby, zakrywam go pieluchami i paczką wilgotnych chusteczek oraz dwoma butelkami z mieszanką dla niemowląt. Na zegarze jest za pięć szósta, czyli pora iść.

Dokąd?

Daleko stąd.

Głupia. Głupia.

Zamknij się.

Mogłaś to wczoraj zakończyć, gdybyś nie była takim tchórzem.

Mam plan.

Tahiti? To jest twój plan? Głupia dziewczyna.

Umieszczam Rory'ego w chuście, poprawiam węzeł i przytulam dziecko do piersi. Potem zapinam płaszcz. Wychodzę tylnym wyjściem, idę alejką, mijam szkołę Lucy, po czym, przecinając początek Barnes Common, kieruję się na dworzec. Kupuję kawę od mężczyzny w vanie, który nosi rękawiczki bez palców i sprzedaje domowe muffinki. Mężczyzna żartuje, jest wyjątkowo radosny jak na tę wczesną porę, ale ja nie jestem w nastroju na pogaduszki.

Obok wejścia na stację leżą stosy darmowych gazet. Patrę na pierwszą stronę i nie widzę ani słowa o Baby Benie czy o mnie. Zaglądam na drugą stronę i na trzecią. Wciąż nic. Spodziewałam się, że wszystkie gazety opublikują moje zdjęcie z podpisem:

Kobieta, która ukradła Baby Bena

Zamiast tego wciąż skupiają się na Rhei Bowden i jej romansie z Jackiem. Biedna Meg. Nie dość, że została zdradzona, to jeszcze wszyscy o tym wiedzą. Obwiniam o to Haydena. Pewnie uznał, że sprytnie będzie sprzedać tę historię gazetom, a tak naprawdę jedyne, co zrobił, to naraził na szwank małżeństwo Meg.

Powinnaś jej nienawidzić.

Czemu?

Ma to, czego ty pragniesz. Ciągle ci o tym przypomina.

To nie jej wina.

Pieprzyć ją. Pokaż jej, jak to jest.

Jak to jest?

Stracić kogoś, kogo kochasz.

Czekam na peronie na pociąg jadący na wschód, dołącza do mnie kilka osób, które dojeżdżają do pracy. Ich oddechy na zimnie zamieniają się w obłoczki pary, przytupują, żeby się rozgrzać. Pociąg wyłania się z mgły na odległym zakręcie, zwalnia i zatrzymuje się. Otwierają się drzwi. Siadam w cichym kącie, wydaję telefon i wsadzam nową kartę SIM.

Hayden zapewne jeszcze śpi albo został aresztowany, albo jedno i drugie. Tak czy owak, na pewno podsłuchują jego rozmowy.

Odzywa się zaspanym głosem.

- To ja - mówię.

- Aggy?

- Tak.

Następuje długa pauza. Mam wrażenie, że Hayden zakrywa telefon i coś do kogoś mówi. Odzywa się inny głos.

- Agatho, mówi Brendan MacAteer z policji metropolitalnej.

- Chcę rozmawiać z Haydenem.

- Możesz z nim porozmawiać, ale najpierw muszę spytać, czy masz ze sobą Baby Bena i czy wszystko z nim w porządku?

To pytanie mnie irytuje. Czemu pyta o Bena? Zawsze chodzi o Bena, nie o Rory'ego. Mam ochotę na niego nawrzeszczyć. Jak śmie ignorować moje dziecko?

- Niech mi pan da Haydena - mówię przez zaciśnięte zęby.

- Posłuchaj mnie, Agatho. Wiem, że się boisz, ale mogę ci pomóc. Wszyscy chcemy tylko tego, żeby nikomu nie stała się krzywda.

- Niech pan w tej chwili da do telefonu Haydena albo się rozłączę. Nie będę więcej dzwonić. Ma pan trzy sekundy.

- Agatho, posłuchaj mnie, proszę.
- Dwie sekundy.
- Chcę ci pomóc.
- Jedna.
- Daję Haydena.

Przekazuje mu telefon.

- To znów ja - mówi Hayden.

Słyszę, jak ktoś w tle wymawia słowo „pociąg”. Szukają mnie.

Mój głos się załamuje.

- Chyba już wiesz.
- Od jakiegoś czasu.
- Przykro mi, że Rory nie jest twoim synem.
- Teraz to nieważne. Jak się ma Rory? Czy wciąż gorączkuje?
- Nie, czuje się lepiej.
- Może mieć zapalenie opon mózgowych.
- Nie sądzę. Znów je z apetytem.
- To dobrze.

Ktoś w tle podpowiada Haydenowi, co ma mówić, próbuje zatrzymać mnie przy telefonie, zyskać na czasie, żeby mogli mnie zlokalizować.

- A ty jak się masz? - pyta Hayden.

- Wszystko dobrze. - Łzy przesłaniają mi wzrok, z nosa mi cieknie. - Nie chciałam cię oszukać. Myślałam, że jak spędzisz z Rorym i ze mną jakiś czas, pokochasz nas oboje.

- Miałaś rację - mówi Hayden łamiącym się głosem. - Kiedy mi po raz pierwszy powiedziałaś, że jesteś w ciąży, nie chciałem być ojcem. Nie byłem na to gotowy. Nawet kiedy przyjechałem do domu na poród. Mówiłem sobie, że nie zmienię zdania, ale myliłem się. Od chwili, gdy zobaczyłem Rory'ego, wiedziałem, że moje życie już nigdy nie będzie takie samo.

- Mówisz szczerze.

- Uhm. Jest coś, czego ci nie powiedziałem. To miał być mój prezent dla ciebie na Boże Narodzenie. W zeszłym tygodniu napisałem do dowództwa, że rezygnuję. Chciałem znaleźć pracę bliżej domu. Bliżej ciebie i Rory'ego.

- Przepraszam. - Szlocham, czuję się jeszcze bardziej nieszczęśliwa.

Patrzę przez okno na mijane fabryki i magazyny i wyobrażam sobie, że policja usiłuje mnie znaleźć. Ile czasu potrzebują, żeby zlokalizować komórkę? Czy korzystają z satelity? Widzi się takie sceny w filmach szpiegowskich - kamery satelitarne, które potrafią zrobić takie zbliżenie, żeby zobaczyć numer rejestracyjny samochodu albo wyłowić jakąś twarz z tłumu. Pociąg wjeżdża na Clapham Junction. Na peronie nie zauważam policji.

- Powiedziałeś gazetom o Jacku i Rhei Bowden? - pytam.

- Nie, przysięgam. Ona sama musiała im sprzedać tę historię - odpowiada Hayden.

Chcę mu wierzyć.

- Poddaj się, Agatho. Powiedz nam, gdzie jesteś. Przyjadę po ciebie.

- Nie mogę tego zrobić.

- Rory nie jest naszym dzieckiem.

- Wiem.

- Co zamierzasz?

- Oddam go Meghan - szepczę, wycierając nos w rękaw, a gdy Hayden nie odpowiada, dodaję trochę głośniej: - Wiem, że policja mnie słyszy. Powiedz im, że oddam dziecko Meghan. Nikomu innemu. Rozumiesz?

- Nie sądzę, żeby im się spodobał ten pomysł.

- Pamiętasz to miejsce, gdzie mnie zabrałeś na nasz pierwszy

wspólny weekend? Chciałeś, żebym się dowiedziała różnych rzeczy na temat Marynarki Królewskiej.

- Tak.

- To jest to miejsce.

- O której?

- Dzisiaj rano. Nie wiem, o której. Pamiętaj, co powiedziałam. To musi być Meghan. Nie policja. Powiedz im, że mam broń. Jak zobaczę glinę, zastrzelę Rory'ego.

- Nie skrzywdziłabyś Rory'ego.

- Skąd wiesz? Już zabijałam dzieci.

- Nie mów tak, Aggy. Po prostu się poddaj.

- Nie tym razem. - Zakrywam usta dłonią, szlocham. - Hayden?

- Tak?

- Ostatnie tygodnie z tobą i Rorym to były najszczęśliwsze chwile mojego życia.

- Mojego też - mówi, a ja mu wierzę.

MEGHAN

Kiedy przyjeżdżamy na komisariat w Chiswick, prowadzą nas od razu do pokoju MacAteera na pierwszym piętrze i każą czekać. Przez uchylone żaluzje widzę centrum koordynacyjne, gdzie mnóstwo detektywów siedzi przy telefonach albo pochyla się nad rozkładami jazdy pociągów i zdjęciami z kamer przemysłowych. Ta krzątanka powinna mnie podnieść na duchu, lecz nie ma takiego sposobu, by dodać mi otuchy.

Głos MacAteera odbija się echem w pokoju.

- W tym mieście są trzy miliony pieprzonych kamer, a wy mówicie, że żadna z nich jej nie nagrała? - Kopie krzesło, które wpada na kosz na śmieci. Detektywi pochylają głowy, żeby nie patrzeć mu w oczy.

Komisarz wydaje rozkazy:

- Przekażcie Imperial War Museum, że chcemy pełnego dostępu do pomieszczenia i kamer ochrony. Personel zostanie zastąpiony policjantami w przebraniu, zwiedzających trzeba trzymać z dala od holu.

- Jak mamy to zrobić, nie budząc w niej podejrzeń? - spytał jeden z detektywów.

- Po prostu to zróbcie. - MacAteer mówi dalej, krążąc po pomieszczeniu: - Musimy ją jak najszybciej zlokalizować, co oznacza, że policjanci w cywilu mają się znaleźć na najbliższych muzeum stacjach metra i przystankach autobusowych. Mają ją śledzić z daleka. Nikomu, powtarzam, nikomu nie wolno się do niej zbliżyć, dopóki na miejscu nie pojawi się oddział antyterrorystów. Zrozumiano?

Wszyscy kiwają głowami.

MacAteer wchodzi do swojego pokoju. Wymienia uścisk dłoni z Jackiem i uśmiecha się do mnie, jakby chciał przekazać mi pocieszenie.

- Dziękuję za przybycie - mówi, jakbyśmy mieli wybór. - Co państwu powiedziano?

- Agatha dzwoniła do narzeczonego - odpowiada Jack.

- Zlokalizowaliśmy sygnał, dzwoniła z pociągu między stacjami Wandsworth a Clapham Junction o szóstej dwadzieścia cztery dziś rano. Kiedy zatrzymaliśmy pociąg, dotarł do stacji Waterloo. Już jej tam nie było.

- Co z Benem? - pytam.

- Uważamy, że jest z nią.

- Czy ona go odda?

- Twierdzi, że odda Bena tylko pani. Nie podała dokładnej godziny, ale naszym zdaniem podąża do Imperial War Museum.

- Czemu akurat tam? - pytam.

- Tam zabrał ją Hayden Cole na pierwszą randkę.

MacAteer zerka na wiadomości w telefonie.

- Przebierzemy policjantkę w pani ubrania, kogoś tej samej budowy ciała i tego samego koloru włosów.

- Agatha wie, jak wyglądam - mówię.

- Nie narażę pani na niebezpieczeństwo.

- Nie wpadnie w złość na widok obcej osoby?

- To nie będzie problem.

- Jak może pan tak mówić?

Patrzę na Jacka z nadzieją, że mnie wesprze. No dalej! Jack zachowuje milczenie.

MacAteer kontynuuje:

- Uważamy, że Agatha Fyfle spędziła minioną noc w supermarkecie w Barnes. Weszła tam po zamknięciu sklepu

i wyłączyła system alarmowy. Pracownik sklepu dziś rano o szóstej, po przyjściu do pracy, zgłosił włamanie. Ktoś ukradł pieluszki, mieszankę dla niemowląt i coś do jedzenia. Kierownik trzymał broń zamkniętą w szufladzie pod kasą. Broń zniknęła, dlatego nie będę ryzykował i nie pozwolę, żeby zbliżała się pani do tej kobiety.

- Agatha by do mnie nie strzeliła.

- Tego pani nie wie.

Zaczynam oponować, lecz MacAteer mi przerywa:

- Pięć lat temu Agatha Fyfle była przesłuchiwana w sprawie uprowadzenia dziewczynki w Brighton. Chociaż nigdy poważnie nie traktowano jej jako podejrzanej, została przesłuchana przez policjantów, którzy sprawdzali wszystkich gości przebywających w Brighton tamtego weekendu.

- Dziecko nigdy nie zostało odnalezione - mówię, i te słowa jak wata wypełniają mi usta.

- Skąd wiesz? - pyta Jack.

- Słyszałam w radio wywiad z matką. Emily. Tak się nazywała ta dziewczynka.

Niepokój rozdyma moją pierś jak balon. Wyobrażam sobie kamienne kopczyki znalezione nieopodal kanału w pobliżu Leeds. Co zrobiła Agatha? Czy spanikowała i ukryła dowody? Co zrobi, jeśli się nie pojawię?

MacAteer odpowiada na pukanie do drzwi. Samochód czeka, żeby go zabrać do Imperial War Museum.

- Proszę mi pozwolić pojechać - błagam. - Ben będzie mnie potrzebował.

- Będzie bezpieczniej, jak pani tu zostanie.

- Albo mnie pan zabierze, albo proszę mnie aresztować.

Komisarz patrzy na Jacka z nadzieją na wsparcie.

Jack unosi ręce, jakby chciał się wymigać.

- Na pana miejscu nie dyskutowałbym z moją żoną.

AGATHA

Na Clapham Junction łapię pociąg do Three Bridges w zachodnim Sussex, potem zmieniam peron i wsiadam do pociągu jadącego do Victoria Station w Londynie. Za oknem przesuwają się warsztaty kolejowe, poczerńnięte ceglane ściany i podziurawione asfaltowe parkingi, a potem domy szeregowe i bloki mieszkalne. W pędzie, mknąc w przeciwnym kierunku, mija nas plama błękitu i żółci, aż szyby w oknach klekoczą i zmienia się ciśnienie powietrza.

Odpakowuję nową kartę SIM, wkładam ją do telefonu i włączam go. Ekran ożywa. Wybieram numer. Słyszę jakieś dziwne kliknięcia. Odzywa się kobiecy głos.

- Chciałabym rozmawiać z Meghan Shaughnessy - mówię.
- Jest pani dziennikarką?
- Nie.
- Jest pani jej przyjaciółką?
- Znajomą.
- Pani Shaughnessy jest w tej chwili zajęta. Mogę przekazać wiadomość.
- Proszę jej powiedzieć, że dzwoni Agatha.

Kobieta po drugiej stronie wydaje się krztusić własną śliną.

- Niech pani zaczeka, niech pani się nie rozłącza - odpowiada sztucznie normalnym tonem i zakrywa mikrofon, ale i tak słyszę, jak mówi: „To ona. Śledźcie sygnał. Dajcie znać szefowi”. Potem odsłania mikrofon. - Już podchodzi.
- Kłamie pani. Proszę ją dać do telefonu albo się rozłączyć.
- Jest na górze.
- Nieprawda.

Znów zakrywa mikrofon, a do mnie docierają stłumione głosy i fragmenty instrukcji.

- Proszę - mówi kobieta.

Meg ciężko oddycha.

- To ja.

- Czy oni mnie słyszą?

- Nie.

- Nie okłamuj mnie.

- Tak. Wybacz. Czy z Benem wszystko w porządku?

- W porządku.

- Mówili, że był chory.

- Już mu lepiej.

Robię pauzę. Cisza jest nie do zniesienia dla Meg.

- Policja mówi, że chcesz go oddać.

- Tylko tobie.

- Czy to może być ktoś inny?

- Nie.

- Podobno masz broń.

- Nie zastrzelę cię.

- Policja nie jest tego pewna.

Znów cisza. Biorę głęboki oddech i zaczynam jej wyjaśniać. Meg mi przerywa.

- Jesteś w pociągu. Możesz zostawić Bena w kasie biletowej albo oddać go konduktorowi.

- Nie.

- Ale jeśli to zrobisz...

- Nie słuchasz mnie - mówię ostro.

Meg przeprasza. Podejmuję na nowo wyjaśnienia, niepewna, od czego zacząć. Być może to bez znaczenia. Może Meg nigdy nie zrozumie, jak to jest być mną. Dorastała w kochającej rodzinie,

chodziła do najlepszych szkół, a potem na uniwersytet. Dostała wymarzoną pracę w magazynie dla kobiet i flirtowała z Jude'em Lawem podczas lunchu. Wyszła za mąż za przystojnego człowieka sukcesu i bez problemu zaszła w ciążę. Jak mogłaby w ogóle zrozumieć moje życie? Pojąć, jak to jest żyć w klaustrofobicznym tunelu, który z każdym rokiem staje się ciaśniejszy i ciemniejszy. Na końcu nie ma światła - nie ma rajy, nie ma odpoczynku. Utknęłam w tej nędznej, mrocznej cuchnącej dziurze z istotą, która pełza w moim wnętrzu, mówi mi, że nie zasługuję na światło, że nie jestem prawdziwą kobietą, ponieważ nie mogę mieć dziecka.

Nie wiem, czy powiedziałam coś z tego na głos, ale zdaję sobie sprawę, że wciąż mówię, gdy pociąg przekracza Tamizę, a woda pode mną wiruje i faluje wokół pylonów Chelsea Bridge, pieniać się i tworząc bąbelki.

Przez interkom rozlega się urywany kobiecy głos:

- Zbliżamy się do stacji London Victoria.

Pociąg hamuje z piskiem i zgrzytem metalowych kół.

Meg na pewno to słyszała, podobnie jak policja. Czuję, jakbym znalazła się w pułapce między dwoma światami - przeszłością i teraźniejszością. Nie widzę dalej niż dzisiaj, ponieważ inni, szczęśliwsi ode mnie, odebrali mi przyszłość i nie zostawili dla mnie miejsca.

- Jeśli chcesz odzyskać swoje dziecko, musisz przyjść i je ode mnie wziąć. Nikomu innemu go nie oddam.

MEGHAN

Kiedy policja dociera na stację Victoria, Agatha jest już w labiryncie zatłoczonych przejść, korytarzy, wyjść, które prowadzą na inne perony albo na ulicę. Przeglądają nagrania z dziesiątek kamer z nadzieją, że odkryją, w którą stronę się udała. Na dworcu Victoria krzyżują się trzy linie metra, stacja obsługuje też transport naziemny, który codziennie przywodzi na West End dziesiątki tysięcy ludzi.

Wycieraczki chlastają wodą z przedniej szyby. Wyją syreny. We wnętrzu policyjnego radiowozu ten dźwięk jest dziwnie stłumiony, dopiero po chwili sobie uprzytamniam, że to my jesteśmy źródłem tego dźwięku, przez który inne samochody zjeżdżają na bok, a przechodnie odwracają głowy.

Sznur samochodów ciągnie się prawie przez kilometr wzdłuż Westminster Bridge Road aż do okolicy Imperial War Museum. Przed nami i za nami jadą policjanci na motorach, odblokowując skrzyżowania i umożliwiając nam przejazd przez korki.

Lisa-Jayne siedzi za kierownicą, Cyrus na przednim siedzeniu obok, a my siedzimy z tyłu. Jack bierze mnie za rękę, splata palce z moimi palcami.

Wciąż wracam do rozmowy z Agathą, odtwarzam ją w pamięci i szukając nowych detali, które mogłyby mi pomóc. Powiedziała, że jest jej przykro, a to dobry znak.

- Czy mówiła racjonalnie? - pyta Jack, jakby czytał w moich myślach.

- Nie uważam jej za wariatkę.

- Oczywiście, że jest wariatką. Udawała ciążę i ukradła dziecko.

- I wszystkich wyprowadziła w pole.

- Inteligencja nie wyklucza szaleństwa.

Cyrus tego nie komentuje, a ja przypuszczam, że zgadza się ze mną. Podczas żadnego z naszych spotkań nie użył takich słów jak szalona, niepoczytalna czy cierpiąca na urojenia, kiedy mówił o porywaczce Bena. Za to Agathę zawsze postrzegał jako ofiarę, czego Jack nigdy nie zaakceptuje. Wciąż oskarża psychologów i psychiatrów o stworzenie „ery ofiar”, bo każdy kogoś innego obwinia o swoje problemy, zamiast wziąć za nie odpowiedzialność.

- Musimy omówić to, co się teraz wydarzy - odzywa się Cyrus, odwracając się na siedzeniu. - Komisarz MacAteer bez absolutnej potrzeby nie narazi pani na niebezpieczeństwo, bo inaczej złamałby świętą policyjną zasadę i byłby to koniec jego kariery, ale Agatha może nalegać na rozmowę z panią. Jeśli do tego dojdzie, musi pani mieć gotowe odpowiedzi.

- Jakie odpowiedzi?

- Może będzie chciała panią przetestować lub zmieni zdanie. Musi pani być przygotowana na to, by ją przekonać. - Gdy kiwam głową, mówi dalej: - Po pierwsze i najważniejsze, musi pani poprosić, żeby pokazała pani Bena. To się nazywa dowodem życia. Musi pani być pewna, że ma Bena ze sobą.

- Okej.

- Najpewniej Agatha będzie zdenerwowana i przestraszona. Może sprawiać wrażenie spokojnej, ale będzie rozdarta, zwłaszcza jeśli chodzi o przekazanie Bena. Zaraz po tym, gdy ktoś weźmie od niej dziecko, do Agathy dotrze, że więcej go nie zobaczy. Wtedy może zmienić zdanie.

- Co mam wtedy zrobić?

- Uspokoić ją. Słuchać jej, okazać zrozumienie. Agatha będzie chciała dyktować warunki, ale pani może spróbować ją

przekonać.

- Jak?

- Zyskując jej zaufanie - podpowiada Cyrus. - Byłoby dobrze, gdyby pani mówiła o dziecku Rory, a nie Ben, ponieważ dla Agathy to jest Rory. Opiekowała się nim od chwili, gdy się urodził, dlatego tak trudne będzie dla niej to, na co niby już się zgodziła, czyli na oddanie go pani.

- Czy mam ją spytać o broń?

- Nie.

- A jeśli nie zechce oddać Bena?

- Proszę ją delikatnie zachęcić, pytać o dziecko, jak śpi, jak je. Pochwalić ją, że świetnie sobie poradziła. - Znów kiwam głową, uważnie słuchając Cyrusa. - Policja ustawi snajperów, którzy będą celować do Agathy. Jeśli zobaczą, że jest spanikowana czy choćby zdenerwowana, mogą strzelić. Nie wolno pani w tym przeszkadzać.

- Nie chcę, żeby ktokolwiek został zastrzelony.

- Dlatego musi ją pani uspokajać.

- A jeżeli Agatha nie odda Bena policjantce? Jeśli to muszę być ja?

- Decyzja należy do komisarza MacAteera. W pewnym momencie Ben musi zostać nam przekazany. To najważniejszy moment. Albo determinacja Agathy osłabnie, albo będzie walczyła.

- Zrobi mu krzywdę? - pyta Jack.

- Nie... - Cyrus kręci głową. - Ale umrze za niego.

Radiowóz parkuje na Lambeth Road. Policjant otwiera drzwi i trzyma parasol nad moją głową. Nad nami krąży policyjny helikopter widoczny między gałęziami drzew. Słyszę płynący z głośnika głos, który mówi, że muzeum jest zamknięte dla

zwiedzających, i nakazuje wszystkim opuścić to miejsce.

Prowadzą nas ścieżką, a potem po niewysokich schodach między dwoma ogromnymi działami wycelowanymi na północ w stronę Tamizy. Komisarz MacAteer czeka w marmurowym holu. Patrząc ponad jego ramieniem w głąb przepastnego pomieszczenia, gdzie z sufitu zwisają stare samoloty bojowe, jakby zastygłe w ruchu. Rozpoznaję rakiety V-1 i V-2, a także spitfire'a, który pikuje nad głowami, jakby był gotowy ostrzelać niechcianych gości. Łączące się ze sobą sale mają jakieś trzydzieści metrów wysokości i sklepione sufity, z dwu stron schody pną się na wyższe poziomy.

Zostaję wprowadzona do poczekalni, a potem do biura, gdzie urządzono centrum dowodzenia. Cyrus rozmawia z kobietą o włosach podobnych do moich włosów, ubraną w spódnicę, bluzkę i płaszcz. Jest mniej więcej mojej budowy, ma taką samą karnację, ale nikt by nas nigdy nie pomylił.

- Ona nikogo nie oszuka - mówię do MacAteera, kiedy uwalnia się od grupy detektywów w cywilu.

- Ta policjantka jest wyszkolonym negocjatorem.

- A jeśli Agatha wpadnie w złość?

- Wiem, co robię. - MacAteer sięga do pudła i wyjmuje kamizelkę kuloodporną.

- To konieczne? - pytam.

- Wszyscy muszą to włożyć.

Kamizelka okazuje się lżejsza, niż się spodziewałam. Wkładam ją na bluzkę, a detektyw mi ją zapina i naciąga paski.

- Może pani oddychać?

Kiwam głową i rzucam komentarz:

- Przecież Agatha zobaczy te wszystkie radiowozy i helikopter.

- Nie mogę narażać ludzi na niebezpieczeństwo.

- A jeśli ucieknie?

- Zamknęliśmy teren.

Podchodzi jakiś mężczyzna w czarnym kombinezonie i kamizelce kuloodpornej. Wygląda na tak objuczonego, że wątpię, by mógł poruszać rękami. Przez otwarte drzwi zauważam co najmniej ośmiu identycznie ubranych mężczyzn. Oddalają się, idą po schodach, które pną się zygzakiem, wspinają się na wyższe piętra muzeum. Pozostali zajmują pozycje za filarami albo przy ścianach.

Dowódca antyterrorystów zdaje raport MacAteerowi:

- Jedna grupa zabezpieczy główne wejście z szatni. Druga foyer i główną salę.

- A na zewnątrz?

- Snajperzy są na dachu, nasi ludzie są też na dole przebrani za ogrodników i robotników miejskich. Celem jest górna część torsu, ale możemy też celować w głowę, jeśli niesie dziecko przy piersi.

Niewiele myśląc, krzyczę:

- Nie zabijajcie nikogo, proszę!

Mężczyźni się odwracają.

- Proszę wrócić do męża, pani Shaughnessy - mówi MacAteer.

- Pozwólcie mi z nią porozmawiać - błagam. - Nikt nie musi ucierpieć.

- Mamy wszystko pod kontrolą.

Polecają Lisie-Jayne odprowadzić mnie do biura, gdzie kłóczę się z Jackiem. On wydaje się nie przejmować losem Agathy.

Zanim to wszystko się wydarzyło, zanim Ben został porwany, a flesze mediów rozświetliły nasz mały zakątek świata, moje życie było wygodne i pozbawione trosk, powielając dobrze znane wzorce klasy średniej, które wydają się wymarzoną życiową drogą, ale mogą też stać się pełną kolein rutyną. Jak śmiem

narzekać? Urodziłam się w odpowiednim czasie i miejscu w odpowiedniej rodzinie, a po latach poznałam mężczyznę, z którym zbudowaliśmy wspólne życie. Jednak czasami nawet najwspanialsze życie w mgnieniu oka może ulec gwałtownej metamorfozie, może radykalnie zmienić kierunek. Wystarczy moment wahania. Komórka rakowa. Drański gen. Niewłaściwy skręt. Czerwone światło. Pijany kierowca. Okrutny pech.

Ilekroć zamykam oczy, wyobrażam sobie Agathę idącą w stronę muzeum ze świadomością, że jest obserwowana. Niesie moje dziecko w nosidełku przy piersi. Hol jest pusty. Widzi kobietę, która z daleka trochę mnie przypomina, ale wkrótce okazuje się, że jest kimś innym. Sprzeczą się. Moja zastępczyni prosi Agathę, żeby się uspokoiła. Agatha woła mnie po imieniu. Mocno obejmuje Bena. Na jej policzku pojawia się czerwona kropka, przesuwa się na jej nos, a potem czoło.

W jednej sekundzie, w obłoczku dymu i krwi, Agatha odwraca się i upada, ściągana w dół siłą przyciągania, uderza głową o marmurową posadzkę. Widzę zalewającą się krwią twarz Bena. Nie słyszę jego płaczu.

Otwieram oczy. Wydaje mi się, że wskazówki zegara stoją w miejscu. Pocę się pod kuloodporną kamizelką. Lisa-Jayne przynosi mi szklanek wody, ale nie jestem w stanie przełknąć.

Minuty mijają powoli:

11.04... 11.05... 11.06.

Gdzie ona jest? Policjanci na zewnątrz jej nie widzieli.

MacAteer dwa razy rozmawia przez telefon z głównym komisarzem policji, który dopytuje, jak długo potrwa operacja. Odbiera kolejny telefon. Słyszę tylko jedną stronę rozmowy, sporo w niej przekleństw i gróźb.

- Co się stało? - pyta Jack, kiedy rozmowa dobiega końca.

- Hayden Cole wyskoczył z radiowozu na Fulham Palace Road czterdzieści pięć minut temu.

AGATHA

Wagon jest pełen mężczyzn w garniturach i kobiet w ciemnych płaszczach i kozakach. To pracownicy dziennej i nocnej zmiany. Świeże twarze i zmęczone twarze. Prosto spod prysznic i ze śladami ciężkiej pracy. Chłopak naprzeciw mnie ma na sobie piłkarską koszulkę i powalane farbą dżinsy. Osuwa się, rozkładając kolana, jak mają w zwyczaju mężczyźni. Jego głowa kołysze się na boki, cicho pochrapuje.

Gdy wyglądam przez okno, widzę, jaki bury i ponury stał się świat, jaki szary, napuszony i przeciętny. Kręci się niefrasobliwie, ignorując mój ciężki los, ponieważ ja nic nie znaczę. Jestem człowiekiem bez właściwości. Jak ludzie to robią? Jak sobie radzą z życiem? Czemu w ogóle podejmują ten wysiłek?

Trzymam Rory'ego na kolanach, pozwalam mu spać na mojej lewej ręce. Prawą trzymam w kieszeni płaszcza, w której mam broń. Pocę się w przegrzanym wagonie, ale nie zdejmę płaszcza, bo nie wierzę, że policja spełni moje życzenie.

Istota się obudziła.

Głupia dziewczyna, głupia dziewczyna, głupia dziewczyna.

Robię to, co trzeba.

Poddajesz się.

Nie jestem jego matką.

Innej matki nie zna.

Nie jest moim dzieckiem.

Mógłby być. Odwróć się. Biegnij.

Dokąd?

Większość pasażerów wysiada na Canary Wharf i Heron Quays. Tylko turyści zwiedzający miasto pozostają w pociągu, aż

przejedziemy Tamizę. Pociąg powoli zwalnia, wreszcie się zatrzymuje. Zawiązuję na szyi barwną bawełnianą chustę i trzymam Rory'ego przy piersi, wychodzę na zatłoczony peron i długimi schodami ruchomymi jadę w stronę dziennego światła.

Pada deszcz, a ja nie mam parasolki. Podnosząc głowę, czuję na twarzy tysiące maleńkich kłujących kropelek deszczu, które spływają po policzkach, osiadają na włosach i rzęsach. Zakrywam Rory'ego połą płaszcz i przeciskam się między przechodniami ze spuszczoną głową schowaną pod kapturem.

Kiedy idę wysadzaną drzewami ulicą, zauważam, że gałęzie prawie spotykają się nad środkiem jezdni. Po drugiej stronie zwirowego parkingu za balustradą widzę już Maritime Museum. Kremoworóżowa fasada wydaje się ciemniejsza niż poprzednio, wygląda raczej ponuro niż okazale. Ledwie widoczne przez kolumnadę Królewskie Obserwatorium Astronomiczne rysuje się ostro na tle szarego nieba. Hayden zrobił mi kiedyś zdjęcie, jak przechodzę przez południk zerowy, miejsce spotkania wschodu i zachodu. Powiedział, że stałam w samym środku czasu.

Zastanawiam się, gdzie jest policja. Spodziewałam się, że będą już czekać. Może się ukrywają. Wyobrażam sobie oddziały antyterrorystów za przyciemnionymi oknami i strzelców wyborowych na dachach.

Tuż po jedenastej wchodzę przez główne wejście, mijam informację i szatnię. Uczniowie ubrani w blezery, słomkowe kapelusze i wypastowane buty stoją w kolejce. Trzeba ich policzyć. Trzeba odhaczyć nazwiska. Sztywno wyglądająca nauczycielka ma jakby z urodzenia skrzywioną twarz, ubrana jest w czarną, rozszerzającą się spódnicę i grube pończochy. Traktuje dzieci jak więźniów, nie jak uczniów.

Zatrzymuję się i rozglądam. Wydaje się, że nikt na mnie nie

patrzy. Zerkam na Rory'ego, który ssie kciuk.

- Czemu ja cię oddaję? - szepczę. - Nawet ich tu nie ma.

Wyczerpana siadam na ławce, włączam telefon i wybieram numer Meghan.

- Tak, słucham. - Jest wyraźnie zdenerwowana.

- Gdzie jesteś? - pytam.

- Czekam na ciebie.

- A ja na ciebie.

Następuje pauza. Meg prosi mnie, żebym poczekała. Słyszę jej kroki. Jakies drzwi otwierają się i zamykają. Słyszę szepty.

- Jesteś w Imperial War Museum?

- Nie. Jestem w Greenwich... w National Maritime Museum.

Teraz Meghan jest wytrącona z równowagi.

- Myśleliśmy... miałaś być... czekamy...

Czemu Hayden wysłał ich w niewłaściwe miejsce?

- Cały czas tu jestem - mówię.

- Dobrze, dobrze, już jadę - mówi Meghan. - Nie ruszaj się stamtąd. Gdzie będziesz?

- Jest taki obraz, który bardzo mi się podoba. W Special Exhibitions Gallery. Tam na ciebie zaczekam.

Nagle słyszę tuż bok siebie:

- Witaj, Aggy.

Kończę rozmowę z Meghan, odwracam się powoli i sięgam do kieszeni po broń.

- Co robisz?

W oczach Haydena widzę błysk zdenerwowania. Jest w dzinsach, skórzanej kurtce i czapce bejsbolówce z metką, na której widnieje cena. Nieogolony, z przekrwionymi oczami, wygląda, jakby w ogóle nie spał. Spuszcza wzrok i patrzy na czubek głowy Rory'ego, który jest ledwie widoczny w fałdach

mojego płaszcza.

- Jak on się czuje?

- Już lepiej.

- To dobrze.

- Po co tu przyjechałeś?

- Możemy się przejść? - pyta.

- Po co? Nie rozumiem.

- Proszę, Aggy. Wyjaśnię ci na zewnątrz. Idź pierwsza.

Spełniam jego prośbę, idę znów po schodach i wychodzę głównym wejściem, potem skręcam w lewo. Oglądam się przez ramię. Hayden idzie dwadzieścia metrów za mną z rękami w kieszeniach i podniesionym kołnierzem.

Czekam na niego pod baldachimem z nagich gałęzi. Podchodzi bliżej i bierze moją twarz w dłonie. Wzdrygam się, boję się, że jest zły, ale on pochyła się i delikatnie mnie całuje, przyciska swoje wargi do moich, aż nasze oddechy się łączą. Wdycham jego westchnienie. Hayden mnie obejmuje, a ja przytulam policzek do jego piersi.

- Co tu robisz?

- Przyjechałem, żeby ci pomóc.

Cofa się, rozpiną mi płaszczy, sięga pod spód i przesuwając kciukiem po policzku Rory'ego. Palce Haydena są zimne. Rory na moment otwiera oczy i zaraz je zamyka.

- Będę za nim tęsknił - mówi Hayden pełnym emocji głosem.

- Czy policja cię oskarży? - Gdy tylko wzrusza ramionami, dodaje: - Wyjaśnię im, że to nie jest twoja wina.

- To nieważne.

- Proszę, powiedz rodzicom, że mi przykro.

- Ofiarowałaś im wnuka. A mnie syna.

- A teraz go oddaję.

- Nie rozumiem. - Patrzy nerwowo przez ramię, przygląda się wejściu do parku i okolicznym ulicom. - Nie mamy wiele czasu. Wysłałem policję do innego muzeum, ale niedługo zrozumieją, w czym rzecz. - Sięga dłonią na mój kark i poluzowuje węzeł nosidełka.

- Co robisz?

- Biorę Rory'ego.

- Czemu?

- Żebyś mogła uciec.

- Dokąd?

- Możesz stąd uciec. - Wyjmuje z kieszeni zwitek banknotów. - Pięć tysięcy. Wszystko, co mam. - Podaje mi pieniądze, chce, żebym je wzięła.

- Nie mogę uciec. Moja twarz będzie na ekranach wszystkich telewizorów i we wszystkich gazetach. Będą sprawdzać porty i lotniska.

- Mam kumpla w marynarce na tym samym statku, na którym pływam, nie będzie go w domu do połowy stycznia. Mam klucze do jego mieszkania w Portsmouth. Możesz się tam ukryć na parę tygodni. Przywiozę ci jedzenie.

- Parę tygodni to niezbyt długo.

- Zyskamy na czasie, żeby wymyślić jakiś plan.

- W końcu mnie znajdą.

Hayden się krzywi.

- Próbuję ci pomóc, Aggy. Wiem, że zrobiłaś źle, ale chcesz oddać Rory'ego. Przecież on dobrze się czuje. Nie zasługujesz na to, żeby cię za to karać.

- Ale zostanę ukarana.

- Nie, Aggy. Wystarczająco dużo wycierpiałaś. Byłaś samotna... Och, policja mi wszystko powiedziała. Wiem, że byłaś

molestowana, wiem o twojej ciąży i adopcji. To nie twoja wina.

- Zrobiłam jeszcze inne rzeczy.

Hayden unosi twarz w stronę mokrego nieba, jakby chciał krzyczeć z frustracji.

- Zabrałam dziecko innej kobiety - szepczę. - Ty nie jesteś winien. Oszukałam cię. Przepraszam. Teraz je oddaję.

- Okej, ale pozwól, że ja to za ciebie zrobię - mówi błagalnie.

- To nie twój błąd.

- Kocham cię, Aggy. Nie chciałem się zakochać, ale nic na to nie poradzę. Wiem, myślisz, że to z powodu Rory'ego, dlatego, że zostałem ojcem, ale to nie wszystko. Zakochałem się w tobie. - Próbuję coś powiedzieć, lecz nie pozwala mi na to. - Jak myślisz, czemu nie wspomniałem, że twoja matka nie była przy porodzie, kiedy policja o to pytała? Czemu nic nie mówiłem, gdy nie mogłaś skontaktować się z położną? Wiedziałem, co zrobiłaś. Wiedziałem, że Rory nie jest naszym dzieckiem, ale nie chciałem go oddać. Żałuję, że wcześniej mi nie powiedziałaś, ale potem Rory zachorował i nie mieliśmy wyboru. Kiedy uciekłaś z gabinetu, próbowałem powstrzymać doktora Schura przed telefonem na policję. Zareczyłem za ciebie. Powiedziałem, że widziałem, jak karmisz piersią... i że mamy świadectwo urodzenia. Skłamałem, zrobiłem to dla ciebie... dla nas. Ale go nie powstrzymałem. - Jego głos się załamuje. - Wsadzą cię do więzienia, Aggy, a ty na to nie zasługujesz. Weź pieniądze i uciekaj. Jedź do mieszkania mojego kumpla. Za parę tygodni znajdę miejsce, gdzie będziesz mogła się ukryć.

- Nie mogę uciec - szepczę.

- Ależ możesz. Ludzie cały czas uciekają. Znikają. Mogę cię ukrywać. Stracimy synka, Aggy, ale nie musimy stracić siebie nawzajem. - Hayden urywa, szuka właściwych słów. Szuka i nie

znajduje. Próbuje jeszcze raz: - To nie musi być koniec. Oddamy im dziecko. Możesz się przyznać do winy, powiedzieć sądowi, że miałaś obsesję, szalone pragnienie posiadania dziecka. Sędzia okaże ci litość. Dostaniesz najwyżej dwa, może trzy lata, potem będziesz wolna. Jesteśmy jeszcze młodzi. Możemy się pobrać i mieć własne dziecko.

Wyciągam rękę i głaszczę jego nieogolony policzek, nazywam go głupim chłopcem.

- Nie mogę mieć dzieci.

- W porządku, rozumiem, ale możemy adoptować. Nieważne. Rory nie jest mój, a jednak go kocham.

- Nikt mi nie pozwoli adoptować dziecka po tym, co zrobiłam.

Hayden kołysze się na boki, rozpaczliwie szuka odpowiedzi. Jestem przyczyną jego bólu.

- Idź do domu, kochany. Niedługo tu będą.

- Nikt nie wie, gdzie jesteś.

- Powiedziałam im.

- Co?

- Zadzwoiłam do Meg. Powiedziałam jej, że czekają w niewłaściwym miejscu.

Hayden ogląda się przez ramię bardziej nerwowo.

- Szybko, daj mi Rory'ego. Jeszcze zdążymy.

- Nie.

Ignorując mnie, wyciąga prawą rękę z rękawa kurtki i przytula Rory'ego do piersi, potem zapina kurtkę, ukrywając dziecko.

- Uznają, że jesteś w to zamieszany - próbuję go powstrzymać.

- Policja wniesie oskarżenie. Stracisz patent oficerski, zniszczysz swoją karierę... Już dość cię skrzywdziłam.

- Nieważne. Odchodzę z marynarki. To już nieważne.

- Owszem, ważne.

Oczy Haydena są pełne łez.

- Proszę, Aggy. Czemu nie uciekasz?

- To mój błąd, nie twój. Nie pozwolę ci dla mnie ryzykować.

Hayden nie słucha. Nie wie, co zrobiłam, co stało się z moimi innymi dziećmi ani co zrobiłam Nicky'emu. Zniszczyłam im życie. Chwytam go za rękę, kurczowo ściskam pusty rękaw skórzanej kurtki. Hayden odskakuje. Znów wyciągam rękę, wołam Rory'ego.

- Oddaj mi go! - krzyczę.

- Pozwól, że ci pomogę.

- Nikt nie może mi pomóc.

Istota się rozwija.

Głupia, głupia, głupia dziewczyna! On go ukradnie.

Nigdy by tego nie zrobił.

Chce mieć Rory'ego tylko dla siebie.

On mnie kocha.

On kłamie.

Wymacuję pistolet, wyciągam go. Łzy przesłaniają mi wzrok i ledwie poznaję własny głos, który wypływa z głębi mojej piersi, drżąc z rozczarowania albo żalu:

- ODDAJ MI GO!

Hayden waha się, patrzy na broń.

- Nie rób tego, Aggy.

Zastrzel go!

On mnie kocha.

Nikt cię nigdy nie kochał.

Mylisz się.

Hayden bez słowa podaje mi Rory'ego, odwraca się i odchodzi, wycierając coś z oczu.

MEGHAN

Deszcz zamienił się w deszcz ze śniegiem, osiada na szybach taksówki jak porwana wiatrem plwocina. Opony pode mną świszczą, z radia płynie muzyka klasyczna. To „Zima” z „Czterech pór roku” Vivaldiego. We mnie szaleje jeszcze inna burza. Wysłano nas w niewłaściwe miejsce. Czy Hayden Cole zrobił to celowo, czy to była pomyłka?

Siedzę w taksówce sama. Szybko się zorientują, że zniknęłam. Wyślą kogoś do łazienki, żeby mnie szukał, albo Jack podniesie alarm. Nikomu nie powiedziałam o telefonie Agathy. Zamiast tego przeprosiłam ich na chwilę i zdołałam pozbyć się Lisy-Jayne, kiedy MacAteer kazał czekać swoim ludziom.

Siedząc na tylnym siedzeniu radiowozu jadącego do Imperial War Museum, Hayden Cole powiedział policjantom, że będzie wymiotował. Eskortujący go policjanci opuścili szybę w oknie. Hayden przecisnął się przez otwór, nim zdążyli zareagować. Oczywiście ruszyli w pościg, ale zgubili Haydena na Hammersmith Roundabout. Nie wiem, czemu Hayden uciekł, ale tak samo jak Agatha stał się zbiegiem.

W tej chwili jestem pewna tylko jednego: moje dziecko jest w Greenwich. Obiecałam Agacie, że przyjadę tam sama, a ja dotrzymuję obietnicy, ponieważ nie chcę, by ktokolwiek ucierpiał. Jednak zaczynają mnie dopadać wątpliwości. A jeśli się mylę? Jeśli Agatha i Hayden perfidnie to zaplanowali?

Taksówka jedzie przez południowy Londyn. Widzę obskurne szare witryny sklepowe i bloki mieszkalne, których żadna ilość świątecznych dekoracji ani barwnych lampek nie rozjaśni i nie doda im blasku. Kiedyś kochałam to miasto – płatany, mosty,

katedry i pomniki. Kochałam wąskie ulice, urocze sklepy i wielkie parki. To się nie zmieniło, ale mogłabym już jutro wyjechać z Londynu i nie tęskniłabym za nim, gdyby tylko była ze mną moja rodzina. To ludzie, nie miejsca, sprawiają, że nasze życie jest spełnione.

Dotykam czołem szyby.

- Wszystko w porządku, kochana? - pyta taksówkarz.

- Tak, dziękuję.

- Wygląda pani znajomo.

- Jestem nikim.

Taksówka wyrzuca mnie na Romney Road. Przeskakuję kałuże, żeby dotrzeć na chodnik. Pomimo deszczu tłumy turystów stoją w kolejce, by zwiedzić statek Cutty Sark. Mija mnie grupa Japończyków z jednakowymi parasolkami, maszerują posłusznie za przewodnikiem do Greenwich Royal Park.

Dzwoni moja komórka.

- Gdzie jesteś, do diabła? - pyta Jack.

- Pojechałam po Bena.

- Oszalałaś?

Krzyczy do kogoś, najprawdopodobniej do MacAteera, którego ciśnienie musi być stratosferyczne.

- Gdzie jesteś? Mów!

- Nic mi nie jest. Agatha chce go oddać.

- Ona ma broń, na Boga!

- Nikomu nie stanie się krzywda.

- Posłuchaj mnie, Meg, nie rób tego. Powiedz mi, gdzie jesteś.

- Zadzwoń, jak to załatwię.

Rozłączam się i wyłączam telefon.

Kobieta w kasie oferuje mi plan muzeum, ale ja pytam tylko, jak dojść do Special Exhibition Gallery.

- Jest na dole - mówi, po czym patrzy na mnie uważnie i dodaje:
- Pani jest tą kobietą z telewizji, której uprowadzono dziecko.
- Nie, to nie ja.

Nogi mi się trzęsą, kiedy idę schodami, a potem po marmurowej posadzce, zaglądam za filary i gabloty z mundurami marynarki i artefaktami. Na ławce na środku ogromnej sali siedzi samotna postać. Moje buty skrzypią na wypolerowanej podłodze. Agatha podnosi wzrok i mruga, powstrzymując łzy. Widzę nosidełko przy piersi, ale nie widzę Bena.

- Czemu kazałaś mi tak długo czekać? - pyta, patrząc gdzieś za moimi plecami, jakby spodziewała się zobaczyć policję.
- Nastąpiło nieporozumienie.
- Hayden wysłał cię pod niewłaściwy adres.
- Czemu?
- Teraz to już nieważne.

Czuję ciężar ciszy, ale nie smutek, bo wlepiam wzrok tylko w nosidełko. Agatha sięga ręką i przesuwa je na bok. Widzę małą twarzyczkę z ogromnymi oczami, które wydają się otwierać na dźwięk mojego głosu. W ten sposób dzieci łapią nas w pułapkę. Jednym spojrzeniem chwytają nas za serce, bo nasze serca nie są w stanie oprzeć się takiemu pięknu i takiej delikatności.

Ben cicho popiskuje, a moje piersi jakimś czarodziejskim sposobem nabrzmiewają boleśnie i napełniają się mlekiem. Zapominam o słowach Cyrusa, który kazał mi trzymać się na dystans, i chwiejnym krokiem ruszam naprzód, przyklękuję obok Agathy.

- On jest głodny - mówi. - Nie mam już butelki.
- Mogę go nakarmić - mówię z nadzieją.

Zastanawia się chwilę i kiwa głową.

Podnoszę się i rozpinam płaszcz. Agatha widzi kamizelkę

kuloodporną, ale nic nie mówi.

- Możesz mi pomóc? - proszę.

Poluzowuje paski kamizelki, a ja ściągam ją przez głowę i rzucam na podłogę. W tym momencie dostrzegam broń w kieszeni jej płaszcza.

Patrzę na Agathę, czekam na jakiś znak.

Agatha rozwiązuje węzeł chusty na szyi i kładzie Bena na kolanach.

- Możesz go wziąć.

Rozpinam bluzkę i stanik dla karmiącej. Unoszę Bena do piersi, a on otwiera usta, ale nie wie, co robić. Przesuwam sutkiem po jego górnej wardze, zachęcam, żeby szerzej otworzył buzię.

- Musi się tego nauczyć - mówi Agatha, która teraz trzyma broń na kolanach.

Przy czwartej próbie Ben chwytą sutek i zaczyna ssać z całej siły. Wydaje się, że jego wargi ledwie się poruszają, a jednak widzę, że przełyka. Przepelniona radością i ulgą, czuję, że do oczu napływają mi łzy. Nie myślałam, bałam się mieć nadzieję, modliłam się, pragnęłam tego, nie poddawałam się, ale teraz emocje mnie obezwładniają.

Agatha sięga do swojej torby i wyjmuję dla mnie chusteczkę.

- Chcę cię przeprosić za to, co ci zrobiłam - mówi. - Nie oczekuję, że mi wybaczysz, ale powinnaś wiedzieć, że kochałam go tak bardzo, jak tylko matka potrafi kochać. To nie było nic osobistego. Nie wzięłam go po to, żeby skrzywdzić ciebie albo Jacka. Byłaś moją idolką. Pragnęłam takiego życia jak twoje.

- Nasze życie nie jest doskonałe.

- Dla mnie było.

- Cały czas sprawiamy sobie z Jackiem zawód.

- Wybaczyłaś mu Rheę Bowden?

- Próbuję - odpowiadam. - Czy to ty wsunęłaś kartkę pod jego wycieraczkę?

- Tak. - Kiwa głową i patrzy na Bena. - Kiedy dorastałam, siadałam czasem z innymi dziewczynkami i rozmawiałyśmy o tym, kogo chciałybyśmy poślubić. Mówiłyśmy, ile chcemy mieć dzieci, i nadawałyśmy im wyszukane imiona, jak Jacinta czy Rocco. Wszystkie byłyśmy przekonane, że wyjdziemy za mąż i będziemy mieć dzieci. Wydawało nam się, że taka kolej rzeczy to coś naturalnego i oczywistego, po prostu automat. Szkoła, praca, chłopcy, małżeństwo, kredyt i dzieci. - Na moment jakby odleciała zanurzona we wspomnieniach. - Rysowałam nawet siebie i moją idealną rodzinę albo wycinałam z gazet zdjęcia i wklejałam do albumu. Widziałam siebie, jaką będę w przyszłości: modna fryzura, mina zdradzająca zadowolenie z życia, przystojny mąż, dwójka dzieci, oczywiście chłopiec i dziewczynka, ładny dom w Londynie albo w którymś z okolicznych hrabstw.

Zupełnie jakby opisywała moje życie.

Milczę, dalej jej słucham:

- To była moja bajka i niby wiedziałam, że to bajka, ale tak naprawdę nie wątpiłam, że stanie się rzeczywistością. A jednak się myliłam, i nikt nie jest temu winien. To nie była ani moja wina, ani wina Nicky'ego.

Agatha bawi się bronią, trzymając ją w rękach. Znów zapadła w zadumę, widać, że intensywnie myśli.

- Nie chodzi tylko o brak dziecka - znów mówi - ale o to wszystko, co się z tym wiąże. O cały zestaw rytuałów rodzicielstwa. Grupy matek, pogaduszki przy szkolnej bramie, sobotnie zawody sportowe, szkolne obiady, szkolne zbiórki na cele charytatywne i uroczystości rozdania nagród. Dla ciebie to normalność, nawet się nad tym nie zastanawiasz. Dla mnie są tym

wszystkim, czego nigdy nie będę miała. Jestem outsiderką. Jestem niegodną zaufania znikającą bez śladu kobietą. Jestem bezdzielna. Jestem czymś mniej niż człowiekiem. Nie należę do klubu, który dla ciebie jest czymś oczywistym.

- Nie, to nieprawda.

- Słyszałam, jak skarżyłaś się innym żonom. Wszystkie jesteście takie same. Opowiadacie sobie o codziennych dramatach, bezsennych nocach, leniwych mężach, dzieciach niejadkach albo takich, które brudzą, o bałaganie w ich pokojach i alergiach na jedzenie. Nienawidziłam was za to. - Agatha urywa. - Nie, przepraszam, nienawiść to za mocne słowo. Uważałam, że jesteście niewdzięczne.

- To tylko słowa - mówię. - Wszyscy narzekają. Wiem, że mam szczęście. Wiem, że nie powinnam myśleć, że mi się to wszystko należy.

- Ale tak właśnie myślisz. Założę się, że kiedy widzisz bezdzielna kobietę w moim wieku, automatycznie zastanawiasz się, czy czekała zbyt długo, czy może na pierwszym miejscu stawia karierę. Myślisz, że jest zbyt egoistyczna albo zbyt wybredna.

- Wcale tak nie myślę - odpowiadam, choć w głębi duszy wiem, że Agatha ma rację.

W głowie mi się kręci, przestawiam Bena do drugiej piersi. Cicho mu się odbija, zostawia cienką smugę mleka na moim ciele.

- Nie urodziłam dzieci po to, żebyś źle się czuła, Agatho. To nie moja wina, że nie możesz mieć dzieci albo że straciłaś dziecko. Wiem, że to boli. Wiem, że czujesz się oszukana. Ale nie jesteś pierwszą kobietą, która nie może zajść w ciążę, a bezpłodność nie jest największym nieszczęściem na świecie. Powiem ci, co jest gorsze. Zaginięcie dziecka jest gorsze. Bezsenne noce, kiedy nie

wiesz, czy twoje dziecko żyje, czy jest martwe. Ty masz pustą macicę. Ja mam pustą kołyskę. Moja sytuacja jest gorsza.

Oczy Agathy płoną.

- Zamieniłabyś się ze mną? - Gdy przecząco kręcę głową, rzuca cierpko: - Tak myślałam.

Głaszczę kciukiem czoło Bena. Oczy ma otwarte, patrzy na mnie, już się w nim zakochuję.

Agatha ma rację. Jeszcze parę tygodni temu nie miałam pojęcia, jak to jest być bezpłodną albo stracić dziecko. Teraz to rozumiem.

- Co zamierzasz? - pytam.

Agatha patrzy na pistolet na kolanach.

- Jeszcze nie podjęłam decyzji.

- Możesz mi to oddać. - Gestem odmawia i jest to twarda odmowa. - Proszę, nie rób żadnego głupstwa, Agatho.

- Całe życie robię głupstwa - mówi z ciężkim westchnieniem.

AGATHA

Meg poprawia biustonosz i zapina bluzkę. Rory zasnął na jej kolanach z pełnym brzuszkiem.

- Powinnaś już iść - mówię do niej.
- A ty?
- Zostanę tu jeszcze chwilę.
- Możesz pójść ze mną.
- Nie.

Meg waha się, chce się przeciwstawić, ale już ma to, po co przyszła. Mówi, że mnie rozumie, ale ja wiem, że to niemożliwe. Może mi współczuć, ale nie jest w stanie wczuć się w moje emocje. Niewiele osób potrafi tak do końca zrozumieć, co to znaczy oddać swoje dziecko. Miałam piętnaście lat, kiedy mnie to spotkało. A oddając nowo narodzone dziecko, oddałam wszystkie lata jego życia. Rok po roku rezygnowałam z bożonarodzeniowych poranków, wizyt w domku Wróżki Zębuszki i szkolnych koncertów, straciłam wszystkie Dni Matki, urodziny i całusy na dobranoc.

Jak Meg mogłaby to zrozumieć? Może gdyby poroniła albo obudziła się obok zimnego jak marmur ciała maleńkiej dziewczynki, albo żyła z okrutną istotą, która się w niej zwija, dopiero wtedy miałaby szansę mnie zrozumieć.

Czemu ona ma troje dzieci, a ty ani jednego?

Bo ma takie szczęście.

Jest jedną z nich - częścią tego chóru.

Meg nie jest taka.

Jest wszystkim, czego nienawidzisz. Zadowoloną z siebie mamuszką blogerką, której dogadzają reklamodawcy i politycy.

Nie!

Powiedziała, że pusta kołyska jest gorsza od pustego łona. Miała na myśli: „Nie zrozumiesz, bo nie jesteś matką”. Arogancka suka!

Meg wsuwa ręce w rękawy płaszcza.

Myśli, że jej życie jest więcej warte niż twoje. Myśli, że jest od ciebie lepsza.

Nie!

Zatrzymaj ją!

Za późno.

- Pójdę już - mówi Meg, tuląc Bena do piersi. - Dziękuję, że mi go oddałaś.

Kiwam głową. Meg patrzy na broń.

- Chcesz się z nim pożegnać?

Odmownie kiwam głową, a po moim policzku spływa łza i spada na knykcie, na rękę, w której ściskam broń. Łza jak przezroczysty koralik, kropelka jak szkło powiększające, gdy przez nią spojrzeć, odbija w sobie sufit, lekko go zniekształcając.

Każdy krok Meg bardziej ją ode mnie oddala.

Ona nie kocha Rory'ego tak jak ty. Ona go nie zna. Zabierz go!

Nie mogę.

Ależ możesz. Unieś broń. Naciśnij spust. To łatwe.

Meg dociera do filaru i zmienia kierunek, idzie w stronę schodów.

Spuszczam wzrok na pistolet. Widzę, jak kolejna łza toczy się po palcu wskazującym i muska spust.

Dziwne to nasze życie. Szukamy szczęścia, a tak naprawdę chodzi o to, żeby po prostu przeżyć. Próbujemy spełnić oczekiwania, a tak naprawdę drepczemy w miejscu, tracimy czas albo kontemplujemy życie, jakie moglibyśmy mieć. Dość szybko

upodabniamy się do innych bezbożnych, żądnych pieniędzy, wsadzających nóż w plecy, zblazowanych, zazdrosnych istot ludzkich, które pragną zyskać od losu jeszcze więcej bogactwa, urody, szczęścia, lub też boleśnie marzą o tym, by móc zrobić to wszystko jeszcze raz od nowa.

Dla mnie nie istnieje coś takiego jak zapomnienie. Kiedyś raz w tygodniu za namową Nicky'ego chodziłam na terapię, a terapeuta kazał mi zamknąć wszystkie moje negatywne myśli i niskie poczucie własnej wartości w metalowym pudełku jak w pirackim kufrze z wieloma łańcuchami i kłódkami. Potem kazał zakopać to pudło głęboko na pustyni tak ogromnej, że gdybym kopała przez dziesięć tysięcy lat, i tak bym go nie znalazła. Próbowałam to zrobić, ale wspomnienia przeciekały jak odpady radioaktywne, których niszczycielska moc, choć osłabiona, trwa tysiąclecia.

Niezależnie od tego, jak bardzo się staram, istota zawsze ze mną będzie, czai się na skraju każdej polany, czeka, aż ogień się wypali albo światło zgaśnie, a potem podkrada się do mnie. Nie mogę nawet być pewna, że to moje myśli, bo może istota myśli za mnie. Nie wiem, ile mnie w ogóle pozostało.

Opuszczam rękę z bronią, idę powoli galerią, aż stoję przed swoim ulubionym obrazem, „Tahiti Revisited” Williama Hodgesa. Patrzę na palmy, ciepłą rzekę i skaliste szczyty. Pamiętam, jak spytałam Haydena, czy któregoś dnia mnie tam zabierze, ale to się nie stanie.

Patrzę na obraz i wyobrażam sobie, że przenikam przez płótno i znajduję się po drugiej stronie. Trzy Polinezyjki kąpią się w rzece. Przyjaciółki albo siostry. Jedna pływa, patrzy na niebo, pozostałe suszą się na brzegu, układają ręczniki na kamieniach. Ta najbliższej mnie stoi do mnie tyłem, ma duże ciężkie pośladki, jej

piersi są ukryte, a skóra wytatuowana. Wyobrażam sobie, jak powoli, stopniowo wnikam w jej ciało. Czuję wysychającą na mojej skórze wodę i ciepło słońca na ramionach. Zerkam na słomkowy kapelusz, który leży nieopodal, i podnoszę wzrok na skalisty szczyt skąpany w świetle.

Niedaleko, w tej chwili niewidoczne, moje dzieci bawią się w koralowym piasku, zbierają muszle i rzucają patyki do wody. Są tam wszystkie: Lizzie, Emily, Chloe i Rory. Żyją w raju, tam dorastają i tam się starzeją, nigdy nie są zmarznięte, głodne, samotne ani przerażone. Czymże jest miłość, jeśli nie sztuczką światła?

Za plecami słyszę ciężkie kroki na schodach, lecz nie opuszczam mojej wyspy. Chcę wachać tropikalne kwiaty, smakować owoce i czuć piasek między palcami. Wchodzę do ciepłej wody, która sięga moich kolan, potem ud...

- Rzuć broń! - ktoś krzyczy.

...mojej piersi, ramion, pieści moją skórę...

- Rzuć broń!

- Ma pan na myśli tego starego grata? - mówię, podnosząc broń i przykładając ją do skroni. - Nigdy bym nie...

MEGHAN

W bożonarodzeniowy poranek wybraliśmy się na mszę. Całą rodziną szliśmy przez Barnes Green do kościoła St Osmund's. Nie, nie staliśmy się nagle religijni ani nie przeżyliśmy duchowego nawrócenia, po prostu chciałam podziękować ojcu George'owi i lokalnej społeczności za ich modlitwy i dobre życzenia.

Może to właśnie zawdzięczam Agacie. Dała mi powód, by wierzyć. Kiedyś odrzuciłam wiarę, ponieważ postrzegałam ją z intelektualnego punktu widzenia, a wiara nie ma nic wspólnego z intelektem. Podobnie żadna liczba godzin spędzonych na klęczkach i modlitwach nie gwarantuje nam kontaktu z Bogiem. Nie możemy nadać naszych modlitw jak paczki na pocztę i otrzymać potwierdzenia odbioru.

Po mszy wracamy do domu spacerem, idąc tą samą drogą, którą przebyliśmy tamtego wieczoru, gdy odbywało się czuwanie przy świecach, wzdłuż Church Road do Barnes Green. Jack pcha wózek z Benem, Lachlan i Lucy biegną na przedzie.

Spędzamy święta w domu, który jest wypełniony śmiechem i ozdobnym papierem do pakowania. Są tu moi rodzice i Grace z nowym chłopakiem. Przyjechali także Simon i Gina obładowani prezentami dla dzieci.

Przygotowuję indyka ze wszystkimi dodatkami: sosem z żurawiny, pieczonymi kasztanami, brukselką, marchewką w glazurze z pomarańczy, parówkami w cieście francuskim i pieczonymi ziemniakami. Odsuwając z czoła wilgotny kosmyk, uśmiecham się do Bena, który siedzi w koszyku dla noworodków na roboczym blacie, śledząc, jak robię sos.

Goście w pokoju bawią się w szarady. Teraz jest kolej Lucy. Wiem, że odgrywa fragment z „Krainy lodu”, bo zawsze to robi, a Lachlan od razu odgaduje. Przybiega do mnie do kuchni.

- Mamusiu, mamusiu, zgadłem, zgadłem!

- Brawo. - Wycieram ręce w fartuch. - Chodź tu, kochanie. I bardzo szeroko otwórz buzię.

- Czemu?

- Bo zamierzam włożyć ci do buzi ten wacik i potręć nim wewnętrzną stronę policzka. To nie będzie bolało.

Lachlan pokazuje mi wszystkie zęby, a ja dwa razy pocieram wacikiem wewnętrzną stronę jego policzka, po czym wrzucam wacik do plastikowej fiolki i szczelnie ją zamykam.

- Po co ci to? - pyta Lachlan.

- Na szczęście - odpowiadam, mierzwiąc mu włosy. - Chcesz chipsy? - Podaję mu pełną miskę. - Tylko się nimi podziel.

Później zagląda do mnie Simon. Wiem, o co chce spytać. Pochyliła się nad koszem, wyciąga palec, a Ben chwytą go i ścisną.

- To ci dopiero uścisk - mówi Simon, wpatrując się w dziecko. Wiem, że próbuje dopatrzeć się jakiegoś podobieństwa do siebie, jakiegoś dowodu, że to jego syn.

Biorę kolejny wacik i podsuwam go pod różane wargi Bena. Ben automatycznie otwiera usta, a ja pocieram wacikiem wewnątrz jego policzka. Odwracając się tyłem do Simona, ukrywam wacik w dłoni i podaję mu ten, którym pocierałam wewnątrz policzka Lachlana.

- Proszę - mówię. - Pamiętaj naszą umowę. Jeśli to twój syn, powiem Jackowi prawdę. Jeśli nie, zostawisz nas w spokoju. Więc poważnie się zastanów, zanim podejmiesz jakieś kroki i zaryzykujesz moje małżeństwo i swoją przyjaźń.

- Myślałem o tym - mówi Simon, trzymając próbkę pod światło,

jakby był zdumiony, że coś tak małego i zwyczajnego ma w sobie taką moc.

- I co postanowiłeś? - pytam.

- Zrobię wszystko, żeby Gina zaszła ze mną w ciążę, ale to być może zachowam.

- Cóż, nie wiem, czy taka próbka ma datę ważności, ale ta okazja się nie powtórzy.

Simon patrzy na mnie z błyskiem w oku, który być może zawdzięcza pewnej ilości szampana.

- A ty znasz odpowiedź?

- Zawsze ją znałam.

- Więc nie jest mój?

- Nie.

Simon wsuwa test do kieszeni, bo akurat pojawia się przebrany za Świętego Mikołaja Jack, tyle że mikołajowa czapa jest na niego za mała. Kładzie mi rękę na plecach. Dawniej by mnie objął, ale teraz czuje, że musi znów zdobyć moje względy, i zawsze pyta o pozwolenie, zanim przekroczy granicę.

- O czym tak szepczecie? - pyta.

- O dzieciach - odpowiadam, odchylając do tyłu głowę, żeby go pocałować w policzek.

- Nie będziemy mieć więcej dzieci - mówi, udając przerażenie.

- My nie. - Wskazuję na Simona.

- Naprawdę? Gina jest...?

- Nie - mówi Simon.

- Ale ty...?

- Dobrze się bawię, próbując.

- Super - cieszy się Jack. - Czemu tak długo się zastanawiałeś?

- Czekałem na właściwą kobietę - odpowiada Simon, patrząc na mnie ze smutnym uśmiechem.

Wypędzam ich obu z kuchni, sprawdzam indyka i obracam ziemniaki. Ben gaworzy i posyła mi piękny uśmiech, swój pierwszy uśmiech, który rozświecła mu oczy. Jest cennym darem, naszą wpadką, wkroczył do tego świata niepewnym krokiem, z potknięciem, i skupił na sobie uwagę całego narodu, który przez krótki czas śledził nasze zwyczajne, monotonne życie. Nie wiem, co zobaczyli ci, którzy się nam przyglądali, ale z pewnością nie małżeństwo doskonałe. To byłoby nudne. Potrzebujemy ciemności, żeby docenić światło, potrzebujemy wybojów na drodze, żebyśmy nie zasnęli przy kierownicy.

Czy nasze małżeństwo przetrwa? Nie mam pojęcia. Jesteśmy razem, wciąż się kochamy i mamy trójkę pięknych dzieci, więc założyłabym się o całkiem spore pieniądze, że dotrwamy do srebra, a nawet złota. To znaczy srebrnej albo złotej rocznicy.

Cokolwiek się wydarzy, zawsze będziemy mieć Lucy, Lachlana i Bena. Dzieci są jak kapsuły czasu, które wystrzelujemy w przyszłość z nadzieją, że odziedziczą po nas ten świat. Nie wiem, czy są odłamkami tego samego bloku kamienia, czy też jedno jabłko spadło dalej od jabłoni, ale jakie to ma znaczenie?

Są kochane. Wytęsknione. Są nasze.

AGATHA

Rankiem, po tym, jak odebrałam sobie życie, otworzyłam oczy i zobaczyłam załamane przez żaluzje światło, i poczułam dotyk pościeli oraz chłodne powietrze, które wpływało w moje nozdrza.

Ktoś zapukał do drzwi i otworzył je.

- Dzień dobry, Agatho, jestem Colin. - Przyniósł tacę ze śniadaniem, biały uniform zdawał się lśnić na tle jego czarnej skóry. Na tacy była grzanka, jajecznica z dużą ilością natki pietruszki i porcja śmietany.

- Gdzie jestem? - spytałam.

- W szpitalu.

- Jestem chora?

- Trzeba naprawić twoją głowę.

Później pozwolili mi pójść do sali, gdzie personel postawił choinkę udekorowaną kolorowymi bombkami i mrugającymi lampkami, i aniołem na samym czubku. Wyjrzałam przez okno, na którym znajdowały się metalowe pręty, i zobaczyłam zimowy krajobraz.

Po południu miałam gościa. Sympatyczny mężczyzna o imieniu Cyrus pozwolił, bym trzymała go za rękę, kiedy opowiadałam o swoim życiu. Nikt nigdy tak mnie nie słuchał - ani matka, ani ojczym, ani pan Bowler, ani Nicky, ani Hayden, ani lekarze z klinik bezpłodności, ani przypadkowi mężczyźni, których sprowadzałam do domu, żeby się z nimi przespać, wiedziona nadzieją, że mnie zapłodnią.

- Był pan kiedyś na Tahiti? - spytałam go.

- Nie, a pani?

- Tak.

- Kiedy?
- Cały czas tam bywam.
- Opowie mi pani o swoich pozostałych dzieciach?
- Nigdy pan nie zrozumie.
- Postaram się zrozumieć.

Tamtego wieczoru siedziałam na wózku inwalidzkim przed telewizorem, słuchałam chóru, który śpiewał kolędy, i cieszyłam się, że nie umarłam.

- Co chciałabyś jutro robić, Agatho? - spytał Colin. - Mamy tu zajęcia z jogi i pilatesu, możesz też sadzić rośliny w szklarni.

- O nie, nie mogę - odpowiedziałam. - Odwiedzi mnie córka. Przyjeżdża aż z Leeds.

- Jak jej na imię?

- Nie wiem, ale jest bardzo ładna i zdolna, jak przyjedzie, to mi powie, jak się nazywa.

Rankiem, po tym, jak odebrałam sobie życie... i następnego ranka... i jeszcze następnego, a to był dzień Bożego Narodzenia... nauczyłam się czekać.

[1] List Pierwszy do Tymotheusza, 5, 19. Biblia, tłum. Jakub Wujek, Warszawa 1950. Reprint z edycji krakowskiej z 1599 r. (Słowo „starszy” zostało przetłumaczone jako „kapłan”).

Tytuł oryginału: *The Secret She Keeps*
Pierwsze wydanie: Sphere, Great Britain 2017
Opracowanie graficzne okładki: Emotion Media
Redaktor prowadzący: Grażyna Ordęga
Opracowanie redakcyjne: Jakub Sosnowski
Korekta: Sylwia Kozak-Śmiech

© 2017 by Bookwrite Pty
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2018

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC.

Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce: Trevillion Images.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harpercollins.pl

ISBN: 978-83-276-3052-0

Konwersja do formatu EPUB:
Legimi Sp. z o.o.